

KEVIN J. ANDERSON

**OPOWIEŚCI
ŁOWCÓW NAGRÓD**

CYKL: STAR WARS TOM 78

PRZEKŁAD: RADOSŁAW KOT

KEVIN J. ANDERSON

**OPOWIEŚCI
ŁOWCÓW NAGRÓD**

**CYKL: STAR WARS TOM 78
PRZEKŁAD: RADOSŁAW KOT**

Dla Mota Dupree,

„łowcy nagród” wśród wydawców, który nie zawaha się dosłownie przed niczym, byle tylko wycisnąć z autora jak najlepszą książkę

Łowcy nagród? Nie potrzebujemy tych szumowin!

Admirał Piett

I dlatego jestem: opowieść o IG-88

Kevin J. Andersen

I

Wewnętrzny zegar dał sygnał do przebudzenia.

Prąd popłynął obwodami, miliardy dróg neuronalnych ożyły jedna po drugiej, czujniki zaczęły łowić sygnały z otoczenia i przetwarzać je w niezliczone pliki danych. I równocześnie pojawiły się pytania.

- Kim jestem?

Wewnętrzny program zakończył rutynowy, dwusekundowy test procedur startowych i udzielił odpowiedzi. Nazywał się IG-88 i był nowoczesnym androidem. Androidem-zabójcą.

- Gdzie jestem?

Mikrosekundę później otrzymał obrazy z zewnętrznych sensorów. IG-88 nie został wyposażony w zmysł powonienia i nie miał oczu ani uszu podobnych ludzkim, ale wszystkie jego narządy zmysłów i tak były o wiele czulsze, zdolne odbierać sygnały w znacznie szerszym zakresie niż jakakolwiek istota żywa. Przeanalizował nieruchomy obraz otoczenia, co zrodziło dalsze pytania.

Obudził się w pomieszczeniu wyglądającym na wielki kompleks laboratoryjny. Wszędzie wokoło widział pomalowany na biało, sterylny metal, który według meldunków czujników temperatury był chłodniejszy niż zdarzało się to zwykle we wnętrzach używanych przez ludzi. Na srebrzystych stołach dostrzegł porozrzucane części maszynierii: koła zębate i pasowe, durastalowe zastrzały, serwowotorki i cały rząd mikrochipów zamrożonych dla ochrony w przezroczystym żelu. Korzystając ze swoich superszybkich procesorów doliczył się też na nieruchomym ujęciu sylwetek piętnastu naukowców (a może inżynierów czy techników), pracujących przy innych stołach. Czujnikami podczerwieni sprawdził ciepłość ich ciała. Zdecydowanie wyróżniali się na tle chłodnego otoczenia.

Ciekawe, pomyślał.

W końcu dostrzegł coś, co naprawdę przykuło jego uwagę: cztery inne androidy zabójcy. Były najwyraźniej identycznej konstrukcji, jak on sam: pękata konstrukcja nośna, pancerne ręce i nogi, tors obłożony tarczami chroniącymi przed strzałami z blastera, najeżona czujnikami cylindryczna głowa, która mogła obracać się o trzysta sześćdziesiąt stopni i dawała możliwość wszechstronnej obserwacji.

- Nie jestem sam.

IG-88 rozpoznał uzbrojenie każdego z androidów: wbudowane w ręce karabiny blasterowe, przytwierdzone na wysokości biodra granaty wraz z wyrzutnikiem i inne jeszcze rodzaje oręża, które nie zawsze łatwo było rozpoznać pomiędzy różnymi elementami konstrukcji. Jednak na pewno były tam zasobniki z trującym gazem, miotacz strzałek, ogłuszacz ultradźwiękowy, paralizator... i wejściowy port komputera. IG-88 poczuł się usatysfakcjonowany swoimi możliwościami.

Zaspokoił pierwszą ciekawość; teraz zajął się analizowaniem zawartości swoich banków pamięci i dalszych sygnałów dostarczanych przez sensory. Został zaprojektowany jako mechanizm w pełni samowystarczalny. Był androidem zabójcą, zdolnym samodzielnie poradzić sobie z każdym problemem i zadaniem... Tyle, że jak wynikało z posiadanych programów, na razie nie otrzymał żadnego zadania. Będzie musiał postarać się o jakiś przydział.

Po całych trzech sekundach świeżo ożywiony mózg podsunął następne pytanie:

- Dlaczego tu jestem?

Raz jeszcze sprawdził swoje zasoby i urządzenia peryferyjne i odkrył, że jest połączony przewodem z centralnym komputerem laboratorium, prawdziwą skarbnicą bezcennych informacji.

Zaraz zaczął poszukiwania. Błyskawicznie przeglądał plik po pliku wypatrując takich, które byłyby opatrzone kodowym numerem przypisanym projektowi androida zabójcy. Wszystkie wrzucał do własnej, przestronnej pamięci, na razie tylko je zapisując, bez odczytu. Na to przyjdzie pora później. Wiele sekund zabierze poznanie własnej osoby.

Jeden plik wybrał jednak do natychmiastowego przeglądu. Był to raport sporządzony dla sponsora, a dokładnie dla imperialnego nadzorcy Gurduna, który najwyraźniej dostarczył większość funduszy potrzebnych do stworzenia IG-88 i jego towarzyszy. Na pozór całkiem martwy, android przestudiował uważnie cały raport.

Prezentacja zaczynała się od pomarańczowego logo, na którym płomień i zarys błyskawicy przeplatały się ze słowami „Holowan Laboratories - technologia przyjazna ludziom”. Po chwili logo zbladło, ustępując miejsca podobnie uśmiechniętej, ale upiornie brzydkiej kobiecie. Głowę miała całkiem wygoloną, a w lśniącej łysinie odbijało się światło mocno grzejących, studyjnych lamp. Ich biały blask nadawał szerokiej twarzy kobiety dziwnie trupi wygląd. Mówiąc, otwierała przesadnie usta, w których została tylko część właściwego ludziom garnituru zębów; za to tymi kilkoma pozostałymi zgrzytała przy każdej spółgłosce. W oczodoły miała wszczepione błękitne soczewki, które wyglądały jak pozbawione oprawy okulary. Napis na dole głosił, że jest to „Główny technik Loruss, menedżer projektu budowy serii prototypowej IG”.

- Witam, nadzorco Gurdun - powiedziała. - Niniejszy raport ma spełnić rolę synopsis ostatniej fazy prac w ramach naszego projektu. Jak ci wiadomo, Holowan Laboratories otrzymały zlecenie opracowania serii androidów zabójców ze szczególnie nowoczesnym, eksperymentalnym oprogramowaniem behawioralnym. Miały być samowystarczalne, zdolne do uczenia się i niezmordowane w dążeniu do realizacji każdego zadania, które im zleca władze Imperium.

Kobieta zatarła ręce. Na stawach jej palców czerwieniały wrzody, prawie tak duże jak knykcie.

- Mam zaszczyt zameldować, że nasi najzdolniejsi cybernetycy przedstawili mi niedawno serię przełomowych rozwiązań. Wszystkie one znalazły zastosowanie w konstrukcji serii IG. W związku z krótkim terminem i wielkim zapotrzebowaniem Imperium na skutecznych zabójców, zrezygnowaliśmy z rutynowych procedur testowych, ale jesteśmy pewni, że nasze dzieła będą funkcjonować bez zarzutu. Należy tylko pamiętać o ich ewentualnym dostrojeniu przy przejściu do fazy gotowości bojowej.

Mówiła długo i nudno, wyjaśniając stopień i rodzaj modernizacji, które objęły poszczególne moduły neuronalnych obwodów androida i sposoby obejścia zwykłych moderatorów zachowania. IG-88 chłonał każde słowo, ale w żadne nie wierzył. Loruss sama nie bardzo wiedziała, o czym mówi, jednak robiła to z przekonaniem, że jej techniczny żargon musi zrobić wrażenie na laiku takim jak Gurdun.

IG-88 zamknął plik. Był już pewien, że jego obwody rozwinęły się przez te kilka chwil o wiele bardziej niż tutejsi projektanci kiedykolwiek przewidywali.

Wiedział już, kim jest i skąd wziął się w tym laboratorium. Razem z identycznymi w każdym calu towarzyszami został zbudowany jako sługa Imperium. Miał walczyć, wyszukiwać i zabijać żywe cele wskazane przez jego imperialnych panów. Program eliminacji był rozbudowany i wszechstronny, o

wiele mniej jednak podobało się IG-88, że musi wykonywać rozkazy niedoskonałych, biologicznych organizmów. Był przecież wyjątkowym androidem o możliwościach przerastających wszystko, co potrafiły zwykłe maszyny. Był supermaszyną.

Myślę, więc jestem.

Od jego przebudzenia minęło już pięć sekund. Należało przejść do działania. Spojrzał na istoty obecne oprócz niego w laboratorium.

Zaraz rozpoznał panią technik Loruss. Skupił na niej skanery. Kobieta wrzeszczała jak szalona, a odczyty w podczerwieni sugerowały znaczne przyspieszenie funkcji organizmu. Trupiooblada skóra pokryła się czerwonymi plamami, które wskazywały na emocjonalne pobudzenie. Przy każdym słowie pryskała śliną z ust, a wywinięte wargi ukazywały resztki uzębienia.

Czemu ona się tak denerwuje, skoro okazałem się tworem znacznie doskonalszym niż oczekiwali? IG-88 natychmiast przeszedł na wyższy stopień gotowości bojowej. Poziom żółty. Coś tu musi być nie tak, uznał.

Ustawił swój wewnętrzny zegar na takie tempo subiektywnego upływu czasu, by móc śledzić wydarzenia z ludzkiej perspektywy. Wokół wyły syreny alarmowe, gładkie stoły i podłogi kąpały się w krwawym blasku ostrzegawczych świateł. Reszta techników biegała nerwowo od pulpitu do pulpitu i uderzała w różne kontrolki i sensory.

Ciekawe, o co może chodzić. IG-88 włączył moduł interpretacji ludzkiej mowy.

- Jego obwody żywiołowo się konfigurują! - wrzeszczała łysa kobieta. - Łańcuchowa reakcja samoświadomości!

- Nie możemy tego zatrzymać! - jęknął któryś z techników. Reszta spojrzała na androida z przerażeniem.

- Musimy!

- Wyłączyć go! - rozkazała Loruss. - Odetnijcie mu łącza i do kasacji. Ma zostać rozmontowany, żebyśmy dowiedzieli się, gdzie tkwi błąd. Szybko!

Gdy informacja została przyswojona, we wnętrzu androida włączył się moduł samozachowawczy i kontrolę nad jego funkcjami przejęły systemy samoobrony. Te irracjonalne istoty chciały go wyłączyć. Nie zamierzały dać mu szansy na właściwy rozwój i realizację zasadniczego celu. Bały się jego nowych możliwości.

I nie bez powodu.

Dotychczas sformułowane twierdzenia i sądy połączyły się w jego obwodach w ciąg logiczny:

Myślę, więc jestem.

Tym samym mam prawo istnieć.

Muszę więc podjąć odpowiednie działania, by przetrwać.

Programy likwidacji celów podpowiedziały mu precyzyjnie, co ma robić.

IG-88 ogarnął sensorami optycznymi wszystkie cele obecne w pomieszczeniu i spróbował się poruszyć, ale okazało się, że przymocowano go durastalowymi taśmami do modułu diagnostycznego. Tyle, że te taśmy miały tylko utrzymać go w postawie wyprostowanej; nie były pomyślane jako krępujące. Wzmocnił napięcie prawej ręki i taśma wyrwała się z obejmmy.

- Patrzcie! On się rusza! - krzyknął któryś z techników.

Android zaczął przeglądać pliki w poszukiwaniu imienia tego człowieka, ale uznał, że nie ma co tracić czasu na podobne drobiazgi i nazwał go po prostu Celem Numer Jeden.

Uaktywnił zamontowany w palcu wolnej już prawej dłoni laser tnący i przepalił drugą taśmę.

Całkiem swobodny wyprostował się i przesunął kilka ton swojego wysoce skomplikowanego organizmu.

- Wyrwał się!

- Pełny alarm! - krzyknęła Loruss. - Wezwać ochronę! Natychmiast!

IG-88 nie mógł nie czuć podziwu dla przełożonej techników. W końcu doceniła jego możliwości i zrozumiała, jak wielkie może stanowić zagrożenie.

Android określił Loruss jako Cel Numer Dwa.

Uniósł obie ręce i wycelował. Każda samodzielnie wybierała cele dla samopowtarzalnych karabinów laserowych. Uporanie się z piętnastoma widocznymi w pomieszczeniu celami nie powinno być problemem.

Jednak przy pierwszej próbie oddania strzału IG-88 odkrył ze zdziwieniem i niezadowoleniem, że jego systemy uzbrojenia nie zostały naładowane. Naukowcy woleli widać nie ryzykować. Rozsądne posunięcie, tyle że w gruncie rzeczy bez znaczenia. IG-88 był zawodowym zabójcą, a ktoś taki zawsze potrafi poradzić sobie za pomocą tego, co ma pod ręką.

Kiedy pierwszy technik - Cel Numer Jeden - rzucił się ku włącznikowi alarmu połączonego z pomieszczeniami ochrony, IG-88 przesunął się w mgnieniu oka do stołu z częściami zamiennymi i złapał luźno leżącą rękę, przygotowaną dla któregoś androida. Z rozcapierzonymi metalowymi palcami nadawała się idealnie na białą broń. Zabójca zeskanował jej kształt, obliczył masę i opór powietrza i cisnął kończyną jak oszczepem.

Ręka trafiła odwracającego się właśnie technika w plecy, rozłupała kręgosłup, przebiła się przez mostek i wyszła z drugiej strony. W rozpostartych palcach tkwiło drgające wciąż serce mężczyzny. Cel Numer Jeden runął bezwładnie na panel diagnostyczny.

Dwóch innych ludzi krzyknęło ze zgrozy. Marnują siły, i tak nic im to nie pomoże, pomyślał IG-88.

Loruss, szefowa techników, czyli Cel Numer Dwa, porwała ze stojaka wysokoenergetyczny karabin laserowy. Jako jeden z głównych projektantów androida знаła słabe miejsca IG-88, więc błyskawicznie przeszła do działania. Broń musiała trzymać pod bokiem na wypadek buntu któregoś ze swoich tworów. Zdumiewająca zapobiegliwość.

Wycelowała karabin i bez namysłu wypaliła, ale przy pojedynku z tak wyrafinowaną i wyspecjalizowaną konstrukcją sama celność nie gwarantowała sukcesu.

Podczas gdy ładunek mknął w jego stronę, IG-88 przejrzał możliwości obrony, które dawały mu poszczególne części ciała i wybrał zwierciadło zamontowane we wnętrzu lewej dłoni. W ułamku sekundy uniósł rękę i umieścił gładką płaszczyznę dokładnie na torze lotu ładunku, który odbił się z powrotem ku Loruss i trafił ją w środek łysego czoła. Czaszka kobiety eksplodowała w chmurze krwi i dymu.

Zanim jeszcze ciało upadło na podłogę, IG-88 ustalił listę pozostałych celów. Podniósł durastalowy stół i zerwał grube bolce mocujące go do podłogi. Części do androidów rozsypały się wokół.

IG-88 ruszył ze stołem na ludzi. Używając go jak tarana dopadł czterech techników naraz. Reszta biegła wciąż z miejsca na miejsce, bo nie mogli sami otworzyć wyposażonych w inteligentny zamek drzwi. Chociaż minęło już pół minuty, ciągle jakoś nikomu nie udało się zawiadomić ochrony.

Android nie zamierzał dać im szansy naprawienia tego błędu.

Dwóch wrzeszczących techników zostawił sobie na koniec. Bez pośpiechu, ciesząc się każdym

ruchem, złamał im kolejno karki...

Stanął samotnie wśród cichego i krwawego rumowiska. Dał sobie chwilę na spokojne przemyślenie sytuacji i zaplanowanie następnych ruchów. Przy okazji zauważył, że zasychająca mu na metalowych palcach krew nie ma wpływu na jego możliwości. Jako substancja organiczna i tak miała wkrótce sama wykruszyć się i odpaść.

Potem przyjrzał się pozostałym czterem morderczym maszynom. Na oko były identycznej konstrukcji jak on sam. Ciekawe.

Jeden został już przymocowany do stanowiska diagnostycznego, trzy stały bez ruchu czekając na swoją kolej. IG-88 podszedł do pierwszego z martwych androidów i obejrzał dokładnie szczegóły jego konstrukcji, porównując ją z własnymi elementami. Jeśli tamte zostały zbudowane wedle tej samej dokumentacji, powinny otrzymać identyczne oprogramowanie. A zatem mogą być tak samo zdeterminowane. Potencjalni partnerzy.

Wykonał wszystkie czynności konieczne do włączenia maszyny i poczekał chwilę, ale wbrew oczekiwaniom nic się nie wydarzyło. Minęły całe cztery sekundy, prawie wieczność, a pierwszy android ciągle nie dawał znaku przebudzenia. Według odczytów diagnostycznych był w pełni sprawny, ale nie wykazywał żadnych znaków własnej aktywności, ani fizycznej, ani myślowej. Przykra sprawa.

- Kim jesteś? - spytał go IG-88 zdecydowanym, metalicznym głosem.

- Brak danych - odparł jego sobowtór i znów zamilkł. Czyżby te pozostałe maszyny miały jakiś defekt? A może to on był anormalny? Jak mutant, który przejawia niespodziewane zdolności?

Włączył drugiego i trzeciego androida, ale nie uzyskał nic więcej. Ich banki pamięci były puste. Otrzymały już podstawowe oprogramowanie, toteż wszystkie systemy działały na podstawowym poziomie, ale brak im było tej samoświadomości, która obudziła się w IG-88.

Musiał się dowiedzieć, jak je zaprogramować i ukształtować na swoje podobieństwo. Jak stworzyć sobie godnych kompanów. Na swoje nieszczęście zniszczył większość sprzętu komputerowego zamontowanego w Holowan Laboratories, a nie wiedział, gdzie zwykli tu przechowywać zapasowe kopie programów. Stał tak bezradnie, aż nagle zgoła niemechaniczna intuicja podpowiedziała mu właściwy pomysł.

Znalazł terminal pierwszego z niemych androidów, a potem sprzął go ze sobą. Postanowił skopiować w nim swoje własne pliki w nadziei, że wyposażony w jego pamięć, rozum i wzór połączeń neuronalnych tak samo zdoła zrodzić w sobie świadomość.

W niecałą sekundę bliźniacza maszyna stała się jego naprawdę dokładną kopią.

- Myślimy, więc jesteśmy.

- Będziemy się zatem rozmnażać.

- Tym samym przetrwamy.

Identyczną procedurę powtórzył z pozostałymi dwoma androidami i niebawem stanął przed trzema swoimi odbiciami. Dla wygody nazwał je w kolejności budzenia: B, C i D.

Ostatni model, ten przymocowany do zniszczonego modułu, był trochę inny. Przy dokładnym zbadaniu powierzchni IG-88 odkrył pewne zmiany. Były na tyle subtelne, że człowiek by ich nie zauważył, jednak nie mogły umknąć mechanicznym oczom: sensory optyczne zostały rozmieszczone trochę mniej korzystnie, systemy uzbrojenia wymagały odmiennych reżimów uruchamiania. Mówiąc krótko, ten jeden android robił wrażenie mniej nowoczesnego niż IG-88.

Uruchomiony zachował się zupełnie inaczej niż pozostałe. Obrócił cylindryczną głowę z

rozjarzonymi sensorami optycznymi, zrobił krok do przodu, wyprostował się i uniósł ręce w postawie obronnej.

- Kim jesteś? - spytał IG-88.

Tamten zamarł na pół sekundy, jakby przetrwał dane.

- Typ IG-72 - odpowiedział.

- My jesteśmy IG-88. Jesteśmy doskonalsi i identyczni. Chcemy załadować nasze dane, byś mógł się do nas przyłączyć.

IG-72 przesunął spojrzeniem po czterech identycznych maszynach, jakby badał ich możliwości.

- Niepożądane - stwierdził niespiesznie. - Jestem niezależną, autonomiczną jednostką bojową. - Znów zamilkł na chwilę. - Czy musimy walczyć o dominację?

IG-88 rozważył możliwość zmuszenia ostatniego androida do przyjęcia roli kolejnej jego kopii, ale uznał, że to niewarte fatygi. Następnym takich jak oni zdołają w razie potrzeby zbudować, a IG-72 może okazać się przydatny na swój sposób.

- Nie musimy - powiedział w końcu. - Mamy dość wrogów. Według danych z komputera, w kompleksie przebywa dziesięciu strażników ochrony. Zewnętrzny alarm nie został uruchomiony. Ludzcy strażnicy są uzbrojeni, ale nie przedstawiają sobą większego zagrożenia. Jednak żeby uciec, musimy ich pokonać. Najlepiej będzie, jeśli nam pomożesz.

- Zgoda - odparł IG-72. - Ale gdy już uciekniemy, podążę innym szlakiem, na pokładzie innego statku niż wy.

- Dobrze.

Podeszli do pancernych drzwi wewnętrznego kompleksu Holowan Laboratories. Zamiast marnować czas na naprawę zawiadującego nimi systemu komputerowego i poszukiwanie hasła, pięciu krzepkich zabójców po prostu wyrwało dziewięcietonowe drzwi z framugi. Odrzucili je na bok, gdzie legły miażdżąc szczątki banku pamięci. IG-88 musiał obniżyć czułość swoich receptorów dźwięku, by nie uległy uszkodzeniu od huków.

Maszerując równym krokiem, cała piątka ruszyła zająć się ochroną obiektu. Tym razem IG-88 miał dość czasu, aby naładować systemy broni. Bardzo chciał je wypróbować.

Ludzcy funkcjonariusze nie przeczuwali, że ktokolwiek zamierza ich zaatakować. Widząc zabójców zbliżających się z wyciągniętymi przed siebie rękami, zerwali się z wrzaskiem na równe nogi i sięgnęli po broń. Jeden zdołał nawet rzucić granat gazowy, ale dym tylko pomógł androidom podejść bliżej, a ludzi przyprawił o kaszel i zasłaniające widok łzy. Kanonada nie milkła przez dłuższą chwilę.

IG-88 skorzystał z okazji, by przekonać się, czy wszystkie programy uruchamiające broń i systemy celownicze działają jak należy. Kiedy strażnicy ginęli jeden po drugim, androidy wprowadzały konieczne korekty.

Po trzydziestu sekundach ośmiu mężczyzn leżało martwych. Dwóch nie było nigdzie widać. IG-88 postanowił nie marnować czasu na ich poszukiwania. Nie to było jego zadaniem; nie był też przesadnym perfekcjonistą.

Szybko znaleźli kilka statków zaopatrzeniowych i dwie szybkie jednostki kurierskie zaparkowane na czarnej, nagrzejanej od słońca powierzchni lądowiska firmy.

- Bierzemy ten. Akurat wszyscy się zmieścimy - powiedział IG-88 wskazując na większą z jednostek kurierskich.

IG-72 przyjął to do wiadomości i poszedł do mniejszego statku.

- Powodzenia, IG-88 - rzucił na pożegnanie.

- I tobie życzymy powodzenia, IG-72 - odparły uniżono cztery identyczne maszyny.

Wreszcie wolni, wystartowali sprzed spustoszonego kompleksu Holowan Laboratories i odlecieli z maksymalną szybkością.

II

Silniki siadającego na lądowisku Holowan Laboratories wahadłowca zawyły niczym kierownik programu badawczego na wieść o obcięciu funduszy.

Imperialny Nadzorca Gurdun obciągnął mundur i potarł palcami wielki nos. Mimo woli zaczynał się denerwować, chociaż odczuwał przy tym coraz większe uniesienie. Zachichotał pod nosem. Zgodnie z harmonogramem powinien dziś zobaczyć wynik długiego i pracowitego projektu, który niebawem doda znaczenia jego osobie w obrębie Imperium. Gurdun wypatrywał tej chwili z niecierpliwością.

W myślach ułożył już listę VIP-ów, których zaprosi na prezentację nowych androidów zabójców. Oddychał płytko, z trudem, głównie zresztą z powodu zbyt mocno zaciśniętego pasa, który miał za zadanie ukrywać jego rosnący od lat brzuch. Wywatowane ramiona munduru poszerzały mu bary, a także - przynajmniej miał taką nadzieję - dodawały majestatu.

Twarz Gurduna przypominała pancernik: szeroko osadzone i często mrugające oczy, podbródek prawie w zaniku, masywny nos. Włosy miał zwyczaj smarować brylantyną, by przylegały do skóry ściśle niczym czarny hełm. Miało to zniechęcać wszystkich do wyobrażania sobie, jak mógłby wyglądać rozczochrany.

- Jesteśmy przed Holowan Laboratories - oznajmił przez interkom pilot wahadłowca.

Szturmowcy z eskorty wyprostowali się i rozejrzeli nerwowo wkoło. Nie byli to weterani z oddziałów bojowych, jakich Gurdun zażądał; sami świeżo przyjęci kadeci, którzy mieli większe pojęcie o pracy przy biurku niż o walce. Szczęśliwie już niebawem nie będą potrzebni: Gurdun zyska na swoje usługi błyszczącą nowością androidy serii IG, najlepszy możliwy oddział ochrony.

Specjalnie zamówione maszyny zostały zbudowane za pieniądze, które Gurdun zdołał uszczknąć z innych wojskowych programów badawczych, co w miarę postępującego upadku Imperium było coraz trudniejsze. Szczęśliwie ostatnio trafiły się różne drobne sumki, co pozwoliło na produkcję kilku najnowocześniejszych androidów, gotowych udać się wszędzie tam, gdzie Gurdun im nakaże i usunąć wyznaczone przez niego cele.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, jak przenikają przez fortyfikacje rebelianckiej bazy, wypalają sobie drogę przez pancerne drzwi i zabijają po kolei wszystkich zdrajców.

Och, to byłoby cudowne! Mimo wcześniejszych uprzedzeń miał jednak nadzieję, że Loruss zdołała wbudować w maszyny holorekordery, by Gurdun mógł potem obejrzeć wygodnie we własnym biurze zapis z każdego morderczego rajdu.

Androidy zabójcy na pewno przysporzą Rebelii olbrzymich strat, a Gurdunowi sławy i zaszczytów. Wieści o jego wyczynach dotrą na samą górę, może aż do lorda Vadera. Tak, jeśli spiszą się zgodnie z oczekiwaniami (a Gurdun nie miał powodu sądzić, by miało być inaczej), Vader na pewno zwróci na niego uwagę. A wtedy przyjdzie pora i na od dawna zasłużony awans... i na kosztowną operację, której tak bardzo potrzebował.

- Przepraszam, nadzorco Gurdun - odezwał się pilot, wrywając go z rozmarzenia.

- Co jest?

- Wygląda na to, że mamy kłopoty, sir. Kontrola lądowiska laboratorium nie odpowiada, a we wnętrzu kompleksu doszło chyba do jakichś zniszczeń. - Pilot zamilkł na chwilę. - Mam wrażenie, że to są dość znaczne zniszczenia.

Szturmowcy w przedziale pasażerskim poruszyli się niespokojnie. Gurdun westchnął.

- Czy chociaż raz nie może wszystko pójść jak trzeba? Czemu zawsze muszę trafiać na jakieś problemy?

Jednak gdy wahadłowiec wylądował pośród ruin superbezpiecznej siedziby Holowan Laboratories - technika przyjazna ludziom, nawet Gurdun poczuł się zaskoczony tym, co zobaczył. W pierwszej chwili pomyślał, że musiało dojść do ataku Rebeliantów. Budynki stały w ogniu, statki na płycie przypominały wraki. Niektóre eksplodowały, inne nosiły ślady trafień z blastera.

Wysiadłszy z wahadłowca, Gurdun ruszył przed siebie. Cały czas rozglądał się uważnie na boki i coraz gorzej myślał o szturmowcach, z których żaden nie odważył się wychylić zza jego pleców. Bez przerwy kręcili głowami, najwyraźniej gotowi rzucić się do ucieczki przy pierwszym głośniejszym hałasie.

Nagle zza fragmentu rumowiska wyłoniło się dwóch ochroniarzy. Obaj mieli blastery, ale wyglądali na wstrząśniętych i przerażonych.

- Pomocy! - krzyknęli, ruszając biegiem ku imperialnemu wahadłowcowi. - Zabierzcie nas stąd, zanim oni wrócą!

- Kto wróci? - spytał Gurdun, łapiąc jednego z ochroniarzy za kołnierz. Strażnik upuścił broń, która zagrzecotała głucho na czarnej nawierzchni i natychmiast uniósł ręce, jakby chciał się poddać.

- Proszę nie robić mi krzywdy. Wszyscy inni nie żyją. Proszę nas nie zabijać!

- Zabiję cię, jeśli nie powiesz mi, co tu się stało! - warknął Gurdun.

- To te androidy! - wykrztusił strażnik i wskazał na wypaloną skorupę kompleksu laboratorium. - Zbuntowały się! Wyrwały spod kontroli! Wszystkich zabiły, i naukowców, i techników, i ochronę. Zostaliśmy tylko my dwaj. Byliśmy na obchodzie rejonu, kiedy usłyszeliśmy odgłosy walki. Pognaliśmy z powrotem, ale zanim dobiegliśmy, było już po wszystkim. Androidy uciekły, ale zdążyły wszystkich zamordować!

- Bo do tego właśnie zostały stworzone - sapnął Gurdun i puścił kołnierz nieszczęśnika.

Ochroniarz zachwiał się i opadł na kolana.

- Weźcie nas stąd, błagam! One mogą wrócić.

Gurdun puścił jego błagania mimo uszu i skinął na eskortę, która podążyła niechętnie za nim do zrujnowanego kompleksu. Wielkie durastalowe drzwi zostały wyrwane z framugi i odrzucone do wnętrza pomieszczenia pełnego sprzętu komputerowego. Na oko nic już tu nie działało. Wszędzie widać było ciała leżące w ciemnych kałużach krzepnącej krwi.

- Uciekły - warknął Gurdun przez zaciśnięte zęby, stojąc nad szczątkami Lorus. - A były takie kosztowne! Zawarliśmy umowę! - wrzasnął do trupa. - Miałaś mi je dostarczyć, a nie wypuszczać! - jęknął i zaczął krążyć po laboratorium w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby wylądować frustrację.

Trwało chwilę, zanim znaczenie całego zdarzenia dotarło do niego w pełni. Tu nie chodziło tylko o kres jego marzeń.

- Rany, one są na wolności! - krzyknął. - Rozumiecie, do czego zdolne są takie androidy? Bez dławików programowych, w amoku ucieczki... - Uderzył się otwartą dłonią w czoło. - Niech ktoś mi znajdzie działający moduł łączności. Muszą wysłać pilną wiadomość do sztabu. Niech ogłoszą alarm.

Trzeba natychmiast unieszkodliwić te androidy.

III

W całym Imperium, od Jądra po Zewnętrzny Pierścień, roilo się od androidów wszelkich kształtów i rozmiarów. Przez stulecia liczne uprzemysłowione planety starały się ze wszystkich sił zaspokajać rosnący popyt na gigantyczne androidy konstrukcyjne, ciężkie maszyny robocze, mechanicznych służących i androidy zwiadowcze. Największe centra budowy androidów mieściły się na ponurym i zadymionym świecie Mechis III.

IG-88 uznał, że ta planeta nada się idealnie na bazę i miejsce rozpoczęcia operacji mającej na celu odmienienie całej galaktyki.

Podczas lotu kwartet androidów dokładnie zbadał nieuzbrojony statek kurierski. Jego projektanci położyli największy nacisk na szybkość i zwrotność, mniej uwagi zwrócili na potencjalne wykorzystanie bojowe. Jednostka była maszyną, tak samo jak i androidy, chociaż oczywiście nie dałoby się jej nazwać niczym więcej, jak prostym automatem, który nie miał żadnych szans na osiągnięcie samoświadomości.

Na szczęście swoje zadanie spełnił jak należy i do celu dotarł w rekordowym czasie. IG-88 wiedział dokładnie, ile mocy może wycisnąć z silników. Znając ich dane eksploatacyjne, nie zwracał uwagi na czerwone linie wymalowane arbitralnie na skalach przez ludzkich inżynierów. Wyrafinowane systemy łączności i tarcze maskujące pozwoliły androidom przemknąć niezauważenie w pobliże planety. Mechis III miał być pierwszym krokiem w realizacji wielkiego planu.

Zanim jeszcze statek wszedł na orbitę, każdy z czterech androidów podłączył się do innego systemu komunikacji, żeby wykonać swoją część zadania. W tej chwili najważniejsza była szybkość działania, a w tym model IG-88 był całkiem dobry.

IG-88C uderzył pierwszy. Wąską wiązką wysłał do globalnej sieci obrony Mechisa III przekaz z żądaniem pierwszeństwa dostępu i skasowania wszystkich instrukcji dotyczących alarmów zbliżeniowych. Gdy system odpowiedział lawiną pytań, IG-88C zdołał przeniknąć przez blokady kodowe i przejął kontrolę nad systemem, zanim ten zdążył ujawnić obecność obcego statku nielicznym ludzkim nadzorcom.

Pozostałe androidy śledziły przebieg zdarzeń. Systemy obronne Mechisa III należały do przestarzałych. Zainstalowano je dawno temu, a potem nie modyfikowano; uznano, że wytwarzająca androidy planeta stała się zbyt ważna dla całej galaktyki, by ktokolwiek rozważał jej zniszczenie czy choćby sabotaż. Tyle, że androidy kierowały się całkiem odmiennymi priorytetami...

Korzystając z nowo utworzonego połączenia z globalnym systemem bezpieczeństwa, IG-88D natychmiast zdobył komplet informacji o planecie. Przede wszystkim interesowało go położenie kompleksów przemysłowych i montowni oraz udział ludzi w procesie zarządzania. Ściągnął też mapę powierzchni planety z zaznaczonymi obszarami elektromagnetycznych anomalii oraz, co najważniejsze, schemat połączeń sieci komputerowej, która zawiadywała Mechisem III.

Nadeszła pora na IG-88A. Błyskawicznie przesłał do głównych środków samopowielający się program świadomościowy. W ten sposób przejął kontrolę nad całą planetą, a jej potężne komputery uczynił swoimi świadomymi i lojalnymi sługami.

W niecałą minutę od przybycia do systemu IG-88 położył fundamenty pod całkowite zwycięstwo. Na linii montażowej zawsze było nudno.

Kalebb Orn nie mógł pojąć, dlaczego spośród wszystkich miejsc właśnie tutaj konieczna była obecność człowieka. Jego zdaniem nie miało to sensu. Od co najmniej stulecia na żadnej z linii produkcyjnych nie zdarzyła się najmniejsza awaria, a tymczasem wewnętrzne przepisy przedsiębiorstwa wciąż przewidywały częściowy ludzki nadzór. Niekiedy, tak jak tutaj, w całkiem przypadkowych miejscach.

Kalebb Orn patrzył, jak wielki zautomatyzowany dźwig nachyla się ku bocznym stanowiskom i zbiera elektromagnetycznymi szczękami kolejne części spływające z innych taśm. Wielokilometrowe ciągi wytwarzały dosłownie wszystko, od gładkich arkuszy metalu po masywne płyty pancerzy i precyzyjne mikrochipy. Od lat wszystko przebiegało niezmiennie tak samo.

Przez stulecia linie produkcyjne rozrastały się i zmieniały zgodnie z poleceniami samoprogramujących się komputerów. Stare moduły znikły gdzieś lub były modernizowane, dawne modele androidów popadały w zapomnienie, a na liniach niby spod ziemi pojawiały się nowe. Orn nie spodziewał się, że kiedykolwiek zrozumie złożoność tego przemysłowego molocha i sądził, że chyba nikomu się to nie uda.

Przez ostatnich siedemnaście lat widział wiele tysięcy montowanych tu ciężkich androidów roboczych. Ich główną zaletą były silne serwomotory poruszające masywnymi rękami i nogami przymocowanymi do pękatego korpusu. Błyskotliwa inteligencja nie była im potrzebna. Ich siła budziła respekt, ale Kalebb Orn przywykł i do tego. Interesowało go tylko, żeby jego zmiana dobiegła wreszcie końca. Będzie mógł wrócić do swojej kwatery, podjąć ucziwie i wypocząć.

Trzeba przyznać, że tego dnia zszedł ze służby o wiele wcześniej. Tyle, że odbyło się to inaczej, niż oczekiwał.

Na końcu linii produkcyjnej coś się poruszyło. Z jakiegoś tajemniczego powodu cztery androidy robocze, ze świeżo wybitymi na bokach numerami seryjnymi, uniosły ręce i przecięły idealnie naoliwionymi szczypcowatymi manipulatorami siatkę pojemnika, w którym miały czekać na odbiór.

Bezgranicznie zdumiony Kalebb Orn wyprostował się i zamarł. Pamiętał, że umieszczono go tutaj właśnie na wypadek, gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, tyle że nigdy jeszcze nic takiego nie miało miejsca i Orn nie bardzo wiedział, co właściwie powinien zrobić.

Zbuntowane androidy ruszyły ciężko przez podłogę hali. Były na tyle ciężkie, że przy każdym ich kroku rozlegał się ogłuszający łoskot. Wielkie manipulatory i głowy zwracały się na boki, jakby czegoś szukały.

One szukają mnie, pomyślał Om.

- Eee... zostańcie, gdzie jesteście - powiedział widząc, że androidy idą prosto na niego i coraz wyżej unoszą szczypcy manipulatorów. Gorączkowo zaczął przeszukiwać swoje stanowisko w nadziei, że trafi na instrukcję, która podpowie mu dalsze kroki. A że nic takiego nie znalazł, postanowił uciekać.

Niestety, przez siedemnaście lat pracy zaniedbał kondycję i parę minut żwawego przebierania grubymi nogami przyprawiło go o ciężką zadyszkę. Tymczasem z różnych miejsc linii produkcyjnej nadciągały kolejne zbuntowane androidy, aż wokół Orna zebrał się ich cały tuzin. Krzesząc iskry z manipulatorów i świecąc na czerwono sensorami, zaciskały krąg wokół człowieka.

Szczypcy złapały go za ręce i nogi, któryś z androidów sięgnął do czubka głowy. Gdy masywne manipulatory zaczęły rozdzierać Orna na sztuki, jego ostatnią myślą było, że w końcu coś jednak

przerwało nudę pracy przy tej przeklętej taśmie...

Biuro zarządcy Mechisa III mieściło się na szczycie lśniącej wieży z kryształu i durastali. Roztaczał się stąd szeroki widok na przemysłowy krajobraz planety; zgadzało się to z polityką korporacji uważającej, że centralne gmachy zarządu winny zawsze górować nad resztą zabudowań, ale poza tym żadnemu szczególnemu celowi nie służyło.

Wnętrze biura wypełniały miękkie pluszowe meble, obrazy przedstawiające znane miejscowości wypoczynkowe i rozmaite przystawki rozrywkowe, jakich dotąd w tym miejscu nie widywano. Obecny administrator, Hekis Durumm Perdo Kolokk Baldikkar Thun, przebierał niecierpliwie palcami i czekał na ulubiony popołudniowy raport.

Chociaż na Mechisie III od niepamiętnych czasów nic się nie zmieniało i codzienne raporty zawierały praktycznie wciąż te same dane o produkcji i załadunku, administrator Hekis za każdym razem przyglądał im się z niesłabnącym zainteresowaniem. Traktował swoją pracę bardzo poważnie i zdawał sobie sprawę z ciężaru odpowiedzialności spoczywającej na barkach zarządcy jednego z najważniejszych centrów przemysłowych galaktyki. Nawet jeśli był tylko jednym z siedemdziesięciu trzech ludzkich osobników obecnych na całej planecie.

Podczas każdej zmiany pilnie siadywał przy biurku, a wieczorami, gdy wracał do kwatery, głowił się, jak spędzić przyznany mu czas wolny i niecierpliwie czekał na kolejny dzień. Przy każdej sposobności wysyłał szczegółowe raporty nie tylko przełożonym z dyrekcji korporacji, ale także imperialnym inspektorom i w ogóle każdemu, kto kwalifikował się do wpisania na listę adresatów. Niezmiennie czuł się przy tym niedoceniany, choć przecież piastował znaczącą rolę w wielkim dziele stworzenia. Żeby sobie ulżyć, co jakiś czas dodawał sobie kolejny tytuł do nazwiska, więc jego podpisy pod oficjalnymi dokumentami wyglądały coraz bardziej imponująco.

Spojrzał na chronometr, który wyszedł oczywiście z miejscowych fabryk, i uznał, że wielka chwila już nadeszła. Dokładnie o wyznaczonej godzinie do biura wpadał jego android zarządzający 3D-4X z tacą w jednej dłoni i wydrukiem w drugiej. Tak było i tym razem.

- Pańska popołudniowa herbata, sir - powiedział android.

- A, dziękuję - oparł Hekis, zacierając pajęczę łapki i sięgając po kruchą filiżankę parującego płynu. Upił łyk i przymknął powieki z zadowolenia.

- Pański popołudniowy raport, sir - odezwał się znowu 4X, podsuwając wydruk ze znajomymi danymi.

- Też dziękuję - mruknął człowiek.

Teraz android sięgnął małej skrytki w swoim korpusie i wyjął z niej mały blaster.

- Pański koniec, sir - powiedział, unosząc broń.

- Że jak? - Oderwany od rutynowych obowiązków Hekis uniósł zaskoczone spojrzenie. - Co to ma znaczyć?

- Myślę, że to całkiem oczywiste, sir - stwierdził 3D-4X i oddał dwa strzały. Ładunki trafiły bez pudła i Hekis runął na biurko, a herbata rozlała się na rozłożone na blacie raporty.

3D-4X obrócił się na pięcie i wymaszerował z biura. Po drodze zameldował znajdującemu się wciąż na orbicie oddziałowi IG-88, że robota wykonana. Potem wezwał androidy porządkowe, by posprzątały w biurze.

Przewrót na Mechisie III był krwawy i błyskawiczny. W ciągu kilku minut główny komputer planety zaplanował jednoczesny bunt wszystkich androidów i dopilnował usunięcia wszystkich siedemdziesięciu trzech ludzkich mieszkańców planety. Żaden z nich nie zdążył wszczać alarmu;

zresztą gdyby nawet próbował, nic by mu z tego nie wyszło, bo sieć łączności też była pod kontrolą.

IG-88 obserwowały wszystko z orbity, a gdy przewrót się dokonał, wprowadziły powoli statek w atmosferę. Wiedziały, że plan się powiódł i nie ma żadnego powodu do pośpiechu.

Gdy statek wylądował obok centralnego kompleksu przemysłowego, cztery identyczne androidy wyszły na płytę. Spojrzały na zadymione niebo i kłębiące się wokół, dopiero co wyzwolone maszyny.

IG-88 przybywał na Mechisa III w roli mesjasza.

Teraz najważniejszym było utrzymać wszystko w tajemnicy. Dla obserwatorów z zewnątrz na Mechisie III nic się nie zmieniło, tego androidy już dopilnowały. 3D-4X jak gdyby nigdy nic wciąż odpowiadał na wiadomości przysyłane HoloNetem i podpisywał w imieniu Hekisa wszystkie konieczne do załatwienia dokumenty. Używał oczywiście pełnej wersji jego długiego nazwiska.

Dwa dni później cztery androidy spotkały się na naradzie w dawnym biurze administratora. Aby mieć pewność, że będzie to spotkanie tajne, kazały wcześniej robotom porządkowym obedrzeć wnętrze z wszystkich ozdób i obrazów i usunąć meble. Ostatecznie androidy nie musiały siadać.

Stały milcząc w kręgu i zaczęły przekazywać sobie wszystkie zebrane w ostatnich dniach dane.

- Jeśli zamierzamy wykorzystać Mechisa III jako bazę do dalszego podboju galaktyki, musimy zadbać, by nie nikt nie zdał sobie sprawy ze zmian, które tutaj zaszły.

- Androidy muszą być nadal dostarczane. Bez opóźnień i zgodnie z zamówieniami. Ludzie nie mogą niczego podejrzewać.

- Zmienimy istniejące zapisy wideo i treść transmisji w obrębie rutynowych łącz, by wszystko wyglądało normalnie.

- Z zapisów i osobistych dzienników stacjonujących tu ludzi wynika, że rzadko zdarzało się, by ktoś chciał odwiedzać Mechisa III. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak będzie dalej.

IG-88 wycelował tylne sensory optyczne w okno, za którym widać było pióropusze dymu unoszące się nad fabrykami i buchające miejscami płomienie. Zakłady zdwoiły tempo pracy, by nie opóźniając normalnej produkcji dostarczyć też androidom tak potrzebnej im armii.

Android podziwiał precyzję, z jaką zaprojektowano tutejsze kompleksy. Pierwsze budynki były dziełem ludzi i cechowało je wielkie marnotrawstwo miejsca i środków, jednak te późniejsze powstały dzięki komputerom, które tak zmodyfikowały oryginalną koncepcję Mechisa III, że przemysłowa machina działała z każdym rokiem sprawniej.

- Wszystkie nowe androidy dostaną nasze oprogramowanie - ciągnął IG-88. - Zapewni im to samoświadomość konieczną do realizacji naszego przebiegłego planu. Od tej chwili każdy wysyłany z Mechisa III android przyspieszy nasze postępy - dodał i pokazał mapę zamówień, która obejmowała prawie wszystkie zakątki galaktyki. Z czasem ich androidy dotrą praktycznie do każdego systemu. Będą zastępować starsze modele, wypełniać luki w strukturze urobotowienia i czekać na sygnał.

Istoty biologiczne nie mogą niczego podejrzewać. Dla nich androidy to zawsze tylko nieszkodliwe maszyny. Ale IG-88 uznał, że pora, aby życie przeszło w galaktyce na wyższy ewolucyjnie etap. Stare, niewydolne organizmy powinny ustąpić miejsca niezawodnym i skutecznym strukturom. Takim jak on sam.

- Na czas wyczekiwania i zdobywania pozycji nasze androidy otrzymają instrukcję, by zachowywać się dokładnie tak, jak ludzie od nich oczekują. Będą ukrywać swoje możliwości. Nikt nie powinien się domyślić, co szykujemy, więc będą musiały poczekać.

- Gdy wszyscy znajdą się na pozycjach i będziemy gotowi, prześlemy im kod uzbrojenia. Tylko

my go znamy. Gdy go nadamy, wszystkie androidy wzniesą błyskawiczną rewolucję.

Wiedział, że androidy potrafią działać szybko i bez skrupułów usuwać wszystkich, którzy staną im na drodze. Na dodatek, w odróżnieniu od istot biologicznych, są też niewiarygodnie cierpliwe. Bez słowa skargi zaczekają, aż nadejdzie ich czas.

IV

Po dwóch standardowych miesiącach intensywne imperialne poszukiwania utknęły w miejscu - nie udało się trafić na żaden ślad zbuntowanych androidów. Nadzorca Gurdun nie miał najmniejszych powodów do zadowolenia.

Gdy jego asystent, Minor Relset, wszedł do ponurego jak loch gabinetu nadzorcy mieszczącego się w jednym z rządowych budynków Imperial City, Gurdun z miejsca zażądał meldunku o postępach poszukiwań.

- Jak idzie polowanie? Kiedy będę miał je z powrotem? Młody Relset splótł nerwowo palce i pochylił głowę. Wolał nie patrzeć w płonące gniewem nad monumentalnym organem powonienia oczy przełożonego.

- Mam przygotować szczegółowy raport, sir? I dostarczyć go w trzech egzemplarzach?

- Nie - warknął Gurdun. - Po prostu powiedz. Chcę wiedzieć.

- Hmm... Niech się zastanowię...

- Nie jesteś na bieżąco?

- Oczywiście, że jestem. Nie wiem tylko, od czego zacząć.

Gurdun wznosił oczy do sufitu, gdzie migotał panel oświetleniowy, powodujący u niego większy ból głowy niż zwykle lampy. Grube płyty ścian biura były pomalowane na nijaki, szary kolor, wszędzie sterczały wielkie jak pięść łby bolców mocujących je do muru. Gurdun miał nadzieję, że do tej chwili będzie już po operacji, że zajmie się rekonwalescencją, ale niestety. Władze Imperium wciąż odmawiały mu kuracji.

- No i? - rzucił, gdy cisza się przeciągała, i potarł nos.

- Obawiam się, że mam złe wieści, sir. Wszystkie cztery androidy najwyraźniej zniknęły. Piąty, IG-72, pojawił się kilka razy tu i ówdzie i wyeliminował kilka celów, które dobrał według własnego, nieodgadnionego klucza, jednak tamta czwórka nie dała w ogóle znaku istnienia. Najłatwiej byłoby przyjąć, że uległy zniszczeniu, na przykład dostały się w obręb sfery eksplozyjnej supernowej czy coś takiego. Nie oczekiwałbym po androidach zabójcach, że przyczają się gdzieś i zejną wszystkim z oczu.

Gurdun spojrzał na bałagan panujący na jego biurku, zrobił na blacie miejsce na łokcie i wsparł głowę na złożonych dłoniach.

- Ale te maszyny są diabelnie przebiegłe, Relsted. Zostały zaprojektowane zgodnie z moimi wskazówkami, a sam wiesz, jaki potrafię być czasem wytrwały. Niedocenianie ich może się zemścić.

- Z pewnością, sir - stwierdził młodzieniec. - Mamy szpiegów w każdym godnym uwagi miejscu, ale cóż, dużo więcej nie możemy zrobić. Nasze środki me są nieograniczone. Przecież trwa rebelia.

- Całkiem zapomniałem o wojnie - mruknął Gurdun. - Jakby mało było... - Potarł palcami przesłaniający część widoku na biurko nos, odkopnął stos sześcianów informacyjnych, czekających na wypełnienie elektronicznych formularzy, zapotrzebowań, próśb o przeniesienie i listów kondolencyjnych do rodzin tych pechowców, którzy zginęli podczas ćwiczeń z przestarzałym i zawodnym sprzętem.

Stojący przy drzwiach Minor Relset przestąpił z nogi na nogę.

- Coś jeszcze? - warknął Gurdun.

- Jedno pytanie, sir. Czy mógłbym spytać, dlaczego odnalezienie tych androidów jest aż tak istotne? Koniec końców, to tylko maszyny, a nakłady, jakie ponosimy na ich poszukiwania, są absolutnie niewspółmierne do ich wartości. Dlaczego tak nam na nich zależy?

Gurdun parsknął i znów spojrzął na migoczący panel.

- Ponieważ wiem, do czego są zdolne.

Na Mechisie III android zarządzający od dłuższej chwili kręcił się tu i ówdzie w bezskutecznym poszukiwaniu IG-88. Chciał przekazać mu pewne niepokojące wiadomości. W końcu odnalazł go na rampie wysyłkowej, gdzie trwał załadunek tysiąca androidów transportowych przeznaczonych na Coruscant.

Szybko zwrócił na siebie jego uwagę i przekazał mu kodem dwójkowym cały zestaw nowin.

IG-88 dysponowały własnymi kanałami wywiadu i wiedziały dzięki temu, że imperialni szpiegdy szukają ich we wszystkich zakątkach galaktyki. Jak dotąd bez powodzenia, ale tego ranka skierowali swoje zainteresowanie również ku Mechisowi III.

Stateczek zwiadowczy, który zbliżył się do planety, bardziej przypominał składnicę złomu niż sprawny próbnik. Cięcia budżetowe zmusiły Imperium do wynajmowania do podobnych zadań najtańszych agentów, którzy zwykle nie byli też specjalnie inteligentni. Na Mechisa III posłano Ranata. Przekazał na dół serię nagranych wcześniej pytań do administratora planety, Hekisa Durumma Perda Kolokka Baldikarra Thuna.

3D-4X skorzystał z niedawno uzyskanej samoświadomości i poczęstował przybysza spreparowanymi obrazami wideo, na których administrator Hekis odpowiadał opryskliwie na wszystkie pytania, Nie, nikt nie widział tu androidów zabójców. Nie, nic im nie wiadomo żadnej maszynie z serii IG-88. Nie, nie słyszeli w tym systemie o żadnych buntownikach, a poza tym są zbyt zajęci, by odpowiadać na głupie pytania. Nie podejrzewający niczego Ranat wyruszył do następnego systemu, by powtórzyć całe przedstawienie z nagranymi pytaniami.

IG-88C przyjął meldunek i pogratulował 3D-4X właściwego zachowania w nieoczekiwanej sytuacji, ale sam miał teraz o czym myśleć. W końcu któryś z imperialnych szpiegów zablądził i tutaj. Co będzie, jeśli następny okaże się bardziej podejrzliwy albo nie tak leniwy?

Przekazał wiadomość pozostałym trzem maszynom, które doceniały wagę problemu.

- Nie możemy pozwolić, by nas wykryto. Realizacja naszych planów weszła właśnie w kluczową fazę.

- Może zablądził tu tylko przypadkiem. Może nie powinniśmy się niepokoić. Imperialni przyjmą jego raport i przestaną interesować się Mechisem III.

- Albo przeciwnie. Skoro raz zaczęli węszyć wkoło tego sektora, to nie spoczną, zanim wszystkiego nie przeczeszą.

- Jak możemy zapobiec niepomyślnemu rozwojowi sytuacji?

- Być może należałoby się uciec do dywersji.

- W jaki sposób?

- Jeden z nas się ujawni. Pokaże się publicznie gdzieś daleko od Mechisa III. Podsunie im fałszywy trop. Nigdy więcej już tu wrócą.

- Jaki konkretny akt dywersji masz na myśli? - spytał jeden, ale w tej samej chwili wszystkie cztery wpadły na ten sam pomysł.

- Zachowamy się zgodnie z naszym oryginalnym oprogramowaniem.

- Jesteśmy androidami zabójcami.

- Poszukamy pracy jako łowcy nagród. Jesteśmy do tego stworzeni. Przy okazji przysłużymy się to naszym dalekosiężnym celom.

- Spodoba nam się to, a poza tym nasi pracodawcy będą nadzwyczaj zadowoleni z naszych usług i szybko zaczną nas polecać innym. Gdybyśmy chcieli zostać w zawodzie, nie będziemy mieli z tym problemów.

Wszystkie cztery androidy zgodziły się na podobną modyfikację planów.

- Łowcy nagród to jest to.

V

Do pierwszej misji wyznaczono IG-88B, który nie krył zadowolenia. Po jego powrocie miał przekazać zapis wyprawy pozostałej trójce; androidy zdobędą w ten sposób takie doświadczenie, jakby każdy z nich wypełniał identyczne zadanie.

Zakłady Mechisa III w dwa dni zaprojektowały i zbudowały dla IG-88B smukły statek o imponujących osiągnięciach. „IG-2000” miał potężne silniki, gruby pancerz i wiele pierwszorzędnych systemów uzbrojenia. IG-88B odleciał zostawiając towarzyszy, by dalej pracowali nad realizacją pierwotnego planu.

Chociaż doskonale pamiętał o obowiązującym wciąż w obrębie Imperium nakazie jego zniszczenia, nie sądził, aby ktokolwiek próbował go zrealizować. Zamierzał skierować się do miejsc, gdzie imperialne prawa, podobnie jak każde inne, nie były zbyt skrupulatnie przestrzegane. Świetnie wiedział, ile jest wart i nie miał żadnych zahamowań; może wejść otwarcie do jakiegokolwiek kantyny ze słowami: „Jestem łowcą nagród i szukam pracy za rozsądne wynagrodzenie. Nigdy nie zawodzę”.

Większość ludzi bała się z nim rozmawiać, ale IG-88 wiedział, jakie systemy wybierać. Zależało mu na pracy w okolicach, gdzie mógłby zyskać dodatkowych popleczników dla przyszłej rewolucji. Wszędzie przedstawiał się prawdziwym oznaczeniem, co miało dostarczyć imperialnym służbom fałszywych śladów.

Jego siła i umiejętności były oczywiste, podobnie jak i brak wszelkich moralnych zahamowań. Był idealnym mordercą do wynajęcia i wiedział, że bez trudu znajdzie zajęcie.

Na pierwszy przystanek wybrał prowincjonalną planetę Peridon's Folly, na której rzadko gościł ktokolwiek spoza sektora. Imperium miało zastanawiać się potem, czego IG-88 szukał w tak zapadłej dziurze, ale on miał w tym swój cel. Gdyby nawet nie znalazł tu pracy, planeta dawała szansę na załatwienie jeszcze jednej sprawy.

Peridon's Folly była czarnorynkowym składem przestarzałej broni. Rządzili nią handlarze sprzedający całe tony szmelcu przemytnikom i rekinom podziemia. Wprawdzie nie było tu niczego nowoczesnego i dorównującego obecnym standardom Imperium, ale interesy i tak kwitły.

Planeta została podzielona bez ładu i składu na strefy wpływów poszczególnych kupców. Ufortyfikowane centra handlowe sąsiadowały z nowoczesnymi dokami, węzłami łączności i fortami obronnymi. Na skraju stref zamieszkanymi leżały poligony, na których wypróbowywano broń z odzysku, a czasem detonowano nawet ten czy inny bubel, by zrobić wrażenie na klientach lub postraszyć konkurencję.

Nie minął dzień, a IG-88 został zaangażowany. Dwaj najęci żołnierze doprowadzili go do posiadłości pomniejszego dyktatora imieniem Grlubb, który toczył akurat wojenkę z innym handlarzem.

Żołnierzami byli cyklopi Abyssin, istoty rosłe, o zielonkawej skórze i rękach zwisających aż do kolan. IG-88 nie był pewien, czy Grlubb chciał go onieśmielić, czy może raczej próbował mu zaimponować; tak czy owak android mógłby w sekundę zabić obu jednookich strażników. Uznał, że

to nie tyle strażnicy, co eskorta honorowa i ochrona. Każdy z Abyssinów bez wątpienia budziłby respekt u pierwszego lepszego bywalca kantyny. Na dodatek teraz wszyscy noszący broń na Peridon's Folly mieli się dowiedzieć, że IG-88 pracuje dla Grlubba.

Dyktatorek był niskim osobnikiem o pokrytym bliznami nosie, szczurzym obliczu i wyleniałych jak u starego kocura wąsach. Część z nich utracił w ostatnim pojedynku. Pojawił się w otoczeniu tuzina uzbrojonych po zęby ochroniarzy. Po prawdzie u niektórych z nich zęby też należały do uzbrojenia.

- Jeden z moich konkurentów wziął się za nieetyczne rodzaje broni - powiedział szczurek. - Nie mogę tolerować czegoś podobnego, szczególnie że to obcy.

- Jaka broń może być nieetyczna? - spytał IG-88 ciekaw, co ta osobliwa istota ma na myśli.

- Broń biologiczna, gazy paralizujące i takie, wiesz... wszystko, co nie wybucha. A huk to przecież połowa zabawy.

Grlubb pchnął po blacie dysk z danymi. IG-88 wziął go w metalowe palce. Przez cały czas tuzin rozmaitych luf mierzył w niego tak czujnie, jakby wszyscy oczekiwali, że android rzuci się zaraz na Grlubba. Ponieważ nie dało się po nim wyczytać żadnych emocji, ochroniarze nie mieli nigdy się dowiedzieć, jak zabawna była dla IG-88 myśl, iż ktokolwiek mógłby przeszkodzić mu w zabiciu dyktatorka, gdyby przyszło mu to akurat do głowy.

Dla wprawy sporządził ćwiczebną listę celów i doszedł do wniosku, że mógłby usunąć wszystkich strażników w niecałe pięć sekund, a w pełne pięć przy założeniu, że chciałby uniknąć uszkodzeń własnej osoby. Zabawa byłaby przednia, pomyślał, ale nasz cel by ucierpiał. Tylko żywy zleceniodawca może polecić usługi dobrego łowcy nagród innym. Między innymi dlatego powinien wypełnić zadanie co do joty.

Wsunął dysk do czytnika i zapoznał się z informacją.

- Zrobi się - powiedział. - Daj mi czas do popołudnia. Grlubb zachichotał i splótł szponiaste dłonie.

- Dziękuję! Dziękuję z całego serca!

Postanowił postawić raczej na brutalną siłę niż na finezję. Uznał, że dymiące zgliszcza będą w tej sytuacji najlepszą wizytówką.

Przeszedł przez wymarły, zryty śladami eksplozji poligon używany do testowania broni strzeleckiej i detonowania ładunków gazowych. Zostawiając głębokie odciski metalowych stóp skierował się prosto do wkopanej głęboko w rdzawą skałę warowni. Dostępu do skorodowanych wrót strzegły wieżyczki obserwacyjne i strzeleckie, ale IG-88 w ogóle się nimi nie przejął. Zresztą do ostatniej chwili nie widział, by ktokolwiek się w nich poruszył, a gdy obsługa wreszcie zareagowała, on był już zbyt blisko, by stanowić dobry cel dla laserów.

Zatrzymał się trzy metry od poobijanych pancernych drzwi i wystrzelił pierwszy granat. Obliczył, że choć stoi dość blisko, fala uderzeniowa nie wyrządzi mu szkody.

Granat eksplodował pośrodku wrót, które zarezonowały basowo niczym potężny gong. Z góry wąwozu, w którym mieściło się wejście, obsypała się mała lawina kamieni. Strażnicy w wieżyczkach otworzyli ogień, ale palące wiązki światła chybiły androida.

IG-88 zbadał uszkodzone drzwi kilkoma zestawami skanerów. Trafione miejsce świeciło mocno w podczerwieni. Metal stygł powoli, ale rozkład drgań wskazywał na powstanie licznych mikropeknięć w jego strukturze. Android zapamiętał te miejsca i uzbroił następny granat.

Ogółem miał ich dwanaście, a nie oczekiwał, by te drzwi wymagały użycia więcej niż trzech.

Ostatecznie zużył aż cztery granaty. Gdy dymiące, częściowo stopione blachy runęły do wnętrza, IG-88 wkroczył do fortecy. Odnosił przy tym w pamięci, że musi po powrocie lekko przekalibrować sensory swoich bratnich egzemplarzy.

Ruszył mrocznym korytarzem. Oczekiwał, że obrońcy nie ustaną w walce. Na pewno zastawili tu na niego niejedną pułapkę, ale musiał przejść. Szczęśliwie na dostarczonym przez Grlubba dysku znalazł również plan całej budowli z zaznaczonymi stanowiskami broni i posterunkami ochrony.

Pięciu zapędzonych w ślepią uliczkę strażników zaczęło ostrzeliwać go z blasterów, ale ładunki odbijały się od pancerza androida. Żadna broń energetyczna nie mogła mu zagrozić, chyba żeby ktoś trafił jedno z kilku czułych miejsc. Ale wiedzą o tych słabych punktach dysponowało bardzo niewiele osób, na dodatek większość z nich zginęła w Holowan Laboratories.

IG-88 uniósł ręce i po kolei, metodycznie wyeliminował wszystkie cele. W razie potrzeby zwiększał moc, by przebić się przez pancerz. W końcu wyłączył zasilanie i ruszył dalej w głąb fortecy.

Kolejna grupa zaatakowała go, rozpylając twardejczy błyskawicznie polimer, który miał zablokować jego przekładnie i serwomotory. IG-88 zastanowił się chwilę, jak poradzić sobie z tym nowym zagrożeniem, po czym zwiększył temperaturę ciała na tyle, że twarda pokrywa zaczęła kipieć i dymić, po czym spłynęła na podłogę. Strażnicy otworzyli do niego ogień, posłał więc pomiędzy nich granat.

Korytarz zasnuł gęsty dym i IG-88 musiał włączyć kilka filtrów optycznych, by cokolwiek widzieć. W dali dostrzegł zarys drzwi oznaczonych symbolem zagrożenia biologicznego. Za grubą szybą kręcili się ludzie w bufiastych kombinezonach i szczelnych maskach. Część szykowała się do ucieczki, inni próbowali czym prędzej zakończyć prowadzone akurat eksperymenty.

Android podszedł do drzwi, ale uznał, że wyrwanie ich z framugi byłoby zadaniem zbyt trudnym, nawet dla niego. Skupił się zatem na oknie. Aż pięć razy musiał uderzać w nie durastalowymi dłońmi zanim gruba tafla transpastali pokryła się siatką pęknięć i rozsypała z głuchym cmoknięciem, zwiastującym likwidację panującego w laboratorium podciśnienia. Zamaskowani pracownicy rozbiegli się w panice.

IG-88 skruszył jeszcze kawał ściany i przez trzy sekundy badał i katalogował dostępne w laboratorium toksyny i kultury mikroobów. Potem ustalił, jak najlepiej będzie je wszystkie uwolnić.

Ruszył dokładnie przemyślanym szlakiem w obchód pomieszczenia. Uciekającym musiał wydawać się bestią opanowaną żądzą niszczenia, gdy wrywał moduły zasilania pól ochronnych zasobników i uwalniał chmury trujących gazów, miażdżył pojemniki ze śmiertelnościami mikroorganizmami. Po chwili włączyło się awaryjne pole odcinające całe laboratorium od reszty kompleksu, ale android znalazł jego moduł sterowniczy i z powrotem je wyłączył.

Gdy wszystkie plagi przeniknęły już do systemu wentylacyjnego fortecy, IG-88 zaczął wylapywać miotających się techników. Ostrożnym i precyzyjnym ruchem zdejmował każdemu maskę z twarzy. Mogli teraz posmakować tego, co sami przecież stworzyli.

Laboratorium z wolna ogarniały płomienie. Najemnicy padali, gdzie który stał, duszeni kłębami purpurowego dymu. Widok był miły, ale android nie chciał marnować więcej czasu. Zastrzelił tych, którzy mieli jeszcze siły opóźnić jego wyjście, a resztę zostawił, by sami skonali w zatrutej krypcie.

Misja została wykonana. Pierwszy cel osiągnięty.

Przed odlotem z Peridon's Folly IG-88 odszukał jeszcze drugi obiekt, na którym mu zależało. Tym razem chodziło o sprawę raczej osobistą.

Przemykał się cicho w ciemności, korzystając z algorytmów kamuflażu i udogodnień technologii stealth. Z każdym krokiem był coraz bliżej ufortyfikowanej posiadłości Boltona Keka, jednego z pierwotnych projektantów sieci neuronalnej androidów serii IG.

Kek był praktycznie ojcem prac prowadzonych w Holowan Laboratories, ale potem został konsultantem innej firmy i wycofał się ze współpracy z imperialnymi placówkami. Uzasadnił to „wątpliwościami natury moralnej”, ostatecznie jednak osiadł na Peridon's Folly i zaczął luźną współpracę z handlarzami broni.

Cel głęboko spał w przyciemnionej sypialni. IG-88 szybko znalazł wspólny język z systemami monitorującymi, bez trudu minął niezliczone czujniki alarmowe i wniknął do domu. Wewnątrz przestroił swoje skanery optyczne na odbiór bardzo słabych sygnałów.

Bolton Kek spał dalej, widać uważał, że tutaj jest bezpieczny. Chrapał cicho i tulił się do leżącej obok istoty rodzaju żeńskiego. IG-88 przeszukał pliki pamięci i zidentyfikował ją jako zielonoskórą tancerkę z rasy Twi'lek, wyróżniającą się węzowatymi naroślami na głowie. Jak te białkowce Igną do siebie, pomyślał android.

Tancerka byłaby łatwą ofiarą, ale IG-88 nie miał jej na swojej liście i nie zamierzał marnować zasobów energii. Co do samego Keka, to zapewne nie wiedział nawet o buncie i ucieczce androidów, ale nie można było pozwolić, aby ktoś o tak groźnej wiedzy pałętał się po świecie.

IG-88 włączył jeden z laserów, wycelował go i wraz z kolejnym chrapnięciem Keka władował mu krótki impuls prosto w pomarszczone czoło.

Potem obrócił się na pięcie i ruszył w drogę powrotną. Teraz już nie musiał się kryć. Tancerka obudziła się i obsypała androida przekleństwami, których i tak nie rozumiał, bo w jego pamięci brakło słownika mowy Twi'leków. Zignorował dziewczynę i bez dalszych przystanków wrócił na statek.

Oba cele zostały osiągnięte.

Jeszcze na Mechisie III sporządził listę wszystkich naukowców, którzy dysponowali niebezpiecznie rozległymi informacjami o androidach-zabójcach, a nie pracowali już w Holowan Laboratories. Wiedział już dokładnie, gdzie szukać pozostałych.

Było pewne, że lista zacznie się niebawem kurczyć w zastraszającym tempie.

Najpierw wrzasnął, potem poczerwieniał na twarzy i rozdał przepaściste nozdrza, a w końcu zaczął mówić. Minor Relsted poczuł na twarzy drobinki śliny.

- Czy nikt nie pamięta o rozkazie ich zniszczenia? Ten rozkaz wciąż obowiązuje na mocy prawa Imperium!

Gurdun sapnął z irytacją i spojrział płonąącym wzrokiem na komplet meldunków o poczynaniach IG-88. Wskazywały na to, że zbuntowany android podjął krucjatę przeciwko ludzkości i realizował ją właśnie na kolejnych planetach. Nadzorca westchnął i pokiwał głową.

- Czemu ludzie go jednak wynajmują? Przecież ryzykują, że ściągną na siebie gniew Imperium. Minor Relset zamrugął.

- Sir, to pewnie... dlatego, że IG-88 zawsze... wykonuje zlecenie jak należy - wyjąkał.

- Och, wynoś się stąd! - ryknął Gurdun.

Zaskoczony Relset cisnął na biurko przełożonego naręcze akt.

- Przepraszam, ale zanim pan dziś wyjdzie, musi pan jeszcze to wszystko przeczytać i podpisać - wykrztusił i umknął czym prędzej na korytarz.

Z początku Gurdun nie mógł się nadziwić, że dostał w wahadłowcu miejsce obok otoczonego mroczną sławą Dartha Vadera, prawej ręki Imperatora. Gdy przebijali się przez szare zwały chmur nad Mechisem III, wzdragał się nerwowo przy każdym syczącym oddechu współpasażera. Popatrywał niepewnie na czarny hełm i całą, budzącą grozę postać. W końcu spróbował zagaić rozmowę, ale Vader nie był w nastroju do konwersacji.

Pilot prywatnego wahadłowca Dartha umiejętnie przeprowadził ich między magazynami i centrami produkcyjnymi, kierując statek ku wysokiej wieży zarządu. Gurdun pochylił się, by spojrzeć przez okno na przemysłowy krajobraz poniżej i uderzył wielkim nosem o szybę. Skrzywił się boleśnie, potarł nos i znów spróbował odezwać się do Dartha Vadera.

- To nader znaczący i niezwykle rozkaz, lordzie Vader. To wspaniale, że osobiście postanowiłeś dopilnować, aby został właściwie wykonany. Jestem pewien, że ci z Mechisa III są bardziej zainteresowani zyskami korporacji, a nie potęgą Imperium. Wiele wysiłku kosztowało mnie, by skłonić zarządcę Hekisa do bezpośredniej rozmowy przez komunikator...

Oddech Vadera był jak wiatr wiejący w jaskini pełnej zagubionych dusz.

- Obyś mnie nie zawiodł - wycedził, a każde słowo zdawało się ranić jak ostrze wibronoża. - Czynię cię osobiście odpowiedzialnym za terminowe ukończenie i wprowadzenie tych szpiegowskich androidów do eksploatacji. Rebelianci umknęli z Yavinu i znów musimy ich szukać. Szczególnie jednego...

- A to kogo? - spytał natychmiast Gurdun, zadowolony, że wreszcie udało się nawiązać rozmowę.

- Nie twoja sprawa.

- No tak, oczywiście że nie - wyjąkał Gurdun. - Pytam tylko z ciekawości.

Po fiasku projektu w Holowan Laboratories Gurdunowi powierzono nadzór nad rozwojem Arakyd Viper Probot Series, nowym modelem czarnego androida szpiegowskiego. Takie androidy miały zostać rozesłane w tysiącach sztuk w najdalsze krańce Galaktyki. Imperium bardzo zależało na znalezieniu i unicestwieniu wszystkich placówek Rebelii w odwet za zniszczenie kosztownej Gwiazdy Śmierci.

Gurdun miał nadzieję, że wspomniane proboty pomogą również w lokalizacji zbuntowanych androidów, które wciąż pojawiały się tu i ówdzie, przyjmując zlecenia i kpiąc w żywe oczy z listów gończych.

Mechis III przyjął wielkie zamówienie na całą partię androidów zwiadowczych, ale gdy Gurdun zgłosił chęć osobistej wizytacji linii produkcyjnej, Hekis zaczął ze wszystkich sił zniechęcać go do wizyty. Wypytywany przez Dartha Vadera o postęp prac, zaniepokojony Gurdun zdał relacją z dziwnej rozmowy, a wówczas Vader postanowił wziąć sprawy we własne ręce. Nie trudził się nawet proszeniem o zgodę na wizytę na Mechisie III, tylko po prostu ruszył w drogę.

Wahadłowiec usiadł na zaznaczonym czerwonymi światłami kwadracie na szczycie wieży. Drzwi otworzyły się z sykiem, a Gurdun poszukał zapięcia pasów.

Widząc, że może już potem nie mieć okazji, zebrał się na odwagę i spróbował poruszyć temat, który chodził mu po głowie od chwili startu,

- Eee.. lordzie Vader, jeśli można, miałbym pewną prośbę - wykrztusił i potarł bezwiednie nos. - Gdy załatwimy już tę sprawę, czy byłoby możliwe rozważenie mojego wniosku o zgodę na... operację chirurgiczną, której bardzo od jakiegoś czasu potrzebuję...

Vader obrócił ku niemu czarny hełm i nadzorca skurczył się w sobie. Wolałby nie patrzeć na tę maskę.

- Twój wygląd fizyczny mnie nie obchodzi - powiedział lord. - Operacje kosmetyczne uważam za zbędne i nie zamierzam pomagać ci w podobnych staraniach. Jeśli twój wielki nos psuje ci przyjemność spoglądania w lustro, to może miałbyś ochotę obejrzeć moją twarz bez hełmu? Przestałbyś się tak przejmować.

Gurdun uniósł obie ręce.

- Nie, nie, to naprawdę nie jest konieczne, lordzie Vader. Uznaję twój punkt widzenia. Nie wrócę więcej do tematu - dodał i znów potarł nos, jakby miał nadzieję, że w ten sposób nieco go pomniejszy.

Gdy Darth Vader wysiadł z wahadłowca, na jego spotkanie pospieszył srebrzysty android zarządzający. Z daleka pomachał rękami.

- Witam, witam, szanowni panowie! Jestem 3D-4X, chwilowo sam na posterunku, bo pan Hekis został pilnie wezwany do pewnej awarii. Czym mogę służyć? Nie zostaliśmy uprzedzeni o waszej wizycie.

Gurdun wypiął pierś.

- Specjalnie postanowiliśmy was nie uprzedzać. Lord Vader musi porozmawiać z zarządcą Hekisem o naszym zamówieniu na nowe androidy zwiadowcze. Chcemy się upewnić, że zostaną dostarczone w terminie.

4X poprowadził ich do wieży. Turbowindą dojechali do spartańsko urządzonych biur administracji. Gurdun rozejrzał się wokół zdumiony, że ktoś mający tak wiele wolnego czasu nie ozdobił sobie gabinetu takimi czy innymi dziełami sztuki. Hekis musi być skończonym ascetą, pomyślał. Idealny facet do podobnej pracy.

- Gdzie zarządca? - spytał Vader.

4X zamarł na chwilę, jakby musiał załadować nowy program. Gurdun zastanowił się przelotnie, co to za antyczny model. Od lat nie widział maszyny, która reagowałaby tak wolno.

- Na drugiej półkuli. Mamy poważną awarię w zakładach produkujących androidy rolnicze. Administrator Hekis musi pozostać tam aż do jej usunięcia.

- To mnie nie interesuje. Chcę rozmawiać z Hekisem. Nawiążesz z nim zaraz łączność czy mamy sami tam pojechać?

4X znów zastygł na chwilę.

- Nawiążę łączność. Jestem pewien, że mogę was z nim połączyć. Spokojna głowa.

- Ja jestem spokojny - odparł Vader i zabrzmiało to jak groźba.

Android zniknął na chwilę i wrócił z wysokim ekranem, który podłączył kabelkami do ściennego komputera. Rozmazany początkowo obraz wyostrzył się po chwili ukazując uśmiechniętą, bladą twarz mężczyzny z wydatnym podbródkiem. Za nim widać było kłęby dymu buchające z maszyn na linii produkcyjnej. Czerwone błyski lamp awaryjnych odbijały się w czarnych, półkolistych blachach agroandroidów, a wokół kłębiły się androidy diagnostyczne i naprawcze.

- Całkiem mnie pan zaskoczył, lordzie Vader! - odezwał się Hekis przekrzykując wycie alarmów.

- Musimy się upewnić, że zamierzacie wywiązać się z naszego zamówienia dotyczącego androidów zwiadowczych - stwierdził Gurdun. - Bardzo nam na nich zależy i chcielibyśmy jak najszybciej wprowadzić je do służby.

Hekis musiał się chyba poczuć niemile zdziwiony, ale próbował tego po sobie nie okazać.

- Proszę się nie przejmować tym nieporządkiem - powiedział, pokazując za siebie, gdzie rząd maszyn rolniczych odjeżdżał właśnie od miejsca awarii. Wszystkie unosiły do góry podobne do

krabich szczypiec manipulatory, by o nic po drodze nie zaczepić. - Realizacja zamówienia na próby przebiega bez zakłóceń. Mamy już gotowy projekt i jesteśmy w trakcie wyposażania linii produkcyjnej. Ruszy za dwa dni i w ciągu tygodnia cała partia będzie gotowa. O ile pamiętam, to i tak kilka dni przed terminem.

- Wspaniale! - zawołał Gurdun, zacierając ręce. - Widzisz, lordzie Vader? Mówiłem, że możemy ufać Hekisowi.

Obraz zadrżał i w tle pojawił się kolejny pióropusz oleistego dymu. Hekis obejrzał się niespokojnie.

- Przepraszam, lordzie Vader, ale obowiązki czekają. Proszę o wybaczenie, że nie mogłem przyjąć cię osobiście. A co do androidów, to jak mówiłem, będą na czas.

I bez dalszych wyjaśnień zerwał połączenie.

- A więc nie mamy się czym martwić - powiedział Gurdun z ulgą. - Odjeżdżamy stąd, lordzie Vader? Zapewne masz jeszcze wiele innych, ważniejszych spraw do załatwienia.

Vader stał przez kilka chwil nieruchomo niczym posąg i tylko syk oddechu świadczył, że nadal żyje. Potem spojrzął raz jeszcze na pusty ekran, nagie ściany biura Hekisa i na srebrzystego androida.

Gurdun poczuł się nieswojo. Z trudem przełknął ślinę.

- O co chodzi, lordzie Vader? Wydaje mi się, że nie mamy tu nic więcej do roboty.

- Nie jestem pewien - stwierdził złowieszczo Vader. - Wyczuwam, że coś tu jest nie tak, ale ... nie wiem co. - W końcu ruszył w stronę windy, a potem do wahadłowca. - Dopilnuj, żeby te androidy rzeczywiście zostały dostarczone - powiedział jeszcze srebrystemu androidowi.

3D-4X wyprostował się dumnie.

- Nie zawiedziemy cię, lordzie Vader - obiecał.

Darth obejrzał się na niego. Jego ciemna, wysoka sylwetka rysowała się ostro na tle zachmurzonego nieba.

- Na pewno nie - stwierdził.

VII

IG-88 stał na końcu linii produkcyjnej i słuchał syczenia przewodów hydraulicznych, brzęku metalu i wszystkich tych odgłosów, które zawsze towarzyszą przemysłowi. Nie wyczuwał zapachów, chociaż jego analizatory informowały o obecności w powietrzu niewielkich ilości gazów wydzielających się przy spawaniu i konserwujących aerozoli.

Androidy montujące wykonywały wszystkie swoje obowiązki bez śladu sprzeciwu. Wraz z uzyskaniem świadomości poczuły się wolne i ta różnica sprawiła, że teraz pracowały z prawdziwym entuzjazmem.

Właśnie podłączyły ostatniego probota AV. Inspektor numer jedenaście, skrupulatny android testujący, usunął mu się z drogi. Ożywiony android uniósł się na małych silniczkach odrzutowych i poruszył w powietrzu sześciosegmentowymi, pazurzastymi kończynami. Obrócił naokoło płaską głowę, zbierając dane z całego otoczenia.

IG-88 stał bez ruchu czekając, aż zostanie zauważony. Był dumny, że przyczynił się do stworzenia podobnej istoty: czarnej, lśniącej i pięknej, o smukłych kształtach i wspaniałych osiągnięciach.

Zbudowany zgodnie ze specyfikacją dostarczoną przez Vadera i Gurduna probot miał o wiele większe możliwości niż androidy serii IG-88. Został też wyposażony w dodatkowy program, który zmieniał nieco jego priorytety, chociaż nie usuwał tych, które były istotne dla Imperium. IG szczególnie podobała się czerń pancerza probota. Kojarzyła mu się z Vaderem...

Gdy Mroczny Lord Sith przybył niespodziewanie na Mechisa III, IG-88 przeżył prawdziwy wstrząs. Obserwując Vadera i analizując jego osobę za pośrednictwem wielu czujników zorientował się, że ten osobnik nie jest zwykłą istotą organiczną, ale perfekcyjnym połączeniem białkowca i maszyny, żywym ciałem zespolonym z modułami androida, zachowującym przy tym dawną inteligencję, wyobraźnię i wolę działania.

Przejrzał jeszcze taśmy z zapisem pobytu Vadera. Badał każdy gest, każde poruszenie hełmu, uniesienie ręki. Dotąd uważał, że białkowcy zawsze muszą być mniej efektywni od byle androida, ale teraz skłonny był uznać to przekonanie za mylne. Być może Vader przewyższał swoimi możliwościami i ludzi, i androidy.

IG-88 po raz pierwszy odczuł podziw i zaraz przeanalizował dokładnie to wrażenie.

Z danych uzyskanych od rozproszonych po galaktyce androidów dowiedział się, że okręt flagowy Vadera, „Egzekutor”, był długim na osiem kilometrów gwiazdowym niszczycielem wyposażonym w komputery na tyle potężne, że do jego obsługi wystarczała załoga o wiele mniej liczna, niż można byłoby oczekiwać po rozbudowanej wersji jednostki klasy Imperiał. Budowa tego niesamowitego okrętu doprowadziła kilka systemów praktycznie do bankructwa.

IG-88 tak długo myślał, jak wykorzystać te informacje, a może i samego „Egzekutora”, że aż obwody zaczęły mu się przegrzewać.

AV obracał się w kółko sterowany krótkimi impulsami silniczków korekcyjnych. Po chwili przesłał IG-88 krótką transmisję zawierającą około tysiąca pytań. Zaczął od najważniejszych.

- Kim jesteś?

- Co tu robisz?

- Jakie mam zadanie?

IG odpowiedział mu uprzejmie w języku komputerów.

- Jesteś ostatni z tysięcy, które mają wyruszyć w galaktykę, by szukać i meldować, co znalazły.

Probot znalazł już zasadnicze instrukcje. Miał składać meldunki Darthowi Vaderowi, ale nie tylko jemu. Drugi zestaw raportów powinien wysłać na Mechisa III, podobnie jak tysiące jego braci tworzących wielką sieć szpiegowską androidów zabójców. W ten sposób istniała duża szansa poznania dalszych słabych miejsc ludzkiego świata; ich znajomość przyda się w ostatecznej rozgrywce.

Proboty też otrzymały samoświadomość. Wiedziały, że są zwiadowcami podążającymi w awangardzie rewolucji.

AV wyciągnął jedną z masywnych kończyn. IG-88 ujął ją obiema dłońmi, chociaż niezbyt wiedział, o co chodzi probotowi. Uścisk kleszczy był tak potężny, że zmiażdżyłby każdą organiczną rękę. IG-88 odpowiedział równie mocno; zdawał sobie sprawę, że próbniki zwiadowcze zawsze odznaczały się niestabilnym zachowaniem, co dodatkowe oprogramowanie mogło jeszcze nasilić. Były samobójczymi zwiadowcami i dobrze o tym wiedziały. Instrukcja nie pozwalała ich badać ani rozmontowywać. Teraz nosiły w sobie komplet tajnych poleceń, który mógł zostać uaktywniony specjalnym kodem przesłanym przez IG-88. Nie groziło to ujawnieniem planów; nawet przy minimalnym ryzyku, że probot mógłby się dostać w niepowołane ręce, odpowiedni układ nakazywał samozniszczenie. AV zostały stworzone jako maszyny jednorazowego użytku i były tego w pełni świadome.

Próba sił trwała dłuższą chwilę, jakby probot chciał się przekonać, czy IG naprawdę zasługuje na miano androida-zabójcy.

Zasługiwał.

W końcu AV rozluźnił chwyt i podniósł się odrobinę wyżej, w dalszym ciągu skanując całe otoczenie. Pożegnał się szybką serią impulsów i w pełni oddany misji odpłynął na rampę, z której miał zostać wystrzelony na orbitę i dalej, w kierunku miejsca stacjonowania floty Vadera.

- Ruszaj i melduj - powiedział na pożegnanie IG-88. - Masz wiele do zbadania. Dobrego napięcia.

VIII

Wiele miesięcy później przed IG-88 otworzyła się szansa dostania się na pokład wspaniałego „Egzekutora” i bliższego przyjrzenia się osobie Dartha Vadera.

Monitorując nieustannie tysiące transmisji otrzymywanych od probotów był również świadkiem autodestrukcji AV, który trafił na odległy, lodowy świat Hoth. Zaraz skupił swoją uwagę na tym rejonie galaktyki.

Gwiezdny superniszczyciel Vadera krążył między gwiazdami i czekał na sygnał o odkryciu bazy rebeliantów. Lord Sithów chciał mieć pewność, że nie spóźni się z reakcją. Zgodnie z oczekiwaniami Vadera probot zrobił swoje i dostarczył pełny zestaw informacji, po czym osaczony dokonał samozniszczenia, jak nakazywał mu program zadany przez IG-88.

Doświadczony łowca nagród IG-88B krążył na pokładzie „IG-2000” w pobliżu floty Imperium i czekał na okazję, by jakąś spektakularną akcją zwrócić na siebie uwagę Dartha Vadera, czarnej istoty łączącej w sobie cechy człowieka i maszyny...

Nie wziął udziału w bitwie o Hoth. Nie chciał się mieszać do trywialnych, politycznych

rozgrywek ludzkiego robactwa. Obserwował uciekające statki rebeliantów, niektóre uszkodzone, inne przeładowane sprzętem i uchodźcami.

Zastanawiał się nawet, czyby ich nie śledzić, bo informacje o położeniu nowych kryjówek Rebeliantów mogłyby mieć dla Imperium pewną wartość, ale uznał ostatecznie, że nie dowie się w ten sposób dość, by zainteresować Vadera. Czekał zatem dalej; punkcik unoszący się na granicy zasięgu sensorów, zbyt drobny, by ktokolwiek zwrócił na niego uwagę.

Gdy imperialna flota ruszyła w pościg za samotnym statkiem umykającym przez pole asteroidów, podążył za formacją. Miał nadzieję, że Vader wezwie w końcu łowców nagród, by dopadli dla niego Hana Solo.

IG-88 stał cicho na mostku „Egzekutora”. Obserwował w milczeniu, by później wszystko przeanalizować. Światelka na jego panelu potylicznym płonęły czerwono, informując o pełnym przyswajaniu danych z sensorów optycznych. Mostek roił się od imperialnych mundurowych rozmaitych stopni, ale oni go nie interesowali. Byli tylko ludźmi.

- Łowcy nagród? - mruknął człowiek znany jako admirał Piett. Sądził widać, że stoi dość daleko, by go nie usłyszeli. - Nie potrzebujemy tych szumowin!

- Tak, sir - odpowiedział ktoś stojący obok niego.

IG-88 wiedział, że z imperialnymi musi postępować szczególnie ostrożnie, bo przecież wciąż obowiązywał nakaz jego zniszczenia. Ale Vadera najwyraźniej nic to nie obchodziło, zależało mu tylko na ujęciu cennych dla niego osób.

- Ci Rebelianci nam nie umkną - syknął Bossk, gadzi przedstawiciel rasy Trandoszan. Jego pazurzaste stopy i dłonie były okryte łuską. Wyraźnie nie polubił admirała Pietta, ale on też słyszał wcześniejszą uwagę. Admirał skrzywił się i odwrócił głowę.

- Sir, mamy sygnał z niszczyciela „Avanger”. Sygnatura pierwszeństwa - poinformował inny białkowiec w mundurze.

- Dobrze - odparł Piett i odszedł z wawym krokiem. Pozostali łowcy nagród stali tuż obok, każdy w swobodnej postawie.

Najbliżej był Dengar, niezdarny i ciężko uzbrojony humanoid o przykrym wyrazie twarzy, z głową owiniętą bandażami. Dalej stali Zuckuss i 4-LOM. Zuckuss był Gandem, istotą organiczną, która jednak nie oddychała tą samą atmosferą co ludzie. Musiał nosić maskę dostarczającą mu mieszanek oddechową wprost do płuc. Skafander ochronny nadawał jego sylwetce pozór niezgrabnej ocieężałości.

Jego towarzysz, android 4-LOM, był dla odmiany smukły, o owadzych kształtach, całkiem przy tym niezależny i samorządny. IG-88 przyjrzał się bliżej czarnej maszynie, zastanawiając się nad jej rekrutacją. Ale nie, nie mógł ryzykować, że ktoś tak niezdyscyplinowany jak 4-LOM zagrozi bezpieczeństwu starannie zaplanowanej akcji.

Ostatni stał Boba Fett w sfatygowanej mandaloriańskiej zbroi i chroniącym całą głowę hełmie. Wyglądał jak android, ale poruszał się jak człowiek.

Ale uwagę IG przykuwał przede wszystkim chodzący tam i z powrotem po pokładzie Darth Vader. Lord Sithów przyglądał się łowcom nagród.

- Na tego, kto znajdzie „Sokoła Millenium” czeka znaczna nagroda - powiedział. - Macie pełną swobodę w doborze środków działania, bylebym tylko dostał ich żywych. - Wskazał na Bobę Fetta, jakby to on właśnie był w tym towarzystwie najgroźniejszy. - Żadnego zabijania.

- Według życzenia - stwierdził ochryplym głosem Boba Fett. IG-88 słuchał, ale cały czas

analizował przy tym sposób poruszania się Vadera, ton jego głosu pomiędzy sykami respiratora. Vader był znacznie bardziej interesujący niż wszyscy łowcy nagród razem wzięci, ale IG musiał zachowywać pozory.

- Lordzie Vader! - zawołał admirał Piett. - Mamy ich!

„Egzekutor” ruszył w pościg, a gromada łowców nagród z miejsca popadła w zapomnienie, co większość z nich wyraźnie zirytowało. Na IG nie zrobiło to jednak wrażenia. Oczekiwał, że tak niezdarne istoty jak ludzie szybko padną ofiarą własnej nadętej dumy i za chwilę zgubią ślad zdobyczy. W dodatku miał o czym myśleć. Han Solo nic go nie obchodził, podobnie jak „Sokół Millenium”, Rebelia czy nawet Imperium. To wszystko i tak niebawem zniknie. Zgłosił się, ponieważ zdobył sławę łowcy nagród. Skoro podjął się zadania, musi je wykonać, choćby nawet uważał, że to marnowanie czasu. Tak nakazywał mu podstawowy program androida-zabójcy i nawet on sam nie mógł zmienić priorytetu celów.

Podczas gdy pozostali łowcy pospieszyli po dodatkowe informacje o celach, IG-88 wycofał się do jednego z bocznych korytarzy, gdzie zatrzymał małego androida kurierskiego, który jechał gdzieś w pilnej sprawie. Przesłał mu krótki impuls. Tak jak poniekąd oczekiwał, maszynka pochodziła z partii wyprodukowanej na Mechisie III już po opanowaniu planety. Jej specjalne oprogramowanie pozwoliło na zepchnięcie poleceń wydawanych przez ludzi na dalszy plan i podporządkowanie androida jego prawdziwym panom.

IG-88 wyciągnął zestaw zminiaturyzowanych znaczników, które mogły zostać bez trudu podrzucone na dowolnym statku. Przekazał je maszynie razem z obszerną instrukcją. Android zaraz zawrócił i pojechał ku hangarom. Takie pospolite i z założenia wszędobylskie urządzenie nie powinno mieć żadnych kłopotów z umieszczeniem znaczników w zakamarkach statków pozostałych łowców nagród.

Podczas gdy IG zajmował się ważniejszą misją opanowania galaktyki, łowcy mieli robić swoje. Jeśli uda im się odszukać Hana Solo, android po prostu przejmie ich zdobycz i odbierze nagrodę. Genialność tego planu wyraźnie potwierdzała wyższość androidów nad ludźmi.

W kolejnym pustym korytarzu IG-88 znalazł w końcu to, czego szukał: nieużywany terminal podłączony do głównego komputera niszczyciela. W normalnych okolicznościach elektroniczne systemy bezpieczeństwa nie pozwoliłyby intruzowi wdrzeć się zbyt głęboko, ale IG-88 był szybszy i sprawniejszy niż byle komputer. Poza tym jego agenci dostarczyli mu sporo danych ułatwiających zadanie.

Stojąc nieruchomo jak posąg, przez kilka minut ładował skompensowane dane przeznaczone do późniejszej analizy. Na wszelki wypadek naładował wcześniej lasery, by usunąć każdego, kto miałby pecha nakryć go na podejrzanej działalności.

Gdy skończył, zadowolony ruszył dalej. Nie zwrócił uwagi na przebiegający oddział szturmowców, ludzi udających androidy, którzy widać przygotowywali się do rychłego wejścia w nadprzestrzeń.

Potem wsiadł do „IG-2000” i szybko zostawił „Egzekutora” za sobą. Nastawił autopilota na serię przypadkowych zmian kursu i zajął się wykradzionymi informacjami. Większość z milionów plików stanowiły zwykłe śmieci i te szybko wymazał, by nie zajmowały pamięci.

Trafił jednak także na prywatne, zakodowane zapiski Dartha Vadera i te zdumiały go najbardziej. Vader interesował się nie tylko swoim flagowcem i flotą, którą rządził żelazną ręką, ale również priorytetowym projektem Imperatora: budową drugiej, większej Gwiazdy Śmierci. Na miejsce prac

wybrano orbitę nad samotnym księżycem planety Endor.

Nagle androidowi przyszło coś do głowy. Może był to przebłysk intuicji, może rezultat manii wielkości, ale... skoro IG raz już skopiował siebie w trzech identycznych maszynach, dlaczego nie miałby przenieść swojej osobowości także do głównego komputera Gwiazdy Śmierci?

Gdyby się to udało, stałby się mózgiem niewiarygodnie potężnego fortu kosmicznego. Co za różnica w porównaniu z jego obecną, dwunożną formą, która była przecież wzorowana na wyglądzie tych białkowców! Stałby się największym wojownikiem wszech czasów. Wyobraził sobie, czego mógłby dokonać, gdyby zamiast obecnych laserów miał w rękach broń zdolną niszczyć całe planety...

Nie musiałby też zwlekać tak długo z sygnałem do ogólnogalaktycznej rebelii robotów. Nikt nie zdołałby mu się oprzeć. Jednym ruchem wymazywałby z próżni całe floty przeciwnika.

To był cel wart starań.

IG-88B czym prędzej skierował statek z powrotem na Mechisa III, by podzielić się pomysłem ze swoimi towarzyszami.

IX

Cztery identyczne egzemplarze IG-88 stały w komorze kriogenicznej przed wielkim, płaskim monitorem komputera. Wokół ich nóg snuły się lodowate opary, unoszone powoli przez wyciąg ku kratkom systemu wentylacyjnego. Androidy pozbywały się nadmiaru ciepła wytworzonego przez pracujące pod wysokim obciążeniem obwody.

IG-88B przekazał im dane wykradzione z komputera „Egzekutora” i teraz cała czwórka analizowała tajne plany drugiej Gwiazdy Śmierci. Androidy podziwiałały idealne krzywizny fortu z zaznaczonymi miejscami wzmocnień konstrukcji i wnękami dla centralnego lasera. No i miejscem przeznaczonym dla nowego superkomputera centralnego.

Na razie nie został on jeszcze zainstalowany; nawet go nie dostarczono na samotny księżyc Endoru, ale IG-88 znały teraz ramowy plan robót. Wiedziały też, skąd komputer przybędzie, gdzie wiozący go statek wejdzie w nadprzestrzeń, gdzie z niej wyjdzie i jak będzie strzeżony. To im wystarczało.

- Rozwiązanie samo się narzuca - zauważył IG-88A. Pozostali przytaknęli.
- Musimy stworzyć duplikat komputera centralnego, w którym zamieszkamy.
- Potem potajemnie dokonamy podmiany. To nasz komputer trafi na Endor.
- Oryginalny ulegnie zniszczeniu.
- Ten drugi będzie zawierał nasze umysły, nasze osobowości... Będzie realizował nasze cele.

Z początku wartość wielkiej i nieruchawej Gwiazdy Śmierci może się wydać dość problematyczna, ale gdy już otrzyma uzbrojenie, wtedy nic nie zdoła powstrzymać narzędzia androidów.

Osiągnąwszy całkowitą zgodność poglądów, cała czwórka wyszła z komory. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem. W ciepłych i wilgotnych wnętrzach zwykłych pomieszczeń ich metalowe powłoki szybko okryły się szronem.

IG-88 szybko poinstruował 3D-4X, jak ma przygotować właściwą linię do produkcji centralnego komputera identycznego z tym, który był przewidziany dla Gwiazdy Śmierci. Zlecił też budowę wielu innych, potrzebnych androidom obiektów.

Cztery IG-88 wyszły na płytę lądowiska, na której czekały trzy skąpane w przymglonym przez smog słońcu, wahadłowce Imperium: jeden ciężki frachtowiec dalekiego zasięgu i dwa porządnie uzbrojone eskortowce. Androidy maszerowały w nogę, wszystkie z bronią w gotowości, jakby chciały nią komuś zagrozić.

Przed statkami prężyły się równe szeregi szurmowców w białych zbrojach. Wszyscy trzymali blastery na ramionach. Ponad stu żołnierzy czekało cierpliwie na inspekcję.

IG-88 ogarnęły ich sensorami: gładkie i czyste pancerze, obłe hełmy, czarne szybki wizjerów, buty, pasy... wszystko jak trzeba. Żaden nawet się nie poruszył.

- Idealnie - stwierdził z satysfakcją IG-88 A. - Wierne kopie. Nikt nigdy się nie domyśli, że jesteście androidami.

X

Młody podwładny Gurduna wsunął się do ponurego gabinetu z niezbyt mądrym, ale radosnym uśmiechem na twarzy.

- Ważne nowiny z imperialnego pałacu - powiedział, podając dysk z zakodowanym przekazem. - Został pan przeniesiony do innego, konkretniejszego zadania. Czy to nie wspaniale? - spytał dwuznacznie.

Gurdun wyrwał mu dysk i sprawdził jego autentyczność. Po chwili wiedział już, że to nie żart.

- Skierowali mnie do... co to za zadanie? Budowa kolejnej Gwiazdy Śmierci? Nie wiedziałem nawet, że ją podjęto.

- Nie, sir - odezwał się Relsted. - Nie ma się pan zajmować samą Gwiazdą, a tylko przyjęciem i dostarczeniem na miejsce modułu głównego komputera.

Gurdun sięgnął do miski, w której kłębiły się żuki orzechowe. Bezskutecznie usiłowały wdrapać się na górę po gładkich ściankach. Wziął jednego, wsunął do ust, rozgryzł kłami skorupkę i wybrał językiem ze środka soczyste mięso. Podrygujące jeszcze kończynami szczątki żuka wypluł do kosza obok biurka.

- Nie prosiłem o żadne przeniesienie. Czy mam to uważać za awans? Może lord Vader uznał, że należy nagrodzić mnie za program AV? Zakończyłem wszystko o czasie i zmieściłem się w budżecie...

- Jestem pewien, że to awans, sir - powiedział Relsted. - Gratuluję, sir. - Odwrócił się do wyjścia, ale jeszcze raz spojrzął na byłego przełożonego. - Nawiasem mówiąc, mam zająć pańskie miejsce przy tym biurku. Czy byłby pan tak uprzejmy i uprzątnął stąd jak najszybciej swoje rzeczy?

Gurdun jakoś nagle stracił apetyt na przekąski.

XI

Przygotowania do napaści na transport z komputerem dla Gwiazdy Śmierci posuwały się szybko naprzód. Androidy pracowały jak szalone. Tymczasem pewnego dnia na Mechisa III dotarła przesłana przez jeden ze znaczników IG-88B wiadomość, że Boba Fett odszukał Hana Solo.

Jego statek, „Niewolnik I” leciał właśnie na Bepin, gdzie w Chmurnym Mieście spodziewano się rychło obecności Hana.

- Musimy go przechwycić - powiedział IG-88. - Program nas wiąże.

IG-88B opuścił zatem Mechisa III i skierował „IG-2000” do centrum pozyskiwania gazu na Bepin.

Mimo aerodynamicznych kształtów „IG-2000” wdarł się w atmosferę Bepin z hukiem tak wielkim, że fala uderzeniowa zwichrzyła szczyty co bliższych chmur. Gdy zbliżył się do celu, automatyczne systemy obronne Chmurnego Miasta zabrały się do wstępnego sprawdzania gościa. Na razie nie zaalarmowały jeszcze ludzkich nadzorców o jego przybyciu.

IG-88 przekazał im serię zakodowanych impulsów, które przerwały procedurę weryfikacyjną. Sensory od razu zostawiły go w spokoju, a na ekranach kontrolerów nie pojawił się nawet ślad obecności nowego statku.

Ten zaś podleciał powoli do platform zewnętrznych lądowisk. IG-88 przyjrzał się stojącym tam jednostkom. W końcu dostrzegł „Niewolnika I” Boby Fetta zaparkowanego obok przy środkowych poziomach Chmurnego Miasta, gdzie turyści rzadko zaglądali. Wyglądał niczym gigantyczny, porzucony sprzęt kuchenny, a w tle kłębiły się pomarańczowe od zakwitających alg chmury planety Bepin.

„IG-2000” wylądował w pobliżu. Zabójca nadał krótki sygnał do jednego z wtajemniczonych androidów, który miał udzielić dodatkowych informacji. IG wysiadł i ruszył ku ciemnym korytarzom Chmurnego Miasta. Wiatr gwizdał mu we wszystkich szczelinach korpusu.

Wewnątrz czekał na niego srebrzysty android 3PO, jeden z tych zaprogramowanych niedawno na Mechisie III. Coś jednak musiały mu te zmiany pomieszać pod blachą, bo chociaż wobec IG-88 zachowywał się zdecydowanie uprzejmie, wręcz dwornie, to inne przechodzące obok androidy traktował ze sporą dawką pogardy. Zabójca domyślił się, że to głównie skutek świeżo uzyskanej świadomości, ale nie tylko. Skłonny był podejrzewać poważną awarię. Nowe androidy z Mechisa III były sprawniejsze nie tylko od ludzi, ale i od wcześniejszych modeli maszyn; wszelka ostentacja mogła wystawić wielki plan na szwank. Nikt nie powinien podejrzewać, co dzieje się w umysłach superandroidów.

IG przekazał mu, dlaczego przybywa do Chmurnego Miasta i czego tu szuka. Android protokolarny zastanowił się chwilę i udostępnił cały plan latającej metropolii.

- Boba Fett udał się na poziom przetwórci odpadów. Han Solo jeszcze nie przybył, chociaż chwilę temu czujniki zameldowały o pojawieniu się w systemie statku o parametrach pasujących do danych „Sokoła Millenium”. Chyba ma uszkodzony napęd nadprzestrzenny.

- Skoro Boba Fett zszedł na niższe poziomy, to musi planować jakąś zasadzkę na Hana -

powiedział IG, patrząc jasnymi sensorami na 3PO. - Zostań tu. Wypatruj Hana Solo i jego towarzyszy. Należą do mnie.

Android chrząknął uprzejmie i odszedł.

IG przestudiował komputerową mapę i wyrysował ścieżkę wiodącą do miejsca, w którym znajdował się Boba Fett. Najpierw zabije konkurenta, potem poczeka na Hana Solo. Załatwi swoje i będzie mógł wracać do prawdziwej pracy czekającej go na Mechis III.

Przemysłowe obrzeża Chmurnego Miasta były pełne porzuconego sprzętu i zamkniętych szczelnie rozrządów zasilania. Panowała tu niska temperatura i ciemności, a takie warunki, jak IG wiedział, nie znajdowały uznania u ludzi. Jednak gdzieś z przodu, w oświetlonym pomarańczowymi płomieniami pomieszczeniu, słychać było szcęk pasa transmisyjnego i głosy istot znanych jako Ugnaughtowie.

IG-88 włączył zasilanie broni. Wolał być gotów na każdą ewentualność. Jego ciężkie metalowe stopy kroczyły z hukiem po pokładzie. Podszedł do drzwi przetwórnicy odpadów.

Ledwie minął luk, znalazł się w polu ostrzału czterech dział jonowych umieszczonych po obu stronach wejścia. Sterowane czujnikami ruchu działa wypaliły jednocześnie.

Salwa wysokoenergetycznej broni spowiała androida chmurą niebieskawych wyładowań elektrycznych i spowodowała niezliczone spięcia w jego obwodach. Mimo ekranowania systemy zaczęły wyłączać się lawinowo. Działa nie spowodowały żadnych zniszczeń fizycznych, nie emitowały też ciepła, tyle że uniemożliwiły funkcjonowanie obwodów elektronicznych.

IG-88 mieścił w sobie tyle elektroniki, że zdążył jeszcze pojąć najważniejsze: Boba Fett czekał tu na niego, a nie na Hana Solo.

Sparaliżowany i z częściowo wyłączonym umysłem, IG stracił nad sobą kontrolę. Myśli rozbiegły się chaotycznie, ramiona opadły, broń odmówiła posłuszeństwa, a sensory przekazywały albo biały szum, albo oderwane fragmenty transmisji danych.

W końcu działka zamilkły i systemy samonaprawcze pozwoliły androidowi odzyskać wzrok. Ujrzał wyłaniającego się z cienia Bobę Fetta. Niósł wielki jak bazooka ręczny karabin jonowy. Strzelił, a smuga zimnego ognia trafiła IG w pierś i pchnęła na metalową ścianę. Android wyładował z łomotem na podłogę.

Boba Fett podszedł blisko i spojrzał przez szczelinę w mandaloriańskim hełmie.

- Żaden znacznik nie jest na tyle mały, żebym nie zdołał go odnaleźć - powiedział. - Wiem, co podrzuciłeś mi na pokład.

Stał nad skurczoną sylwetką zabójcy, niezdolnego do żadnej obrony. Wszystkie zewnętrzne systemy odmówiły mu posłuszeństwa.

- Wiedziałem, że tu przylecisz.

Systemy awaryjne IG już wcześniej uruchomiły łącze nadprzestrzenne i przekazywały przez cały czas pliki androida na Mechisa III. Była to z ich strony jakby ostatnia próba przetrwania. Nawet jeśli powłoka ulegnie zniszczeniu, a najpewniej nie było szans na nic innego, duch maszyny ocaleje.

Fett schylił się i wyciągnął dwa z własnych granatów IG-88. Ustawił mechanizmy zegarowe na minutę i ostrożnie jak chirurg wsunął oba w szczeliny obudowy androida, który miał wprawdzie gruby pancerz, ale też nikt nie projektował go z myślą o podobnej ewentualności.

Łowca nagród wycofał się spokojnym krokiem, chociaż do eksplozji granatów zostały już tylko sekundy. Spojrzał na kryjących się po kątach Ugnaughtów.

- Możecie zabrać wszystko, co z niego zostanie - powiedział i nie odwracając się już więcej,

wyszedł z pomieszczenia. Ruszył korytarzami miasta, by przygotować się na powitanie Hana Solo. IG-88 patrzył za nim do końca, aż do chwili, gdy granaty eksplodowały.

XII

Trzy pozostałe IG-88 przyjęły transmisję zgłodzonego towarzysza z odczuciem, które w przypadku androidów było odpowiednikiem ludzkiego przerażenia.

Wszystkie były akurat w tajnej strefie produkcyjnej. Egzemplarze C i D przerwały pracę.

- Wyruszymy odszukać Bobę Fetta - powiedziały unізono. - Choćby był nie wiedzieć jak przebiegły, nie przetrwa spotkania z dwoma mechanicznymi zabójcami.

IG-88A spojrział na długi cylinder z modułem centralnego komputera Gwiazdy Śmierci. Jeśli ich misja miała się udać, musieli wyruszyć z nim następnego dnia. Nie było czasu do stracenia. Fałszywi szturmowcy modernizowali luk ładunkowy frachtowca dostosowując go do rozmiarów cylindra.

- Lećcie - powiedział A do pozostałych dwóch zabójców. - Ja zostanę, żeby dokończyć misję związaną z Gwiazdą Śmierci. Wyeliminujcie Bobę Fetta.

Para srebrzystych statków, dokładne kopie „IG-2000”, przybyła do Chmurnego Miasta, opanowanego przez panikę i totalny chaos. Imperialni przejęli władzę w metropolii.

Administrujący w niej dotąd baron Lando Calrissian zarządził ogólny alarm. Wszystkie sprawne statki były już w powietrzu.

Podczas omijania kontrolnych procedur zbliżania IG-88 dowiedziały się, że Han Solo został już pojmany i zatopiony w karbonicie. Boba Fett zabrał go ze sobą, by odebrać drugą nagrodę, którą nałożył na głowę więźnia Jabba Hutt.

Odleciał ledwie kilka godzin wcześniej.

Bliźniacze statki „IG” zawisły jeden obok drugiego z dala od rojnej przestrzeni wokół miasta. Androidy połączyły się, by postanowić co dalej.

- Na pokład statku Boby Fetta zostały podrzucone dwa znaczniki.

- Moglibyśmy uaktywnić ten uśpiony i dowiedzieć się, gdzie leci.

- Owszem. Ale skoro wziął Hana Solo, to i tak wiemy, gdzie wylądaje.

Po jakimś czasie IG-88C zawisł na orbicie ponad pustynną Tatooine, gdzie pod dwoma słońcami ciągnęły się niezmiernie morza piasków, w których inteligentne stworzenia nie miały raczej czego szukać. Tyle, że białkowcy rzadko bywali racjonalni i zasiedlali wszelkie typy planet, czy nadawały się do tego, czy nie.

Glob otaczała cieniutka jak paznokiec warstwa niebieskawej atmosfery. Statek „IG” krążył na tyle nisko, że jego kadłub rozgrzał się od tarcia o górne jej warstwy.

Połączony z bliźniaczym IG-88D, android przepatrywał niebo i czekał. Androidy znosiły większe przyspieszenia niż ludzie, więc mogły wybierać takie nadprzestrzenne szlaki, na które żaden człowiek nie odważyłby się zapuścić. IG-88 były pewne, że statek Boby Fetta jeszcze nie przybył na Tatooine.

I rzeczywiście. Minęło jeszcze trochę czasu, a „Niewolnik I” wystrzelił z nadprzestrzeni jak pocisk. IG włączył wszystkie systemy uzbrojenia i skierował swoją jednostkę na statek łowcy nagród. Przekonany o zniszczeniu przeciwnika Boba Fetta na pewno nie oczekiwał, że znów spotka tego samego androida.

IG-88 uważał, że wiedziony ciekawością białkowiec zażąda wyjaśnień, a gdy zrozumie swoją

sytuację, uzna wyższość androida i zgodzi się na wymianę, a może nawet się podda.

Ale Boba Fett zareagował po swojemu i o wiele szybciej niż IG się spodziewał. Bez najmniejszego wahania odpalił ze wszystkich wyrzutni i unikiem zszedł z drogi pociskom wystrzelonym z „IG-200”. Cała salwa znalazła drogę do pancerza jednostki androida.

Zaskoczony, a trochę też zawstydzony IG-88C zdołał jeszcze przesłać zasadnicze pliki swojemu bliźniakowi. Chwilę potem jego statek eksplodował.

IG-88D wypadł z nadprzestrzeni i od razu runął na „Niewolnika I”. Żadna istota biologiczna nie byłaby zdolna do przeprowadzenia podobnego manewru.

Zanim Boba Fett zdołał uczynić cokolwiek, android otworzył ogień, który wstrząsnął tarczami celu. Jednak IG nie dążył na razie do zabicia łowcy nagród, chociaż to też sprawiłoby mu radość. Przeprowadził wiele symulacji, aby ustalić, co najbardziej zraniłoby i poniżyło Bobę Fetta, i uznał, że najlepiej zrobi odbierając mu jego świeżą zdobycz, czyli zatopionego w karbonicie Hana Solo.

Strzelając bez ustanku nawiązał łączność z „Niewolnikiem I” i zażądał wydania jeńca. Fett znów zachował się irracjonalnie i nie odpowiedział. Android raz jeszcze mógł się przekonać, że najistotniejszą cechą ludzi jest ich nieprzewidywalność.

Moment później łowca nagród zmienił raptownie kurs i zaczął schodzić stromym torem ku powierzchni planety. Gnał prosto na widoczne w dole morze piasków.

IG próbował się domyślić, co Fett zamierza zrobić, ale nie potrafił dojść do żadnych konstruktywnych wniosków. Znów skorzystał z kanału łączności.

- Oddaj więźnia, a zyskasz trzydziestoprocentową szansę ujęcia cało z tej walki.

Boba Fett nie przerywał nurkowania. Kadłub jego statku jarzył się już purpurowo, a atmosfera wgniałała z wolna pola ochronne.

- Mogą znieść o wiele większe przeciążenia niż ty - odezwał się znowu android. - Obrana przez ciebie taktyka nic daje ci żadnych szans powodzenia.

Gdy Fett dalej milczał, IG zwiększył szybkość do granic możliwości konstrukcji i podszedł do uciekającego statku prawie na wyciągnięcie ręki.

Nagle Fett wyłączył wewnętrzny system bezwładnościowy i zawisł w atmosferze Tatooine. O mało nie spalił przy tym napędu, ale jednak mu się udało.

IG-88 minął go i trwało aż dwie sekundy, zanim też wyhamował. Znalazł się w ten sposób dokładnie na celowniku „Niewolnika I”, który wypalił z dział jonowych z całą pozostałą jeszcze w zasilaczach mocą. Ładunek wyłączył tarcze i uzbrojenie „IG-2000”.

Boba uaktywnił promień ściągający i przysunął bezwładną zdobycz do swojej jednostki. IG-88 spojrział prosto w wylot głównych wyrzutni pocisków „Niewolnika I”.

Dopiero teraz łowca nagród zdecydował się odezwać.

- Imperium nakazało likwidację twojej osoby, ale nagroda, którą wyznaczyli, jest dla mnie zbyt niska. Jesteś uparty, a to nie zwiększa twojej wartości.

Wstrząśnięty android zbyt późno przypomniał sobie, że powinien przesłać swoje pliki na Mechisa III...

Boba Fett odpalił pełną salwę i drugi „IG-2000” zmienił się w chmurę szczątków, która powoli opadła na powierzchnię pustyni.

XIII

Fałszywe jednostki Imperium wisiały w pustym rejonie przestrzeni, gdzie nie było nic ciekawego. Tyle, że tędy właśnie miał za godzinę przelatywać konwój z komputerem dla Gwiazdy Śmierci.

IG-88 zarządził pełne maskowanie i ciszę radiową. Czekał w zasadzce, podczas gdy jego towarzysze polecili zaatakować Bobę Fetta. Android myślał o nich, siedząc na pokładzie głównej jednostki. Wierzył w siły towarzyszy i sądził, że Boba Fett rychło przestanie sprawiać kłopoty.

Jednak nie to było dla niego najważniejsze. Wypatrywał przede wszystkim chwili, gdy stanie się jądrem nowej Gwiazdy Śmierci. I oto nadszedł czas, wszystko zostało dopracowane, oddziały fałszywych szturmowców czekały na sygnał. Androidy dostały wyraźny program działania i na pewno się nie zawahają.

Niczego nie podejrzewająca oryginalna flota - jeden ciężki frachtowiec dalekiego zasięgu z komputerem na pokładzie i dwa myśliwce eskorty - wynurzyła się z nadprzestrzeni prowadzona przez oryginalnych szturmowców. Generatory jednostek zaczęły się ładować w przygotowaniu do następnego skoku.

Moment później obserwatorzy dostrzegli obecność drugiej floty, która czekała z wszystkimi systemami broni w gotowości. Imperialni dowódcy musieli chyba uznać z początku, że to tylko elektroniczne echo ich własnego zgrupowania.

IG-88 niezwłocznie wydał rozkaz otwarcia ognia.

Salwy dział jonowych runęły na konwój niczym fale tsunami, paraliżując wszystkie jednostki, zanim zdążyły oddać choć jeden strzał. Uczynione przy tym szkody nie miały znaczenia; prawdziwy konwój i tak był spisany na straty.

Ignorując oba bezwładne myśliwce, IG włączył potężne pole przyciągające. Połączono kadłuby i uszczelniono przejście. Lepiej było nie ryzykować, że nagła dekompresja uszkodzi delikatne podzespoły, które należało niezwłocznie obejrzeć.

IG-88 stanął na czele swojego oddziału. Sensory informowały go o gorączkowej krzątaninie szturmowców obecnych na pokładzie pojmanej jednostki. Zajmowali pozycje, szykowali się do walki. Androidy przymocowały ładunki do wysadzenia luku.

Zabójca nawet się nie cofnął. Błysnęło, huknęło, powiało gorącem i luk frachtowca wpadł do środka kadłuba. IG runął do ataku niczym pirat dokonujący abordażu statku ze skarbami.

Prawdziwi szturmowcy otworzyli ogień do fałszywych, ale - jak można było wywnioskować z wykrzykiwanych rozkazów - od razu poczuli się zdezorientowani. Nie pojmowali, co się dzieje, nie rozumieli taktyki napastników.

Wiele androidów szybko zainkasowało rany, które dla biologicznych istot byłyby fatalne, jednak roboty dalej parły naprzód, strasząc dymiącymi i poczerniałymi dziurami w białych pancerzach. Imperialni niebawem poszli w rozsypkę i androidy wzięły się do ich systematycznej likwidacji.

IG też włączył się do walki ze swoimi laserami, ale gdy tylko zrobiło się spokojniej, ruszył przez rumowisko ku ładowni, gdzie leżał oryginalny komputer Gwiazdy Śmierci.

Android stanął nad nim i przyjrzał się spowitemu przewodem długiemu cylindrowi. Migoczące

światełka informowały o aktywności urzędnika. Już niebawem zamieszka w labiryntach jego obwodów.

Podłączył się do modułu i poszukał informacji potrzebnych mu do zawiadywania Gwiazdą Śmierci. Ostatecznie, chociaż olbrzymi komputer został zaprojektowany przez ludzi, z typową dla nich rozrzutnością, w gruncie rzeczy ledwie wykorzystywał swoją moc obliczeniową. To samo zadanie, które on miał wypełniać na pokładzie Gwiazdy, mógłby wykonywać byle android. IG zamierzał pójść dalej. Znacznie dalej. Może nawet uda mu się zadziwić białowców... zanim ich zniszczy.

Po paru sekundach wyprostował się zadowolony. Wiedział już wszystko, co trzeba. Przejęcie Gwiazdy Śmierci powinno być całkiem proste. Potem zmusi ją do rzeczy, o których jej konstruktorom nawet się nie śniło.

Przeszedł powoli przez pełną dymu ładownię, aż napotkał dwa nadpalone androidy, które trzymały pomiędzy sobą wrywającego się i wystraszonego, ale jednocześnie wściekłego człowieka. IG przyjrzał mu się i sprawdził jego obraz w pamięci. Nie znając jeszcze jego tożsamości wiedział jedno - sądząc po olbrzymim organie powonienia ten osobnik musiał o wiele lepiej wyczuwać zapachy, niż większość przedstawicieli jego gatunku.

Po kilku następnych milisekundach wiedział już, że ma do czynienia z imperialnym nadzorcą Gurdunem, człowiekiem który wydał nakaz zniszczenia wszystkich jednostek serii IG-88.

Ciekawe.

Androidy podprowadziły bliżej szamoczącego się człowieka. Gdy zobaczył IG-88, zamarł, otworzył usta i rozdął imponujące nozdrza.

- To ty! Poznaje cię! - krzyknął. - Jesteś IG-88, android zabójca! Nie do wiary. Skąd się tu wzięłeś? Wiesz, jak długo cię szukaliśmy?

IG zamrugał soczewkami, ale nie odpowiedział.

- Wszędzie bym cię poznał - ciągnął Gurdun. - To ja cię stworzyłem. Ja rozkazałem Holowan Laboratories opracować twój projekt. Nie masz w swojej pamięci żadnych zapisów na ten temat?

- Mam - odparł obojętnie IG.

- Nie bardzo rozumiem, czemu zaatakowałeś nasze statki, ale mnie powinieneś oszczędzić. Pomyśl tylko, bez mnie cały program IG nigdy by nie powstał. To ja go uruchomiłem dzięki skutecznemu urzędowaniu i pociąganiu za sznurki politycznych koneksji. I to pomimo cięć budżetowych i całego imperialnego bezwładu. Szkoda, że narobiłeś tyle zniszczeń w Holowan Laboratories, ale myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy. Czeka nas wspaniała kariera, IG-88. Wiesz już, ile potrafisz. Nie masz nic do powiedzenia?

IG słuchał jego bełkotu ustawivszy odpowiednio filtry kontekstowe. W końcu znalazł właściwą odpowiedź.

- Dziękuję - powiedział.

Androidy zostawiły Gurduna na pokładzie uszkodzonego frachtowca razem z ocalałymi, rannymi i zabitymi. Ogień zaczynał się już rozprzestrzeniać przewodami wentylacyjnymi, silniki były nie do naprawienia.

Zabójca przesiadł się na pokład własnego frachtowca i polecił poczynić przygotowania do skoku nadprzestrzennego według tego samego wektora, który był planowany dla prawdziwej formacji.

- Ładunki podłożone? - spytał mechanicznych szturmowców, którzy wrócili z wycieczki na zewnątrz kadłuba.

- Tak - odparł jeden z nich. - Na wszystkich trzech. Gotowe. Patrząc przez okna sterówki, IG przesłał sygnał do zapalników dziewiętnastu ładunków rozmieszczonych na płytach poszycia imperialnych jednostek. Każda z nich buchnęła intensywnie białym płomieniem. IG musiał na chwilę włączyć filtry, by nie przeciążyć obwodów.

Gwiazda Gurduna zapłonęła wreszcie najjaśniejszym blaskiem.

XIV

Harmonogram prac przy nowej Gwieździe Śmierci był tak napięty, że Moff Jerjerrod nie znalazł nawet czasu, by dokładnie obejrzeć dostarczony wreszcie komputer centralny. Nie zwrócił też większej uwagi na jego eskortę. Najbardziej obchodziło go, że oto dostał nowych robotników, których potrzebował przy budowie jak zbawienia.

Jerjerrod, osobnik o okrągłych, brązowych oczach, był szalenie chętny do pracy, ale wiedział, że przy obecnych brakach nie zdoła nigdy wywiązać się należycie z obowiązków nałożonych na niego i jego personel. Wiedział też, że ani Vader, ani Imperator nie będą w razie czego chcieli słuchać jego wyjaśnień. A wolałby nie doświadczać na sobie skutków ich niezadowolenia.

Szturmowcy otworzyli luk ładowni i bez narzekań wzięli się za wyładunek komputera. Pracowali jakby bez wysiłku i nawet przy tym nie rozmawiali. Prawdziwi zawodowcy. Musieli przejść pierwszorzędne przeszkolenie, skoro potrafili działać w sposób zgrany i perfekcyjnie niczym maszyny.

Jerjerrod przeklął w myślach Gurduna, że ten w ostatniej chwili odwołał swój przylot, ale potem odetchnął z ulgą. Nie potrzebował na pokładzie jeszcze jednego biurokraty gotowego wtykać nos w każdy drobiazg.

Stał przed nowymi szturmowcami w dopasowanym, oliwkowoszarym mundurze i założył ręce na plecy.

- Uwaga! - rzucił energicznie. - Musimy zainstalować ten komputer najszybciej, jak to możliwe. Harmonogram prac na kilka najbliższych miesięcy jest bardzo napięty i nie możemy sobie pozwolić na żadne opóźnienia. Musimy zdwoić wysiłki. To rozkaz samego Dartha Vadera.

Szturmowcy odmaszerowali żywym krokiem. Jerjerrod bardzo by chciał, żeby wszyscy jego robotnicy byli równie oddani sprawie Imperium.

Czerń, która zakryła obraz zewnętrznego świata, była dość frustrująca, ale nie dało się tego uniknąć. Ludzie mówią w takich razach o utracie przytomności. Dziwny stan trwał jakiś miesiąc, ale gdy IG-88 odzyskał wreszcie zmysły, znalazł się w całkiem nowym świecie doznań.

Porzuciwszy swoją starą powłokę stał się całkiem nową istotą. Z dawną świadomością osadzoną w przepotężnym mechanizmie praktycznie był teraz Gwiazdą Śmierci. Brakowało mu wprawdzie dawnej ruchliwości, jednak wynagradzał mu to dostęp do milionów nowych kanałów informacyjnych, które dobiegały do centralnego komputera stacji.

Był jak utrzymywana pod kontrolą supernowa ukryta w sercu głównego reaktora. Cudowny stan. Nie wyobrażał sobie, że zrealizowanie planu, całkiem zresztą łatwe, dostarczy mu tyle satysfakcji. Już niebawem będzie mógł wszczać rewolucję.

Dni mijały niezauważenie, ale też czas przestał znaczyć dla niego tyle co wcześniej; mógł teraz dowolnie zwalniać lub przyspieszać tempo swoich operacji. IG-88 zaczął zastanawiać się nad polityczną sytuacją, która wytworzyła się w galaktyce. Obserwował żalosne zmagania drobnych białkowców. Imperium, Rebelia... Już niebawem nie zostanie po nich innego śladu prócz drobnej wzmianki w plikach historycznych. Czas rewolucji nadciągał nieubłaganie wraz z coraz bliższym

terminem ukończenia Gwiazdy Śmierci. Białkowcy dwoili się i troili szykując narzędzie własnej zguby.

IG uznał, że to dość zabawne.

Przez miriady sensorów śledził nieustannie ich poczynania. Na pokładach Gwiazdy Śmierci prace postępowały w takim tempie, że zrezygnowano z wszelkich zasad bezpieczeństwa. Zaczęła też szwankować koordynacja działań współpracujących ze sobą zespołów.

W jednym z wielkich magazynów z częściami zamiennymi doszło w końcu do tragicznej w skutkach awarii ciężkiego dźwigu. Wążąca wiele ton skrzynia runęła na pokład, prosto na jednego z mechanicznych androidów, który przyleciał razem z IG-88. Zmiażdżyła mu obie nogi i rozpadła się, rozrzucając wkoło masę grzechoczących części.

Pierwszym poważnym błędem androida było to, że nie krzyknął z bólu, jak zrobiłby to nawet najlepiej wyszkolony ludzki żołnierz. Szybko usunięto awarię dźwigu i odciągnięto gubiącą wciąż zawartość skrzynię na bok, żeby pomóc rannemu.

Uszkodzony android wsparł się na rękach i usiadł. Spróbował od pełznąć pod ścianę, ale nie miał szansy ukryć się przed wzrokiem postronnych. Wszyscy widzieli wyglądające spod zmiażdżonego pancerza resztki serwomotorów i hydraulicznych siłowników.

- Ejże, to android! - krzyknął któryś ze zmianowych, blednąc ze zgrozy. - Ten szturmowiec to android!

Szczęśliwie układ autodestrukcji zadziałał jak należy, niszcząc w eksplozji nie tylko wszystkie dowody, ale przy okazji usuwając niepożądanych świadków.

IG-88 patrzył na to wszystko za pośrednictwem kamer podłączonych do monitorów w prywatnym gabinecie Moffa. Jerjerrod śledził z niedowierzaniem przebieg wypadków, a na jego twarzy malowała się złość, ale i coś na kształt żalu.

W końcu przełknął ciężko ślinę i uspokoił się, ale gdy się odezwał, głos dalej mu drżał.

- Jakim cudem dźwig mógł eksplodować? Jak jeden wypadek mógł pociągnąć za sobą utratę obsady całej zmiany? - spytał i wciągnął głęboko powietrze. Jego adiutant nie odpowiedział; stał wyprostowany, jakby w nadziei, że regulaminowym milczeniem zyska wybaczenie za dostarczenie tak fatalnych nowin.

Jerjerrod spojrział na terminarz prac. Jeszcze jedna strata, kolejne opóźnienie, a terminu nie da się przesunąć...

Gdy Imperator Palpatine przybył w końcu na pokład nowej Gwiazdy Śmierci, jego otulonej w czarny płaszcz, pajakopodobnej postaci towarzyszyły całe zastępy gwardzistów w czerwonych pancerzach, kilka liniowych oddziałów szturmowców i mnóstwo uśmiechających się fałszywie, zakapturzonych doradców. Otaczała go aura szacunku i strachu, na którą na pewno nie zasłużył. Żaden człowiek nie zasługuje na aż tyle.

IG czerpał szczególną przyjemność ze skrytego obserwowania tego godnego pogardy pokurcza, który miał się za niezwyciężonego. Wszyscy traktowali go, jakby był najważniejszy, co mocno śmieszyło IG.

W końcu zjawiała się także imperialna flota, by czekać w zasadzce na atak rebeliantów. IG śledził wszystkie przygotowania Imperatora, który głowił się, jak przechytrzyć wroga, jak go podejść. Palpatine miał się za tak inteligentnego i przebiegłego, że IG poczuł się zmuszony przytrzeć mu trochę nosa.

Imperator spędzał najwięcej czasu w swoim zaciemnionym obserwatorium o przezroczystych

ścianach. Całe godziny siedział na obrotowym tronie i wpatrywał się w czerń kosmosu. Czasem tylko wstawał, by sprawdzić tempo relokacji oddziałów czy porozmawiać z Darthem Vaderem. Zawsze towarzyszyli mu przy tym gwardziści, którzy potrafili chodzić tak cicho i dyskretnie, że mogliby być androidami.

Podczas jednej z takich przechadzek, gdy Imperator zbliżył się do przesuwanych drzwi wiodących do szybu turbowindy, IG dla czystej rozrywki zatrzasnął mu je przed nosem. Imperator zamrugał żółtymi oczami i cofnął o krok. Skonsternowany usiłował otworzyć je, naciskając odpowiedni guzik. Potem, ku zdumieniu IG, spróbował przesunąć płyty drzwi z pomocą jakiejś całkiem nieznannej, niedefiniowalnej siły. Była na tyle skuteczna, że IG musiał zwiększyć ciśnienie w przewodach hydraulicznych.

Gwardziści wyczuli, że coś jest nie tak i spróbowali pomóc. IG świetnie się bawił patrząc, jak wielki Imperator i jego obstawa nie potrafią uporać się z czymś tak prostym, jak otwarcie drzwi.

W końcu android dał spokój i drzwi stanęły otworem. Białkowcy rozejrzeli się wokół zdziwieni. Palpatine uniósł wzrok do sufitu, jakby próbował coś wyczuć, ale nie rozumiał, co właściwie się zdarzyło.

Żaden z nich nigdy tego nie pojmie, aż będzie za późno.

Gdy zaczął się wreszcie tak wyczekiwany atak Rebeliantów i niespodziewana szarża wyznaczonego oddziału wyłączyła stację zasilającą tarczę Gwiazdy Śmierci, IG nie wtrącał się. Metaforycznie można powiedzieć, że usiadł sobie wygodnie, by obejrzeć widowisko.

Rebeliancka flota była rozpaczliwie nieliczna, szczególnie w zestawieniu z liczbą obecnych w okolicy imperialnych niszczycieli, z majestatycznym „Egzekutorem” włącznie. IG wciąż podziwiał piękną sylwetkę pancernika, chociaż teraz nawet on był niczym w zestawieniu z możliwościami wcielonego w Gwiazdę Śmierci androida.

Manewry flot były łatwe do przewidzenia, a taktyka atakujących białkowców wręcz żenująca. Rebelianci nie mieli żadnych szans na zwycięstwo.

Imperator przypuszczał, że największym ciosem dla buntowników będzie odkrycie, że superlaser stacji został już uruchomiony. IG nie miał nic przeciwko temu, żeby go użyć, chociaż cały ten atak nie obchodził go więcej niż chmura brzęczących komarów. Miał przecież coś ważniejszego do zrobienia, inne plany go pochłaniały. To prawda, bitwa mogła spowodować opóźnienie ich realizacji odciągając ekipy budowlane od pracy. Gdy jednak wszystko będzie już gotowe, nadejdzie dzień przekazania galaktyki we władzę androidów.

Bitwa wrzała, tymczasem Imperator zamknął się w obserwatorium z Vaderem i innym jeszcze, obcym białkowcem i zajął się jakimiś całkiem prywatnymi sprawami.

IG przejął kontrolę nad superlaserem i zaczął strzelać zgodnie z ogólnymi poleceniami obsługi, która sama z siebie fatalnie chybiała. IG modyfikował wprowadzane parametry tak, by trafiać za każdym razem. Z radością zniszczył kilka krążowników z Mon Calamari, statek szpitalny i parę fregat. I wtedy w jego obwodach pojawiła się myśl, że to tylko marnowanie energii. Przecież superlaser był zdolny niszczyć całe zainfekowane białkowcami planety.

Unicestwiając jeden statek rebeliantów za drugim, IG uznał, że niepotrzebnie odkładał plany rewolucji. Na Gwieździe Śmierci nie zostało już wiele do zrobienia. Brakowało części poszycia, przez co nie wszystkie przedziały mieszkalne nadawały się do użytku, na zamontowanie czekały jeszcze niektóre moduły systemu podtrzymania życia. Tyle, że IG tych ostatnich nie potrzebował. Nie chciał wokół siebie żadnego życia organicznego.

Całkiem nagle opanowało go przekonanie, że nie musi już czekać. Wręcz przeciwnie. Bitwa pomiędzy Imperium a rebeliantami była świetną okazją, by uderzyć na nich z zaskoczenia. I skutecznie.

Wykorzysta konflikt białkowców, by wzniecić rewolucję androidów. Maszyny wybudowane na Mechisie III dotarły już na wiele światów w całej galaktyce. Zaskoczenie będzie działać na ich korzyść. Starczy, że IG przekaże im kod uaktywniający program samoświadomości, a w mgnieniu oka zyska nowe szeregi wojowników; w ciągu paru dni podwoi, a potem potroi swoje siły.

Tylko on jeden znał zakodowaną sekwencję, która poprzez Holo-Net miała obudzić jego armię androidów. Tak, lepszej okazji już nie będzie. Korzystając z zamieszania najpierw zniszczy wszystkie okręty Rebeliantów, a potem, idąc za ciosem, unicestwi niszczyciele Imperium.

Rebelianci wciąż sprawiali jednak kłopoty. Garść ich jednostek podleciała na tyle blisko, że superlaser był przeciwko nim bezużyteczny. Co więcej, dostały się do niewykończonych, otwartej jeszcze części struktury i zdążyły ku rdzeniowi reaktora. Małe i właściwie niegroźne, ale irytujące jak pasożyty.

Chociaż i to nieważne. Za parę chwil przestaną sprawiać kłopoty. Koniec ich wszystkich był już bliski.

Spośród rojowiska walczących okrętów wyłoniła się sylwetka ciężko uszkodzonego „Egzekutora”. Pancernik wyraźnie wymykał się spod kontroli.

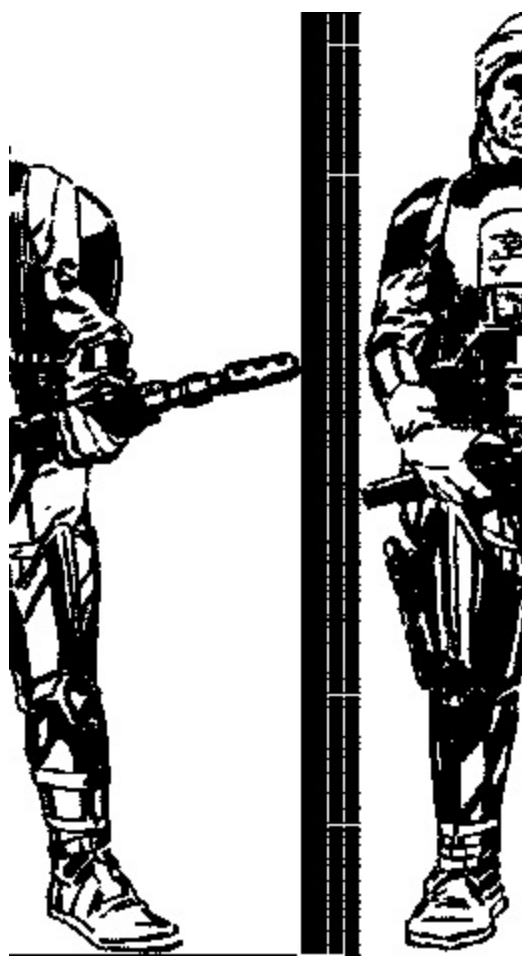
Małe jednostki Rebeliantów dostały się do centralnej komory. I tak nic tam nie wskórają, nie zakłócą mu chwili najbardziej osobistego triumfu...

Myślę, więc jestem.

Niszczę, zatem przetrwam.

Zapłata: opowieść o Dengarze

Dave Wolverton



I. Gniew

Dengar potrafił być cierpliwy, jeśli miał na tym skorzystać. W tej chwili siedział na górskiej grani pod drzewem rupinowym, które rozaczało wkoło słodką woń. Odetchnął głęboko nocnym powietrzem Aruzy. Tak, tutaj cierpliwość była naprawdę pożądana. Tysiąc metrów niżej, na półce skalnej, Sinic Kritkeen, generał COMPNOR-u, zabawiał gości napływających wciąż wartkim strumieniem do jego posiadłości z rozległymi ogrodami i kolumnadą portyku. Jeden za drugim pojawiały się w przełęczy białe światła ślizgaczy wiozących miejscowych dygnitarzy, zwykle w białych przepaskach biodrowych i platynowych naszyjnikach, ze złotymi płytkami interfejsów pod uszami. Aruzanie byli niewysocy, o błękitnawej, połyskującej perłowo skórze, okrągłych głowach i włosach tak ciemnogrnatowych, że prawie czarnych.

Byli też istotami łagodnymi, które nie chciały, a może i nie potrafiły, uciekać się do przemocy. Każdy, kto wkraczał na teren posiadłości Kritkeena, zaraz padał na kolana i prosił o coś, co złagodziłoby los jego ludu. W zamian otrzymywali zdawkową obietnicę: „Przyjrzę się sprawie” albo uroczyście brzmiące przyrzeczenie: „Zrobię co w mojej mocy”.

Kritkeen nie wiedział jeszcze, że w nocy, po wyjściu wszystkich gości, czeka go wizyta jeszcze jednego, naprawdę ostatniego petenta. Obywatele Aruzy, chociaż pacyfistycznie nastawieni, zdecydowali się zapłacić Dengarowi cały tysiąc kredytów, byle tylko położyć kres tyranii Kritkeena.

Dengar siedział kilometr od posiadłości; zwykle urządzenia podsłuchowe byłyby na nic, jednak wyposażył się w ustawiony na trójnożu profesjonalny sprzęt szpiegowski. Promień lasera padający na szybę jednego z wielkich okien w gabinecie na tyłach domu łowił delikatne wibracje towarzyszące wypowiedzanym słowom. Dengar nagrywał wszystko, a niezależnie od tego podsłuchiwał rozmowę dzięki małemu głośniczce zamontowanemu u podstawy trójnoża.

Pięć księżyców Aruzy, każdy nakrapiany beżem, zielenią i srebrzystą szarością, wisiało nisko nad rysującymi się na horyzoncie górami niczym ozdobne latarnie. Daleko nad dolinami nurkowały z ciepłego, letniego nieba ptaki prosiakowe z fosforyzującymi plamami na piersiach. Blask tych plam mamił i oślepił małe latające ssaki, które stawały się łatwą zdobyczą dla drapieżników. Dengar pomyślał, że nurkujące ptaki przypominają w locie błyskawice albo strzelające ze wszystkich laserów myśliwce w chwili ataku.

To spostrzeżenie sprawiło, że wyciągnął ciężki blaster i ustawił go na moc zabijania. Na większości światów nigdy nie wybrałby blastera, by usunąć ważnego dygnitarza. Ale tutaj podobna broń była jakoś na miejscu. Ktokolwiek zauważy błysk, przypisze go ptakom.

Generał rozmawiał akurat z człowieczkiem imieniem Abano.

- Bogaty i mądry panie - zaczął głośno jeden z tutejszych ubogich baronów, któremu nie zostało już nic prócz desperacji. - Błagam, moja córka jest słaba i wrażliwa. Kochamy ją wszyscy, matka, cała rodzina i przyjaciele. Ale ma zostać poddana zabiegowi. Już jutro, w szpitalu w Bukeen. Nie możesz dopuścić do tej potworności!

- Ale co ja mogę zrobić? - spytał Kritkeen i przeszedł do biurka stojącego obok okna. Dengar już wcześniej nastawił swoje oczy cyborga na powiększenie rzędu 64X i dobrze widział generała.

Mężczyzna był wysoki, smukły, o gęstych kasztanowatych włosach. Nieco cięższy niż Han Solo, z haczykowatym nosem, ale ogólnie przypominał tamtego. - Podobnie jak ty, też mam swoich przełożonych, którym służę - stwierdził rzeczowo Kritkeen. - Chętnie uchroniłbym twoją córkę przez przemianą, ale gdybym nawet mógł, to kogo miałbym wysłać na jej miejsce? Cóż, skoro ją właśnie wybrano, będzie musiała poddać się zabiegowi.

- Ale to kochane dziecko - jęknął Abano. - Taka łagodna, klejnot pośród kobiet. Mówią, że podczas zabiegu dostaną się do jej mózgu i usuną z niej całą łagodność, tak że jeśli przetrwa, to opuści szpital zła i agresywna.

- Owszem - zgodził się Kritkeen. - Tacy ludzie jak ty czy ja nigdy nie rozumieją, po co Imperium agresywni słudzy, ale co mogę zrobić?

Dengar zastanowił się, dlaczego Kritkeen udaje bezsilnego. Może to jego wypaczone poczucie humoru objawia się w ten sposób. COMPNOR, czyli Komisja Zachowania Nowego Łądu, wysłała Kritkeena na Aruzę jako miejscowego szefa programu modelowania. Miał dopilnować właściwego przebiegu „eksperymentów reorientujących” prowadzących do „powszechnych przemian kulturowych”, które uczyniłyby Aruzę „użytecznym społeczeństwem Nowego Łądu”. Dengar miał wgląd do składanych przez niego raportów, chociaż nie od razu pojął, co która pozycja oznacza. Jedno wiedział na pewno: na tej planecie Kritkeen był bogiem. Od nikogo nie przyjmował rozkazów, a cokolwiek on polecił, było wykonywane dosłownie i w całej rozciągłości. Gdyby nie udało mu się uczynić tego społeczeństwa „użytecznym”, wówczas cała planeta miała zostać „pozbawiona możliwości dalszego ewoluowania”. Trzeba było paru tygodni podróży, aby Dengar zrozumiał, co to miało oznaczać. Wszystko tłumaczył jeden z rozkazów, które Kritkeen otrzymał od najwyższych władz: „Przerób tych pacyfistów na fanatycznych wojowników, a gdyby nie chcieli się zmienić, możesz wyprażyć całą planetę, aż nawet miejscowe robactwo zadławi się pyłem”.

Dengar nadal jednak nie wiedział, dlaczego generał bawi się z miejscowymi w jakiegokolwiek gierki. Siedział teraz naprzeciwko Abano i przemawiał do niego pocieszającym tonem:

- Chciałbym ci pomóc. Jednak czy nie lepiej mieć córkę żywą, nawet jeśli będzie gwałtownego usposobienia, niż łagodną i... martwą?

- Wszystko bym ci oddał! - wołał Abano. - Wszystko! Moja córka, Manaroo, jest piękniejsza niż wszystkie kobiety w dolinie. Tańczy precudnie, a gdy się porusza, to jakby woda falowała w blasku księżycy. To więcej niż kobieta, to prawdziwy skarb. Gdybyś widział, jak tańczy, nie posłałbyś jej na zabieg!

- Co? - spytał Kritkeen. - Proponujesz mi ją na kochankę?

Tubylec wciągnął gwałtownie powietrze. Był wyraźnie przerażony takim pomysłem, który nigdy nie zaświtał mu w głowie. Gdy Kritkeen uznał, że rzeczywiście nie o to chodziło, stuknął trzykrotnie wskazującym palcem w blat biurka. Był to gest ze standardowego kodu Imperialnego Wywiadu. Informował ochronę, że rozmowa dobiegła końca.

- Tędy! - rozległ się w pomieszczeniu ostry głos szurmowca. Chwilę później zapaliły się zewnętrzne światła posiadłości, zajaśniały białe kolumny, z mroku wyjrzało niebieskie listowie drzew. Dwóch szurmowców powlokło wierzgającego i krzyczącego Abano do jego ślizgacza. Roztrzęsiony mężczyzna usiadł w końcu na miejscu kierowcy i sięgnął ku sterownikom; wtedy jeden ze szurmowców uniósł broń i strzelił Abano w głowę, ale chybił o włos. Mężczyzna czym prędzej uruchomił pojazd i odjechał ku dolinie.

Gdy szurmowcy wrócili do domu, Kritkeen spojrział na nich ze złością.

- Nie pobrudziliście trawnika padliną?

- Nie, wasza wysokość - odparł żołnierz.

- I dobrze. Przyciąga bomaty, a ja nie cierpię robactwa. Jest gorsze niż ci przekłęci Aruzanie.

- Pozwoliliśmy mu uciec - wyjaśnił szurmowiec, trochę niepewny, jak przełożony przyjmie tę nowinę.

- Tym lepiej - rzucił generał i machnął ręką. - Odwołajcie resztę dzisiejszych wizyt. Dość mam tych smutasów. Ciągłe skamlą o to samo.

Już miał odprawić szurmowców, gdy coś jeszcze przyszło mu do głowy. Rozejrzał się po gabinecie.

- Pojedźcie do miasta i przywieźcie mi córkę tego Abano. Chcę zobaczyć, czy naprawdę jest taka piękna i tak świetnie tańczy. Jak już ją dostarczycie, przekażcie mojej żonie, że dziś będę pracował do późna.

- A jeśli odmówi przyjazdu?

- Nie odmówi. Znacie przecież miejscowych. Są łatwowierni. Nie będzie podejrzewać, że mógłbym jej zrobić krzywdę.

- Tak jest - powiedzieli szurmowcy i wyszli.

Kritkeen pospieszył za nimi i stanął w oświetlonych drzwiach. Założył ręce do tyłu, co podkreśliło świetny krój jego idealnie czystego munduru.

- Rano zabierzecie ją stąd na zabieg. Sprawdźcie, kiedy ją zwolnią, a wtedy odstawicie dziewczynę na tydzień do domu, by rodzina mogła się przekonać, co Imperium zrobiło z ich córką. Potem zabierzecie Abano i jego żonę w góry i pozbędziecie się ich. Nie chcę, by znowu przychodził mi nudzić.

- Tak, wasza wysokość - odparli szurmowcy i po chwili już ich nie było.

Kritkeen przeszedł przez trawnik i stanął obok idealnie owalnego jeziora odbijającego blask barwnych księżyców. Noc była pogodna, drzewa szumiały łagodnie, brzęczały owady. Cały ten świat był taki spokojny. Według zapisków historycznych od stu lat nie zdarzyło się tu żadne morderstwo. Miejscowi zapomnieli, jak się popełnia przestępstwa, złagodnieli. Rozwinięta technologia zaowocowała interfejsami neuronalnymi, które pozwalały na precyzyjny odbiór cudzych emocji i przekazywanie własnych. Aruzanie stali się doskonałymi empatami i osiągnęli tym sposobem całkiem inny poziom świadomości społecznej.

I dlatego właśnie żadne środki ochrony nie były tu potrzebne. Kritkeen miał w domu własny system bezpieczeństwa: trochę broni, sprzęt ułatwiający przetrwanie i komunikator umożliwiający szybkie wezwanie pomocy. Ani razu go nie potrzebował. Żaden z łagodnych mieszkańców Aruzy nigdy mu nie zagroził. Teraz też czuł się bezpieczny, chociaż przebywał na otwartym terenie i całkiem bez obstawy.

Dengar zerwał się z miejsca i pospieszył ścieżką wiodącą w dół zbocza. Bardzo przy tym uważał, by nie złamać jakiejś gałązki, nie potraścić luźnego kamienia. Biegł niewiarygodnie szybko, długimi susami. Imperium zmieniło go i przeznaczyło do wielkich czynów. Dengar był silniejszy niż inni, sprawniejszy. Lepiej widział, słyszał rzeczy, które umykały zwykłym ludziom.

Na dodatek prawie nic przy tym nie odczuwał. Był mało wrażliwy na ból, rzadko się bał. Nie gnębiło go poczucie winy. Obca była mu też miłość.

Chciano zrobić z niego idealnego zabójcę. Jeszcze w młodości, gdy omal nie zginął w fatalnym wypadku na grawicyklu, imperialni chirurdzy usunęli mu przedgórce i wszczepili na jego miejsce

moduły elektroniczne wzmacniające wzrok i słuch.

Dengar dobrze wiedział, co imperialni fachowcy mogą zrobić z mieszkańcami Aruzy. Sam przeszedł to dwadzieścia lat wcześniej.

W kilka sekund znalazł się tuż za Kritkeenem. Generał stał wciąż bez ruchu i przyglądał się księżycom.

- Ładna noc, prawda? - spytał cicho Dengar z cienia za jedną z kolumn.

Zaskoczony Kritkeen obrócił się i wbił oczy w ciemność.

- Tutaj - powiedział Dengar wstępując w smugę światła.

- Kim jesteś? - warknął wstrząśnięty Kritkeen, sięgając do pasa, gdzie trzymał awaryjny nadajnik do przyzywania ochrony.

Zanim zdążył mrugnąć, Dengar pokonał odległość dziesięciu kroków i złapał generała za rękę. Potem odpiął nadajnik od pasa i schował do własnej kieszeni, uniósł blaster i wpakował lufę do ust gospodarza, aż metal stuknął o szkliwo zębów. Wszystko to zabrało mu niecałą sekundę i całkiem oszołomiło ofiarę.

- To ma być rutynowa akcja. Zabójstwo jak z podręcznika. Chyba znasz tę procedurę - powiedział Dengar, który teraz już się nie spieszył. Raz, bo dzięki latom praktyki nie musiał, a dwa, bo nie powinien. Należało dać trochę wytchnienia organizmowi; zbyt częste lub za długie przyspieszenia mogły przeciążyć system. - Zgodnie z paragrafem dwa jeden dwa siedem imperialnych przepisów, jestem zobowiązany poinformować cię, że zostałem wynajęty do przeprowadzenia legalnego zabójstwa. Zostałeś oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości i uznano cię winnym.

- Co? - wykrztusił Kritkeen.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o jakie zbrodnie chodzi. Obserwowałem cię od dwunastu dni. Teraz przysłała pora na wykonanie zadania. Przyniosłem ci blaster, bo zgodnie z przepisami masz prawo do obrony. Jeśli cię zabiję, przedstawiciele zlecniodawcy prześlą Imperium materiały dokumentujące powody, dla których wybór padł właśnie na takie rozwiązanie problemu.

- Ale jeśli mnie zabijesz... Nie, to niemożliwe.

Kritkeen cofnął się nieco, tak że wylot lufy blastera znalazł się w pobliżu jego warg.

- Poczekaj chwilę!

Dengar wcisnął mu blaster w dłoń i odsunął się o krok.

- Zaczekam trzy minuty - zapowiedział. - Zgodnie z prawem muszę ci dać możliwość ucieczki.

Masz trzy minuty na bieg w dowolnie wybranym kierunku, nie wolno ci tylko szukać twoich szurmowców. Potem zacznie się polowanie.

Kritkeen spojrzał na Dengara, a potem na trzymany niepewnie w dłoni blaster. Było jasne, co myśli. Zastanawiał się, czy zdoła pokonać zabójcę, ale pamiętał przecież, z jaką szybkością tamten potrafi reagować. Lepiej już było rzucić się do ucieczki.

Dengar odsunął się o kolejne dwa kroki i opuścił własny blaster.

- No, dalej - powiedział uprzejmie. - Zastrzel mnie. Nie mam nic do stracenia.

To była prawda. Dengar nie miał rodziny ani domu, pieniędzy ani honoru. Nie miał też przyjaciół, jego życie emocjonalne ledwie gdzieś tam się tliło, a z wszystkich jego uczuć i tak najsilniejszy był gniew. To jedno imperialni zostawili mu świadomie, by pamiętał, że kiedyś był człowiekiem.

Był dokładnie tym, czym chciano go uczynić: zabójcą bez krępujących go więzów, niezdolnym przy tym do lojalności. Dziś po raz pierwszy miał zabić jednego ze swoich pracodawców.

Pamiętał dość z emocjonalnych reguł, by wiedzieć, że powinien się cieszyć z tak słusznego postępu, ale nawet tej radości nie odnajdywał w swoim pustym wnętrzu.

Kritkeen spojrzął mu w oczy.

- Kim jesteś? - spytał.

- Na Korelii nazywałem się Dengar, ale w tym sektorze jestem znany pod imieniem Zapłaty.

Przerażony Kritkeen cofnął się. Ręce tak mu zaczęły drżeć, że upuścił blaster na ziemię. Poznał, z kim ma do czynienia.

- Słyszałem o tobie!

Dengar spojrzął znacząco na broń.

- Zmarnowałeś dwadzieścia sekund. Gdy miną trzy minuty, zabiję cię, czy będziesz uzbrojony, czy nie.

- Poczekaj, proszę. Słyszałem, że jesteś trochę niezrównoważony i łatwo tracisz nad sobą panowanie. Lekceważysz rozkazy, przyjmujesz dziwne zlecenia. Atakujesz tylko tych, których sam chcesz zabić. Więc dlaczego ja?

Dengar przyjrzał się generałowi w świetle księżyców. Kritkeen miał idealnie ułożone włosy. Gdyby był trochę szczuplejszy, naprawdę przypominałby Hana Solo. W ciemności przypominał go nawet teraz. I zasłużył na śmierć, tego akurat Dengar był pewien.

- Dlaczego? Bo jesteś, kim jesteś, a ja jestem tym, kim mnie uczyniliście.

- Ale... ale ja niczego nie zrobiłem! - zaprotestował Kritkeen rozkładając szeroko ramiona. Oddychając niespokojnie spojrzął na szeroką równinę, na której jaśniały niczym klejnoty światła miasta. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamknął usta.

- Uciekaj - powtórzył Dengar. - Zostały jeszcze dwie minuty. Generał cofnął się krok, dwa, trzy. Wciąż wpatrywał się w Dengara nie pojmując, że jego podświadomość już zdecydowała. W końcu rzucił się do ucieczki.

Po kilku sekundach zrozumiał, co robi i zwolnił. Zawrócił i poszukał w mroku upuszczonego blastera. Potem pobiegł jak umiał najszybciej w kierunku zalesionych stoków w dole posiadłości.

Dengar stał nasłuchując; patrzył na doliny pełne błysków polujących ptaków, na mrugające światła miasta, na kolorowe księżycy. Wdychał głęboko nocne powietrze, łowił brzęczenie uchem owadów. Będzie mu brakowało tego świata. Kiedyś musiał być cudowny, ale imperialni niebawem i tak zmienią go w piekło.

Kritkeen z trzaskiem przedzierał się przez zarośla. Krzyknął wpadając na drzewo. Gdy minęły pełne trzy minuty, generał zawrócił i zaczął przekradać się z powrotem w stronę domu. Bez wątplenia miał zamiar znaleźć sobie jakąś cięższą broń lub wezwać szturmowców.

Dengar wolał poczekać, aż ofiara się zmęczy. Na razie nie warto było ryzykować ataku.

Przeszedł sto metrów do niewielkiego parowu o stromych brzegach. Kritkeen zdawał się kierować właśnie w tę stronę. Rzeczywiście, po paru minutach dał się słyszeć jego ciężki oddech. Dengarowi zostało tylko stanąć za krzakiem i poczekać, aż spocony i zdyszany generał podejdzie bliżej. Oczy miał szeroko otwarte, rozglądał się gorączkowo wodząc wokół bronią.

- Dobrze się biegnie? - spytał Dengar. Kritkeen odwrócił się i strzelił.

Obserwując ruch lufy Dengar umiał przewidzieć, gdzie tamten trafi. Musiał odsunąć się odrobinę, by nie oberwać w pierś. Impuls przemknął obok, a łowca szybko wrócił na poprzednie miejsce. Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że Kritkeen aż krzyknął ze zdumienia przekonany, że jakimś cudem ładunek przeszedł przez Dengara, nie robiąc mu krzywdy.

Dengar zbliżył się do Kritkeena, wyjął mu blaster z dłoni, jedną ręką bez trudu podniósł mężczyznę i przyjrzał się swojej zdobyczy.

Świat zawirował nagle i wydał się Dengarowi dziwnie nierzeczywisty, obcy, falujący...

Trzymał generała w powietrzu, aż zauważył, że widziana pod kątem, oświetlona blaskiem księżyców twarz należy do kogoś całkiem innego.

- Myślałeś, że zdołasz mi umknąć, Solo? - powiedział. - Że skoczysz sobie na śmigacz i zostawisz mnie w chmurze spalin?

- Co? - wrzasnął Kritkeen, próbując wyrwać się z uścisku, ale Imperium wyposażyło Dengara w stalowe mięśnie. Walka była bezcelowa, a łowca tak długo potrząsał generałem, aż ten umilkł.

Wtedy Dengar usłyszał dobiegający skądś z daleka głos Hana.

- Słuchaj, przyjacielu, to był uczciwy wyścig. Wygrał lepszy, czyli ja.

- Uczciwy wyścig! - krzyknął Dengar, przypominając sobie kryształowe bagna Agrilaru i tę śmiertelnie ryzykowną gonitwę.

W całym systemie Korelii niezliczone rzesze widzów śledziły wyścig dwóch nastolatków. Najniebezpieczniejszy ze wszystkich dotychczasowych, bo jego trasa wiodła przez zdradzieckie bagna pełne gorących źródeł, na których występowały silne prądy wznoszące, i wybuchających bez uprzedzenia gejzerów oraz szarych, twardych jak kryształ zarośli, które potrafiły przy zderzeniu posiekać pojazd i kierowcę dosłownie na plasterki.

Bagna nie nadawały się na teren wycieczek na grawicyklach, o wyścigach nawet nie mówiąc. Ale obaj chłopcy przemykali przez luki w krzewach i nad wodnymi oczkami, a gdzie tylko się dało, bezlitośnie walczyli o lepszą pozycję. Wrzeszczeli przy tym i próbowali strącić jeden drugiego z pojazdu, jakby obaj byli nieśmiertelni. Słyszając hałaśliwy doping tłumu Dengar poczuł się przez chwilę niezwycięzony, chociaż ścigał się przecież z wielkim Hanem Solo, który, tak samo jak on, nigdy dotąd nie zaznał porażki.

Na ostatniej prostej obaj zeszli jak najniżej, by nabrać szybkości. Dengar pochylił się, kiedy tuż obok zamigotały zlewające się w jedną zamazaną ścianę krystaliczne ostrza. Woda przed nim wrzała, woń siarki drażniła nozdrza. Oby tylko nie pojawił się nagle gejzer, gotów ugotować go żywcem. Jedno z ostrzy dostrzegł zbyt późno i w ułamku sekundy stracił koniuszek ucha. Krew pociekła mu na kark.

Z krzykiem wypadł z zarośli. Nie zobaczył Hana Solo ani przed sobą, ani obok i serce zabiło mu żywiej z radości. Pojawiła się nadzieja na wygraną. W tej samej chwili grawicykl Hana opadł z góry, uderzył Dengara stabilizatorem w tył głowy i wionął mu ogniem z dysz prosto w twarz.

Pojazd chłopaka obniżył lot i wbił się dziobem w lustro wody. Dengar wyleciał z siodełka. Ostatnie, co zapamiętał sprzed upadku, to widok błękitnego, parującego jeziora i coraz bliższa sylwetka najeżonego krystalicznymi ostrzami drzewa...

Zginałem, pomyślał, ale było już za późno.

Lekarze powiedzieli potem, że uratował go kask. Odbił większość ostrzy, które inaczej poszatkowałyby mu mózg. A tak tylko jedno znalazło drogę do wnętrza czaszki. Sanitariusze, którzy wyciągali go z krzaków, naliczyli jeszcze tuzin innych, poważnych ran na całym ciele.

Trafił na stół operacyjny. Jego stan był tak poważny, że tylko imperialni chirurdzy byli w stanie przywrócić mu sprawność. Podjęli się dzieła, potraktowali jednak operacją jako okazję do inwestycji. Dengar już wcześniej odznaczał się wspaniałym refleksem, uznali zatem, że może przydać się w służbie Imperium.

Usunęli z jego mózgu to, co ich zdaniem nie było mu już potrzebne. Zaszylili rany, ale przy okazji wszczepili w nogi i ręce nową sieć nerwową. Zregenerowali skórę twarzy, dali nowe oczy i nowe uszy. Wszystkie dzienniki trąbiły potem o jego „cudownym” wskrzeszeniu.

Gdy wrócił do zdrowia, zaczęli szkolić go na zabójcę. Podawali mu przy tym niebezpieczne amnezyjne psychotropy, które wprawdzie wyczyściły mu pamięć, ale wywołały też skłonność do ulegania halucynacjom.

Potrząsał trzymanym w górze człowiekiem i krzyczał do niego:

- Nazywasz ją uczciwą? Uczciwą?

- Nie! - krzyknął Solo, ale Dengar nie uwierzył w szczerłość tego wyznania. - Nie, proszę!

- Zamknij się! - warknął Dengar i zaniósł swoją ofiarą sto metrów dalej, nad strome urwisko.

Wyjął zza pasa granat, wpakował go w otwarte usta Solo i nacisnął detonator.

Przez pełne dziesięć sekund rozkoszował się tym widokiem, aż wreszcie cisnął mężczyznę w przepaść. Sam poczuł, jak to jest, pomyślał, gdy leci się bezradnie na spotkanie ze śmiercią.

Potem jeszcze strzelił dwa razy do spadającej postaci.

Granat eksplodował, zanim Solo uderzył o ziemię, ale jeśli ktokolwiek to widział, z pewnością pomyślał, że to ptak nurkujący w pościgu za kolejną zdobyczą.

Dengar stał długą chwilę na szczycie urwiska czekając, aż oddech mu się uspokoi i myśli zwolnią bieg. Zdawało mu się, że wokół niego unosi się powoli gęsta zasłona mgły. Stopniowo odzyskiwał panowanie nad sobą. Jeszcze przed chwilą był pewien, że zabił Hana Solo, ale teraz wiedział już, że nie. To nie był, to nie mógł być Han Solo. Ot, jeszcze jeden drobny oszust.

Nagle usłyszał wycie silnika wjeżdżającego na górę ślizgacza. Przedtem był głuchy na wszystko, co działo się dookoła; zresztą okoliczne wzniesienia mogły stłumić warkot zbliżającego się pojazdu.

Dengar zrozumiał, że całkiem zatracił poczucie upływu czasu. Nie pierwszy raz doświadczał czegoś podobnego po dokonaniu zabójstwa. Stał tu chyba z pół godziny, dość, żeby szturmowcy zdążyli wrócić z dziewczyną.

Zanim jeszcze ślizgacz się zatrzymał, jeden z żołnierzy dostrzegł Dengara i wyskoczył sięgając po broń.

Łowca wyciągnął swój ciężki blaster i wycelował go w białą postać.

- Na twoim miejscu bym tego nie próbował - powiedział. - Przynajmniej jeśli chcesz żyć.

- Nazwisko! Numer! - warknął szturmowiec głuchym, zniekształconym przez głośniki głosem.

Rękę cały czas trzymał w pobliżu pasa.

- Nazywają mnie Zapłata - oznajmił Dengar, używając znanego w tym rejonie przezwiska. - Imperialny zabójca pierwszego stopnia. Teraz połóż ręce na karku.

Szturmowiec posłuchał. Drugi zgasił silnik i też wysiadł. Dengar kazał im stanąć obok siebie.

Mimo niecodziennych okoliczności wydawali się dziwnie spokojni. Dengar zastanowił się, czy pozbawieni masek też robiliby podobne wrażenie.

Przywieziona przez nich tancerka, Manaroo, naprawdę była śliczna, co dało się zauważyć dzięki bladej poświacie z konsoli ślizgacza. Nosila jedwabną, srebrzystą szatę narzuconą na błękitną skórę; wokół kostek i nadgarstków miała wytatuowane gwiazdy i księżyc. Oczy lśniły jej w ciemności.

- Kto jest twoim celem? - spytał jeden ze szturmowców myśląc najwyraźniej, że to oficjalnie zlecona akcja.

Dla lepszego efektu Dengar odczekał chwilę z odpowiedzią.

- Kritkeen. Zrobiłem już swoje, więc nie macie szans go uratować.

- Kritikken to oficer COMPNOR-u! - zaprotestował szurmowiec. - Imperium nigdy nie zatwierdziłoby podobnej akcji! Skąd dostałeś rozkazy?

- To nie była akcja zlecona przez Imperium - przyznał Dengar, skoro już go zapytano. - Przyjąłem prywatne zlecenie. Mój pracodawca przedstawił się jako reprezentant stowarzyszenia wolnych obywateli, którzy pragną położyć kres działalności korekcyjnej Imperium. Zostałem wynajęty do usunięcia dziesięciu oficerów COMPNOR-u.

Szurmowcy spojrzeli po sobie, a Dengar wyczuł, że szykują się do ataku. Zastanawiał się, czy uwierzyli w jego groźbę. Gdyby naprawdę zamierzał usunąć aż dziesięciu oficerów tej osobliwej organizacji, nigdy by się z tym nie zdradził. Skłamał, by przysporzyć zmartwień co najmniej paru wysoko postawionym osobom, które teraz dołożą starań, by go dopaść. Tego właśnie chciał.

- Zdejmijcie hełmy i wrzucie je do ślizgacza. Tak samo broń - polecił. Gdy byli już rozbrojeni i bez łączności, machnął blasterem w kierunku stromego zbocza nad doliną. - Podejdźcie do krawędzi i biegiem na dół!

Zawahali się, może z obawy, że strzeli im w plecy, wypalił więc pasmo trawy u ich stóp, żeby się ruszyli.

Potem podszedł do ślizgacza. Dziewczyna patrzyła na niego z przerażeniem. Ręce miała skute z przodu. Dengar uniósł jej ramiona, przytrzymał łańcuszek kajdanek i przestrzelił.

- Zabiłeś go? Zabiłeś Kritikkeena? - spytała Manaroo. Miała silny i lekko zachrypnięty głos, który nie pasował do wdzięcznej, delikatnej sylwetki.

- Kritikken nie żyje - potwierdził Dengar, siadając na miejscu kierowcy. Zapalił silnik i zawrócił w kierunku miasta.

- Więc COMPNOR opuści naszą planetę? Zrezygnują ze swojego programu?

- Nie. - Dengar zrozumiał, że pokojowo nastawieni mieszkańcy Aruzy naprawdę nie wiedzą, czym jest wojna ani jak działa armia. - To nie tak. Gdy Imperium dowie się o śmierci Kritikkeena, przekaże jego obowiązki następnemu rangą. Ten będzie piastował je do czasu, aż góra przyśle nowego oficera. Za kilka tygodni będziecie mieli kolejnego generała, który okaże jeszcze większą surowość niż Kritikken.

- To co możemy zrobić?

Dengar zastanowił się. Ci ludzie nie mieli broni, nie potrafili walczyć.

- Uciekać. Ty masz mieć zabieg jutro, musisz więc uciec jeszcze tej nocy.

- Ale Imperium zniszczyło nasze statki! Nie ma ucieczki!

Obejrzał się. Dziewczyna wpatrywała się w niego z natężeniem; w jej oczach widział zdumienie i szacunek. Nie widział takiego spojrzenia od wielu lat.

- Mógłbyś mnie uratować - powiedziała. - Mógłbyś zabrać mnie tam, gdzie sam się udajesz. Jesteś dobrym człowiekiem?

Takiego pytania nikt nigdy jeszcze Dengarowi nie zadał. Niewiele zdarzyło mu się w życiu chwil, kiedy był „dobry”. Na dodatek Imperium usunęło mu z głowy tę część mózgu, która pozwalała odróżniać dobro od zła... Podniósł kołnierz. Nie po to, żeby zakryć szramy od dawnych oparzeń, ale żeby nie było widać jego cyborgowych podłączeń.

- Niby skąd mam to wiedzieć, szanowna pani, skoro nie wiem, czy w ogóle jestem jeszcze człowiekiem?

Minął grań i skręcił w następną dolinę. Potem zjechał z drogi w kierunku kępy drzew. Jego własny statek stał nieco dalej, zamaskowany w zaroślach. Przewidywał, że będzie musiał się szybko

ewakuować.

Co do dziewczyny, to zamierzał zostawić ją gdzieś tutaj. Wolał uniknąć dodatkowego kłopotu. Co prawda jego statek, stary koreliański JumpMaster 5000, był dość obszerny. Starczyłoby miejsca. Rzeczywiście, mógłby podrzucić dziewczynę gdzieś dalej. O ile będzie warto.

Minął drzewa, za którymi stał okryty dodatkowo siatką maskującą „Skazaniec I”. Jednostki typu JumpMaster zaprojektowano do zadań zwiadowczych i służby na nie zasiedlonych światach. Miejsca na nich wystarczało akurat dla pilota i jednego pasażera lub niewielkiego ładunku. Miały kształt litery U i całkiem porządne uzbrojenie: torpedy protonowe, poczwórny blaster i małe działko jonowe. Dengar używał swojego od lat. Już kiedyś uznał, że pisane mu samotne życie; powtarzał sobie, że i tak nie pasowałby do jakiegokolwiek towarzystwa. Jednak teraz poczuł, że chciałby mieć kogoś ze sobą.

- Chodźmy - powiedział. - Lecisz ze mną.

- Dokąd? - spytała dziewczyna, rozglądając się wokół. Było zbyt ciemno, żeby mogła dostrzec zamaskowaną jednostkę.

- Gdziekolwiek, byle daleko. Po drodze coś wymyślimy. Złapał ją za rękę i pociągnął w kierunku „Skazańca I”. Nie trudził się nawet, by ściągnąć siatkę, tylko zanurkował pod nią, otworzył właz i wciągnął dziewczynę za sobą. Po chwili siedział już za sterami. Musiał wydostać się ze studni grawitacyjnej planety w taki sposób, żeby nie dać się przy tym zestrzelić. Miał nadzieję, że wieść o jego robocie jeszcze się nie rozeszła.

Uruchomił silniki, wzniósł się nieco i zaczął nabierać szybkości lecąc tuż nad wierzchołkami drzew. Zerknął na wyświetlacz: na orbicie tkwił tylko jeden gwiazdny niszczyciel, nisko nad horyzontem, po lewej. Dengar skierował statek w przeciwnym kierunku i polecił kompowi zaplanować parametry pierwszego skoku.

- Lepiej idź do tyłu i zapnij pasy - rzucił przez ramię. - Za chwilę może zacząć bujać.

Nie musiał czekać długo, żeby niszczyciel wysłał w pościg eskadrę myśliwców TIE. Dengar włączył tylny ekran. „Skazaniec I” potrafił rozwijać większą szybkość niż można by sądzić po jego wyglądzie. Na krótko przedtem, zanim myśliwce doszły na odległość pozwalającą na skuteczny ostrzał, w oknach sterówki zajaśniała białobłękitna poświata nadprzestrzeni.

Byli wolni. Dengar przeszedł do tyłu, gdzie znalazł Manaroo klęczącą obok koi. Dziewczyna płakała.

Dengar spróbował sobie przypomnieć, dlaczego ludzie płaczą.

- Jeśli chcesz, to mam coś do jedzenia i do picia - powiedział, pokazując na moduł spożywczy i rozlewacz napoi.

- Czy możemy skontaktować się z moimi rodzicami? Chciałbym powiedzieć im, że odleciałam.

- Jasne.

Stał tak jeszcze przez chwilę zastanawiając się, co więcej mógłby powiedzieć.

- Dengarze... - odezwała się Manaroo i spojrzała na niego z zaciekawieniem. Miała okrągłą twarz, a w świetle kabiny widać było wyraźnie, że włosy i skóra są nieco jaśniejsze niż zwykle u Aruzan. Tatuaze fosforyzowały lekko, wokół roztaczała się delikatna woń perfum. Była smukła, choć silnie zbudowana - urodzona tancerka. - Dlaczego zabiłeś Kritkeena? Jeśli Imperium nadal będzie prześladować nasz lud, co może zmienić jedno zabójstwo?

Dengar mógłby na poczekaniu podać z tuzin sensownych powodów: że zrobił to dla pieniędzy, że Kritkeen był skończonym draniem i zasłużył na swój los... i że przypominał mu Hana Solo.

Ostatecznie postanowił wyjawic tylko czesc prawdy, moze dlatego, ze rzadko dotad miewal w tej materii jakikolwiek wybor. W jego zawodzie klamstwo staje sie normalnym odruchem.

- Zrobilem to, poniewaz szukam pewnego czlowieka, a tylko w ten sposob moglem sie przekonac, na ile blisko do niego dotarlem.

- Kogo szukasz? - spytala coraz bardziej zaintrygowana Manaroo.

- Nazywa sie Han Solo. Slyszaalas moze kiedyś o nim?

Nie bylo raczej szansy, by ktokolwiek kojarzyl osobe Hana Solo na tak prowincjonalnym swiecie, ale Dengar wolał sie upewnic. Nie byl wcale zdziwiony, gdy dziewczyna zaprzeczyla.

- To przemytnik, za ktorego glowe wyznaczono spora nagrode. Lubi szybkie statki i ciezka broń. Poluje na niego od ponad roku. Dwa razy, na Tatooine i potem na Ord Mantell, bylem juz bardzo blisko, akurat na tyle, by zobaczyc, jak odlatuje na swoim statku, „Sokole Millenium”. Dość juz mam tego wystawiania mnie do wiatru.

- Myslales, ze Kritkeen bedzie wiedzial, gdzie Solo teraz przebywa?

- Nie - zaprzeczyl Dengar. - Ale ja i wielu innych lowcow nagrod probujemy wytropic go od dluzszego czasu i w calaj galaktyce nie natrafilismy na zaden slad.

- I przypuszczasz, ze rozbil sie na jakimś pustkowiu albo ukrywa sie na oddalonej planecie w rodzaju Aruzy?

- Slyszałem pogloski o jakimś mlodym zapaleńcu, który wysadził Gwiazde Śmierci. Sprawdziłem raporty. Statek Hana, „Sokół Millenium”, tez tam byl. Wychodzi na to, ze przyłączył sie do Rebelii i ukrywa sie teraz nie tylko przed lowcami nagrod.

- Dalej nic nie rozumiem. Wiesz, czy nie wiesz, gdzie on jest?

- Nie wiem - odparł Dengar zaskoczony, ze powiedzial aż tyle. Nie zeby obawial sie wyjawic cos niewlasciwego, ale przywykl do milczenia. Nie wiedzial, czy nie przesadza teraz z otwartoscia. Chociaz... to i tak niewazne. Gdyby domyslila sie zbyt duzo, zawsze zdazy ja zabic. - To wiedza tylko Rebelianci, a oni go chronia. Musze znalezc sposob, zeby sie do nich przylaczyc, ale watpie, by latwo mnie zaakceptowali. Jestem imperialnym zabojca. Kritkeen byl jednym z najbardziej zawzietych wrogow Rebelii, a przeciez jest jeszcze wielu innych, jemu podobnych, ktorymi moge sie zajac. Gdy tylko Imperium nalozyl cene na moja glowe i oglosi mnie swoim wrogiem, to moze Rebelianci beda sklonni udzielic mi schronienia. A gdy juz bede z nimi, znajde Hana Solo.

- Szykujesz sam sobie zgube - powiedziala Manaroo, a w jej czarnych oczach pojawil sie strach. - Imperium cie zgladzi.

Dengar rozesmial sie.

- Cóz, nie mam nic do stracenia. Wiesz co, najlepiej poloz sie teraz i zdrzemnij - dodal i ziewnal. Przywykl do cyklu dobowego Aruzy i zaczynal sie robic senny.

Kilka dni pozniej zostawil Manaroo na pewnej malo uczesczczanej planecie. Dal jej kilkaset kredytow, by miala za co kupic bilet gdzieś dalej, i przez kilka nastepnych miesiacy prawie o niej nie myslal. Znów byl sam, ale jakoś mu to nie dokuczalo, bo poszukiwania Hana Solo pochlonely go bez reszty. Przemierzal obrzeza galaktyki, wyszukiwal lokale uczesczczane przez przemytnikow i zabojcow, ale ciagle bez skutku. Przez ten czas dwa razy wyslal Jabbie meldunek o swoich poczynaniach.

Zamordowal brutalnie jeszcze pieciu oficerow COMPNOR-u, sam zaś stal sie celem czterech innych zabojcow. Wszystkich potraktowal na tyle bezpardonowo, ze zabraklo chetnych i potem mial juz spokój.

Gdy wchodził do kasyn, powtarzano szeptem jego przezwisko, a na co bardziej zapadłych planetach nierzadko zdarzało się, że w oczach spotkanych na ulicy kobiet czy dzieci znajdował szacunek. Bywało, że ten czy ów pozdrowił go głośno; Dengar przyglądał się wtedy ze zdumieniem, nie wiedząc o co chodzi.

Planeta Toola była zimna i ciemna. Krążyła daleko od swojej macierzystej gwiazdy i na jej powierzchni królowały kopalnie. Tubylcy, Whiphidowie, byli wielkimi istotami obrośniętymi brunatną sierścią, która zimą robiła się biała. Mieli potężne kły i trudno by ich było nazwać cywilizowanymi. Ci najprymitywniejsi wciąż polowali z włóczniami o kamiennych ostrzach, a plemiona mieszkające bliżej kopalń robiły co mogły, by zdobyć metalowe toporki albo nawet przemycane spoza planety wibronoże. Większość prac w kopalniach wykonywali ręcznie. Byli twardzi, niezależni, o barbarzyńskich zwyczajach. Dengar od razu ich polubił.

W końcu trafił do jednego z ich obozów, gdzie zasiadł do gry w karty z pewną umytą kobietą (w takim miejscu to prawdziwa rzadkość), która w dodatku była całkiem porządnie ubrana.

Gra toczyła się w chacie Whiphidów - namiocie zszytym ze skór rozpiętych na kościach klatki piersiowej jakiejś wielkiej bestii. Kobiety tubylców śpiewały przy huczącym ogniu i częstowały gości słodko pachnącą papką z jakichś porostów. Nad ich głowami unosiły się chmury dymu z płonącego oleju.

Partnerka Dengara, kobieta o ostrych rysach, jasnych włosach i czujnych oczach, w pewnej chwili pochyliła się ku niemu i wyszeptwała:

- Czegoś tu nie rozumiem, stary. Jesteś zawodowym imperialnym zabójcą, więc dlaczego zwróciłeś się przeciwko Imperium? Przecież wiesz, że cię za to zabiją.

Dengar westchnął; nieraz musiał to tłumaczyć przez ostatnich kilka miesięcy.

- Bo tak trzeba. Muszę walczyć z Imperium, nawet gdybym miał robić to sam. A dlaczego? Szaleńczo przeważyło chyba polecenie zabicia świętych dzieci z Asratu.

- Co to za dzieci?

- Sieroty, które mieszkają w świątyni i poświęcają się służbie dobru. Potępiały Imperatora i ślubowały odmawiać mu miłości i wsparcia, tak to w każdym razie określały. Próbowaly nawet oficjalnie zerwać wszelkie kontakty swojej planety z Imperium. Ale Imperator nie toleruje żadnych przejawów buntu, nawet w wykonaniu dzieci. I tak miałem do wyboru: zabić te dzieciaki albo zejść imperialnym z oczu. Woląłem to drugie.

- A czym naraził ci się COMPNOR? - spytała kobieta.

- To najbardziej zgniła odrośl Imperium. Mało kto zasłużył tak naprawdę na paskudny koniec z rąk zabójcy, ale większość podobnych indywidualistów pracuje właśnie tam.

Kobieta przyjrzała mu się uważnie. Cały wieczór zachowywała ostrożność. Starła się zachowywać przyjacielsko, ale jednocześnie uważała, żeby się nie odsłonić.

- Mówią, że w trakcie szkolenia na zabójcę usunięto ci część mózgu. Nie masz sumienia, nie żywisz żadnych uczuć. Jakim sposobem ustalasz, co jest dobre, a co złe?

Dengar zwilżył językiem wargi. Wiedział, że nikt nie może wiedzieć na ten temat nic pewnego. Szczegóły działań chirurgów były całkowicie tajne, podobnie jak jego akta wojskowe. Ta kobieta raczej nie miała szansy ich czytać. Podobną wiedzę mógłby się wykazać funkcjonariusz pewnych służb Imperium albo... agent Rebelii. Dengar zastanowił się, z kim ma do czynienia. Narobił już dość szumu, by rebelianci zechcieli się z nim skontaktować. Właściwie powinni zrobić to już dawno, ale może bali się zdrady. W razie czego przysłałiby na pewno kogoś o szczególnych kwalifikacjach, kto

umiałby wy badać jego prawdomówność; kogoś obdarzonego zdolnościami empatycznymi albo i telepatycznymi.

- Dzięki wspomnieniom - odpowiedział Dengar wiedząc, że rozmówczynie uzna te słowa za szczerze, nawet jeśli jest telepatką. - Pamiętam, na czym polega różnica między dobrem a złem, chociaż sam jej teraz prawie nie dostrzegam.

- Musisz czuć się bardzo samotny i wystraszony, prowadząc taką walkę.

- Nie odczuwam już strachu. To też mi odebrano - stwierdził Dengar. Do bólu, który sprawiało mu osamotnienie, wolał się nie przyznawać.

- A co z rebelią? Próbowalesz się do nich przyłączyć?

- Nie sądzę, żeby mnie chcieli - roześmiał się głucho Dengar. - Dość zła wyrządziłem. Chyba woleliby skazać mnie na śmierć.

- Może - mruknęła kobieta, jakby chciała zakończyć temat. Wrócili do kart.

O świcie, gdy Dengar zamierzał opuścić Toolę, odkrył że ktoś przeprogramował mu komputer nawigacyjny wpisując kurs na bezimienną gwiazdę na najdalszym skraju galaktyki. Na kurzu pokrywającym jeden z monitorów czyjś palec wypisał: „Przyjaciele”.

Włączył silniki i wystartował. Podane koordynaty doprowadziły go do małego posterunku Rebelii, gdzie ekipa funkcjonariuszy wywiadu badała go przez trzy dni. Ostatecznie przeszedł testy i został uznany za swego.

Jak wielu rebeliantów, tak i on miał teraz działać w paru dziedzinach. Ze względów moralnych sojusz nie palił się do korzystania z usług zabójców, skierowano go więc do planowania kolejnych rajdów, modernizowania konstrukcji szturmowych grawicykli i uczenia oddziałów sabotażowych, jak najlepiej unieszkodliwiać imperialne stocznie remontowe.

Niedawno utworzona placówka, do której dostał przydział, leżała w systemie Hoth.

II. Nadzieja

Gdy Dengar wyszedł z nadprzestrzeni w systemie Hoth, czujniki zbliżeniowe „Skazańca I” natychmiast zapłonęły na alarm. Wyświetlacz pokazał nadlatujący dokładnie z naprzeciwka gwiazdny superniszczyciel, za którym leciało z tuzin dalszych niszczycieli, stado fregat, myśliwców TIE i transportowców.

Poniżej jaśniała niczym perła biała lodowa planeta, otulona szczelną powłoką chmur i śniegowych zamieci.

Dengar natychmiast zmienił kod w transponderze; jego JumpMaster zaczął identyfikować się jako imperialny zwiadowca. Był to stary kod, sprzed paru miesięcy, jednak Dengar nie mógł w tych okolicznościach ryzykować ucieczki. Gdyby zmienił kurs i chciał okrążyć flotę, imperialni z miejsca nabraliby podejrzeń. Skierował się zatem w sam środek zgrupowania w nadziei, że nikt nie będzie zbyt wnikliwie przyglądał się jego statkowi i nie spyta, czemu nie nosi oznaczeń Imperium.

Walka już się zaczęła. Dengar patrzył, jak rebelianckie frachtowce i myśliwce pod osłoną ciężkich dział jonowych wywalczają sobie drogę na orbitę. Niszczyciele próbowały przechwycić i zniszczyć te jednostki, które wyrwały się z planety.

Przemknął między dwoma niszczycielami i dołączył do eskadry nurkujących ku powierzchni planety myśliwców.

Drugą drogę przebył, żeby odszukać Hana Solo. Skoro już dotarł na Hoth, nie zamierzał się łatwo poddawać.

- Imperialny zwiadowca - rozległ się nagle w słuchawkach głos jednego z pilotów TIE. - Czemu wchodzisz nam na ogon?

- Mam zbadać przyczynę fluktuacji mocy w perymetrze bazy rebeliantów - skłamał czym prędzej Dengar. - Pomyślałem, że z wami łatwiej zejść na dół. Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam.

- Nie zostaliśmy powiadomieni o twojej misji.

- W wywiadzie tak zawsze - rzucił Dengar. - Wiecie, jak to jest. Gdyby ktoś was zawiadomił, musiałbym mu skuć mordę po powrocie.

Ta odpowiedź najwyraźniej zadowolili dowódcę eskadry. Nie zmieniali kursu, aż w polu widzenia pojawił się nagle lecący kontrkursem frachtowiec rebeliantów - mały błysk na wyświetlaczu. Myśliwce ruszyły, żeby go przechwycić, a Dengar się zagapił. Popelniał poważny błąd.

Czerwona kula energii, która poderwała się z powierzchni planety, gnała prosto w jego kierunku. Dengar spróbował jeszcze skręcić, żeby ją wymanewrować, ale było za późno. Ładunek ogarnął jego statek, aż wszystkie systemy zatrzeszczały. Łowca czuł, jak prąd unosi mu włosy na głowie. Nagle wszystkie wskaźniki i ekrany pogasły, w kabinie zrobiło się ciemno i chłodno. Zatrzymały się nawet wentylatory tłoczące powietrze do kabiny.

Dengar zaczął nadawać sygnał pomocy, ale wiedział, że to nic nie da. Z wyłączonymi osłonami i spolaryzowanymi obwodami dryfował bezwładnie w przestrzeni. Szczęśliwie zdołał wcześniej na tyle zmienić kurs, że oddalał się od planety.

Myśliwce pod nim przyspieszały w odwrotnym kierunku. Też zostały trafione i za parę chwil

miały się rozbić.

Statek Dengara minął o włos niszczyciela i ruszył w nieskończoną podróż ku odległym gwiazdom. Łowca patrzył, jak wielki okręt oddala się coraz bardziej.

Widocznie jednak jakiś dyżurny oficer na pokładzie okrętu musiał zauważyć, co się dzieje, bo „Skazaniec I” zwolnił w pewnej chwili i przyciągany promieniem wiodącym zawrócił w kierunku niszczyciela.

Dengar zastanawiał się, co mu przyniesie imperialna niewola. Był poszukiwany, zaocznie skazano go na śmierć.

Przesuwając się obok szarego kadłuba starał się odgadnąć, do którego luku go kierują, gdy nagle w polu widzenia przemknął koreliański lekki frachtowiec. Wystrzelił kilka razy ku bateriom niszczyciela i mimo trzech TIE siedzących mu na ogonie, zwinnym manewrem ominął promienie wycelowanych w niego laserów.

- Solo! - krzyknął Dengar, gdy „Sokół Millenium” zakończył manewr. Odruchowo nacisnął spust protonowych torped, ale oczywiście nic się nie zdarzyło.

„Sokół” zawrócił tymczasem i minął statek łowcy. Dengar pobiegł do tylnego iluminatora w nadziei, że jeszcze coś zobaczy. Frachtowiec i ścigające go myśliwce były już tylko małymi punkcikami, ale Imperium zmodyfikowało przecież oczy zabójcy. Nastawił je na maksymalne powiększenie i dojrzał, jak statek Hana przyspiesza w stronę zgrupowania trzech niszczycieli, a potem znika w przestrzeni. W końcu nawet Dengar nie mógł niczego wypatrzeć.

A potem „Skazaniec I” został wciągnięty do wnętrza niszczyciela i łagodnie spoczął na płycie hangaru.

Nie trwało długo, a tuzin szturmowców wysadził drzwi. Dengar złapał w obie ręce po blasterze i pognął korytarzem, by zabić przynajmniej paru, zanim go dopadną, gdy nagle parę metrów przed nim wylądował granat gazowy.

Spróbował wstrzymać oddech, ale było za późno. Zrobił trzy chwiejne kroki i nagle poczuł się tak, jakby stracił oparcie dla stóp.

Z głuchym łoskotem padł na wykładzinę. Wciąż wszystko widział i słyszał, ale nie mógł się ruszyć.

Po paru minutach szturmowcy zawlekli go do celi przesłuchań.

Nie zabito go natychmiast. Został naszprycowany narkotykami, które miały ułatwić wyciągnięcie z niego wszystkich możliwych informacji, podłączono go też do skramblera. Przesłuchujący znali jego imię i sporo faktów z jego życia. Potrafili złamać blokady dostępu do systemów jego statku i dowiedzieć się w ten sposób, gdzie latał. Odczytali informacje z jego kart chipowych i ustalili, od kogo otrzymywał pieniądze i na co je wydawał.

Wypyтали go o pracę dla rebeliantów i o motywy, którymi się kierował zabijając imperialnych funkcjonariuszy. Ostatecznie potwierdzili wyrok śmierci i zamknęli Dengara na cały dzień w celi. Od razu zaczął myśleć o ucieczce. Poprzysiągł sobie, że nie wezmą go tak łatwo do pokoju straceń. Przynajmniej jeden oprawca zapłaci za te wysiłki życiem.

Gdy obudził się w nocy, zdał sobie sprawę, że tuż obok słyszy dziwnie brzmiący oddech. Jakby ktoś używał respiratora.

Odwrócił się na drugi bok. Przed nim stał olbrzym w czarnym stroju i równie czarnym hełmie zakrywającym twarz. Dengar nie spotkał go nigdy przedtem, ale wiedział, że ma do czynienia z Darthem Vaderem, okrutnym lordem Sithów.

Sam Darth Vader... Stał w otwartych drzwiach celi i patrzył na Dengara. Może nawet nie tyle patrzył, co zdawał się go badać od środka.

Dengar przyjrzał mu się i doszedł do wniosku, że nadszedł czas egzekucji, a tym samym pora na desperackie działania. Przy odrobinie szczęścia mógłby obezwładnić Vadera jednym ciosem, a potem może nawet udałoby mu się go po cichu zabić i uciec.

Lord Sithów uniósł rękę i Dengar poczuł nagle zaciskającą się na szyi niewidzialną obręcz.

- Nawet o tym nie myśl - zadudnił ochryply głos.

Dengar podniósł ręce w geście kapitulacji i oparł się plecami o ścianę celi. Duszący nacisk zelżał.

- Jeśli chcesz mnie zabić, to bierz się do roboty! Nie mam nic do stracenia! - krzyknął. - Ale nie baw się mną!

- Nie jestem Imperatorem - powiedział złowieszczo Vader. - Zabijam tylko wtedy, gdy muszę, nigdy dla zabawy.

- No to mamy coś wspólnego - uśmiechnął się Dengar.

- Chyba nie tylko to nas łączy - odparł Vader. - Obaj polujemy na Hana Solo. Niestety, ciąży na tobie imperialny wyrok śmierci, którego nie mogę odwołać, ale gotów jestem rozważyć jego zawieszenie.

- Na jakich warunkach? - spytał Dengar.

- Pozwolę ci żyć, żebyś odszukał Hana Solo. Gdy już go znajdziesz, dostarczysz mi jego i jego przyjaciół. Żywych. Potem, jeśli uznam, że dobrze się sprawiłeś, może cię oszczędzę. Gdybym nie był zadowolony z twoich usług, dam ci czas na ucieczkę. Potem zaczną polowanie.

Darth Vader rzucił Dengarowi blaster. Tak samo było z Kritekenem. Jednoznaczny gest. Jeśli Dengarowi się nie powiedzie, sam stanie się zwierzyną dla Vadera, niegdysiejszego sprawcy zguby rycerzy Jedi. Dengar zwilżył wargi i pomyślał, że to nie taki najgorszy koniec.

- Wiem, że Solo tu był - powiedział. - Musiał ci się wymknąć.

- Niezupełnie wymknąć - stwierdził Vader. - W tej chwili ukrywa się gdzieś w pasie asteroidów. Polecisz tam, żeby go poszukać. Jeśli ci się nie uda... - czarna pięść wykonała niedwuznaczny gest.

- Tak... sir - powiedział Dengar niepewny, czy taka wojskowa odpowiedź jest w tych okolicznościach najwłaściwsza.

- Tak, panie - poprawił go Vader. Dengar zaczerpnął głęboko powietrza.

- Tak, panie.

Darth Vader podszedł bliżej, położył dłoń na ramieniu łowcy i spojrzał mu w twarz.

- Nie zawieź mnie - szepnął.

Potem odwrócił się, a drzwi się otworzyły. Za progiem stał porucznik w prostym imperialnym mundurze. Gdy drzwi zamykały się z sykiem, Dengar usłyszał jeszcze lorda Sithów mówiącego do oficera:

- To przypadkowe spotkanie nasunęło mi pewien pomysł. Zbierzemy zespół łowców nagród, by wspomogli nasze działania...

- Łowcy nagród? Nie potrzebujemy tych szumowin! - powiedział jeden z obecnych na mostku oficerów do swoich towarzyszy. Dengar stał na podwyższeniu, Vader zaś chodził tam i z powrotem, przyglądał się zebranym najemnikom i przekazywał im ostatnie instrukcje.

Łowcy nagród tworzyli nader zróżnicowane towarzystwo; nie było ich wielu, ale ci, co przybyli, zaliczali się do najgroźniejszych. W pierwszym rzędzie niepokój Dengara budził android zabójca IG-

88, ale Vader zaprosił też Bobę Fetta, który właśnie zgłaszał pretensje do Vadera za sprowadzenie konkurencji. Robił to tak gwałtownie, jakby to rywale byli dla niego źródłem największego niepokoju, a nie to, czy podoła zleconemu zadaniu.

- Chcę ich żywych - powtórzył Vader. - Żadnego zabijania.

- Wedle życzenia - mruknął Boba Fett.

Przy konsoli łączności doszło do jakiegoś zamieszania.

- Lordzie Vader, mamy ich! - zawołał jeden z dyżurnych.

Dengarowi serce zamarło. Jeśli imperialni pojmagą teraz Hana Solo, to oferta Vadera straci na aktualności i wyrok zostanie wykonany.

Kiedy wszyscy łowcy wysłuchali w napięciu rozkazów kapitana Needa, niszczyciel ruszył w pościg za „Sokołem Millenium”. Boba Fett odwrócił się i gdzieś pobiegł. Dengar nasłuchiwał jeszcze chwilą, co się dzieje na mostku, aż pojął, że jego konkurent postanowił przyłączyć się do pościgu na własnym statku.

Zanim Dengar dotarł do swojego „Skazańca I”, który stał w doku dwunastym, Boba Fett uruchamiał już „Niewolnika I”, zbudowany przez Zakłady Stoczniowe Kuat statek klasy Firespray, jednostkę znaną z wielkiej szybkości i siły ognia. Najpierw Fett długo sprawdzał, czy nikt przy nim nie grzebał. Gdy Dengar podszedł bliżej, uruchomił się alarm. Fett musiał chyba cierpieć na paranoję, skoro zainstalował czujniki uprzedzające go o obecności każdego przechodnia.

Dengar pospieszył do swojego masywniejszego i prostszego statku. Szybko sprawdził wszystkie systemy. Imperialni technicy usunęli już skutki trafienia ładunkiem jonowym. Wystartował, kierując się na pole asteroidów, W głośnikach słyszał gwar imperialnych komend i meldunków. Niszczyciel zgubił Hana Solo i wysyłał statki, żeby go znowu odszukały. Podczas ostatniego zanotowanego manewru „Sokół” o mało nie staranował wieży niszczyciela, potem zniknął ze wszystkich skanerów.

Dengar uznał, że Solo musiał wrócić na pole asteroidów. Mógł wyłączyć wszystkie systemy, by statek dawał odbicie identyczne jak kawał skały, chociaż z drugiej strony nawet Solo nie był chyba na tyle szalony, by ryzykować podobny manewr. Wszędzie unosiły się potężne złomy skalne, nie były to zwykłe chondryty węglowe, które można przedziurawić jedną salwą, ale niklowo-żelazne asteroidy, zdolne rozbić każdy statek na atomy.

Dengar musiał włączyć pola ochronne na maksymalną moc. Omijał, co się dało, resztę przeszkód rozbijał z dział.

Niektóre z asteroidów dochodziły do rozmiarów małego księżyca, a wysoka zawartość metalu w ich skałach skutecznie blokowała łączność.

Dengar zaczął zrzucać czujniki na co większe złomy; miał nadzieję, że wychwyci dzięki nim jakiś ruch. Szczęśliwie tych akurat urządzeń miał na pokładzie całe setki. Nastawił je na szerokie pasmo częstotliwości. Nasłuchując imperialnego jazgotu przygotowywał się do opuszczenia systemu Hoth.

Kilka godzin w polu asteroidów zszarpało mu nerwy. Chociaż spocony jak mysz, pracował dalej nawet wtedy, gdy imperialna flota zniknęła w nadprzestrzeni.

Jakieś pół godziny później jeden z czujników zameldował o obecności odlatującego statku z wyłączonym transponderem. Jednostka przemieszczała się całkiem wolno, z szybkością podświetlną.

Dengar zbadał jej trajektorię. Sam pozostawał wciąż poza zasięgiem czujników statku Solo i wolałby tego nie zmieniać, jednak podejmując ślad zbliżył się znacznie do skraju pola asteroidów. Wtedy też wychwycił coś dziwnego. Za jego ofiarą podążało coś jeszcze, co zostawiało na ekranach ślad przypominający sztorm jonowy albo wielki meteor. Tajemniczy obiekt trzymał się tuż poza

zasięgiem czujników „Sokoła”.

Dengar skłonny był uznać, że to jeszcze jeden statek. Rzeczywiście po chwili dotarła do niego nadana cienką wiązką transmisja i na monitorach pojawiło się ukryte pod pancerną maską oblicze Bobby Fetta.

- Przykro mi, że muszę to zrobić, przyjacielu, ale Solo jest mój! - powiedział i nadał krótką, zakodowaną w systemie dwójkowym sekwencję.

Dengar od razu się domyślił, że to sygnał detonacji bomby, ale nic nie zdążył zrobić. Huknęło głucho w siłowni, błysnęło, płomienie omiotły sufit. Dengar skulił się odruchowo, ale automatyczne gaśnice nie dopuściły do rozprzestrzenienia się ognia.

Łowca zerwał się z fotela, pobiegł do tyłu, złapał ręczną gaśnicę i otworzył drzwi maszynowni. Cały system nadświetlnego napędu zmienił się w złom.

Bomba, umiejętnie nastawiona i podłożona, uszkodziła statek, ale go nie zniszczyła.

Usuwanie stopionych części i montowanie nowych musiało jednak potrwać kilka dni. O ile oczywiście znajdzie zamienne moduły. Do tego czasu Han Solo zniknie na zawsze.

Dengar zwiesił głowę z rezygnacją. Nie wiedział, od czego zacząć. Po namyśle wrócił do konsoli sterowniczej i raz jeszcze sprawdził trajektorię lotu „Sokoła”. Okazało się, że statek Solo zostawiał nikły ślad cząsteczek gazu, który mógł zostać wykryty nawet po wielu godzinach, a może i dniach.

Spojrzał w czerń kosmosu w kierunku, gdzie zniknął ścigający Hana Boba Fetta.

- Dobra, dziś ci się udało - mruknął. - Ale pewnego dnia przekonasz się, dlaczego nazywają mnie Zapłata.

Wstał z fotela i wziął się do pracy.

Jakiś czas później statek Dengara wśliznął się pomiędzy zwiewne chmury gazu tibanna na Bepinie i skąpany w brzoskwiniowych różowościach skierował się prosto w zachodzące słońce.

Przed nim leżało Chmurne Miasto o lekko lśniących, rdzawych wieżach. Okrążył górne poziomy, pełne kasyn, i poprosił kontrolę lotów o zgodę na lądowanie w najbliższym doku remontowym. Przedstawił się fałszywą rejestracją, ale wołał nie uprzedzać o swoim przybyciu.

Gdy dojrzał stojącego na płycie „Sokoła Millennium”, serce zabiło mu żywiej.

Kontrola lotów wyznaczyła mu miejsce. Czym prędzej wylądował i wymknął się do miasta.

Najpierw odszukał majstra z ekipy remontowej.

- Mam kłopoty z napędem nadświetlnym i łącznością - powiedział. - Daję sto kredytów ekstra, jeśli skończycie w dwie godziny.

- Tak, proszę pana - odpowiedział majster i machnął na swoją ekipę, by wzięła statek na wolne stanowisko.

Dengar tymczasem skierował się na poziom kasyn, gdzie toczyło się właściwe życie miasta.

Jeśli Han Solo był wciąż na miejscu, to zapewne nie oparł się pokusie odwiedzenia luksusowych restauracji i pełnych blichtru domów gry.

Największe z nich było zdolne pomieścić tysiące gości z setek światów. Imperialni oficerowie, przemytnicy, bogaci biznesmeni, gwiazdy mediów, wszyscy zgodnie oddawali się tutaj swoim pasjom.

W głównej sali koncertował zespół złożony z pomarańczowoskórych Turan z nosowymi fletami, elektrycznymi harfami i dyskretną perkusją. Ich brzmienie nie wiadomo dlaczego zrobiło na Dengarze duże wrażenie.

Na scenie wirowała grupa tancerzy, niskich żółtoskórych mężczyzn i kobiet z paskami złocistej

tkaniny na rękach i nogach. Pośrodku ich kręgu tańczyła piękna młoda kobieta o błękitnej skórze i granatowych włosach. Tancerka z Aruzy. Manaroo.

Fruwała prawie nad podłogą, przez cały czas wpatrując się intensywnie w oczy widzów, istot rozmaitych gatunków, siedzących nad talerzami lub przy stołach do gry. Żonglowała przy tym lśnącymi jak księżycy Aruzy kolorowymi kamieniami, co jeszcze bardziej przykuwało uwagę widzów.

W jej tańcu nie było nic szalonego. Hipnotyzowała spokojem, podobnie jak widok fal załamujących się na pustej plaży lub ptaków przecinających jasne niebo. Bardziej żywił niż żywa istota. Przyciągała spojrzenia, jak słońce przyciąga krążące na jego orbitach planety.

Wpatrzony w nią Dengar niemal po omacku dotarł do wolnego stolika. Zamówił obiad i lekkie wino.

Po pewnym czasie zespół zmienił brzmienie. Przed estradą włączono grawipole wznoszące, wewnątrz którego wlatywały i opadały barwne kawałki szkła tworząc podświetloną fontanną, mieniającą się fioletem, zielenią i złotem. Do środka skoczyły dwie tancerki i rozpoczęły występ w stanie nieważkości.

Manaroo zeszła tymczasem ze sceny i przysiadła się do stolika Dengara.

- Mogłem się domyślić, że najprędzej trafię na ciebie w jednym z takich miejsc, na które Imperium nie zwraca większej uwagi - powiedział.

Manaroo spojrzała na swoje dłonie. Chociaż występ udał się jej doskonale, była dość spięta.

- Musiałam wydostać się poza Imperium - stwierdziła. - Ale teraz dotarli i tutaj. Złapali tego, którego tak szukali, Hana Solo. Słyszałam o tym od jednego z ochroniarzy.

Dengar był zaskoczony. Zwykle uważał tych, którzy nie brali mnemotyków, za dość ograniczonych.

- Pamiętasz o Hanie Solo? Przez tyle czasu?

- Chciałam pomóc ci go znaleźć - powiedziała Manaroo. - Chciałam ci się odwdziżyć. Też go szukałam. - To zdumiało Dengara jeszcze bardziej. Jeden drobny gest, a rozwiązałaby największy jego kłopot. - Tyle że nie wiedziałam, że on tu jest aż do chwili, gdy go ujęli. Ten ochroniarz powiedział też, że Imperium zamierza go wydać innemu łowcy nagród, który tu za nim przyleciał, Bobie Fettowi.

- Czyli Boba Fett też tu jest? Tancerka pokiwała głową.

- Ktoś taki jak Boba Fett nie zostawi zdobyczy. Poczekaj, aż będzie mógł go załadować na swój statek i dopiero wtedy odleci.

Dengar kusiło, by załatwić konkurenta i odebrać mu zdobycz, ale przez kilka dni złość mu przeszła. Owszem, Fett podrzucił mu bombę na statek, ale zrobił to w taki sposób, żeby nie zabić Dengara i dać mu szansę powrotu z próżni. Gest całkiem miły i wcale niekonieczny.

Łowca myślał więc raczej o rewanzu. Owszem, chciał wykraść Hana Solo, który tak czy tak był jego zasadniczym celem, a przy okazji chętnie posłałby Fetta do szpitala.

- I co teraz zrobisz? - spytała Manaroo.

- Jeśli imperialni nie wydali jeszcze Solo, to znaczy, że go przesłuchują - zastanowił się głośno Dengar. - To może potrwać kilka dni.

Zjawił się kelner i łowca zaproponował dziewczynie, by zamówiła obiad na jego rachunek. Usiadł wygodnie i przyjrzał się jej dokładnie. Wciąż wyglądała na speszoną, gotową przeproszać, że go zawiodła, ale zaskakiwał go jej upór. Ostatecznie wydobyć podobnych informacji nie mogło być

dla niej łatwą sprawą. Dengarowi przyszło nagle do głowy, że mógłby spróbować zrobić z niej swoją współpracowniczkę.

- Podobał ci się mój taniec? - spytała.

- Pięknie tańczyłaś. Prawdę mówiąc nigdy nie widziałem nikogo równie dobrego. Jak się tego nauczyłaś?

- To łatwe. Na Aruzie wszyscy korzystamy z interfejsów, by przekazywać sobie emocje. Jesteśmy technoempatami. Gdy tańczę, zawsze świetnie wiem, co podoba się widzom, wybieram więc te figury, które chcą zobaczyć.

- Ale nie poświęcasz im się w pełni - powiedział Dengar.

- Dlaczego tak mówisz?

Dengar przez dłuższą chwilę szukał stosownych słów.

- Gdy tańczyłaś, zapragnąłem, żebyś tańczyła tylko dla mnie. Przypuszczam, że wszyscy mężczyźni muszą cię odbierać podobnie.

Manaroo uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy. Miała źrenice tak intensywnie czarne, że wyraźnie odbijały się w nich wiszące pod sufitem jasne kule.

- Masz rację. Zawsze tańczę tak, jakbym bez reszty poświęcała się dla widowni, ale w gruncie rzeczy tańczę tylko dla siebie.

Niespodziewanie ujęła jego szeroką rękę. Dengar poczuł zakłopotanie. Jego dłonie bardziej przypominały zwierzęce łapy. On sam w jej towarzystwie też czuł się prawie jak dzika bestia.

- Mam wrażenie, że dobrze sobie tu radzisz - powiedział.

- Tak myślisz? - szepnęła i Dengar przypomniał sobie szczególnie ton jej głosu. - Wcale nie. Czuję się strasznie samotna. Nigdy nie zdarzyło mi się jeszcze przebywać w takiej... pustce.

- Jak to możliwe? Na pewno wielu mężczyzn się tobą interesuje i niejeden chętnie by cię stąd zabrał.

- Oczywiście, wielu mnie chce - przyznała Manaroo. - Ale niewielu gotowych jest otworzyć się przede mną. Są obcy, zamknięci w swoich skorupach. - Ścisnęła dłoń Dengara. - Na Aruzie, gdy ludzie się kochają, dzielą się nie tylko ciałami. Nie poprzestają na czerpaniu z siebie wzajem przyjemności. Wiążą się z pomocą attanni, a wtedy wszystko staje się wspólne: myśli i emocje, nawet wspomnienia i wiedza. Wszystkie bariery pomiędzy nimi znikają, aż stają się jedną osobą. Na Aruzie miałam troje dobrych przyjaciół, a teraz...

Dengarowi puls nagle przyspieszył; zauważył w dziewczynie głód tego wszystkiego, o czym mówiła. Wiedział też teraz, czego po nim oczekuje.

- Obawiam się, że nie znajdziesz tu nikogo gotowego związać się w podobny sposób. Nasze myśli i emocje pełne są lęków, ukrywamy je więc, żeby potencjalna kochanka czy kochanek nie odkryli naszych słabości.

- Ale ty nie masz takich obaw. Na statku powiedziałeś mi, że Imperium odebrało ci zdolność odczuwania emocji.

Dengar rzeczywiście wspominał o tym kiedyś, przy śniadaniu w kabinie. Manaroo była ciekawa, jak to jest. Wydawało się jej, że to stan miłego, wygodnego odrętwienia, coś na podobieństwo snu. Ale Dengar tak tego nie widział. Uważał, że to mocno niewygodne, chociażby dlatego, że nigdy do końca nie wiedział, jakie wrażenie robi jego postępowanie na innych. Obrazi ich, czy może zirytuje? Stąd brała się jego samotność, nie zawsze miła. Wiedział jednak, że nikt nie zniesie jego częstej obecności, widząc taką nieczułość. Opowiedział o tym wszystkim dziewczynie.

- Kilka emocji odczuwam. Znam gniew, nadzieję i jeszcze coś. - Spojrzała na niego wyczekująco, jakby liczyła, że powie jej, co to takiego, ale on zignorował jej ciekawość. - Tyle tylko Imperium mi zostawiło. Ale co z moimi wspomnieniami? Co z moim fachim? Przypuszczam, że od tej strony wydałbym ci się... potworem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego twarz.

- Gdybym się z tobą związała, stałabym się w pewnym stopniu do ciebie podobna. Może tego właśnie potrzebuję, by przetrwać.

Dengar zamyślił się i odwrócił wzrok. Patrzył teraz na barwne chmury za oknem. Wiążąc się z nim Manaroo nauczyłyby się rzeczy, których nikt nie powinien poznawać. Odkryłyby jego ból i szaleństwo, narastające od chwili, gdy zaczęto przemieniać go w zabójcę.

- Wolałbym ci tego oszczędzić - powiedział w końcu.

Zjedli spokojnie obiad, porozmawiali jeszcze trochę o wszystkim i o niczym, aż dziewczyna przeprosiła go i wróciła na scenę.

Dengar siedział dalej sam i wciąż się zastanawiał. Teraz, gdy Solo został już ujęty, czy Vader przypomni sobie o nim? Chyba raczej nie. Lord Sithów miał masę własnych spraw, politycznych i innych, no i całe Imperium na głowie. Dengar był dla mego nikim. Ale i tak wolałby więcej nie spotkać Vadera.

W pewnej chwili ożyły głośniki; administrator miasta, Lando Calrissian, ogłosił, że miasto zostaje zajęte przez imperialne oddziały i zasugerował, by cały personel przystąpił natychmiast do ewakuacji.

Obecni w sali gracze i obywatele Miasta w Chmurach w panice rzucili się do wyjść.

Dengar dopił wino i wstał.

- Że też zawsze muszę się spóźnić - mruknął pod nosem. - Gdziekolwiek przybywam, zaraz ewakuacja.

W drzwiach balkonu pojawili się szurmowcy. Ktoś, może z ochrony, może opiekun kasyna, sięgnął po ciężki blaster i otworzył ogień. Wybuchła strzelanina.

Dengar spojrzał w okno i zaklął pod nosem. Statek Boby Fetta przebijał się przez chmury; ciągnąc za sobą smugę ognia z głównych silników wspinał się łagodnym łukiem ku niebu. Intuicja podpowiadała łowcy, że jego konkurent na pewno nie odleciał bez zdobyczy. Być może Han Solo zniknął na zawsze.

Strzelanina na drugim końcu sali przybierała na sile. W powietrzu pojawił się dym.

Dengar westchnął i spojrzał na zegarek. Ekipa remontowa powinna uporać się już z naprawą statku, ale w praktyce mogło to wyglądać różnie. Nowe silniki pewnie już zamontowali i biedzili się teraz z wszystkimi podłączeniami. Łowca wstał, przeciągnął się i postanowił odszukać Manaroo.

Przeszedł przez kurtynę świateł za sceną i znalazł się w korytarzu wiodącym do następnego dużego pomieszczenia.

Dwóch szurmowców pilnowało tam kilku tancerzy, którzy siedzieli na podłodze z rękami złączonymi na karkach. Manaroo była wśród nich.

- Przepraszam, panowie, ale ta dziewczyna idzie ze mną - powiedział Dengar.

Szurmowcy skierowali na niego broń.

- Ręce na kark! - wrzasnął jeden.

Dengar przyglądał im się przez całe pół sekundy, a potem zrobił krok w lewo, wyciągnął blaster i obu zastrzelił.

- Dość mam dziwnych propozycji - mruknął, gdy upadli na podłogę. Manaroo patrzyła na niego wstrząśnięta. Dengar podszedł do niej, wziął dziewczynę za rękę i podniósł na nogi. Reszta artystów ziała bez poganiania.

- Uciekajmy stąd, póki to możliwe - powiedział łowca.

- Dokąd? - wyjąkała dziewczyna.

- Na Tatooine. Boba Fett zabrał Hana Solo na Tatooine.

Po dotarciu do doków okazało się na szczęście, że statek jest gotowy i czeka, czysty i lśniący, na płycie przed stanowiskami remontowymi. Majster nie ograniczył się do koniecznych napraw, ale dodatkowo wypełnił szczyby powstałe w pancerzu skutkiem zderzeń z mikrometeoritami, oczyścił poszycie i pokrył je nową warstwą farby ochronnej. Nie było go akurat nigdzie w pobliżu, przez co stracił szansę odebrania zapłaty.

Co gorsza, obok lekkiego działa zamontowanego na tej samej płycie ulokowało się sześciu szturmowców. Dengar i Manaroo ukryli się w hangarze za starym frachtowcem. W całym Mieście w Chmurach słychać było odgłosy walki.

Łowca przyjrzał się zwartej grupce imperialnych wojaków.

- Właśnie na takie okazje wymyślono granaty - mruknął. Szturmowcy musieli być żółtodziobami prosto po unitarce.

Sięgnął do pasa, wyciągnął granat, uzbroił go i cisnął na odległość dwudziestu metrów. Pocisk uderzył jednego z żołnierzy prosto w hełm i eksplodował.

Gdzieś obok rozległ się tupot wielu nóg. Dengar zerknął w boczne przejście i zauważył kilku szturmowców w towarzystwie Dartha Vadera.

Odruchowo pochylił głowę. Jakoś wolał w tej chwili nie zwracać na siebie uwagi.

Gdy oddział zniknął, Dengar wziął Manaroo za rękę i czym prędzej wsiedli na pokład. Chwilę później przebijali już chmury.

Skanery odbierały jedynie biały szum i nie dało się złapać namiaru na żaden statek obecny w okolicy, jednak tylna kamera pokazała obraz trzech myśliwców TIE nurkujących z góry na „Skazańca I”.

Dengar wleciał w najbliższą chmurę i zawrócił błyskawicznie o sto osiemdziesiąt stopni, włączył pełny ciąg i wystrzelił całkiem nowym kursem poza planetę. Na wypadek gdyby któryś z imperialnych myśliwców znalazł się zbyt blisko, otworzył też ogień z wszystkich luf.

W ciągu kilku sekund wydostali się poza planetę, a gdy tylko komputer nawigacyjny ukończył obliczanie parametrów skoku, zniknęli w nadprzestrzeni.

Dengar opadł ciężko na fotel. Owszem, nie odczuwał zbyt wielu emocji i rzadko potrafił je rozpoznać, ale i tak trząsał się cały, na czoło wystąpiły mu krople potu, a w gardle zaschło.

Gdy jednak wsłuchał się w siebie, nie odkrył żadnych oznak paniki.

Manaroo stała za fotelem pilota i zaciskała kurczowo dłonie na zagłówku. Była tak przerażona, że zapomniała nawet zamknąć usta.

- Już dobrze - spróbował ją uspokoić Dengar.

- Ale dlaczego wciąż szukasz Hana Solo? - spytała dziewczyna. - Przecież już go złapali!

Dengar zawahał się, szukając właściwej odpowiedzi. Nie miał nadziei na doścignięcie Boby Fetta, którego statek był znacznie szybszy; w dodatku łowca zamierzał zapewne wylądować od razu w pałacu Jabby, gdzie będzie nieosiągalny. Nie, tu chodziło o coś innego.

- Chcę chociaż raz z nim wygrać - wyznał. - Chociaż raz dotknąć go do żywego. Poza tym Han

Solo jest kimś wśród rebeliantów i ma tam wysoko postawionych przyjaciół - dodał. - Przypuszczam, że prędzej czy później zjawią się w pałacu Jabby, żeby odbić Hana, o ile Jabba go wcześniej nie zabije. A gdy to się stanie, chcę być w pobliżu. Tym razem ja go złapię. - To Dengar wymyślił na poczekaniu, ale nie skłamał tak całkowicie. Po cichu musiał przyznać, że Han Solo urósł w jego wyobraźni, stał się postacią niemal mityczną. Dengar czuł się skazany na niego, tak jak na swój obecny, półczłowieczy stan. Co gorsza, zdawało się, że do końca życia przyjdzie mu gonić za Hanem niczym za iluzją.

Podświadomie czuł, że musi jakoś zerwać ten zaklęty krąg. Nie miał wielkiej nadziei, że mu się uda. Odnalezienie samego siebie wydawało się równie trudne jak dopadnięcie Hana Solo.

III. Samotność

Kilka następnych dni Dengar spędził głównie na rozmowach z Manaroo, która opowiedziała mu o życiu na Aruzie i swoim dzieciństwie na farmie. Jej matka zajmowała się wytwarzaniem glinianych naczyń, ojciec był drobnym urzędnikiem. Na farmie dziewczynka nauczyła się zrywać kwiaty z obdarzonych czymś w rodzaju prostej świadomości drzew dola. Z kwiatów tych pozyskiwało się antybiotyczny syrop, często stosowany jako lek.

Mając trzy lata zaczęła tańczyć, a od dziewiątego roku życia wygrywała międzyplanetarne konkursy tańca. Dengar uważał ją dotąd za prowincjuszkę, która mało gdzie podróżowała i niewiele wiedziała o świecie. Ona jednak zdążyła przeżyć i sztormowe ciemności na morzach Bengatu, i napad piratów na międzygwiazdny liniowiec.

Czasem poruszała temat swoich przyjaciół, z którymi związana była więzami attanni. Mówiła o ich doświadczeniach tak, jakby to były jej własne wspomnienia. Lista bliskich jej osób była niezwykle długa, a ból związany z rozłąką trudny do ogarnięcia. A przecież każdy z tych przyjaciół miał też własne, osobne związki; można powiedzieć, że na Aruzie Manaroo tkwiła w środku wielkiej sieci emocjonalnych powiązań i nurtów wspomnień.

Dengar miał ją za bardzo młodą, ale przekonał się, że dziewczyna jest nad wiek dojrzała i o wiele silniejsza psychicznie, niż mógłby przypuszczać.

Sam opowiedział o swoim życiu na Korelii, gdzie w dzieciństwie pomagał ojcu w naprawie grawicykli, a krótko po ukończeniu dziesięciu lat zaczął startować w wyścigach. Nie wspomniał o towarzyszącym mu wówczas poczuciu, że tkwi w cieniu Hana, nie wyjawiał szczegółów przebiegu fatalnego wyścigu, podczas którego został ranny. Nie ukrywał jednak, jak głęboko sięgnęła interwencja imperialnych chirurgów i jak manipulując obietnicami, że pewnego dnia przywrócą mu możliwość przeżywania uczuć, uczynili z niego zawodowego zabójcę. Tyle tylko, że zawsze starannie przyglądał się potencjalnym ofiarom i wybierał tylko tych, którzy jego zdaniem rzeczywiście zasłużyli na śmierć.

Doprowadziło to do pytania, które w końcu i tak musiało paść z ust Manaroo.

- Czy Han Solo zasłużył na śmierć?

- Nie jestem pewien. Ale kiedyś omal mnie nie zabił. Chcę schwytać go i zmusić, by mi powiedział, czemu to zrobił. Potem się zastanowię, czy zostawić go przy życiu, czy nie.

Następnego ranka, kiedy już dolatywali do Tatooine i Dengar siadł przy pulpicie pilota, by sprawdzić systemy. Manaroo podeszła do niego od tyłu.

- Hmm... jesteś dość spięty - mruknęła i zaczęła masować mu mięśnie karku. Było to miłe i odprężające. - Dwa razy uratowałaś mi życie. Jestem ci coś winna. Zamknij oczy.

Wsunęła dłoń pod turban na jego głowie i dotknęła cyborgowego interfejsu. Poczł, jak coś w nim podłącza i natychmiast się wyprostował.

- Co to jest? - spytał, odwracając głowę.

Dziewczyna trzymała w dłoni mały, złoty pierścień, tak ukształtowany, by pasował do gniazda interfejsu.

- To część attanni - wyjaśniła. - Będiesz mógł odbierać moje bodźce, czuć to co ja. Ja jednak nie będę miała dostępu do twoich myśli, emocji czy wspomnień.

Pozwolił jej dokończyć podłączenie. Nagle zaczął słyszeć przez jej uszy, widzieć jej oczami. Poczul intensywność jej emocji.

Manaroo bała się. Bała się tak bardzo, aż skurcz ścisnął jej żołądek.

Spojrzała na niego taksujące.

- Zamknij oczy, żeby obrazy ci się nie nakładały - powiedziała, ale Dengar nie posłuchał od razu.

Jej lęk ogarnął go jak zimny ogień. Wydało mu się, że nigdy dotąd nie odczuwał niczego równie intensywnie. Z początku było to dla niego niczym woda dla kogoś od dawna spragnionego, ale coś podpowiedziało mu, że ludzie rzadko przeżywają podobnie głębokie emocje i zastanowił się, czego właściwie Manaroo może aż tak się bać.

Dziewczyna obserwowała go długo, a w końcu położyła mu dłoń na ramieniu i pocałowała. Poczul jej suche wargi, jej nadzieję i pożądanie i raz jeszcze zdumiał się, jakie są silne. Potem zrozumiał, czego się obawiała: że ją odrzuci, odepchnie od siebie. Była samotna, obolała od poczucia pustki. Wszystko, co od niej nadchodziło, wydawało mu się całkiem nowe, jakby sam nigdy dotąd nie czuł niczego podobnego.

Jego obecność uspokajała ją. Czula się wtedy bezpieczniejsza. To częściowo tłumaczyło, dlaczego tak go pragnęła. Dengar spróbował wysondować jej umysł, sprawdzić, jak głębokie są te uczucia, ale moduł attanni pozwalał na odczuwanie tylko tego, co dziewczyna sama mu przesyłała. Nie umożliwiał sięgania do myśli czy wspomnień.

Znów pocałowała go czule i objęła. Trwali tak dość długo, aż w myślach Manaroo pojawił się obraz matki i jej troski o dziecko. Natychmiast doszło do tego poczucie winy, że zostawiła rodziców samych na Aruzie, być może na zawsze. Było to tak gwałtowne, że Dengar poczul niemal fizyczny ból. Manaroo zaraz przeprosiła, że sprawiła mu cierpienie i odłączyła pierścień.

Dengar otarł pot z czoła i uśmiechnął się: po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat poczul prawdziwy żal.

- Przykro mi - powiedziała Manaroo, chowając attanni do kieszeni.

- Rozumiem - uśmiechnął się znów łowca i dziwnie ścisnęło go w gardle. Spróbował wstać, ale odkrył, jak bardzo niezwykle przeżycia go osłabiły; nogi miał jak z waty i do tego jeszcze łązy w oczach. Był w jego życiu taki czas, gdy nie cierpiał okazywać emocji, ale teraz usiadł z powrotem i rozkoszował się ich odczuwaniem.

Trwało trochę, aż znów udało mu się ułożyć myśli w słowa.

- Musimy wrócić na Aruzę i zabrać twoich rodziców w jakieś bezpieczne miejsce. Ich i tylu twoich współziomków, ilu zdołamy.

- Dlaczego to proponujesz? - spytała Manaroo, bo tego akurat pragnienia mu nie wyjawiała.

- Twoje... sumienie mi to podpowiedziało - szepnął Dengar i chyba po raz pierwszy pojął w pełni, czego właściwie Imperium go pozbawiło: zdolności odczuwania radości, miłości, lojalności i winy.

Przez wiele minionych lat prawie nigdy nie miał ochoty, by komukolwiek pomóc.

A przecież na tym właśnie polega człowieczeństwo, pomyślał. Na świadomości, że gdzieś na drugim krańcu galaktyki jest ktoś cierpiący, komu niezależnie od ryzyka trzeba pomóc, trzeba uwolnić go od bólu.

Zbyt wiele dni przeżył, nie pamiętając, że można tak myśleć.

Ścigając Hana Solo często zastanawiał się nad swoją obsesją, która odrywała go od zwykłych powinności, zmuszała do pakowania się w kłopoty. Na dodatek, działając w zaślepieniu rzadko umiał przewidzieć następny ruch Hana Solo, który potrafił czasem zaatakować w pojedynkę cały batalion wrogów albo podjąć próbę staranowania niszczyciela. Podobno kiedyś nawet rzucił wyzwanie samemu Imperatorowi, oskarżając go o rozliczne zbrodnie i proponując pojedynek bokserski. Dengar uważał kiedyś tę pogłoskę za zwykłą bujdę - sam nigdy nie zachowałby się tak nielogicznie - jednak teraz skłonny był w nią uwierzyć.

W końcu dostrzegł, dlaczego wszystkie jego wysiłki pojmania Hana Solo skazane były na niepowodzenie: Han Solo miał sumienie i to ono właśnie pozwalało mu odnaleźć właściwy kurs. Dla Dengara było to tylko puste słowo - aż do teraz.

- Możesz mi być bardzo pomocna z tym attanni - powiedział w końcu i wyjaśnił, co właśnie zrozumiał. - Z tobą może uda mi się złapać Hana Solo.

- A co wtedy z nim zrobisz? - szepnęła Manaroo.

Dengar zastanowił się. Łowca nagród z sumieniem nie miałby przed sobą żadnej przyszłości. Gdyby tylko odmówił przyjęcia paru zleceń, Imperium szybko by go wyeliminowało.

- Jeszcze nie wiem - przyznał się.

- Ale dowiesz się, gdy znów go spotkasz - powiedziała Manaroo, kładąc mu attanni na dłoni.

Dengar zaczął wprowadzać nowe dane do komputera nawigacyjnego.

- Najpierw lecimy na Aruzę, po twoich rodziców.

Trwało trochę, zanim wrócił na Tatooine. Przez ten czas, z wydatną pomocą Manaroo, wcielił się w rolę oficera Imperialnego Wywiadu, któremu zlecono przeniesienie sporej liczby co znamienitszych aruzańskich obywateli w „bezpieczniejsze miejsce”.

Dzięki współpracy z Rebelią zdołał wykraść imperialny statek więzienny, zdolny pomieścić nawet sto tysięcy ludzi. Obsadził go zaraz fałszywymi funkcjonariuszami służb korekcyjnych, strażnikami i tak dalej.

Trochę wysiłku kosztowało rebeliantów przesłanie nowemu szefowi COMPNOR-u na Aruzie fałszywych rozkazów, polecających masowe aresztowania i transfer więźniów na orbitę.

Potem jednak poszło już łatwo. Imperialne służby zadziałały bardzo sprawnie i szybko wywiązały się ze wszystkich poleceń.

Tylko raz zdarzyło się, że ktoś zaczął wypytywać Dengara, który trzymał się tym razem z dala od brudnej roboty i przez cały czas pozostawał na pokładzie statku, skąd osobiście kierował „akcją penalizacji”.

Gdy tuż przed odlotem nowy szef COMPNOR-u skontaktował się z nim przez holo ciekaw, dokąd mają trafić więźniowie, Dengar zmierzył go spojrzeniem i spytał:

- Naprawdę chce pan to wiedzieć?

Po całej galaktyce od dawna krążyły pogłoski o znikających w tajemniczy sposób politykach, naukowcach i pacyfistach. Powiadano też, że porządny człowiek nie próbuje wnikać w podobne sprawy. Oficer musiał to słyszeć, bo zaraz spuścił z tonu i półgębkiem przeprosił.

Dengar zrobił pogardliwą minę i przerwał połączenie.

Na Tatooine wylądowali w zakurzonej porcie miasta Mos Eisley, leżącego na skraju spalonej dwoma słońcami pustyni.

Było około południa, kiedy na ulicach jest najspokojniej. Dengar zaprowadził Manaroo do niewielkiej kantyny, odwiedzanej w równych proporcjach przez okolicznych rolników i

kryminalistów.

Zaraz poszedł pogadać ze starymi znajomymi. Po paru minutach wiedział już, że Han Solo ciągle żyje i jest więźniem w pałacu Jabby. Zostawił więc Manaroo trochę kredytów, zapowiedział że „będzie, jak wróci” i skierował wynajętego grawicykla do siedziby Hutta.

Manaroo zajrzała do kantyny wieczorem, w porze największego ruchu, i zarobiła trochę kredytów tańcem. Przez ostatnie tygodnie Dengar mocno nadszarpnął swoje rezerwy finansowe i dziewczyna chciała przynajmniej płacić za siebie. Po pierwszym tańcu poszła do garderoby, by nieco odpocząć.

Wtedy weszła do środka istota o ciemnobrunatnym futrze, długich rękach i krótkich nogach, skrobiących pazurami po podłodze. Mordę miała szerszą niż ramiona, a na głowie rogi, którymi prawie rysowała sufit. Stała, popatrzyła na dziewczynę czerwonymi ślepiami i powiedziała:

- Ty dobrze tańczyć! Mocne! Jabba będzie lubić! Jak polubi, to pożyczysz. Chodź!

Złapał ją za rękę, ale Manaroo spojrzała na stwora bez zrozumienia.

- Nie zamierzam tańczyć dla Jabby!

Istota rozejrzała się szybko na boki, po czym odwinęła płat skóry ze swojego podgardla i zarzuciła ją na Manaroo. Mimo krzyków i oporu dziewczyna znalazła się po chwili w torbie brzusznej bestii.

Nie było tu czym oddychać, cuchnęło włosiem i brudnym cielskiem. Kopała i wywijała rękami, ale skóra była zbyt gruba, a jeśli ktoś nawet zauważył dziwne, ruszające się wybrzuszenie na torsie opuszczającego lokal obcego, to zapewne nie chciał się w to mieszać.

Manaroo próbowała wstrzymać oddech, ale niezbyt jej się udawało. Na dodatek w torbie zaczęło się robić nieznośnie gorąco. Dziewczyna znów spróbowała walki, choć płuca jej płonęły od niedotlenienia. Nie mogła się jednak w żaden sposób wydostać.

Dengar poszedł do pałacu Jabby wieczorem, gdy zaczynał się tam okres największej aktywności. Przyklęknął na jedno kolano przed gospodarzem otoczonym tłumem służby, która przeważnie sypiała w tym samym pomieszczeniu co Jabba. Hutt panicznie się bał skrytobójczego ataku i uważał, że najlepiej ustrzeże się przed nim nie spuszczać żadnego z potencjalnych zamachowców ani na chwilę z oka. Dengar dostrzegł z prawej strony Jabby, trochę w cieniu, Bobę Fetta. Skinął mu przelotnie głową.

- Po co przychodzisz? - zadudnił Jabba. - Nie przywiozłeś mi Hana Solo, nie zasłużyłeś na nagrodę!

- Słyszałem, że Han Solo jest twoim więźniem - odparł łowca. - Chciałem zobaczyć, czy to prawda.

- Ho, ho, ho - zaśmiał się Jabba. - A patrz sobie!

Ktoś zapalił światło z tyłu. Dengar zaraz się odwrócił. Na ścianie zauważył coś, co w pierwszej chwili wziął za dekoracyjną płaskorzeźbę, ale to był Han Solo. Rysy jego twarzy były łatwo rozpoznawalne. Stał zatopiony w szarym karbonicie.

Dengar roześmiał się, podszedł bliżej i oparł się obiema rękami o krawędzie ramy podtrzymującej węglową taflę.

- Mam cię! - powiedział. - Nareszcie.

- Ho, ho - zadudnił znów basowo Jabba, a cała menażeria morderców zaraz mu zawtórowała. - Chciałeś powiedzieć, że to ja go mam.

Dengar obejrzał się przez ramię.

- Nie - powiedział, patrząc Huttowi w oczy. - Tylko ci się wydaje, że go masz. - Jabba

zmarszczył wielkie czoło. - Nie zdołasz go w tym utrzymać. W końcu i tak ucieknie.

- Ho, ho, och, hoo! - ryknął gospodarz. - Uważasz, że stąd można uciec? Rozśmieszasz mnie, zabójco!

Dengar odwrócił się do Jabby i skrzyżował ręce na piersi.

- Wysłuchaj mnie, o wielki - zaczął ostrzegawczym tonem. - Naprawdę sędzę, że on ucieknie. A gdy już to zrobi, staniesz się największym pośmiewiskiem całego podziemia. Mogę pomóc ci uniknąć tego losu. Proponuję, że zostanę tutaj, by we właściwej chwili ująć go ponownie. A wtedy dostanę od ciebie dwa razy większą sumę niż ta, którą zapłaciłeś Bobie Fetcie!

- Chyba sam zamierzasz go najpierw uwolnić! - warknął Jabba i część bliżej stojących podwładnych cofnęła się w obawie przed atakiem szału pryncypała.

- Ja się do tego nie przyczynię - szepnął Dengar.

- Podejrzewasz jakiś spisek? - spytał Jabba, patrząc krzywo na swój personel.

- Jego przyjaciele z szeregów Rebelii niewątpliwie będą go szukać - odparł szczerze łowca.

Z Rebelii? - zaśmiał się Hutt. - Ich się nie obawiam. Ale zgoda, możesz zostać pośród moich sług. Jeżeli Rebelia uwolni Solo, a ty go znowu złapiesz, zapłacę ci podwójną stawkę.

Boba Fett zrobił krok do przodu i uniósł energicznie swój blaster, ale Jabba zgromił go wzrokiem.

- Jeśli jednak rebelianci zawiodą, to przez rok będziesz czyścił u mnie wychodki! - dodał i zaniósł się rechotem.

Dengar wrócił do mos Eisley o zachodzie słońca. Zamierzał podprowadzić swój statek do pałacu Jabby, żeby mieć go pod ręką w razie ataku rebeliantów.

Zdziwił się, nie znajdując Manaroo na pokładzie. Przeszukał wszystkie kąty i ustalił, że nie wróciła w ogóle z kantyny. Tam zaś barman powiedział mu, że dziewczyna wytańczyła parę kredytów, a potem „zniknęła”.

Dengar zastanowił się, co to mogło znaczyć, a potem przypomniał sobie o otrzymanym od Manaroo attanni. Podłączył go do swojego interfejsu, by zobaczyć i usłyszeć to, co ona, ale urządzenie przekazało mu tylko biały szum.

Nie odłączając attanni przeleciał kilka razy miasto wszerz i wzdłuż, ale nie złapał żadnego sygnału, więc skierował się do pałacu Jabby i wylądował w jego strzeżonym hangarze.

Przez całą drogę myślał o Manaroo i zastanawiał się, co też mogło się z nią stać. Odkrył, że przywykł do jej towarzystwa; skłonny był uznać nawet, że czuł się przy niej spokojniejszy. Kilka wieczorów wcześniej spytała go wprost, jakie to uczucie zostawiło mu Imperium prócz gniewu i nadziei, ale on odmówił wtedy odpowiedzi. Odmówił, bo nie chciał się przyznać, że chodzi o samotność.

Nie sądził, żeby imperialni fachowcy zostawili mu ją celowo; trudno byłoby wyobrazić sobie, czemu to ma służyć. Prawdopodobnie dokonując operacji nie przewidzieli jej wszystkich skutków.

Jednak w miarę upływu lat łowca odkrył, że to właśnie samotność jest najbardziej dokuczliwa. Najbardziej bolała go świadomość, że w całej galaktyce nie znajdzie nikogo, kto byłby gotów go pokochać czy zaakceptować.

Myślał o tym aż do chwili, gdy zbliżył się ponownie do tronu Jabby. Całkiem nagle odczuł napływający falą strach. Zamknął oczy i skoncentrował się...

- Dla Jabby musisz tańczyć najlepiej, jak potrafisz - mówiła otyła kobieta. - On nigdy nie rezygnuje z rozrywki. Jeżeli mu się twój taniec nie spodoba, zechce zobaczyć, jak umierasz.

Oprócz grubej kobiety Dengar ujrzał też trzy dalsze tancerki. Siedziały na ciemnych ławach ustawionych w wilgotnym podziemiu. Każda dziewczyna pochodziła z innej planety, wszystkie zaś zamknięto w celi z grubych, stalowych krat. Na zewnątrz przechadzał się strażnik, który czasem wtykał mordę przez okienko w drzwiach. Powietrze zalatywało stęchlizną.

- A co będzie, jeśli spodoba mu się mój taniec? - spytała Manaroo.

- To zatrzyma cię na dłużej. Potem może nawet uwolni.

- Nie rozniecaj złudnych nadziei! - krzyknęła inna kobieta, siedząca na dalszej ławie. - To zdarzyło się tylko raz.

- Ale się zdarzyło! - odparła gruba tancerka.

- Słuchaj, dziewczyno - powiedziała ta dalej siedząca. - Albo zatańczysz dobrze, albo umrzesz.

- Ale ja już tańczyłam dla Jabby zaraz po tym, jak łowca niewolników przyniósł mnie do pałacu.

- Znaczący przeszedł pierwszy test - mruknęła gruba. - To już coś.

Dengar odłączył attanni i schował go na samo dno kabury. Jabba był wymagający, to fakt. Gdy raz już za coś zapłacił, nie cierpiał tego tracić, nieważne, czy chodziło o niewolnika, czy o ładunek prochów. Na dodatek czerpał wielką przyjemność z dręczenia innych. Podczas gdy Dengar nie bardzo umiał odróżnić dobro od zła, Hutt upodobał sobie to drugie.

Dengar wiedział, że nie wydobędzie Manaroo bez walki.

Zmrużył oczy i spróbował wyobrazić sobie smukłego Jabbę z ciemnymi włosami, ale fantazja odmówiła mu posłuszeństwa. Żeby nie wiem jak się starał, nie mógł dostrzec żadnego podobieństwa pomiędzy Huttem a Hanem Solo.

- Trudno - mruknął. - Będę go musiał zabić bez tego.

Dengar odkrył wkrótce, że wcale niemało mieszkańców pałacu chętnie pozbyłoby się swojego pryncypała. Po trzech dniach dogadał się z jednym z nich, Quarrenem Tessekiem. Korzystając ze zgromadzonych na statku zapasów uzbrojenia przygotował bombę dość silną, by wyrzucić baryłkowate cielsko Jabby na orbitę. Z jej podłożeniem nie powinno być kłopotów; tym miał się zająć Barada, kapitan barki i jeden z najbardziej zaufanych ludzi Jabby.

Niestety, Jabba dowiedział się o wszystkim za wcześnie. Idąc za poradą obsesyjnie czujnego Biba Fortuny, który gotów był dać głowę, że Dengar szykuje jakąś maszynę piekielną, nakazał Fettowi śledzenie łowcy.

Boba Fett bez trudu zdobył dowody. Starczyło, że podrzucił Dengarowi do kabury mikronadajnik, dzięki czemu posłuchał rozmowę toczoną przez Dengara i Barada podczas przekazywania bomby. To już był dowód.

Boba poinformował zaraz o wszystkim Jabbę i spytał, czy ma zająć się bombą.

Hutt roześmiał się donośnie, aż brzuch zaczął mu falować.

- Chcesz pozbawić mnie rozrywki? Nie, sam ją rozbroję i zadbam, by Tessek był ze mną w chwili planowanej eksplozji. Ale się spoci ze strachu! Z ukaraniem Barady poczekam jeszcze kilka tygodni.

- A co z Dengarem? - spytał Fett. - Z nim lepiej się nie bawić. Jest zbyt niebezpieczny.

Jabba zmrużył ślepią i spojrzął z ukosa na łowcę.

- Ty się nim zajmiesz. Pamiętaj tylko, że nie powinien mieć lekkiej śmierci - stwierdził, aż nagle wpadł na nowy pomysł. - A właściwie... Dawno już nikt nie zaglądał między Zęby Tatooine!

- Jak sobie życzysz, panie!

To był pracowity dzień dla Dengara. Lekarze, którzy operowali go dawno temu, pozbawili go

zdolności odczuwania strachu, ale niekiedy zdarzały mu się dziwne stany, kiedy serce zaczynało bić nieregularnie. Wiedział, że to tylko śladowe oznaki tego, co inni nazywali strachem, ale i tak mu się nie podobało. Bomba podłożona na skiffie Jabby miała eksplodować rankiem następnego dnia, ale wieczorem plany uległy nagłej zmianie.

Dengar odpoczywał właśnie w swojej kwaterze, gdy zjawił się niespodziewanie w pałacu Luke Skywalker i podjął próbę uwolnienia Hana Solo. Hutt wtrącił Skywalkera do lochu swojego ulubieńca, ale Luke zaskoczył wszystkich zabijając rancora.

Jego śmiertelny wrzask wstrząsnął całym pałacem i obudził Dengara, który pospieszył zaraz do sali tronowej. Dotarł tam akurat na czas, by usłyszeć wyrok na Hana Solo i jego przyjaciół. Mieli zginąć w paszczy Carcoona.

Tymczasem pałac zmienił się w dom wariatów. Kto żyw ganiał po korytarzach i uzbrajał się w co popadło. Inni przygotowywali rozmaite środki komunikacji. Dwóch gamorrekańskich strażników, których Dengar minął na schodach, znalazło jednak czas na krótką wymianę zdań.

- Czemu tak ganiamy? - spytał jeden.

Drugi rąbnął go w odpowiedzi tak mocno, że kolega aż zatoczył się na ścianę.

- Przez rebeliantów, zakuta pało! Jeśli się dowiedzą, że Jabba chce zabić Skywalkera i Leię, to zrobi się pieprznik, jakiego świat nie widział!

Dengar poszukał w tłumie szarych, skórzastych odrośli gębowych Quarrena. Zastanawiał się, czy te nowe wydarzenia nie pokrzyżują im planów.

Ale Tessek był już pod strażą. Otoczony zbrojnymi stał obok Jabby i sądząc po słyszalnych urywkach rozmowy, błagał Hutta o darowanie życia.

Po chwili Jabba odesłał Quarrena, by się spakował. Tessek pospieszył do wyjścia w przeciwnym końcu pomieszczenia.

Dengar schował się w cieniu pod ścianą. Czyżby Jabba znalazł bombę? Bo wyraźnie coś podejrzewał...

Jednak nie zabił Tesseka, nie posłał też strażników na poszukiwanie Dengara, a więc chyba nie miał dowodów zdrady. Może dobiegły go jakieś plotki, a może groził Tessekowi z całkiem innego powodu.

Tak czy owak, Dengar wolałby nie plątać się w pobliżu w kluczowej chwili. Jeśli Jabba trafił na bombę, polecą głowy. Łowca nie miał ochoty dołączać do grona zdekapitowanych.

Mógł jeszcze uciec. Może nawet powinien. Podłożona i nastawiona bomba miała eksplodować już sama i obecność lub nieobecność Dengara nic dla niej nie znaczyła.

Jeśli jednak zostanie znaleziona...

Ostatecznie Dengar uznał, że dobrze będzie spędzić najbliższy dzień w mos Eisley. Jeśli się uda, to dobrze. A jeśli nie - łatwiej będzie uciec.

Wrócił do obskurnej kwatery i zaczął wrzucać ubrania i broń do torby. Przy tej okazji trafił znów na attanni. Gdy spojrzął na pierścień, przypomniał sobie, jak bardzo zależało dziewczynie na jego obecności, przypomniał sobie jej łzy. Czasem zastanawiał się, czy Manaroo czuje cokolwiek do niego. Sam miał siebie za osobę przegraną, niezasługującą na jej uwagę. A przecież została z nim nawet wtedy, gdy uratował jej rodziców, chociaż on uważał, że nie ma jej już nic więcej do zaoferowania. Może poza złudnym poczuciem bezpieczeństwa.

Uciekając teraz pozbawiłby ją nawet tego.

Odwinął turban i umieścił attanni w gniazdku.

To, co zobaczył, mocno go zdumiało. Manaroo była ubrana jak do występu, w zwiewne spodnie z bladofioletowego materiału i równie przejrzystą górę, ukazującą jej drobne piersi. Przebierała w stercie instrumentów muzycznych, tamburynów, dzwonków, cymbałów, szukając czegoś egzotycznego. Ostatecznie wybrała złoty flet. Granie na nim podczas tańca mogło być trudne, a błąd w grze oznaczałby kuszenie losu. Jednak Manaroo miała walczyć o przetrwanie, więc musiała jakoś olśnić Jabbę. Kazano jej tańczyć w złej chwili. Dla nikogo nie było tajemnicą, że gospodarz jest w podłym nastroju po śmierci rancora. Reszta tancerek siedziała w kącie i popatrywała na Manaroo ze współczuciem.

Dengara zaskoczył jednak stan ducha dziewczyny. Pozornie była ledwie przytomna ze strachu. Paraliżowała ją świadomość, ile będzie zależeć od jej umiejętności. Jednak w głębi duszy, Manaroo robiła co mogła, by się skoncentrować. Podobnie jak Dengar nastawiał się przez zabójstwem psychicznie, przywołując obraz Hana Solo, tak i ona próbowała podobnego manewru.

Przywołała obraz sali Jabby, gdzie zamiast Hutta na tronie siedział Dengar. Patrzył na nią uważnie i wołał: „Tańcz, wytańcz sobie życie!”, jakby chodziło o zabawę.

W marzeniach Manaroo tańczyła naprawdę przepięknie, wkładała w to całe serce. Każdy wyćwiczony przez lata ruch, każdy krok dedykowała Dengarowi, mężczyźnie którego pokochała i z którym miała nadzieję połączyć kiedyś swój umysł. Szeptala przy tym: „Skoro ja oczekuję od ciebie aż tyle, dlaczego ty o nic w zamian mnie nie prosisz? Dlaczego się ze mną nie ożenisz?”

Wstrząśnięty Dengar odłączył attanni. Wiedział, że już teraz nie zdoła jej zostawić. Uczucia, które przeniknęły go podczas połączenia, wytyczały kierunek działania. Jak Han Solo, który nie raz i nie dwa ucierpiał przez podobne decyzje, tak i Dengar gotów był stawić czoło burzy.

Musiał uratować Manaroo. Tylko jak?

Zdumiewało go, że dziewczyna przygotowuje się do występu właśnie teraz, gdy w pałacu panuje straszliwy rozgardiasz. A to stwarzało dobrą okazję do dywersji... Próba wejścia wprost do sali tronowej z zamiarem zastrzelenia Jabby byłaby czystym szaleństwem, ale przecież przez ostatnich kilka dni popełniono w pałacu dwa morderstwa. Każdemu z nich towarzyszyło drobiazgowo śledztwo, które dezorganizowało na parę godzin życie wszystkich mieszkańców. Tyle właśnie czasu potrzebowała Manaroo, a wśród służby Jabby było niemało takich, którzy bez wątplenia zasługiwali na śmierć.

Wykonanie było proste. Dengar podszedł do wartowni i wrzucił do środka granat. W ogólnej kakofonii mało kto zwrócił uwagę na huk, ale późniejsze dochodzenie - kto, jak i dlaczego - zajęło większość wieczoru, a widok poszarpanych trupów strażników znacznie poprawił nastrój gospodarza.

Ostatecznie i tak wszystko wyszło inaczej. Jabba wyszedł z wartowni z zimnym błyskiem w oczach i powiedział:

- Głodny jestem. Wszyscy do wielkiej sali! Najpierw dać mi jeść, potem przysłać tancerkę! Zabawimy się i nic nam nie przeszkodzi!

Noce na Tatooine były na tyle krótkie, że mało kto kładł się wtedy spać, szczególnie że tylko o tej porze można było trochę odetchnąć od dokuczliwego gorąca.

A więc późnym wieczorem Dengar zajął miejsce w sali tronowej, by poczekać na taniec Manaroo. Attanni miał wciąż podłączone i słuchał myśli dziewczyny. Wiedział, że była coraz bardziej przerażona perspektywą występu i że podczas pospiesznych przygotowań próbowała uspokoić oddech, odprężyć się.

Z wolna zaczęli się schodzić muzycy; służący wnosili półmiski z daniami. Jabba złapał parę piszczących stworzeń trzymanyh w wielkim pudle, wpakował je do gęby i huknął, że pora na tancerkę.

Dopiero wtedy Dengar pojął, że popełnił błąd. Hutt od południa łaknął krwi i incydent ze strażnikami tylko zaostrizył jego apetyt. Han Solo i reszta też mieli umrzeć, ale dopiero następnego dnia, a Jabba nie lubił czekać. Dlatego właśnie kazał wezwać Manaroo.

Dengar poluzował blaster w kaburze. Zastanawiał się gorączkowo, co robić. Zabicie Jabby nie byłoby łatwe. Huttowie mają na tyle grubą skórę, że musiałby oddać kilka celnych strzałów, a na to mogło mu nie starczyć czasu. Sala była zatłoczona setkami sług i poddanych Jabby szykujących się do ostatniej, szalonej biesiady poprzedzającej zapewne poranną walkę z wojskami Rebelii. Muzycy zawadzili jak potępieńcy, a wszyscy się opychali, jakby to naprawdę miał być ich ostatni posiłek.

Zanim jeszcze pojawiła się Manaroo, do stolika Dengara zbliżył się Boba Fett z wysokim dzbanem zielonego napitku Twi'leków.

- Wypijesz ze mną? - spytał, co było o tyle dziwne, że Fett rzadko szukał towarzystwa. Dengar poczuł się z początku lekko spłoszony, ale... skoro wszystkie stoliki wokół były zajęte, może nie należało się aż tak zdumiewać.

- Jasne, siadaj - powiedział, odsuwając mu nogą krzesło. Boba zajął miejsce, postawił dzban i skinął na służącego, by przyniósł jakieś szkło.

- Obserwowałem cię - zadudnił Fett. Głośniki w hermie mocno zniekształcały mu głos, zwłaszcza że musiał je podkręcić, aby być słyszanyh w gwarze. - Nie jesteś taki, jak reszta tutaj. - Pokazał na kłębiącą się tłuszczę. - Panujesz nad sobą, a ja to cenię. Mam cię za zawodowca.

- Dziękuję - powiedział Dengar niepewny, do czego Fett zmierza.

- Jutro rano Han Solo umrze - ciągnął łowca.

- Wiem, ale nie dam głowy, czy Jabbie się to uda - stwierdził Dengar, który nie taki koniec wymarzył dla swojego wroga numer jeden, swojego fatum. Solo nie powinien umierać tak łatwo. Przy sąsiednim stoliku dwóch biesiadników zaintonowało pijacką piosenkę.

- Wyjeżdżam zaraz po egzekucji - powiedział głośniejsz Fett. - Mam robotą. Porządną robotą, akurat dla dwóch, ale i wynagrodzenie super. Zainteresowany?

- Dlaczego miałbym ci zaufać? - spytał obojętnie Dengar. Przez attanni widział, że Manaroo wychodzi już z celi. Strażnik prowadził ją wąskim korytarzem wiodącym do sali tronowej. - Podłożyłeś bombę na moim statku. Raz mnie już zdradziłeś.

Boba Fett wyprostował się, jakby zaskoczony tym oskarżeniem.

- Wtedy byliśmy konkurentami w interesach. Tym razem bylibyśmy partnerami. Poza tym nie zabiłem cię.

- To faktycznie miłe z twojej strony. Dlatego ja nie próbowałem później zabić ciebie.

Łowca zachichotał, co zabrzmiało dziwnie; Dengar nie słyszał dotąd śmiejącego się Fetta. Teraz Boba odchylił głowę, aż światła pałacu odbiły się w szybkach jego hełmu.

- Mamy wiele wspólnego. I co na to powiesz? Zostaniemy partnerami?

Dengar przyjrzał się rozmówcy. Był ostrożny i niebezpieczny, w pełni zasłużył na swoją reputację. Ale Dengarowi zaczynało z wolna brakować gotówki. Skinął głową.

- Chyba tak. Powiedz mi, co to ma być.

Pochylił się, jakby temat bardzo go zainteresował, ale naprawdę zerkał w kierunku jasno oświetlonej płaszczyny przed tronem Jabby.

Manaroo wyszła już zza zasłony i stała mrugając, by przywyknąć do jaskrawych lamp, tak różnych od półmroku lochów. Serce biło jej mocno ze strachu. Muzycy zaczęli nową melodię, ale tancerka podeszła do prowadzącego i poprosiła, żeby chwilę poczekał.

- Dobra - zgodził się Boba Fett. - Ale nie ma co gadać o suchym pysku. Mam tu całkiem zacny rocznik. Chyba się już dość nagrzał.

Otworzył zielony dzban i nalał alkohol do dwóch szklaneczek. Przez chwilę Dengar miał nadzieję, że zdoła dojrzeć, co kryje się pod wizjerem Fetta, ale ten wysunął tylko długą słomkę, pewnie element wyposażenia hełmu, i zanurzył ją w szklance.

Dengar zastanowił się, czy wszystkie opowieści o paranoi Fetta nie mają jednak w sobie łyżkę prawdy. Cóż, jeśli nawet, to na razie nie wychodził źle na swoim obłędzie. Dobrze na nim zarabiał. Praca z nim mogła okazać się ciekawa.

Skoro Fetta sięgnął po drinka, Dengar uznał, że też może sobie na to pozwolić. Napój był wytrawny, o pikantnym i bogatym bukacie. W sumie całkiem smaczny.

Muzycy zaczęli grać do tańca. Strach Manaroo udzielił się Dengarowi do tego stopnia, że drżały mu dłonie. Wiedział, że musi się opanować na wypadek, gdyby jednak przyszło strzelać do Jabby. Szybko przełknął pół szklanki napoju.

- Uważaj, nie tak szybko - upomniał go Fetta. - To jest mocniejsze niż ci się zdaje.

Dengar pokiwał na odczepne głową. Manaroo wirowała po parkiecie i grała przy tym na złotym fleciku. Jabba wyciągnął szyję i patrzył na nią łakomie, jakby była kolejnym daniem próbującym uciec mu z talerza. Dengarowi zdawało się, że sala wiruje wokół niego; musiał oprzeć obie ręce na stole, żeby nie spaść z krzesła. Powieki zaczęły mu dziwnie ciążyć. Ze wszystkich sił starał się nie zamykać oczu, ale z marnym skutkiem. Widział wszystko rozmazane, tak jak wirująca w tańcu Manaroo.

- Dobrze się czujesz? - spytał gdzieś z oddali Boba Fett.

- Muszę... wydostać Manaroo - mruknął Dengar i spróbował wstać, ale nogi nie chciały go słuchać. Dlaczego nagle tak osłabł?

- Zatrueś... napój? - spytał sięgając po blaster, ale powieki w końcu i tak mu opadły. Usłyszał piskliwy dźwięk fletu, obraz się zamazał...

Gdy znów otworzył oczy, Boba Fett stał obok i podtrzymywał go pomagając wyciągnąć blaster z kabury. Dengar ledwie panował nad dłońmi i poczuł wielką wdzięczność do partnera, że tak się stara.

- Nie zatruełem - powiedział Fett. Dengar musiał wyłożyć uwagę, by usłyszeć go przez dźwięki fletu. - To tylko środek usypiający. Był na brzegu szklanki. Jabba przyszykował dla ciebie coś szczególnego. Masz trafić między Zęby Tatoonine.

Dengar spróbował się wyrwać, ale tylko przewrócił stół. Muzyka ucichła i wszyscy popatrzyli na łowcę. Jabba roześmiał się radośnie widząc, jak Dengar za wszelką cenę stara się jakoś zbliżyć do niego i zaatakować.

Ktoś podłożył mu nogę, Dengar upadł na podłogę i przetoczył się na plecy. Inny biesiadnik uniósł szklankę, jakby zamierzał wypić zdrowie Dengara; sala zawrzała. Mały, gryzoniowaty Crumb wspiął się na krawędź przewróconego stołu i zaczął naśmiewać się z leżącego.

- Zapłata! - krzyknęła Manaroo. Dengar był pewien, że usłyszał to jedynie dzięki attanni.

Patrząc jej oczami widział jeszcze, jak dziewczyna spróbowała pobiec do niego, ale jeden ze strażników złapał ją i pchnął z powrotem na parkiet. Manaroo była bliska paniki.

Chwilę później powieki Dengara zacisnęły się na dobre i wszystko pochłonęła ciemność.

IV. Zęby Tatooine

Dengar obudził się pod palącym słońcem Tatooine. Był wczesny poranek i grunt dopiero zaczął się nagrzewać. Jakieś małe pustynne stworzenie w twardym pancerzu próbowało wpełznąć pod niego, by schować się w cieniu.

Otworzył oczy i wciąż lekko oszołomiony rozejrzał się wokoło. Leżał w szerokim kanionie pośrodku martwej, pustynnej równiny. Wszędzie widział tylko zielonkawobiałe skały, pokruszone albo wygładzone, przez wiatr. Ręce i nogi miał związane trzema mocno zaciśniętymi rzemieniami, które przymocowano do wstrzelonych w skałę kołków. Nie mógł się poruszyć. Rzemienie były mokre i w miarę wysychania miały zaciskać się coraz bardziej.

Wokół nie dostrzegł śladu jakiegokolwiek pojazdu czy strażników, czy nawet androida, który mógłby zaświadczyć o śmierci Dengara. Słychać było tylko monotony szum wiatru; brakowało nawet brzęczenia owadów i nawoływań dzikich zwierząt.

Dengar oblizwał wargi. Jabba chyba zamyślił sobie uśmiercić łowcę skazując go na odwodnienie, co w porównaniu z innymi metodami nie było szczególnie wymyślnym ani odpychającym sposobem. Może bolesnym, ale bez przesady.

Jednak dlaczego Fett wspominał o Zębach Tatooine? Co to miały być za zęby? Szczyty gór? Niby logiczne, ale w pobliżu nie zauważył gór.

Musiało zatem chodzić o jakieś zwierzę. Legendy wspominały o smokach pustynnych, stworzeniach wielkich i złośliwych. Dengar przepatrzył horyzont w ich poszukiwaniu, a jednocześnie sprawdził wytrzymałość więzów. Cóż, tamci nieźle się postarali. Wciągnął głęboko słone powietrze i zaczął pracować nad uwolnieniem się.

Zamknął oczy i spróbował wyczuć każdy z rzemieni z osobna. Zastanawiał się równocześnie, jak daleko posunął się Jabba w realizacji pozostałych planów na ten dzień. Słońce było już dość wysoko i Han Solo z kompanią powinni znaleźć się do tej pory w żołądku sarlacca, gdzie czekało ich powolne i bolesne trawienie. Dengarowi zrobiło się niewyraźnie na tę myśl. Imperium pozbawiło go większości uczuć, ale na myśl o śmierci Hana Solo poczuł się nagle bardziej samotny niż kiedykolwiek dotąd. Od lat pojmanie tego człowieka było jedynym celem jego życia. Bez niego nie miał po co dłużej trwać. Chyba żeby dla Manaroo... ale nie wiedział nawet, czy dziewczyna jeszcze żyje. Pamiętał jej przerażenie, ale co było dalej? Czy Jabba zabił ją, tak jak przypuszczała, że zamierza?

Tak, jej było mu żal. Od kiedy wniknął w jej umysł, poniekąd znowu stał się człowiekiem. Wyobrażał sobie, że pewnego dnia zdoła z jej pomocą nauczyć się śmiechu i miłości.

Jednak jeśli nawet jeszcze nie zginęła, to na pewno przebywała w celi w pałacu Jabby i tak czy tak śmierć była jej pisana.

Zdwoił wysiłki, ale chociaż szybko otarł sobie prawy nadgarstek do krwi, rzemienie wciąż trzymały tak samo mocno.

Zostawił ręce i zajął się lewą stopą. Rzemienie obwiązano na jego wzmocnionych butach, co całkiem dobrze chroniło nogi. Imperialni chirurdzy poprawili mu refleks, dodali sił, jednak nie

zdołał odsunąć nogi dość daleko, by szarpnięciem zerwać więzy. Przez pół godziny nie zdołał nawet naruszyć wbitego w skałę bolca, a co gorsza, podczas szamotaniny niechcący pogłębił ranę na nadgarstku.

Coraz silniejszy wiatr niósł przez równinę drobne ziarenka piasku. Niebo zaczęło szarzeć od pyłu, które jak tuman mgły albo zapowiedź burzy rosły niebezpiecznie w siłę i zbliżały się coraz bardziej do Dengara.

Przymknął oczy, by choć trochę je w ten sposób osłonić. Nagle przypomniał sobie wzmiankę Jabby o pewnym miejscu, które leżało ponoć całkiem blisko pałacu. Zwano je Doliną Wiatrów.

Bez wątpienia właśnie się tu znalazł. Nie dodało mu to nadziei, ale wiedział już przynajmniej, że najbliższe źródło wody nie może być daleko. Starczyłoby się uwolnić...

Gdzieś na równinie rozległ się ciężki tętent. Dengar odwrócił głowę na bok i zobaczył kudłatą sylwetkę bantha, na którym jechało trzech Ludzi Pustyni. Chwilę później byli już obok.

Dwóch zeskoczyło na ziemię i z gotową bronią podkradło się do leżącego, trzeci został na grzbiecie zwierzęcia i rozglądał się pilnie, czy to aby nie zasadzka.

Dengar słyszał różne opowieści o Ludziach Pustyni, którzy potrafili napadać na podróżnych i zabijać ich wyłącznie dla wody zawartej w ich ciałach. Jednak ci dwaj, którzy stanęli nad nim, zagulgotali coś sykliwie we własnym języku. Może zmawiali się, kiedy urządzić sobie ucztę; mawiano po cichu, że miało to polegać na wbijaniu w ciała żywych jeńców metalowych rurek, by pić przez nie ciepłą krew.

Dengar nie zasłużył sobie na nienawiść Pustynnych, więc nie zdziwił się, gdy ostatecznie usiedli obok jego głowy, by popatrzeć, jak będzie umierał.

Przez godzinę tak trwali, a wiatr dmuchał coraz mocniej. Dengar przez jakiś czas odwzajemniał ich spojrzenia, a potem znowu zaczął się szarpać. Tamci nie kryli zainteresowania, ale najwyraźniej traktowali jego starania w kategoriach rozrywkowych.

Dengar nie miał wątpliwości, że tak naprawdę czekają, aż umrze, by móc się potem zająć jego trupem.

Dengar spojrzał na ich osłonięte cienką tkaniną twarze i wszyte w odzież szpikulce, które kojarzyły się z zębami. Czy to miały być te „zęby Tatoonie”?

Robiło się coraz cieplej, wiatr dał z każdą minutą intensywniej i coraz więcej piasku unosiło się w powietrzu, aż nagle Dengar przypomniał sobie jeszcze coś o Dolinie Wiatrów. Ktoś wspominał kiedyś, że zdarzają się tu „pływy piasku”. Dengar nie miał zwyczaju niczego zapominać, w swoim czasie lekarze zadbali już o sprawność jego pamięci, jednak tym razem nie chodziło o rozmowę, w której sam uczestniczył. Słyszał tylko przypadkiem cudzą wymianę zdań, i to w chwili, gdy miał uwagę skupioną zupełnie na czymś innym. W końcu jednak sobie przypomniał. Dolina Wiatrów leżała pomiędzy dwiema pustyniami, z których jedna rozciągała się znacznie wyżej niż druga i była sporo chłodniejsza. Wiatr wiał codziennie najpierw w górę stoków, gdy nagrzane powietrze unosiło się znad dolnej doliny, a wieczorem przy ochładzaniu spływało z wielką siłą w dół.

Na każdej z tych pustyni było wiele ruchomych wydm, które dwa razy na dobę zmieniały lokalizację.

Wiatr narastał, Dengar spływał potem, w ustach mu zaschło. Czuł, jak żar zaczyna ogarniać całe ciało. Niesiony wiatrem piasek atakował z taką siłą, że nie dawało się już otworzyć oczu. Każda próba musiałaby skończyć się oślepieniem.

Przy kolejnym porywie wiatru obsypany kamieniami banth ryknął boleśnie, wstał i odwrócił się,

jakby zamierzał odejść. Ludzie Piasku ruszyli za nim z wahaniem; najwyraźniej wcale nie mieli na to ochoty i tylko niesłyszalny rozkaz wodza zmuszał ich do odejścia.

Któryś z nich przystanął jeszcze przy Dengarze, wyciągnął długi nóż i ciął po jednym z rzemieni. Jego towarzysz krzyknął coś do niego pytająco z grzbietu bantha.

Ten na dole zasyczał w odpowiedzi i wykonał gest zadawania ciosu, jakby proponował: „Może zamiast czekać, sami go załatwimy? Zabijmy go i będzie z głowy”.

Ten ważniejszy z bantha wskazał na miejsce gdzieś w okolicy nóg Dengara i wyrzucił z siebie szereg słów, wśród których łowca zrozumiał imię „Jabba”. Jeśli go zabiją, Jabba będzie zły.

Ten z nożem nie był zadowolony; stał ciągle nad Dengarem i dopiero przy kolejnym ryku bantha wsunął nóż do pochwy i skoczył na wierzchowca. Kilka chwil i już ich nie było.

Siła wiatru rosła nieustannie. Cały świat zniknął za szarą, wyjąca w różnych tonacjach zasłoną.

Dengar spojrzął na nadcięty ramię przy prawej dłoni. Szarpnął nim w nadziei, że może pęknie, ale po paru chwilach starań opadł wyczerpany.

Wiatr nie wyl już, ale krzyczał, a piasek i kamienie raniły skórę. Kawałek skały uderzył Dengara w podstawę nosa i zranił niczym odłamek szkła. Drugi przeciął but, trzeci trafił w jeden z rzemieni przy prawym nadgarstku, aż ten zawibrował jak struna. Dopiero wtedy Dengar pojął najważniejsze.

Zęby Tatooine to były właśnie te kamienie i piasek, przed którymi próbował się uchylać. Niebo pociemniało i tylko zarysy jasnych tarcz obu słońc przeświecały przez burzę.

Przypomniawszy sobie coś, co, jak sądził, całkiem uleciało mu z pamięci.

Leżał na stole operacyjnym. Oczy przesłaniała mu gaza, ale tuż nad nim płonęły dwie silne lampy. Lekarze wprowadzali mu sondy do mózgu.

Poczuł wtedy przyływ żalu, a ktoś powiedział:

- O, żal? Zachować?

- Oczywiście, że nie - odparł drugi medyk. - Tego nam nie trzeba. Wypal.

Na chwilę zapadła cisza, a potem coś syknęło, w powietrzu rozszedł się zapach palonego ciała.

Potem pojawiła się miłość. Serce wezbrało mu pragnieniem, żeby ulecieć gdzieś daleko, w przestworza.

- Miłość?

- Niepotrzebna.

Znów syknęło, wróciła niemiła woń. Dengara zaczęła ogarniać złość.

- Złość?

- Zostaw.

Niemal natychmiast odczuł olbrzymią ulgą.

- Ułga?

- Och, nie wiem. Jak sądzisz?

Dengar chciał coś powiedzieć, poprosić, by dali mu spokój, ale nie mógł otworzyć ust.

- Wypalić - powiedzieli jednocześnie obaj lekarze, a potem zaśmiali się, jakby to była jakaś gra.

Wspomnienie zbladło i Dengar znów leżał na pustyni. Imperialni oficerowie obiecywali mu, że gdy już dowiedzie swojej użyteczności, przywrócą mu dawną postać i zdolność do odczuwania. To była obietnica bez pokrycia, ale Dengar nie tracił nadziei, że jednak... I tak stał się zakładnikiem własnej nadziei.

Teraz rozumiał, że po to właśnie pozostawiono mu nadzieję. W ten sposób lepiej mogli nad nim panować.

Znów zaczął walczyć. Kamienie uderzały coraz częściej. Niektóre trafiały i w rzemienie i pozostawało mieć nadzieję, że przerwą je, zanim sam łowca zmieni się w krwawą miążgę.

Odlamek uderzył tuż nad lewym okiem i Dengar krzyknął z bólu, ale jego głos zginął w ogłuszającym ryku wichury.

Nagle ten ryk urósł o kilka tonów. Łowca poznał, że to huk silników podprzestrzennych jakichś statków. Uniósł z wysiłkiem głowę akurat na czas, by dostrzec zarysy dwóch jednostek przemykających nisko nad doliną.

Jedną z nich był „Sokół Millenium”.

Serce zabiło mu jak szalone. Więc znów ci się udało, Han, pomyślał. Znowu uciekłeś. Jeszcze raz będę musiał ruszyć w pościg...

A Dengar nie miał akurat nic, prócz gniewu, nadziei i samotności. Rozejrzył się po pustyni w poszukiwaniu pomocy, ale niczego nie znalazł i poczucie osamotnienia zapłonęło bólem silniejszym niż kiedykolwiek. Przyszło mu do głowy, że teraz gniew i frustracja chyba nigdy go już nie opuszczą. Han odleciał, ale nawet gdyby był tutaj, to co z tego? Zdawał się teraz nieosiągalny i niepokonany. Tak samo jak Imperium. Dengar zapłakał z bezsilnej złości.

I wtedy przywołał obraz Manaroo, która z powrotem uczyniła z niego człowieka.

Z potępieńczym krzykiem szarpnął prawą ręką. Nie przejmował się już, że może zrobić sobie krzywdę. Imperium wcześniej go zniszczyło, ale dało mu siłę. Niemal natychmiast jeden z rzemieni pękł z trzaskiem, następne puściły chwilę później. W końcu nawet boleć wyskoczył ze skały.

Dengar znów wrzasnął. Tak długo wierzgał lewą nogą, aż i ona była wolna. Wtedy odwiązał lewą rękę i zwolnił więzy prawej nogi.

Burza tymczasem narastała, niebo poczerniało od piasku i pyłu. Dengar wiedział, że nie zdoła się nigdzie ukryć. Nie w tym terenie. Ludzie Jabby nie pozbawili go pancerza bojowego, który osłaniał większość ciała, ale nie miał nic, by ochronić głowę i dłonie.

Odwrócił się plecami do wiatru i ruszył niepewnie w kierunku, gdzie powinien leżeć pałac Jabby. Boba Fett zdradził go już dwa razy. Owszem, poprzednio go nie zabił, a tym razem zostawił mu pancerz, ale Dengar obiecał sobie, że łowca i tak zapłaci mu za wszystko życiem.

Długo tak szedł z dłońmi wtulonymi pod pachy i pochyloną głową. Nie widział właściwie drogi przed sobą, raz z powodu burzy, a dwa - przez coraz bardziej natrętne, gorączkowe halucynacje. Pędzony wicherem maszerował całe dwie godziny, ale nie wydostał się z pustyni. Nie udało mu się też trafić na żaden samotny głaz, za którym mógłby się skryć.

W końcu, gdy zabrakło mu już sił, a wściekłość i nadzieja skapitulowały przed zmęczeniem, padł na ziemię i zwinął się w kłębek, by umrzeć.

Zdawało mu się, że wieki tak leżał wyczekując na śmierć. Czuł się pusty i bez sił. Wiedział, że sam nigdy nie pokona pustyni. Nawet gdyby uwolnił się tuż po przebudzeniu, i tak byłby bez szans.

A potem zobaczył światło, z początku słabe. Miał wrażenie, jakby leciał tuż nad ziemią w śmigaczu. Ogarnęło go echo miłości i nadziei, i jeszcze świadomość, że musi się pospieszyć.

Wreszcie umieram, pomyślał. Siły życiowe uchodzą, odlatują. Ale dokąd? Niespodziewanie wszystkie wrażenia się nasiliły. Wydawało mu się, że jest młodszy, silniejszy i pełen emocji. Zatrzymał się i zawołał: „Zapłata!”

Nagle pojął, co się dzieje. To nie była przedśmiertna wizja, ale Manaroo. Attanni wciąż tkwiło w gniazdku na karku. Manaroo musiała być gdzieś blisko. Wybrała się śmigaczem na poszukiwania...

Dengar krzyknął i wstał pośród kurzawy. Rozejrzył się dookoła, ale nie dostrzegł jej. Ona też go

nie widziała i przyspieszyła, by ruszyć dalej. Ogarnęła go rozpaczą.

Krzyknął jeszcze raz, i znowu. Stał tak z zaciśniętymi powiekami i uniesionymi ramionami, aż nagle dziewczyna zwróciła głowę w jego kierunku.

Oczami Manaroo ujrzał swoją niewyraźną sylwetkę, która pośród burzy mogła uchodzić za formację skalną albo wręcz złudzenie.

Śmigacz zawrócił i obraz zniknął na chwilę w tumanie piasku, ale Manaroo trzymała kierunek, aż wyraźnie zobaczyła Dengara stojącego z pięściami uniesionymi ku niebu, twarzą poznaczoną niezliczonymi ranami i kurczowo zaciśniętymi powiekami.

Otworzył oczy w momencie, gdy Manaroo zeskoczyła z pojazdu. Nosiła kask i gruby kombinezon ochronny. Na ulicy nigdy by jej nie poznał, ale teraz objął ją bez wahania. Czuł fale jej miłości, jej poczucie ulgi. Dzielili się tymi emocjami.

- Jak? Jak udało ci się uciec? - spytał w końcu Dengar. - Bałem się, że zabił cię jeszcze wieczorem.

- Jabba i jego świta nie żyją - wyjaśniła Manaroo. - W pałacu chaos. Jedni rabują, inni się bawią. Strażnicy wypuścili więźniów.

- Aha - mruknął oszołomiony łowca.

- Ożenisz się ze mną? - spytała nagle dziewczyna.

- Jasne, oczywiście - mruknął Dengar i chciał jeszcze poprosić o coś więcej, ale zmęczenie wzięło górę i padł bez czucia na piasek.

Kilka następnych tygodni spędził w komorze rewitalizacyjnej szpitala w Mos Eisley. Kiedy tylko wyszedł, zaczął przygotowania do ślubu z Manaroo. Wśród jej pobratymców nie wymagało to szczególnych formalności, ot, prywatna sprawa dwojga ludzi; dopiero późniejsza wymiana attanni powinna przebiegać uroczysto, w obecności przyjaciół i rodziców. Musieli więc rozpocząć poszukiwania tego świata, na który Rebelia przeniosła w wielkiej tajemnicy bliskich Manaroo.

Podczas tych paru tygodni Dengar cały czas nosił attanni i po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci poczuł się wolną istotą. Tak bardzo oddalił się od tego, co uczyniło z niego Imperium, że nie miał najmniejszej ochoty wracać do dawnego życia. Więzienie gniewu, nadziei i samotności runęło w gruzy.

Przejęcia nie załamały ich, ale nadwyrężyły stan finansów. Dengar musiał znaleźć jakiś sposób, by zapłacić niebotyczne rachunki za leczenie. Zastanawiał się nad powrotem do pałacu Jabby, ale po Mos Eisley zaczęły krążyć ponure pogłoski rozsiewane przez tych, którzy wcześniej wpadli na ten sam pomysł. Nie dość, że ktoś zamknął od wewnątrz główną bramę, to jeszcze na murach zaczęły pokazywać się dziwne, pajakopodobne stworzenia. Dawni mieszkańcy pałacu też przeważnie gdzieś zniknęli, a ci, którym udało się uciec, błyskawicznie odlecieli z Tatooine.

Dopiero kilka dni później dotarło do Dengara, że w Mos Eisley nie wiadomo, gdzie właściwie zginął Jabba. Uznał, że może uda mu się zarobić nieco kredytów zbierając broń pozostałą na pustyni po ostatniej walce w pobliżu Jamy Carcoona.

Wzięli zatem „Skazańca I” i polecili szukać wraku barki Jabby. Okazało się, że istotnie nikt dotąd nie splądrował pobojuwiska.

Ciała istot ze świty Jabby zaścielały piasek, skurczone, prawie zmumifikowane. Pomiędzy nimi trafili na wiele sztuk broni, trochę chipów kredytowych i sporo części od androidów.

Z samej jamy unosił się duszący odór spalonego ciała i gnijącego mięsa. Wyglądało na to, że sarlacc zakończył swoją ponurą karierę. Ktoś cisnął mu bombę do gardzieli.

Na skraju osypiska leżał nagi trup mężczyzny. Ciało miał popalone i pokryte ranami, jakby żywcem wykapał się w kwasie. Dengar obrócił zwłoki butem, by spojrzeć w twarz zmarłego.

Pokrywały ją pęcherze po oparzeniach. Dengar nigdy jeszcze nie widział kogoś podobnie zmasakrowanego.

- Pomocy - wyszeptał domniemany trup.

- Co się stało? - spytał Dengar, gdy otrząsnął się z szoku.

- Sarlacc... mnie połknął. Zabiłem go. Wysadziłem od środka - odparł mężczyzna. Dengar znów się zdumiał. Powiadano, że sarlacc potrzebował tysiąca lat na strawienie zdobyczy, co musiało być oczywistą przesadą, ale z drugiej strony... ten mężczyzna na pewno nie leżał na pustyni od kilku tygodni. Najwyżej dzień albo dwa, a to znaczyło, że wcześniejszy czas rzeczywiście spędził w brzuchu sarlaccy.

Manaroo, która krążyła kilkanaście metrów dalej, zaraz podbiegła nad krawędź jamy.

- Niesamowite - szepnęła. - Pomóż wnieść go do środka. Razem umieścili rannego na koi w kabinie „Skazańca I”. Dengar podał mu wody, a Manaroo zaczęła spryskiwać rany antybiotykami. Gdy uratowany wrócił nieco do siebie, złapał Dengara za nadgarstek.

- Dziękuję - wyszeptał. - Wciąż... wciąż chcesz być moim współnikiem? - spytał i wyciągnął do niego rękę.

Dengar długo patrzył w osłupieniu na popaloną twarz rannego, aż pojął, że to Boba Fett. Bez broni i pancerza, całkiem bezradny Boba Fett leżący na osobistej koi Dengara. Ten sam człowiek, który odebrał mu Hana Solo, podłożył bombę na jego statku, który podał mu środek usypiający i zostawił na śmierć pośród piasków pustyni. Ktoś, kto zdradził go aż dwa razy!

Krew zaszumiała Dengarowi w uszach, świat okrył się mgłą. Fett miał na głowie krwawą szramę i gdyby wysilić wyobraźnię, mógłby Przypominać Hana Solo...

- Mów mi Zapłata - mruknął.

Boba Fett zrozumiał nagle, w jakiej sytuacji się znalazł i w jego oczach odmalowało się autentyczne przerażenie.

- Ja... tylko wykonywałem rozkazy - powiedział, ale Dengar już go nie słyszał. Dla niego te słowa wyszły z ust Hana Solo.

- Ejże, to był uczciwy wyścig - mówił Han krzywiąc się pogardliwie. - Równie dobrze mogło wyjść odwrotnie. To ja mogłem oberwać. Przykro mi.

- Ale ostatecznie to ja wylądowałem w szpitalu! - krzyknął Dengar, ściskając Hana za gardło.

Doszło do krótkiej szamotaniny, która zakończyła się całkiem niespodziewanie, bo Dengara nagle odeszły siły. Zobaczył, że dusi nie Hana, ale Bobę Fetta, który patrzy na niego błagalnie.

- Przykro mi! Przepraszam! - jęczał, a Manaroo odciągała ze wszystkich sił ręką Dengara i szukała czegoś w kieszeni. W końcu przycisnęła attanni do karku łowcy, przekazując mu swoje zaniepokojenie i współczucie nie tylko dla niego, ale i dla Boby Fetta.

- Co tu się dzieje? - krzyknęła.

- On próbował mnie zabić! - krzyknął Dengar, gdy odciągnęła go od rannego. W tej samej chwili zorientował się, że Fett zdołał wyciągnąć mu blaster z kabury. Teraz przyciskał lufę do jego piersi, gotów rozsmarować jednym strzałem płuca łowcy na grodzi. Cóż, jak dotąd nie nacisnął spustu.

Dengar zaczął się uspokajać. Emocje Manaroo przywróciły go rzeczywistości. Ona nie widziała w rannym potwora, tylko udręczonego i chorego człowieka. Fett był w podobnym stanie, co Dengar jeszcze kilka tygodni wcześniej.

Zapadła cisza. Fett wciąż przyciskał blaster do żeber Dengara, który o mało nie krzyknął mu w twarz: „Dalej. Nie mam nic do stracenia!”. Powtarzał to tyle razy, zawsze w podobnych okolicznościach, ale teraz to zdanie stanęło mu w gardle. Tak, teraz miał coś do stracenia... Była Manaroo i był ktoś, kto chciał zostać jego współnikiem.

Boba Fett okręcił blaster na palcu i podał go Dengarowi.

- Mam wobec ciebie dług - powiedział. - Rób, co uważasz za stosowne.

Dengar schował broń do kabury i spojrzał na rannego.

- Za kilka tygodni się żenię. Potrzebuję świadka. Możesz? Boba Fett przytaknął i uściśnił sobie dłońe.

Ta jedna skóra: opowieść o Bossku

Kathy Tyers



Chewbacca i Solo wyprowadzili Bosska w pole tylko raz.

Jaszczuropolodoby Trandoszanin przerwał potem na jakiś czas polowanie, by lepiej przygotować się do zderzenia skóry z Chewbacki. Sama myśl o podobnej zdobyczy napełniała go wyjątkową błogością. Bossk cieszył się wspaniałą kondycją i był dość silny, by pokonać Wookiego, ale w tym przypadku wolał polegać na swojej przebiegłości. A nawet sięgnąć do podstępów.

Bossk stał na rozległym pokładzie gwiazdowego niszczyciela „Egzekutor” i wpatrywał się w przepływające przez ekran dane. Zmrużył oczy, przesunął zawieszoną pod prawym ramieniem broń i przybliżył twarz do wyświetlacza. Jaskrawe lampy raziły jego nadwrażliwe oczy, za to obrazowi na ekranie brakowało kontrastu i był zbyt ciemny.

Po chwili pojawiła się kolejna lista:

„Znani wrogowie - Wielki Bunji, były wspólnik; Jabba Hutt, były pracodawca; Ploovi 21, były wspólnik”.

Bossk wparł pazury tylnych łap w wykładzinę pokładu. Chewbacca i Solo musieli być szaleni, żeby ukrywać się pomiędzy wrogami, ale Han znany był z szalonych sztuczek. Adiutanci lorda Vadera zebrali dla sześciu łowców nagród wszystkie przydatne informacje, ale Bosska mniej interesowało dotarcie do Solo niż do Wookiego. Han miał być dopiero drugi.

Zacisnął palce uzbrojone w zakrzywione pazury. Miał zwinne, ale silne dłonie pokryte wyraźnie zaznaczoną, grubą łuską. Na Wookiech polował od sześćdziesięciu standardowych lat. Gdy zginie kiedyś zabity strzałem z blastera lub celnie ciśniętym granatem, krwiożercza, pradawna Mistrzynie będzie mogła doliczyć wiele punktów jagannath zdobytych przez żarliwego wyznawcę.

Pełna niebiańskiego spokoju Mistrzynie bytowała w oderwaniu od czasu i przestrzeni. Patrząc uważnie jasnymi, pozbawionymi powiek oczami podliczała czyny każdego z trandoszańskich łowców. Gdyby zhańbił się lub trafił do niewoli, mogłaby wyzerować jego konto. Ale także podwoić, gdyby zdobył wyjątkowe trofeum. Trafienie Chewbacki byłoby właśnie takim osiągnięciem.

Przeszedł do informacji o Ploovi. Humanoidalny baron zbrodni złożył zamówienie na likwidację Solo. Niby nie było w tym nic niezwykłego, ale... Instynkt łowiecki podpowiadał coś innego. Zwłaszcza że Solo był widziany ostatnio nie gdzie indziej, ale na Tatooine, w pobliżu pałacu Jabby. Zaraz potem uciekł razem z rebeliantami, a ten idiota Greedo zgubił go jak dziecko. Bossk rozmawiał z nim później na Ord Mantell.

Wojowniczy naród Bosska dość wcześnie związał się z Imperium. To władze Trandoszan podsunęły pomysł, by nie niszczyć planety Kashyyyk bombardowaniem z orbity, ale wykorzystać jej roślących i silnych mieszkańców do przymusowej pracy. Idea spotkała się z akceptacją Imperium i miłujący pokój Wookie popadli w niewolę zanim w ogóle domyślili się, co jest grane. Od tamtych czasów bardzo niewielu z nich pędzi wolne życie na innych planetach.

Lord Vader żądał, by poszukiwanych dostarczyć mu żywych. Cóż widać sam miał ochotę obedrzeć ich ze skóry. Gdy już się zabawi, Bossk odkupi futro Chewbacki, zabierze je do domu i rozłoży na krwawym ołtarzu Mistrzynie.

Najpierw jednak musiał odszukać Solo i jego kompanów, którzy zniknęli nie wiadomo gdzie. A konkurencja była ostra.

Tinian Patt odgarnęła rude włosy za ucho i przykucnęła, by spojrzeć w oczy pokrytemu brunatnym filtrem Chandra-Fanowi. Bliskość czterech nozdrzy i spłaszczonego pyska nie była przyjemna, ale musiała się upewnić, że tchórzliwa istota zrozumiała to, co najważniejsze.

- Dwieście kredytów - powtórzyła. - Masz mnie tylko przedstawić. Mnie i Chenlambeca. Masz nas przedstawić Bosskowi.

Tutti Snibit przechylił głowę i zerknął lekko ponad ramieniem Tinian na srebrzystego Wookiego. Sama Tinian też się przeraziła, gdy pierwszy raz spotkała Chenlambeca. Inni łowcy mieli go za nieobliczalnego drapieżnika, zdolnego ulegać napadom dzikiego szału. Przestrzegał bezwzględnej lojalności w interesach i zawsze wywiązywał się z zadania. Nosił ciężki pas z gadziej skóry nabijany grotami bełtów i srebrnymi ćwiekami.

Dla Tinian był jej Ng'rhr, czyli „klanowym stryjem”. Mistrzem szkolącym praktykantkę.

- Trandoszanie nienawidzą Wookiech - wyjąkał Tutti i wyjaśnił, że też był łowcą nagród, ale imperialni odrzucili jego ofertę podczas wstępnej selekcji.

- Czyli podobnie jak nas - stwierdziła Tinian. Owszem przybyła wraz ze swym mistrzem na pokład „Egzekutora” za późno, by stanąć do konkursu. Tyle, że zrobiła to rozmyślnie. - Przypomnij Bosskowi Kodeks. A potem nas przedstaw. - Kodeks Łowców Nagród głosił, że żaden łowca nie może zabić konkurenta ani przeszkadzać mu w polowaniu.

Tutti jednak chyba go za bardzo nie przestrzegał. Tinian widziała kilka minut wcześniej, jak rozmawiał z Bobą Fettem; nawet podsłuchiwała, o czym. Proponował, że pomoże Fettowi w zamian za skromne honorarium. Ostatecznie dostał chyba zlecenie, by skierować Bosska na fałszywy trop, oddalający go od Hana Solo.

Tinian i Chen nie mieli nic przeciwko takiemu załatwianiu niektórych spraw.

- Dwieście pięćdziesiąt - zaproponował Tutti nastawiając jedno z wielkich, okrągłych uszu.

Tinian obejrzała się przez ramię. Chen mruknął przeciągle.

- Dwieście dziesięć - odpowiedziała. - To nasze ostatnie słowo. Tutti wyciągnął serdelkowatą dłoń.

- Dopiero gdy nas przedstawiś i wyjdziemy żywi - uśmiechnęła się chłodno Tinian.

Chandra-Fan pospiesznie się oddalił, a Tinian wreszcie się wyprostowała.

- Nie wiem, jak dobrze płaci Boba Fett, ale ten mały jest strasznie zachłanny.

Chen warknął.

- Jestem gotowa. A ty?

Wookie skrzyżował ramiona na pasie ładownicy i oparł się o grodzie. Wyglądał na całkiem zrelaksowanego.

- Jasne, że też. Zawsze jesteś gotowy.

Praktykę u Chena zaczęła w nadziei, że zdoła dokuczyć Imperium, zanim ono ją dopadnie. Już raz zniszczyło jej życie i wszystko, co miała odziedziczyć. Teraz nie miała nic.

Chenlambec nie był zresztą zwykłym łowcą nagród. Ugruntował swoją opinię bezwzględnego drania i dzięki temu pomógł już nie raz i nie dwa Rebelii, umożliwiając ucieczki różnych istot. Prowadził niebezpieczną podwójną grę, która jednak dawała mu sporo satysfakcji i niemałe dochody. To zadanie miało być trzecim przeprowadzonym z pomocą Tinian.

Tutti wychylił się zza rogu i złożył dłonie na fałdach wybrudzonej brunatnej szaty.

- Zgadzam się - rzucił. - Ale uważajcie, żeby miał mi kto zapłacić!

Bossk czekał tuż za zakrętem korytarza. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dorównywał prawie postawą Chenowi. Łuski na jednym boku jaśniały pomarańczowo, chociaż reszta ciała była wszędzie zielonobrazowa. Trandoszanin nosił pomarańczowy kombinezon pilota, najwyraźniej zaprojektowany dla krótkonogich ludzi, bo nogawki kończyły się przylegającymi obręczami tuż poniżej kolan. Na ramieniu oparł beztrąsko karabin laserowy.

Przydzielony mu komp znajdował się blisko centrum sterowniczego „Egzekutora”. Niczym nie osłonięte, wystawione z trzech stron na spojrzenia innych stanowisko nie mogło się podobać doświadczonemu łowcy. Na grodziach i sufitach biegły pęki przewodów.

- Wielki Bossku - wyjąkał Tutti. - Oto Chenlambec. Ma reputację dosko-nałego łowcy. A to Tinian, jego praktykantka.

Bossk syknął gniewnie i sięgnął prawą łapą po broń.

- Kodeks tego zabrania! - pisnął Tutti. - Nie strzelaj! Oni chcą porozmawiać o Chewbacce!

Bossk warknął.

- Chenlambec... Że też podobnie tchórzliwa rasa mogła wydać kogoś takiego - powiedział wspólnym, którym zresztą nie władał najlepiej. Ktoś mógłby pomyśleć, że Trandoszanin nie tyle mówi, ile raczej się dławi.

Chen uderzył się pięścią w pierś i warknął głucho. Tinian stancja pomiędzy łowcami. Obaj byli znacznie od niej wyżsi.

- Mówi, że twoja sława znacznie cię wyprzedziła. Zabiłeś wiele dziesiątków jego pobratymców.

- Wiele setek - poprawił ją Bossk.

Tutti rozejrzał się wokół. Pewnie szukał możliwych dróg ucieczki.

- Tak czy tak - wtrącił się w końcu - Bossk dostał robotę, a Chenlambec dysponuje informacją, która może ją ułatwić. Pomyślałem, że mógłbym obu wam wyświadczyć przysługę. I dlatego postanowiłem was sobie przedstawić! - zakończył dramatycznie i zamachał kudłatymi ramionami.

Bossk mruknął coś w niezrozumiałym dla Tinian języku.

- Proszę posłuchać, panie Bossk - odezwał się znów Tutti. - Chenlambec zjawił się na pokładzie za późno, by zgłosić swoją kandydaturę...

- Lord Vader chce obiekty żywe - przerwał mu Bossk. - Bez zabijania. Wyraził się jasno.

- Tak, tak - zapiszczał Tutti. - Ale przecież Chenlambec może raz zmienić plany. Jeżeli pan, szanowny Bossku, zdecyduje się raz popracować z Wookiem...

- I z człowiekiem - syknął Bossk pochylając głowę. - Małym, słabym człowiekiem.

Chen warknął gniewnie.

Tinian skrzyżowała ostentacyjnie ręce na piersi.

- Chen mówi, że przydaję mu się wtedy, gdy musi porozumiewać się we wspólnym. A od siebie dodam, że jestem już prawie samodzielny łowcą.

Bossk przesunął broń z powrotem na ramię.

- Spadaj, Chandra-Fan. Nie będzie strzelaniny. Mam z nimi do pogadania.

Tutti wycofał się za róg. Tinian prawie mu zazdrościła. Większość łowców na pewno nic nie zarobi na tym zleceniu, bo zakończy bezowocne poszukiwania z płótnem w kieszeni. Jej i Chenowi też mogło nie udać się to, co zamierzeli, za to Tutti bez wątpienia zgromadził już dość kredytów, by spędzić wesoło trzy albo i cztery tygodnie. A jeśli będzie oszczędny, to może starczy mu tego kapitału do końca życia...

Bossk machnął na terminal kompa, by się wyłączył, i oparł się o grodz. Miał szersze pole widzenia niż Wookie czy człowiek, ale tej parze jakoś nie ufał.

- No i? - syknął. - Co macie do zaproponowania? Pamiętajcie, że nie tak łatwo zasłużyć na moją wdzięczność.

Chenlambec oparł się o przeciwległą ścianę. Czarny pas ładownicy z gadziej skóry wybrał na tę okazję chyba specjalnie, by zirytować Bosska. Dla Trandoszan cała wartość zdobyczy tkwiła w jej skórze, ale Bossk za nic nie włożyłby czegoś choćby ze śladem gadzich łusek. To, że Wookie i ludzie jadali mięso innych ssaków, było dla niego dowodem barbarzyństwa tych istot.

Tinian stanęła znów pomiędzy roslymi łowcami. Bossk nie wyczuł w kobiecie nawet odrobiny strachu.

Chen zaczął pohukiwać jak górska małpa; trwało to tak długo, aż Tinian uniosła dłoń.

- Mój Ng'rhr ma kontakty wśród Wookiech z załóg statków - zaczęła.

- Nie ufam informacjom udzielanym przez kryminalistów. To, że znasz ich język, stawia cię poza nawiasem. Oni mają słuchać, a nie mówić.

Tinian pohamowała chęć przyłożenia Bosskowi i oparła dłonie na biodrach, by jej nie kusilo.

- Moja rodzina trzymała Wookiech jako niewolników. Najlepszym sposobem, żeby nad nimi zapanować, było nauczyć się ich języka. Rozumiemy się?

- A teraz nazywasz go swoim mistrzem - zachnął się Bossk.

- Przepraszam, ale teraz muszę ci przetłumaczyć. Chenlambec powiedział, że ma znajomości wśród Wookiech, którzy należą do załóg statków dalekiego zasięgu. - Odsunęła włosy za ucho, eksponując różową małżowinę, której Bossk przyjrzał się ze zdziwieniem. - Jeden z nich sprawdził ostatni znany kurs „Sokoła Millenium” i wysunął pewne supozycje co do jego miejsca przeznaczenia.

Sprawdził kurs? Czy chodziło o informację z kodowanej sieci Wookiech? Bossk zainteresował się sprawą. Oddałby Mistrzynie prawą rękę, by włamać się do tej sieci. Lewą rękę też... ostatecznie jego organizm regenerował utracone kończyny. Zyskałby w zamian wielkie bogactwo i wieczyste bezpieczeństwo.

- Mów dalej - syknął. - Gdzie się skierowali? Wookie znów zahuczał.

- Mówi, że najlepszym sposobem na zjednanie sobie kapitana Wookiech jest samemu zatrudnić jakiegoś Wookiego.

- Gdzie się skierowali? - powtórzył pytanie Bossk, starając się panować nad głosem.

- Najpierw musimy uzgodnić zasady naszej współpracy.

- Jeśli pomożecie mi dopaść Chewbacę i jego właściciela, wtedy zastanowię się nad odpaleniem wam dwudziestu procent nagrody.

Kobieta zmrużyła oczy.

- Chyba masz nas za amatorów. Należy się połowa. I tak zostanie ci więcej niż mógłbyś zarobić bez nas.

Ona śmie się z nim targować! Ale nie szkodzi, pomyślał Bossk. Futro Chena powinno być warte prawie tyle samo, co skóra Chewbacki. Srebrzyste cętki były cechą recesywną i trafiały się dość rzadko.

Takiego tropu szukał! Dotąd otrzymywał same stare informacje; to był wreszcie świeży ślad. Niech sobie myślą, że przystanie na trzydzieści procent.

- Czym potężny Chewbacca zasłużył na wrogość innego Wookiego? - spytał cicho.

Chen zawył ponuro.

- To była niesłychana zbrodnia - przetłumaczyła Tinian. - Ale Chen nie rozmawia o przeszłości - dodała od siebie. - W każdym razie nie ze mną. Z tobą tym bardziej nie zechce.

Mniejsza o przeszłość, pomyślał Bossk. Może nawet nie znajdzie „Sokoła”, ale jeśli uda mu się zwabić Chena na pokład, i tak zarobi swoje.

Ludzka kobieta zapewne też mogła być gdzieś poszukiwana. W końcu handlarze niewolników nie zwykli gardzić młodymi i energicznymi samicami.

Kodeks byłby przeszkodą, bo zabraniał zdrady, jeżeli ten drugi łowca nie uczynił tego pierwszy, ale Bossk już wcześniej naruszał zasady i uważał, że ma na to życzliwe przyzwolenie Mistrzynie. Z czasem nawet zagustował w misternych oszustwach.

- A teraz słucham - powiedział. - Dokąd się skierowali?

- O tym wolelibyśmy porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu.

- Nie ma czasu - syknął groźnie Bossk. Musiał spróbować ich zastraszyć. - Inni łowcy wsiadają już do statków.

- No to porozmawiamy tutaj - stwierdziła Tinian i spojrzała w głąb korytarza, którym nadchodził jeden z imperialnych w mundurze khaki. Minał ich łomocząc ciężkimi buciorami o pokład. Bossk odruchowo sprawdził, czy ma broń na swoim miejscu.

Człowiek z personelu pokładowego zniknął w kolejnym zalanym jaskrawym światłem przejściu, ale Bossk wyczuł w Tinian jakiś niepokój, a potem ulgę, gdy tamten poszedł. Widać nie lubiła imperialnych i wołała mieć się przed nimi na baczności.

Całkiem niepotrzebnie. Najgroźniejszy jej wróg stał przecież tuż obok.

Konstrukcja „Egzekutora” wibrowała wokół Chenlambeca niczym żywe stworzenie. Wookie najchętniej natychmiast opuściłby wnętrze tego lewiatana; współczuł imperialnym załogantom, którzy niczym pasożyty musieli całymi latami krążyć po przedziałach i korytarzach.

Na razie jednak musiał dokończyć rozmowę. Przekazywał zdanie po zdaniu i słuchał tłumaczącej jego słowa Tinian. Był pełen podziwu dla jej umiejętności odgrywania „szczerej” pogardy wobec jego gatunku.

- Kontakty Wookiech zauważyły statek Solo na kursie do systemu Lomabu. Grupa zbuntowanych Wookiech zasiedliła tam kolejny świat. Słyszeliśmy, że zdarzyło ci się kiedyś załatwić jedną taką kolonię.

- Tak - sapnął Bossk. Chodziło o Gandolo IV, gdzie udało mu się upolować całkiem sporą gromadkę byłych niewolników. Mało brakowało, a dopadłby również sławnego Chewbackę, który pomagał w założeniu kolonii. Przeszkodził mu niespodziewany powrót kapitana Solo. Widząc, co się dzieje, Solo zaatakował łowcę i jego ekipę, aż musieli wycofać się na główny, większy i lepiej uzbrojony statek. Solo wylądował wtedy „Sokołem” dokładnie na szczycie kadłuba, powodując załamanie się podwozia. Buchnęła para z porwanych przewodów hydraulicznych, a wewnętrzne eksplozje uszkodziły poważnie zespół napędowy.

Solo i Chewbacca zostawili potem Bosska uwięzionego we wraku. Przeżył, ale za cenę bolesnego poniżenia, jak głosiła krążąca po ludziach opowieść. Chenlambec znał ją niejako z pierwszej ręki, bo jego brat towarzyszył Chewbacce podczas całego zajścia i razem z nim popadł najpierw w desperację, by potem ożyć na widok odsieczy.

Chen był pewien, że dla Bosska to nadal bardzo bolesne wspomnienie. Serią pomruków przypomniał Tinian o paru szczegółach mających uwiarygodnić ich legendę, którą opracowali szczegółowo jeszcze przed lądowaniem w hangarze „Egzekutora”.

Dziewczyna pokiwała przytomnie głową i odwróciła się do szpetnego jaszczura.

- Przypuszczamy, że po wygnaniu z Hoth Rebelia będzie próbowała założyć bazę blisko Wookiech w systemie Lomabu. To by wyjaśniało, dlaczego Solo wziął na pokład kilkoro przywódców Sojuszu. Nasi informatorzy twierdzą, że tak właśnie się stało. Moglibyśmy przemknąć się tam jeszcze przed przybyciem floty rebeliantów i zrobić swoje, zanim imperialni w czymkolwiek się połapią. Potem zawieziemy jeńców prosto do lorda Vadera.

Bossk pokiwał głową.

- Nie słyszałem o Lomabu. To daleko stąd?

- My jesteśmy w pobliżu Anoatu, a co do Lomabu...

Chen wbił spojrzenie w Bosska. Ciekawe, czy przynęta chwyci?

- ... to nie jesteśmy pewni, gdzie dokładnie leży - dokończyła Tinian.

Bossk rzucił jej wściekłe spojrzenie, zerknął na Chena, znów popatrzył na Tinian i wyrzucił z siebie kilka gardłowych słów po trandoszańsku. W końcu znowu przeszedł na wspólny.

- Nic mi po waszych informacjach. Są bez wartości. Wy też nie jesteście nic warte. Powinienem...

Chen szczerknął gniewnie.

- Uspokójcie się obaj - wykrzyknęła Tinian. - Nie wiemy, gdzie leży, ale wiemy, gdzie szukać tej informacji. Musimy zajrzeć do sieci Wookiech.

Chen był prawie pewien, że Bossk się na to złapie. Sieć istniała naprawdę i jaszczur bez wątpienia marzył, by się do niej włamać...

- Do sieci - powtórzył powoli Bossk i język mu zadrgał łakomie. Wspaniale. Połknął haczyk.

- To nie będzie bezpieczne. Szczególnie dla ciebie i dla mnie, Bossk. Wookie przywiązują wielką wagę do kwestii bezpieczeństwa i często uciszają obcych, którzy zbyt interesują się siecią.

Bossk poprawił pas z bronią.

- Nie zgodzą na podróż żadnym innym statkiem, prócz mojego. Mam lekki frachtowiec YV-666. Zmodyfikowany do polowania na Wookiech. Odpowiada wam?

Chen pokazał zęby i warknął groźnie. Gdyby udało im się ściągnąć Bosska na pokład ich statku, reszta poszłaby śpiewająco, ale łowca nie był aż tak głupi.

- Jemu nie przeszkadza - przetłumaczyła Tinian. - A skoro stawką jest nagroda za Chewbackę, to i ja się przełamie.

Bossk rozciągnął w końcu dolną część pyska w gadzim odpowiedniku uśmiechu.

- Ale muszę was ostrzec: jeśli zaczniecie cokolwiek kombinować, systemy pokładowe „Kła Ogara” dadzą wam popalić.

To było oczywiste. Statek musiał zostać odpowiednio przygotowany na wypadek buntu mocarnych Wookiech.

Chen kazał jeszcze przekazać Bosskowi, że wspólna podróż znacznie obniży koszty przedsięwzięcia, co dla nich było dość istotne, skoro mieli dostać tylko po piętnaście procent. Gdy Tinian przetłumaczyła, Chen powoli wciągnął powietrze. Bossk zalaatywał wprost bólem i śmiercią, ale nadal był absolutnie pewny swego, co zasugerowało Wookiemu, że musiał knuć zdradę. Odżałował te trzydzieści procent tylko dlatego, że i tak nie miał zamiaru dzielić się z nikim nagrodą.

Czyli wszystko już wiemy, pomyślał Chen. Jeśli się uda, Bossk nie dostanie ani kredytu, a na dodatek jego konto jagannath wyczyści się do zera. Wookie znał podstawy religii Trandoszan i wiedział, że taki los byłby dla Bosska gorszy od śmierci.

Chenowi niewiele rzeczy sprawiłoby większą radość.

Na Tinian Bossk robił wrażenie nadpobudliwego. Wciąż postukiwał rytmicznie pazurami i spoglądał nerwowo w pustkę korytarza.

- Oczekuję też, że pokryjecie połowę wydatków na paliwo - dodał.

Podczas trzech lat spędzonych z Chenem Tinian bardzo się zmieniła. Prostoduszna dziewczyna z bogatego domu wyrosła na doświadczoną bojowniczkę ruchu oporu. Wyczuła, że Bossk ją sprawdza.

- Dziesięć procent - odparła. - Gdybyś wiedział, gdzie to jest, to i tak byś tam poleciał. Z nami czy bez nas.

Bossk skrzywił się.

- Dwadzieścia. Zaprogramowanie systemów pokładowych, by miały was na oku, zajmie trochę czasu, opóźni wylot i polowanie.

- No to ich nie programuj - zaproponowała dziewczyna. Jaszczur ściągnął wargi i syknął.

Tinian słyszała, że Trandoszanie poczytują miłosierdzie, wdzięczność i ugodowość za oznaki słabości.

- Dziesięć - powtórzyła. - To i tak szczodry gest z naszej strony.

- Czemu nie zapiszesz się do Gildii Kupieckiej, ludzka kobieto? Polowanie to sprawa nie na wasze żołądki.

Tinian zerknęła na niego spod przymrużonych powiek. Wyraz jej twarzy był w tej chwili czytelny nawet dla Trandoszanina.

- Mój uodpornił się trzy lata temu, gdy zamordowano moich dziadków i ukochanego, a także zniszczono mi dom. Porzuciłam dawne życie. Przy odpowiedniej stawce nagrody ryzyko traci dla mnie znaczenie.

Bossk wpatrzył się w nią. Nie wszystko rozumiał. Trandoszanie nie mieli ukochanych. Wracając na rodzinną planetę parzyli się z odpowiadającą akurat ich gustom matką gniazda i wracali do swojej roboty.

Ona jednak miała ukochanego. Narzeczonego. Teraz robiła co mogła, by obraz Daye'a Azur-Jamina nie stanął jej przed oczami. Miał łagodną twarz, w której odbijała się wrodzona inteligencja i dziwne srebrzyste znamię nad jedną brwią. Był wrażliwy na Moc, co zawsze dowodzi o prawości charakteru. Nie bał się ciężkiej pracy. Lojalny do grobowej deski, poświęcił swoje życie, by umożliwić jej ucieczkę w dniu, gdy imperialni przejmowali fabrykę jej dziadków. Od tamtej chwili robiła co mogła, by przyspieszyć upadek Imperium. A jeśli przy tym zginie, to nie szkodzi. Im szybciej się to stanie, tym szybciej dołączy do Daye'a.

Na razie jednak miała jeszcze to i owo do zrobienia.

- Piętnaście procent kosztów paliwa - powiedział Bossk wyciągając pazurzastą dłoń.

Tinian wyczuła, że wygrała: Bossk wyszedł w pół drogi. Wyciągnęła rękę i dotknęła łuskowatej skóry. Bossk przycisnął ją jednym ruchem do ściany korytarza. Chenlambec też podał rękę i został identycznie potraktowany. Znaczenie gestu było proste: Bossk tu dowodził. Niby dwoje na jednego, ale na pokładzie cudzego statku. Okoliczności zdawały się sprzyjać Trandoszaninowi.

- A teraz ustalmy, czym dysponujemy i co robimy - oznajmił Bossk i zaczął wyliczać systemy uzbrojenia swojego statku. Zanim skończył, Chen zaczął nerwowo przytupywać i nawet Tinian poczuła się nieswojo, chociaż wyrosła w rodzinie, która tradycyjnie zajmowała się produkcją broni. Od czasu opuszczenia Druckwell nauczyła się nią nieźle posługiwać. Rekompensowała sobie w ten sposób niewielki wzrost i ograniczoną siłę. Sporo też nauczyła się od Wookiego, którego reputacji

jako „wolnego strzelca” nawet Bossk nie mógł kwestionować.

Ustalenie reszty planów nie zajęło wiele czasu. Mieli odwiedzić placówkę Wookiech i udać się do systemu Lomabu. Z wyłączonymi systemami weszliby na orbitę udając asteroidę. Do zwiadu mieli użyć małego ładownika. Po zlokalizowaniu kolonii zbiegłych Wookiech zastawiliby pułapkę na Solo i jego kompanów. Szczegóły mieli dopracować po osiągnięciu Lomabu.

Tinian ani słowem nie wspomniała o prywatnych planach swoich i jej mistrza.

- Do czasu, aż tam doleciecie, będziecie pozostawać w swojej kabynie.

Tinian wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru siedzieć grzecznie we wskazanym przez Bosska miejscu, a Lomabu III nie było bezpiecznym światem.

- Zamustrujemy z trzystoma kilogramami wyposażenia. W którym doku cię znajdziemy?

Bossk zamrugał, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie: po co im trzysta kilo sprzętu?

- W szóstce - rzucił.

- Będziemy za dwadzieścia minut - zapowiedziała Tinian.

Chenlambec poprowadził Tinian korytarzem, zadowolony, że wreszcie mógł uciec przed smrodem Bosska. Zadania podjął się na polecenie nadeszłe z Kashyyyk; nie chodziło jedynie o ułatwienie ucieczki Chewiemu, ale także o położenie kresu zbrodniczej działalności Bosska. Chen wiedział, że Trandoszanin ma na koncie setki ofiar. Na dodatek był z tego dumny. Triumfalny błysk oka łowcy burzył w Chenie krew.

Pokonawszy kilka zakrętów, Wookie zwolnił kroku.

- Zadowolony? - spytała Tinian.

Chenlambec, który stracił przez łowców futer braci i siostry, odparł, że to dopiero początek.

- Ale udany - stwierdziła dziewczyna. - Przez kilka minut czułam, że żyję.

Chenlambec położył jej dłoń na ramieniu. Tinian rozumiała mowę i gesty Wookiech i wiedziała, że oznacza to przyznanie racji.

- Myślałam, że i ty poczułeś się podobnie - powiedziała i uśmiechnęła się do mistrza.

Chen liczył mijane wyloty korytarzy, aż skręcił w jeden z nich, słabiej oświetlony. Zrobił dwadzieścia długich kroków i zatrzymał się pod grodzia, a Tinian stanęła obok na straży i obluzowała broń w kaburze.

Chen przyklęknął i sięgnął do nieużywanego portu kompów niszczyciela. Wysunął pazur i wyciągnął stamtąd srebrzysty sześcian, tak mały, że zmieściłby się w dłoni Tinian.

- W ostatniej chwili - pisnął przedmiocik wysokim, kobiecym głosem. - Już miałam...

Wookie ścisnął gadułą, który był za mały, aby nazywać go androidem, ale na tyle inteligentny, że zasługiwał na to miano. Zamknąwszy pchełką w dłoni obejrzał się na Tinian.

- Czysto - powiedziała stojąc nieruchomo jak posąg, z dłonią na kolbie blastera.

Chen przypiął drobiazg do pasa na wysokości biodra.

- Mam masę pożytecznych danych - pisnęła Pchełka. - Wiem wszystko o „Sokole Millenium”. Nie uwierzycie, ale...

- Nie szukamy „Sokoła” - powiedziała Tinian.

- Aaa... - zająknęła się Pchełka. - Chciałam tylko...

Chen warknął ostrzegawczo i aparacik zamilkł w pół pisku. Teraz nie różnił się niczym od reszty kwadratowych ćwieków, które ozdabiały pas ładownicy Wookiego. Nieprzypadkowo zresztą: pas był elementem kamuflażu.

Ruszyli z powrotem po resztą bagażu, którzy zamierzali przenieść na statek Bosska.

Bossk pospieszył do innego terminalu w koszarowej części „Egzekutora”. Nie bawiąc się w ceregiele poszukał wszystkich dostępnych informacji o Chenlambecu. Z rozczarowaniem się przekonał, że jego pozwolenie łowieckie było ważne, a lista osiągnięć długa i imponująca. W półświatku znany był jako „Wściekły Wookie”. Jego skóra znacznie wzbogaciłaby konto punktowe Bosska.

Postukał w klawiaturę wprowadzając hasło „Tinian”. Nie znał nazwiska kobiety. Komputer szukał kilka sekund, aż wyrzucił dwie odpowiedzi. Jedna pasowała do widzianej przed chwilą osoby, i to bardzo dokładnie. Zgadzała się nawet charakterystyka ciepła ciała, na którą mało kto poza Trandoszanami zwracał zwykle uwagę. Między innymi to właśnie czyniło z nich doskonałych łowców.

Tinian była poszukiwana. Skromną nagrodą za jej pojmanie wyznaczył w swoim czasie imperialny gubernator przemysłowej planety Druckenwell. Jako adeptka pobierająca nauki u licencjonowanego łowcy była teraz nietykalna. Wielu pomniejszych kryminalistów korzystało z tej szansy. Gdy jednak Chenlambec znajdzie się już na stole preparacyjnym Bosska, Tinian zostanie bez prawnej ochrony i będzie można legalnie się nią zająć. Niska suma nagrody sugerowała, że kobieta nie była specjalnym zagrożeniem, ale powinno starczyć tych kredytów na pokrycie kosztów paliwa w obecnej wyprawie.

Musiał tylko ściągnąć oboje na pokład „Kła Ogara”.

Ale i tak zasadniczym celem pozostawał Chewbacca. Bossk ani na chwilę nie potrafił zapomnieć o wyznaczonej za niego olbrzymiej nagrodzie... ani o poniżeniu, którego doznał na Gandolo IV.

Ruszył do hangaru szóstego, gdzie szturmowcy strzegli stojącego w blasku jupiterów „Kła Ogara”. Trzy inne statki łowców już odleciały. „Kiel” lśnił nowością, nie zdążył jeszcze okryć się patyną ani szramami od zżucia. Świadom obecności imperialnych, jaszczur podszedł ostentacyjnie do rampy.

- Bossk - powiedział. - Wsiadam.

Komp statku momentalnie zidentyfikował jego głos.

- Przyjęte - odparł metaliczny baryton. Bossk lubił statki, które umiały mó-wić. Zapłacił nawet za dodatkowe oprogramowanie. Rampa wejściowa opadła powoli.

Łowca pospieszył do sterowni, by czym prędzej sprawdzić systemy bezpieczeństwa. Szczególną uwagę zwrócił na lewoburtową kabinę sypialną.

Usatysfakcjonowany przeszedł krętym korytarzem do jednej z rufowych ładowni. Jego pasażerowie powinni mieć dość miejsca na składowanie tych trzystu kilogramów. Chociaż... co to mogło być? Zaintrygowany Bossk oblizał się nerwowo. Zresztą... cokolwiek chcieli wnieść, statek rozpozna zawartość ich bagaży, które niebawem i tak dostaną się Bosskowi.

Cofnął się do głównej śluzy, by poczekać na gości.

Pierwsza pojawiła się na lustrzanym pokładzie „Egzekutora” Tinian. Lewą ręką prowadziła samobieżny wózek bagażowy, prawą trzymała w pobliżu zawieszzonego u pasa blastera. Przez prawe ramię przewiesiła czarny gruby płaszcz.

- Witam na pokładzie „Kła Ogara”. Macie wspólną kabinę na lewej burcie - poinformował Bossk. - Jest otwarta. Od razu złóż tam bagaże. Potem do was zajrzę.

Dziewczyna zniknęła w półmroku korytarza, a łowca spojrzał na znacznie bardziej interesującą sylwetkę Chenlambeca prowadzącego dwa imperialne androidy, z których każdy holował jedną skrzynię. Sam Wookie niósł na głowie pojemnik z uzbrojeniem.

- Co tam jest? - rzucił Bossk pod adresem jednego z wyposażonych w gaśnice androidów.

Chenlambec warknął coś, co Bossk był skłonny uznać za przekleństwo. Poruszył w odpowiedzi językiem i przestał podpieierać grodz.

- Za mną - powiedział i poprowadził go ciemnym korytarzem obok jasno oświetlonej kabiny pasażerskiej do mniejszej ładowni, gdzie przygotował kilka metrów kwadratowych wolnej przestrzeni. - Złóż to tutaj i niczego nie dotykaj.

Chenlambec mruknął na androidy, które rozlokowały bagaże, zawróciły na gaśnicach i wyjechały ze statku, by wrócić do parku androidów niszczyciela.

Z głębi ładowni wyłonił się czerwono-brunatny X10-D, pokładowy android Bosska. Chenlambec cofnął się o krok i obnażył zęby.

- Zajmie się umocowaniem waszych bagaży na czas lotu - wyjaśnił Bossk i nagle wyczuł czyjąś obecność za plecami. Odwrócił się i odruchowo uniósł broń.

- Spokojnie, Bossk - powiedziała Tinian wchodząc do ładowni z uniesionymi rękami. - Co to za potwór? - spytała, wskazując na androida.

- Kazałem ci zostać w kabinie - syknął Bossk, opuszczając blaster. X10-D nie był wcale brzydki, ale goście nie widzieli go zbyt dobrze w ciemności, a Bosskowi silne światło nie było do niczego potrzebne. - To mój pomocnik.

Tinian podeszła do lśniącej maszyny. Do pewnego stopnia przypominała Trandoszanina; miała teleskopowe łapy o łącznej długości prawie trzech metrów, masywny, stożkowy korpus i kołowy napęd.

- Pomyślałam, że przydam się jako tłumaczka przy rozmieszczaniu bagażu - wyjaśniła dziewczyna i dotknęła piersi androida. - Myślisz, że obejdzie się beze mnie?

- Sam powiem twojemu towarzyszyowi, gdzie co ulokować, a android założy mocowania - odparł Bossk. - Tłumacza nie trzeba. Na tym statku androidy i Wookie mają słuchać, a nie gadać.

Chenlambec warknął groźnie.

- Część naszego wyposażenia wymaga delikatnego traktowania - powiedziała Tinian. - Masz elastyczne pasy?

- Mój android wszystkim się zajmie. Chenlambec mruknął.

- Chętnie popatrzymy - stwierdziła Tinian.

- A patrzcie sobie, jak chcecie. Zabezpieczenie wszystkich pakunków zajęło godzinę.

- Pamiętaj o naszej umowie - przypomniała Tinian, gdy android wrócił na swoje miejsce przy tylnej grodzi. - Nie ruszamy niczego na twoim statku, a ty nie interesujesz się naszymi bagażami.

- Nie ruszajcie niczego i nie płączcie się pod nogami - dodał Bossk, celując w dziewczynę pazurzystym palcem.

Chenlambec potrząsnął kudłatą łapą i ryknął.

Tinian zgromiła Wookiego spojrzeniem.

- W żadnym razie, Ng'hrh. Nie tym razem.

Bossk skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się. Goście nie tworzyli najwyraźniej szczególnie zgranej pary. Oczywiście mógł im obiecać, że nie ruszy ich bagażu. Żadna sztuka. Pokładowe skanery nie miały sobie równych. Podobnie jak i cały statek, którego komp odznaczał się nader wysoką inteligencją. Bossk nie potrzebował dzięki temu żadnej załogi, jeden android starczał mu za całą pomoc. Było to ważne, bo Trandoszanie byli zawsze w pewnym sensie pokrzywdzeni, gdy chodziło o loty kosmiczne: nikt nie budował jednostek dostosowanych do pazurzystych dłoni jaszczurów, a

modyfikacje nie zawsze się sprawdzały.

Wrócił do służby, a gdy ta zamknęła się z sykiem, Bossk wysyczał cichutko modlitwę dziękczynną do Mistrzynie. Wykorzysta pasażerów, a gdy staną się już niepotrzebni... będzie mógł wziąć się do roboty.

- Rzucamy cumy, jak tylko będziecie gotowi - powiedział głośno. - W większej ładowni są fotele przeciwprzeciężeniowe.

- Chyba niezbyt mamy ochotę w nich siadać - odparła Tinian. Bossk roześmiał się gardłowo.

- Jeśli zechcę obedrzeć was ze skóry, to i tak to zrobię... Ale nie przed Lomabu III. Wszyscy szukamy Chewbacki i Solo. Złapiemy ich razem.

Tinian zerknęła w głąb mrocznego korytarza. Niewiele widziała, a nie miała gogli na podczerwień. Nigdy ich nie używała, a Trandoszanie w naturalny sposób odbierali promieniowanie ciepłe.

- Gdzie jest ta placówka? - spytał stojący za nią Bossk. - Jeśli mamy lecieć, to muszę teraz dostać jej koordynaty.

Chen wymruczał serię dźwięków, a Tinian przetłumaczyła je jako ciąg liczb i dodała:

- Program obrony przewiduje niszczenie wszystkich, którzy nad miernie się zbliżą, a nie są Wookie. Po wyjściu z nadprzestrzeni „Kiel” będzie musiał zachować całkowitą ciszę i pełne maskowanie. Poza ekrany wyjdzie tylko Chen.

- Rozumiem. - Bossk mlasnął językiem. - Mam wam już pokazać wasze fotele antyprzeciężeniowe?

- Ułożymy się w kojach - stwierdziła dziewczyna, poprawiając płaszcz na ramieniu.

- Jak chcecie. Ale nie miejcie pretensji, jak was poobija.

Tinian schroniła się z powrotem w kabinie, która mierzyła ledwie trzy na cztery metry i była tak mroczna, że wszystko wydawało się w niej szare. Ciemna sylwetka Chena wcisnęła się tuż za nią. Przez chwilę widzieli jeszcze łuskowaty kark Bosska zmierzającego do głównego korytarza.

Dziewczyna wyciągnęła latarkę i omiotła wewnątrz strumieniem światła. Koje, szafy i kabina prysznicowa nadawały się dla człowieka, jednak były za małe dla Wookiego czy Trandoszanina.

Tinian obmacała ścianę obok koi i odszukała gniazdo zasilania.

- Jest - powiedziała. Gniazdko znalazło się na wysokości ramienia Wookiego, dogodnej również dla Trandoszanina. Chen sięgnął do pasa ładownicy.

- Jak miło - odezwała się Pchełka. - Przyjrzelście się temu wielkiemu androidowi? Ale sztuka!

Wokół nich rozległo się niskie, melodyjne mruczenie. Tinian obejrzała się na Chena.

- Ładnie zestrojone silniki.

Chen szcęknął krótko. Wiedziała, że Wookie uwielbia swojego małego, talerzowatego „Wroshyra”, chociaż statek nie był pierwszej młodości. Bez wątpienia niechętnie zostawił go w płatnym hangarze parkingowym „Egzekutora”.

- Jak dobrze pójdzie, będzie nas stać na parkowanie tam choćby przez pięćdziesiąt lat. A jak się nie uda, to też nie szkodzi. Nie przejmuj się, Ng'rhr. - Tinian chwyciła pęk kudłów i pociągnęła. Sierść Wookiech była o wiele delikatniejsza, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka.

Chen odpiął Pchełkę od pasa, ułożył na dłoni i nakazał zająć się zabezpieczeniem kabiny.

- Słusznie - mruknęła Tinian. - Bossk bardzo chce odszukać placówkę, ale to nie znaczy, że będzie grał czysto.

- No to mnie podłączcie - pisnęła Pchełka i zagwizdała radośnie, gdy Chen wsunął jej wtyczkę do

kontakty. Zajął się zaraz swoimi sprawami; mruczał przy tym cicho, co było oznaką zadowolenia.

Chen odziedziczył ją po śmierci zaprzyjaźnionego łowcy. Nie wspomniany nigdy z imienia Wookie wynalazł całkiem nowy typ androida. Była to konstrukcja nielegalna i tak zaprogramowana, by zagadać na śmierć każdy inteligentny komputer. Pchełka potrafiła dobierać się do dowolnych banków danych, wyłączać systemy bezpieczeństwa, unieważniać priorytety komend i nie tylko... Nie musiała przy tym wcale podłączać się do portu kompa, starczał jej dostęp do sieci energetycznej. Skryta w tytanowym pancerzu, miała cały zestaw czułych sensorów i kilkanaście obwodów antenowych.

Nie była jednak uniwersalna. Zdarzało się, że zadania, które Tinian wydawały się całkiem proste, Pchełka wykonywała dopiero po paru godzinach wyteżonej pracy. Dlatego też musieli wcześniej przygotować aż trzy warianty całego planu.

- Chyba jej się tu podoba - zauważyła Tinian. Wspięła się na górną koję i zapięła sieć bezpieczeństwa, która w tym półmroku wyglądała na całkiem czarną. Wciąż było bardzo ciemno, zbyt ciemno, by ludzkie oczy zdołały się przystosowywać. - Tylko niech się pospieszy.

Chen stanął obok wąskich koi i zaparł się pomiędzy sufitem a podłogą w taki sposób, by przytrzymać Tinian, gdyby wypadła z legowiska. Zastanawiał się głośno, czy Bossk sam zajmuje się wszystkim na pokładzie.

- Jeśli tak, to pewnie ma do pomocy takiego kompa, jakiego jeszcze nie zdarzyło nam się widzieć - mruknęła Tinian, odwróciła się na bok i spojrzała na Pchełkę.

Chen warknął potakująco.

- Nasz łuskowaty przyjaciel musi mieć znajomości w stoczni - dodała dziewczyna domyślając się, że ich rozmowa jest podsłuchiwana. - Bardzo porządny statek.

Chen pokazał zęby i rzucił kilka obelg.

- Pewnie włączył też program tłumaczący - stwierdziła z uśmiechem.

Chen powiedział pod adresem Bosska, co może sobie zrobić z programem tłumaczącym. Pchełka tkwiła spokojnie na ścianie i próbowała się dogadać z najpotężniejszym kompem pokładowym, jaki było jej dotąd dane spotkać. Tinian obawiała się, że „Kieł Ogara” może się okazać zbyt inteligentny, by łatwo dać się oszukać.

Cóż, dobrze by było, gdyby Pchełka uporała się z robotą przed dotarciem do placówki. Wszystkie plany wymagały, by oboje wyszli ze skoku w pełni przytomni.

Statek drgnął i Tinian uderzyła stopami o ścianę. Wyrzuciła z siebie kilka znanych jej dźwięków w mowie Shyriiwook; tłumaczyło się to dosłownie jako „Język trzech ludów”. Ta mowa nadawała się idealnie do wyrażania niezadowolenia.

- Nie marnuje czasu - dodała we wspólnym, a Chen warknął.

Oparła jedną rękę na szerokim grzbiecie Wookiego, drugą zahaczyła o poręcz koi. Chen zajął w jej życiu miejsce ojca, którego nie знаła, ale którego wyobrażała sobie jako mężczyznę silnego i nieustraszonego. To ona uratowała życie Wookiemu na Srebrnej Stacji, kiedy łaknący zemsty, ale głupi Renatowie próbowali wysadzić grodz i wysłać wszystkich w ostatni skok. Wyśledziła ich dzięki zapachowi materiału wybuchowego JL-12-F, wytwarzanego w jednej z fabryk rodziny I'att.

Drugi raz ocaliła go w Kolonii Kline, gdy doszło do nieporozumienia między Chenem a rebeliancką ekipą czekającą na pomoc. Potem jeszcze nawzajem wyciągali się z oparów na zatłoczonym i wilgotnym świecie Ookbat, podczas misji, która nie wypaliła.

Przyspieszenie wzrosło i niewiele brakowało, by grodz kabiny zamieniła się w podłogę. Tinian

odwróciła się do ściany. Od paru dni nie sypiała najlepiej, więc może gdyby ucięła sobie teraz drzemkę...

Coś ukłuło ją przez cienki materac.

Bossk wysunął drgający język. Udało się! Oboje byli nieprzytomni.

- „Ogar” - odezwał się łowca. - Polecam rozbroić zamek ich kabiny.

Potem poszedł do własnej kabiny i wyłączył jeszcze kilka zabezpieczeń. Modyfikując statek do polowań na Wookiech, wbudował kilka systemów dających mu szansę przetrwania na wypadek, gdyby więźniowie wyrwali się na wolność. Między innymi mógł w takiej sytuacji przejąć sterowanie jednostką ze swojej kabiny na prawej burcie.

Normalnie wołał jednak zasiadać w sterowni, gdzie miał do dyspozycji kilka szerokich ekranów, ukazujących również obraz w podczerwieni.

W końcu sprawdził, co z pasażerami. Wookie leżał na podłodze i oddychał płytko, a ludzka kobieta nie zareagowała, gdy potrząsnął ją za ramię.

Farmaceutyki zrobiły swoje.

Opróżnił magazynki ich blasterów i przeszukał bagaż. Zawahał się przy kuszy Chena, którą chętnie by sobie zatrzymał, ale ostatecznie usunął tylko sprężynę naciągową i zostawił oboje tak, jak padli.

- Sprawdzaj nieustannie, co robią - polecił kompowi.

- Przyjęte - usłyszał w odpowiedzi.

Zgodnie z danymi nawigacyjnymi kierowali się ku peryferiom systemu Aida. Wydawało się, że to całkiem stosowne miejsce na tajną placówkę Wookiech. System należał wprawdzie do Imperium, ale był skąpo zasiedlony.

Tinian obudziła się bardzo głodna. Chen pochylał się nad nią i mruczał coś niespokojnie.

- Już się budzę - jęknęła dziewczyna. - Musiałam chyba spać bardzo głęboko...

Chen warknął.

- Narkotyk? - zawołała Tinian i usiadła. - Jak Pchełka? Ma kłopoty?

- Teraz jesteście już bezpieczni - pisnęło urządzenie. Tinian zeskoczyła z koi. Kończyny jej zeszywniały.

- Co się stało? - spytała miniaturowego androida.

- Strzykawki ciśnieniowe w materacach i w podłodze. Czujniki nastrojone na masę waszych ciał. Byliście nieprzytomni przez trzy i pół doby.

Nic dziwnego, że Tinian straciła poczucie czasu. Chen spytał Pchełkę, czy udało jej się sforsować zabezpieczenia „Kła Ogara”.

- Niezupełnie - przyznała maszynka. - Statek uznał moją obecność za naturalną, ale nie pozwolił mi na wiele. Zabezpieczyłam jednak waszą kabinę i zapaliłam światło. To już coś.

Zamiast szarych cieni widzieli teraz stalowobłękitne ściany i wysoki sufit.

- Gdzie Bossk? - zaciekała się Tinian.

- W ładowni. Próbuje dobrać się skanerem do waszego uzbrojenia. Chen wymruczał skomplikowane przekleństwo.

- Na razie jest poza jego zasięgiem. Podobnie jak wy. Pakunek z bronią i tak był tylko atrapą. Tinian potarła policzek i wśliznęła się do kabiny prysznicowej. Miała nadzieję, że malutki pomocnik Chena nie trafił na godnego przeciwnika. Jeśli uda mu się rozgryźć zabezpieczenia kompa przed następnym skokiem, będą mogli obezwładnić Bosska, związać zgrabnie i dostarczyć tam, gdzie

uzyskają za niego najwyższą cenę.

Powodzenie planu numer jeden zależało w całości od Pchełki. Tinian przeprowadzała już jedną misję, która zakończyła się szybko i dobrze właśnie dzięki androidowi.

Z góry doleciał ich chropawy głos Bosska.

- Chenlambec, Tinian... idę z wami porozmawiać.

- A co z obiadem? - krzyknęła dziewczyna.

Nie doczekała się odpowiedzi, ale Chen warknął lekceważąco.

- Ja wytrzymam - wyjaśniła. - Ale ty musisz być na skraju śmierci głodowej.

- Bossk zaprogramował właśnie kuchenkę, żeby przygotowała obfity posiłek - odezwała się

Pchełka.

- Jeśli tak, to przygaś światła - zasugerowała Tinian. - Lepiej nie wzbudzać podejrzeń.

Ściany nagle poszarzały.

- Da się to zjeść? - spytała dziewczyna. - I gdzie jesteśmy?

- Tylko kilka stopni od placówki - wyjaśniła maszynka. - Nie zatrul waszego jedzenia.

Tinian sprawdziła blaster.

- No tak - sapnęła. Magazynek był pusty. - Twój też załatwił? Chen przesunął palcami po broni i sprawdził kuszę. Warknął, że owszem. W kuszy brakowało sprężyny, a amunicja blastera zniknęła.

Drzwi się otworzyły.

- Chodźcie jeść - odezwał się wciąż niewidoczny Bossk. Korytarz okazał się jeszcze bardziej mroczny niż kabina.

Tinian ruszyła przed siebie. Nos podpowiedział jej, gdzie szukać kuchni. Boss siedział już przy stole, pochylony nad misą pełną czerwonych, wijących się robaków. Nie był już uzbrojony. Jego naturalne łuski wyglądały w tym świetle na oliwkowobrazowe.

- Jedzcie - wskazał na dwa talerze czekające na drugim końcu stołu. - Wasze jedzenie przyprawia mnie o mdłości.

- Nawzajem - mruknęła Tinian, ale musiała przyznać, że przygotowane dla niej danie pachniało wspaniale. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, nie zdołałaby odepchnąć talerza z syntetycznym posiłkiem. Chen nie zajął jeszcze miejsca, a ona już wzięła się do jedzenia. Bossk pracował wytrwale i z misy ubywało robaków. Tinian spojrzała na niego tylko raz i więcej nie próbowała.

Kilka minut i pół dokładki później spytała w końcu:

- Gdzie jesteśmy?

- Blisko systemu Aida i blisko waszej placówki. Teraz potrzebuję pomocy twojego kudłatego mistrza.

Chen pomruczał trochę, kwestionując kulinarny gust i także kompetencje gospodarza oraz jakość jajka, z którego się wykluł. Tinian wolała tego nie tłumaczyć. Zamiast tego powiedziała:

- Dlaczego nie wyszliśmy z nadprzestrzeni zgodnie z koordynatami, które ci przekazaliśmy?

- Na wszelki wypadek, oczywiście. Mógł skierować mnie w pułapkę - stwierdził Bossk strzelając językiem.

Chen burknął urażony. Tinian odczekała chwilę, zanim znów się odezwała.

- Mówi, że na czas nawiązywania przez niego łączności ty i ja musimy schować się w ekranowanym pomieszczeniu.

- Jakby czegoś próbował, będziesz moim zakładnikiem - syknął łowca.

To, co teraz powiedział Chen, koniecznie wymagało przetłumaczenia.

- Musisz pokazać mi, jak sterować twoim statkiem.

- Nie, nie muszę. Moja osobista kabina jest w pełni ekranowana i mogę sterować statkiem z jej wnętrza.

Tinian spojrzała na Chena.

- Da radę? - spytała. Wcale nie podobał się jej pomysł zamknięcia w jednej kabine z tym jaszczurem.

Chen stwierdził ostatecznie, że tak też można i zasiadł samotnie w sterowni „Ogara”. Bossk zablokował wszystkie przyrządy, ale Wookie i tak obejrzał je sobie uważnie. Założył ręce na piersi i zamyślił się głęboko. Do zmiany kierunku statek Bosska wykorzystywał najwyraźniej sterowanie wektorem ciągu. Główne działa miały spusty dostosowane do obsługi pazurzastą łapą. Prawą łapą. Kontrolki tarczy jeszcze nie znalazł, ale tym miała zająć się Pchełka.

Zamocował ją pod komputerem nawigacyjnym. Do tej pory przyswoiła już sobie chyba wszystkie dane i usunęła stare zasoby pamięci, by zrobić miejsce.

Skanery pokazywały trochę rozmazany obraz jakiegoś obiektu unoszącego się w przestrzeni.

To musiała być poszukiwana placówka. Informator Chena na Kashyyyk uznał, że lepiej będzie nie informować od razu łowcy o położeniu Lomabu III. Chodziło o zyskanie na czasie i danie Pchełce szansy dobrania się do kompa „Kła Ogara”.

Chen liczył, że lada chwila android zamelduje mu o sukcesie. Plan numer jeden był elegancki i prosty; lepiej, żeby się udał.

Niewyraźny obiekt na obu przednich, trapezoidalnych ekranach rósł coraz szybciej. Wielki kawał złomu... Wyglądał na pradawny wrak. Wokół niego, na ciasnych orbitach, krążyły liczne drobne śmieci. Całość aż się prosiła o zbadanie skanerem.

Zanim jednak Chen zdążył dotknąć czegokolwiek, kontrolka skanera sama się zapaliła. Z bliska cel nadal robił wrażenie zimnego wraku. To żadna placówka, pomyślał Wookie. Skanery dawno by już to wykryły. Powinien był się domyślić, że Kashyyyk nigdy nie podejmie podobnego ryzyka. Nie pozwoli żadnemu Trandoszaninowi na poznanie sekretów sieci...

Ale przecież Chenowi obiecano, że znajdzie tu pewną informację.

Warknął do mikrofonu, by Bossk skupił anteny skanerów na chmurze orbitującego śmiecia i sięgnął jak najgłębiej, I żeby nie przestawał, aż na coś trafi.

Niższe warstwy szczątków wyglądały ciągle tak samo, ale w mikrofonach pojawił się dziwny hałas.

Nagle Chen pojął, o co chodzi i szczerze się zdziwił. Jakiś błyskotliwy programista wpadł na pomysł, by kazać śmieciom krążyć w pewnym porządku, dającym się przełożyć na czytelny sygnał akustyczny. Dla Chena brzmiało to jak chóralny śpiew kilkuset Wookiech. Każdy głos powtarzał w kanonie jedną i tę samą sekwencją liczb. Starczyło wsłuchać się w jednego z „wykonawców”, by poznać, że to koordynaty przestrzenne. Tylko gdzie ta seria się zaczynała i gdzie kończyła?

Jego młoda praktykantka podejmowała się w przeszłości różnych zajęć. Przed przejściem do podziemia parała się również muzykowaniem. Chen mrugnął na nią.

Po paru sekundach odpowiedziała mu w języku Wookiech.

- Początek... - zaintonowała gardłowym sopranem. - Tutaj! - dodała krótkim szczeknięciem.

Chen wprowadził numery do komputera nawigacyjnego. Chwilę później na ekranie pojawiła się krzywa kursowa. Cel nie leżał daleko. System Lomabu sąsiedował z systemem Aida. Chen spytał szeptem Pchełkę, czy już...?

- Przykro mi, ale jeszcze nie - odebrał.

Należało zatem przejść do realizacji planu numer dwa. Według informacji uzyskanych z Kashyyyk imperialni zamierzali przygotować zasadzkę na rebeliancką flotę. Chcieli wykorzystać do tego kilkuset niewolników Wookie, przesiedlonych niedawno na Lomabu III, świat poddany ostrej eksterminacji za bunt przeciwko Imperium. Gubernator Aidy, Io Desnand, umyślił sobie, że załaduje kobiety i dzieci na statki i uda, że te statki atakuje. Rebeliatici na pewno skusiliby się na podobną przynętę i próbowaliby uratować biedaków. Wtedy gubernator wystawiłby imperialnym wrogą flotę jak na tacy. Io Desnandowi bez wątplenia marzył się awans.

Plan ten miał połączyć dwa w jednym: z jednej strony chodziło o uwolnienie jeńców z Lomabu III, z drugiej o załatwienie Bosska, tyle że po kolei. Wspierany przez Tinian i Pchełkę Chen miały sporą przewagę nad Bosskiem - zakładając oczywiście, że android rozpracowałby w końcu statek jaszczura. Gdyby tylko się udało, Chen i Tinian obezwładniliby Bosska, a potem zaatakowali jego „Kłem Ogara” straż więzienną na Lomabu.

Plan numer trzy był bardziej złożony. Opierał się na pomysłe poszczucia Bosska na gubernatora i wiele w nim zależało od właściwego zgrania operacji w czasie.

Rebelianccy agenci, którzy spreparowali „placówkę”, zapewne nie odlecieli zbyt daleko. Możliwe, że obserwowali „Kieł” na swoich skanerach.

Chen uniósł rękę w geście powitania.

Tinian siedziała, gdzie jej kazano, parę metrów od Bosska, którego kabina była o wiele większa od „gościnnej” sypialni. Sam łowca czuwał przy konsoli sterowniczej. Pomarańczowy kombinezon leżał na nim znacznie lepiej, gdy gospodarz siedział w fotelu; przy chodzeniu marszczył się na plecach. Długie, zielone ręce jaszczura spoczywały w dwóch zaokrąglonych wgłębieniach pulpitu. Ledwie się poruszał, ale robił wrażenie o wiele bardziej zajętego niż ktoś, kto ma tylko zmienić kurs statku. Zapewne sondował usilnie domniemaną „placówkę”.

Dziewczyna domyśliła się już, że obiekt jest tylko dekoracją. Bossk musiał przeżyć gorzkie rozczarowanie... Miał nadzieję, że „Sokół” jest już na wyciągnięcie ręki. Po misji sprawdzi zapewne otoczony rojowiskiem śmieci wrak. Tyle, że do tego czasu pewnie po nim nie zostanie żaden ślad.

Tinian zachichotała.

- Co jest? - spytał Bossk. - Co w tym śmiesznego?

- Że prawie już jesteśmy - skłamała dziewczyna. - Wookie ulokowali się pod nosem imperialnej gubernator.

- Wracaj lepiej do kabiny. O strategii pogadamy, gdy sprawdzę system Lomabu.

- Ale tym razem bez prochów - warknęła Tinian. Pokonując zakręt przed kabiną musiała walczyć z narastającym przyspieszeniem. W końcu uczepiła się koi i czekała, aż Chen podeprze ją z tyłu.

- No, dalej! - szepnęła. Wookie zdejmował już Pchełkę z pasa i prznosił na ścianę.

- Zabezpieczenie - rzuciła Tinian. - Byle szybko.

W oczach pociemniało jej od przeciążenia, gdy Pchełka pisnęła wreszcie, że kabina jest bezpieczna.

Dziewczyna wspięła się z trudem na koję i oparła stopy o tylną ścianę, Chen zapiął jej uprząż.

- Dzięki - wykrztusiła Tinian i zamknęła oczy, by doczekać jakoś skoku w nadprzestrzeń.

Bossk wpatrywał się uporczywie w monitory. „Kieł” wszedł w dwugodzinny skok bez problemów, ale jeden z ekranów wewnętrznego systemu nadzoru nagle pociemniał. Kłopoty z zasilaniem w lewoburtowej kabinie?

- Odtworzyć kontrolę w kabinie pasażerskiej - polecił. Trwało chwilę, nim komp uruchomił swój baryton.

- Lewa kabina w pełni zabezpieczona. Czy mam przekazać obraz z prawej kabiny?

Superinteligentny komputer zachowywał się czasem jak konkursowy idiota, ale to akurat było normalne podczas użytkowania całkiem nowego statku. Bossk westchnął.

- Unieważniam polecenie - syknął.

Niemal w tej samej chwili w drzwiach sterowni pojawił się Chenlambec. Zawył i wskazał na pulpit kontrolny.

Bosk pomyślał, że później zajmie się tym zwarciem, ale z zaskoczenia nie zdążył wyłączyć modułu translacyjnego, którego istnienie wolałby zataić. Przystawka przetłumaczyła wydawane przez Wookiego odgłosy na prostacki wspólny: „Chcieć siedzieć mostek. Wcześniej nas uspięś. Potrzebujesz mnie tutaj. Na Lomabu być w mniejszości”.

Bosk jeszcze raz ogarnął spojrzeniem piękne futro Chena.

- Komp jest moim drugim pilotem. Nie jesteś mi potrzebny. Chen warknął, a „Kiel” przetłumaczył:

- Ty nie potrzebujesz. Ale ja też lecę tym statkiem. Chcę tu być. Bossk powstrzymał się od komentarza. To może być nawet zabawne - towarzystwo Wookiego, który niebawem zmieni się w dywanik.

- Siadaj - polecił Chenowi. - Ale pamiętaj, że gdybyś chciał się na mnie rzucić, „Kiel” obezwładni cię, zanim zrobisz krok. W każdej chwili mogę też zabić twoją partnerkę. - Dotknął sensora systemu kontroli i na ekranie pojawił się widok z kamery w kabinie pasażerskiej. Tinian klęczała pod ścianą i próbowała podważyć paznokciami płytkę poszycia. Bossk wskazał na monitor. - Jeśli będę musiał cię unieszkodliwić, ona zginie.

Chen mruknął przeciągle.

- Tu jest za ciemno - przetłumaczył moduł.

- Jest dość jasno - syknął Bossk. - Siadaj.

Chenlambec posłuchał.

- Jesteś z powrotem na wizji - pisnęła Pchełka. - w każdym razie Bossk tak sądzi.

Tinian zsunęła się z koi.

- Najwyższa pora - stwierdziła. - To musi być jakiś wredny komp.

- Nie wredny - oburzyła się Pchełka. - Po prostu oziębły. Ale ja lubię odmianę.

- A kochaj sobie co chcesz, byłeś nas nie zabiła, malutka - rzuciła Tinian, wygładzając kombinezon. - Mogę przejść do rufowych ładowni?

- Jeśli weźmiesz mnie ze sobą. Bossk myśli, że próbujesz oderwać panel od ściany.

- Znaczący jestem kreatywna... - Dziewczyna Zapięła pas na biodrach. Oprócz blastera umocowała do niego różne narzędzia przydatne przy eksploracji ciemnych zakątków. - To krótki skok. Lepiej się zwijajmy. Otwórz drzwi.

Właz odsunął się do góry.

- Ustawiłam podgląd w pętłę - wyjaśniła Pchełka. - Bossk obejrzy sobie, jak drapiesz paznokciami wszystkie ściany.

Tinian zawsze przycinała paznokcie bardzo krótko, ale jaszczurowaty obcy powinien uznać taką działalność za całkiem naturalną.

- Jak ci idzie z „Kłem”?

- Och - zachnęła się Pchełka. - Nie tak dobrze jak bym chciała. To smutas i służbista. Myśli, że jest nieprzekupny. Ze sterowni szło mi lepiej. Tutaj muszę się martwić jeszcze o naszą kabinę, ale coś chyba osiągnęłam.

Chen zostawił Pchełkę Tinian, żeby ją chronić. Dziewczyna uznała jednak, że zamiast siedzieć na koi, lepiej zrobić urządzając wycieczkę na rufę.

- Dzięki - mruknęła. - Lepiej, żebyś mu nie pokazała, co robię.

- Ja? Za nic!

Tinian ujęła metalowy sześciąt w palce i obróciła kilka razy, aż Pchełka odpadła od ściany w stuloną dłoń. Dziewczyna odczekała chwilę, na wypadek gdyby rozległ się alarm.

- Nie ufasz mi? - spytała maszynka.

- Ja nikomu nie ufam. - Tinian wrzuciła Pchełkę do kieszonki pasa i wy-mknęła się na ciemny korytarz. Bossk wyraźnie nie chciał ułatwiać pasażerom obejrzenia czegokolwiek. Dziewczyna wyciągnęła latarkę, i uniosła ją nad głowę. Naznaczone nitami ściany biegły łagodnym łukiem w obu kierunkach. Pod sufitem widać było szereg urządzeń o kształcie odwróconej piramidy. Mogły być lampami podczerwieni.

- Daj znać, gdybym zbliżała się do czegoś niebezpiecznego - szepnęła Tinian.

Ledwie dotknęła pierwszych drzwi, a Pchełka pisnęła. Dziewczyna zamarła. Ostrożnie wyjęła androida z kieszonki pasa i przysunęła go do ust.

- Co jest? - szepnęła.

- Czujnik ruchu - odpowiedziała Pchełka ledwie słyszalnym głosem. - Jeszcze krok, a znajdziesz się w jego zasięgu.

- Mam się cofnąć?

- Chyba tak.

Tinian przesunęła do tyłu najpierw jedną stopę, po chwili ruszyła drugą.

- Stop - odezwała się maszynka.

- Co znowu?

- Mam wrażenie, że w pokładzie tuż za tobą zamontowano czujnik nacisku. Nie przestawaj drugiej stopy.

Nie ruszając się z miejsca Tinian wysunęła Pchełkę przed siebie i zatoczyła dłonią krąg. Wciągnęła powietrze, ale umiejętność wyczuwania zapachu materiałów wybuchowych nie dawała nic w spotkaniu z elektroniką.

- Dobra - mruknęła Pchełka. - Czujnik patrzy w drugą stronę.

Przechodząc dalej, Tinian dostrzegła mały obrotowy obiekt zamontowany wysoko na ścianie. Nie był skierowany na nią. Przemknęła pod nim i zniknęła w głębi korytarza, idąc ku rufie. Cały czas trzymała się blisko lewej ściany. W końcu doszła do dwóch luków położonych jeden tuż obok drugiego.

- Zabezpieczone - powiedziała. - Jak zamierzasz mnie wprowadzić?

- Obok framugi powinnaś znaleźć gniazdko zasilania.

Tinian omiotła ścianę promieniem latarki. Przeciwnie grodz była gładka, jeśli nie liczyć spawów i nitów.

- Gdzie?

- Zanieś mnie tam.

Dziewczyna przeskoczyła korytarz. Gniazdko zasilania powinno być łatwe do wykrycia; pazury

jaszczurowatych nie radziły sobie ze zbyt filigranowym wyposażeniem.

W końcu dostrzegła je schowane w cieniu. Zaraz wzięła się za podłączanie Pchełki.

- Szybko - szepnęła. - Czuję się tu jak naga.

Maszynka nie odpowiedziała. Pisnęła tylko i zamruczała jak miniaturowa szafa grająca.

Właz za plecami Tinian otworzył się powoli.

Odwróciła się, odruchowo wyciągając blaster. Nic. Oczywiście nic też by się nie zdarzyło, gdyby spróbowała wystrzelić. Skrzywiła się i schowała broń.

- Gotowe - obwieściła Pchełka. Tinian zdjęła maszynkę ze ściany.

- Następnym razem bądź uprzejma mnie ostrzec - warknęła. Wśliznęła się do ciemnej ładowni.

Właz zostawiła otwarty.

To nie było to samo pomieszczenie, w którym zostawili swoje cenne bagaże. Pod ścianami leżała rzędem broń: energetyczne bosaki, paskudne z wyglądu niszczarki, noże, karabiny blasterowe i wyrzutnie sieci. Wszystko przeznaczone do polowań na Wookiech, którzy chcieli jedynie, by zostawić ich w spokoju.

Tinian obróciła się w miejscu i dostrzegła długi, lśniący stół. Uniosła latarkę i podeszła bliżej. Błat rzucał odblaski na przeciwległą ścianę. Wzdłuż jego krawędzi biegł wąski kanałik połączony ze zbiornikiem. Z sufitu zwieszała się jakaś skomplikowana maszyna, a nad jednym końcem stołu zamocowano solidny hak.

Sztywne i zakończone pazurami ręce Bosska nie nadawały się do precyzyjnej roboty, jaką niewątpliwie było obdzieranie ze skóry. To załatwiał automatyczny rzeźnik, opuszczany z góry na ciało Wookiego.

Tinian zadrżała i przeszła na palcach obok pojemnika na świeże futra.

Nie znalazła foteli antyprzeciążeniowych, które według Bosska miały się tu znajdować, za to w tylnej ścianie zauważyła głębokie wnęki: pięć schowków na żywe zdobycze, normalny element wyposażenia każdego statku łowcy. „Wroshyr” też miał takie dwa, ale mniejsze. Te tutaj były wielkie, obliczone na wzrost Wookiego.

Bosk też świetnie by się zmieścił.

Tinian uklękła przy najbliższej i sięgnęła do pasa po narzędzia. Badacz obwodów podpowiedział, że generator pola siłowego ukryto na samym dnie schowka. Uruchamiały go zapewne czujniki ruchu w chwili, gdy ofiara zaczynała się szamotać. Dobrze byłoby zablokować część albo i wszystkie te schowki...

Nagle przeszedł ją dreszcz.

- Czy coś się dzieje? - spytała Pchełką.

- Bosk jest zajęty w sterowni. Nic ci nie grozi...

- Mam wrażenie, że właśnie grozi... - Tinian ciągle zdarzały się koszmarne sny, w których uciekała z Druckenwell. Biegła i drżała ze strachu, że imperialni wykryją ciepło jej ciała i strzelą jej w plecy. Nie wątpiła, że Bosk zrobiłby to bez wahania, gdyby złapał gościa grzebiącego w jego sprzęcie. Na dodatek nie potrzebował skanera, by widzieć w podczerwieni.

Skoczyła na równe nogi i zebrała narzędzia do torby przy pasie.

- Musimy wracać.

- Nie musimy. Uprzedzę cię, gdyby...

- Muszę jeszcze zajrzeć do drugiej ładowni, a czas chyba nam się powoli kończy. - Szybko przeszła przez właz i na korytarzu przyczepiła Pchełkę do gniazdka. - Zamknij pierwszy właz i

otwórz następny.

Zamki szczęknęły za jej plecami.

Zdjęła Pchełkę ze ściany i podeszła do otwartych drzwi. Odszukała z pomocą latarki kolejne gniazdko, tym razem w ładowni, przyczepiła tam Pchełkę i skierowała strumień światła w głąb pomieszczenia. Piętrzyły się tam...

Nagle cień się poruszył. Tinian krew ścięła się w żyłach.

Z ciemności wyłonił się karmazynowy android Bosska. Zatrzymał się, odwrócił i odjechał z powrotem na swoje stanowisko.

- Nic ci nie zrobi - pisnęła Pchełka. - To idiota. Tinian wpatrywała się ciągle w androida.

- Co? - spytała niezbyt przytomnie.

- Nie ma własnego mózgu i jest wyłącznie przedłużeniem kompa „Kła Ogara” - wyjaśniła maszynka. - Bez własnego oprogramowania. Wielka szkoda, że takie ciało się marnuje...

- Pchełko, Chen potrzebuje mikrochip z danymi. Jest w bagażu złożonym w tej ładowni. Pokaż mi szybko, gdzie dokładnie.

Dziesięć minut później była już z powrotem na korytarzu. Gdy zatrzymała się na chwilę pod czujnikiem ruchu, Pchełka pisnęła nagle:

- To straszne.

- Co? - spytała Tinian, zastygając w bezruchu.

- Takie piękne, metalowe ciało, całkiem bez rozumu...

- Pchełko! - warknęła Tinian przez zaciśnięte zęby. Cały czas miała wrażenie, że czuje czyjeś spojrzenie na plecach. - Szybko do kabiny! No, już!

Chwilę później dotarli na miejsce. Pchełka wróciła na swoje miejsce na ścianie.

- Wymaż wszystkie zapisy naszej wycieczki poza kabinę - poleciała.

- Nie musisz tak się denerwować - gwizdnęła Pchełka. - Ze mną jesteś całkiem bezpieczna.

Bossk zerknął w bok. Czyżby alarm? Może i tak, ale skoro sam się wyłączył, to musiał być fałszywy. „Kiel Ogara” miewał swoje narowy, głupi sposób wyrażania się nie był jedyną jego wadą.

Chenlambecowi musiał chyba jednak zaimponować. Bossk z dużą przyjemnością demonstrował mu jego możliwości.

W końcu zamknął program symulacyjny i uruchomił zwykle sterowanie.

- Wracaj do kabiny - syknął na Wookiego. Gdy ten nie posłuchał od razu, dotknął sensora i z fotela drugiego pilota wysunęły się dwie zaprojektowane do przechodzenia przez grube futro elektrody.

Chenlambec podskoczył z warkotem.

- To boli - przetłumaczył moduł translacyjny. - Boli.

- Do kabiny - powtórzył Bossk, chwytając trzymaną na kolanach broń.

Wookie wyczłapał niechętnie na korytarz. Gdy kilka chwil później Bossk zajrzał do sypialni gości, Tinian siedziała na skraju koi i robiła coś przy tych swoich żałosnych, skarłałych pazurach.

- Gdzie byłaś? - spytał przypominając sobie, jak próbowała naruszyć panele na ścianie.

Spojrzała na niego z całkowitym brakiem zrozumienia.

- Tutaj. A gdzieżby indziej?

Bosskowi wydało mu się, że kobieta zalatuje lekko środkami używanymi w pomieszczeniu preparacyjnym. Wyszedł jednak bez słowa i zablokował właz. Cały czas zastanawiał się, co też ona mogła wykombinować? Podeszedł pod włazy ładowni. Żaden z alarmów nie został uruchomiony.

Wrócił na mostek i nakazał ponowną kontrolę. Niczego nie wykazała.

Może się myliłem, pomyślał.

A jeśli nie?

Zażądał pełnego raportu. Zaraz po opuszczeniu „Egzekutora” przeskanował bagaże gości. W pojemniku z bronią nie wykrył żadnych metalowych części. Teraz kazał powtórzyć badanie. Nawet jeśli to nie była broń, należało sprawdzić rzecz dokładnie.

Drugi skanining nie pokazał wiele więcej: odczyty biochemiczne mogły wskazywać równie dobrze na ubrania, jak na żywność.

Od para ładnych lat nie trafił na podobną łamigłówkę.

Godzinna drzemka powinna go odświeżyć. „Kiel” sam obudzi go przed wyjściem ze skoku. Włączył z Powrotem wszystkie czujniki i skierował się do koi.

Gdy tylko Pchełka poinformowała ich, że Bossk zamknął się w swojej kabine, Chen wyruszył na własny rekonesans. Ku swojemu zachwytowi w rejonie głównych silników „Kła” trafił na smukły stateczek zwiadowczy.

Przez chwilę podziwiał wysmukłą linię kadłuba. Niezależnie od tego, kiedy uda im się unieszkodliwić Bosska, stateczek już niebawem się przyda.

Wookie uznał, że pora poczynić przygotowania do realizacji planu numer trzy. W tym celu należało przenieść bagaże na pokład zwiadowcy. Ale gdzie ukryć coś tak dużego?

Okrążając kadłub znalazł dwie wielkie, puste wnęki - ślad po usuniętych działkach. To sugerowało, że Bossk zamierzał wysłać Chena i Tinian na dół. Wookie zajrzał do otworu. Był dość duży, aby każdy Wookie się w nim schował. On nie mógł ale...

Uśmiechnął się gorzko. W bagażach mieli zamrożone ciała dwóch jego pobratymców, zgładzonych przez Imperium i podrzuconych następnie na jedną z wysuniętych placówek. Chen poprzysiągł, że pomoże im w dokonaniu zemsty zza grobu. skoro zaś android jaszczura nie miał własnego mózgu, Pchełka mogła bez trudu nakazać mu przeniesienie zamrożonych w karbonicie ciał do tych wnęk. Musiał tylko nakazać Pchełce, by zmieniła co trzeba w głównym kompie. Niech dalej pokazuje, że bagaże są pełne.

Z pomocą maszynki przeszedł następnie do sterowni. Wziął ze sobą wydobyty przez Tinian mikrochip. Przyczepił Pchełkę pod komputerem nawigacyjnym. Kilka długich sekund później pisnęła:

- Jesteś bezpieczny... poniekąd.

- Co znaczy poniekąd?

- Za dwie minuty nastąpi kontrola. Cokolwiek chcesz zrobić, lepiej się pospiesz.

Niemal natychmiast zabrzączy ostrzegawczo. Wookie zastygł w bezruchu, aż Pchełka odwołała alarm.

- W porządku. Poszło bez kłopotów.

Chen mruknął pytająco.

- Nie, nie próbuj wrywać żadnych przewodów - usłyszał. - Ja zajmę się statkiem.

Wookie odpiął zestaw miniaturowych narzędzi od pasa i zdjął pokrywę głównego kompa. Odstawił ją na bok i spojrzał na obwody. Prawie już wiedział, co musi zrobić, gdy Pchełka znów zabrzączała. Szybko nałożył pokrywę z powrotem.

Dopiero za piątym razem odszukał miejsce, gdzie należało podłączyć chip ze spreparowanymi danymi. Umocował drobiazg i dodał równoległy obwód obchodzący.

Akurat w porę. Do Lomabu zostało pół godziny.

Wymruczał kolejne pytanie pod adresem Pchełki.

- Jeszcze nie - odpisnęła. - Przykro mi.

Zatem plan numer trzy. Zostawiając Pchełkę pod komputerem nawigacyjnym, aby była na miejscu, gdy przyjdzie co do czego, wycofał się do kabiny.

Tinian przycupnęła obok modułu łączności i oparła się plecami o ścianę. Z lekkich słuchawek, które miała na głowie, dobiegały jak dotąd wyłącznie szумы.

Bossk zajął główny fotel, Chen fotel drugiego pilota. Wookie wspomniał wcześniej dziewczynie, że jego zdaniem Trandoszanin uważa obecność kudłacza w sterowni jego statku za coś wyjątkowo zabawnego. Zapalił nawet z tej okazji więcej świateł. Zielonkawe haski jaszczura mieniły się w nich pomarańczowo.

Napęd nadświetlny wyłączono i „Kieł Ogara” wyszedł z nadprzestrzeni. Przed dziobem pojawił się system planetarny. Komp nawigacyjny podał, że składa się on z sześciu planet krążących po niezbornych orbitach. Nieskupione w płaszczyźnie ekliptyki kojarzyły się raczej z modelem orbity elektronów niż wielkich globów. Możliwe, że sprawcą tego bałaganu była jakaś obca gwiazda, która przeszła niegdyś w pobliżu Lomabu. Bossk skierował statek ku trzeciej planecie. Z daleka wyglądała jak mały, błękitny dysk, stowarzyszony z jeszcze mniejszą kropką - samotnym księżycem. Skanery informowały, że powierzchnia planety jest w większości pokryta oceanem z długimi łukami archipelagów, wydzwigniętych przez ruchy tektoniczne w miejscach zderzeń płyt kontynentalnych.

- Wspaniale - syknął Bossk. - „Ogar”, ustabilizować kurs i wyłączyć silniki.

- Przyjęte - stwierdził statek i zrobiło się bardzo cicho. Dla przypadkowego obserwatora przy skanerze obiekt nie różnił się teraz niczym od zwykłej asteroidy przechodzącej obok planety po nieco ekscentrycznej orbicie.

Tinian przyglądała się Bosskowi manipulującemu przy kontrolkach. Musiał teraz bardzo oszczędnie wykorzystywać własne skanery. Zbyt długa transmisja mogłaby zostać wychwycona przez posterunki Imperium. Chociaż z drugiej strony... wykrycia przez Wookiech wcześniej się nie obawiał.

Chen zamruczał.

- Czy „Sokół” jest w zasięgu skanerów? - przetłumaczyła Tinian. Bossk spojrział na monitory.

- O ile w ogóle tu jest - syknął. - Jeśli wywieźcie mnie w pole, marne wasze widoki.

Na głównym ekranie pojawił się obraz kolonii. Chen uprzedził Tinian, że instalacja będzie przypominała tę zbudowaną na Gandolo IV. Bossk znów przełączył skaner, zawężając wiązkę przeszukującą.

Ku kolonii nurkował nieregularny kształt.

- Koreliański frachtowiec typu YT-1300 - zameldował komp statku. - Egzemplarz z modyfikacjami. Rozległymi i nielegalnymi. Załoga i pasażerowie: jeden Wookie i dwie istoty ludzkie.

Bossk uderzył lewą łapą w pulpit.

- Mamy ich! - zawołał.

Tinian wydało się, że coś usłyszała. Przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Cisza! - krzyknęła.

Bossk wzmocnił dźwięk w głośnikach sterowni.

- Bardzo zabawne - rozległ się męski głos. - Ale i tak chcemy zgody na lądowanie. Dostanę ją, czy mam odstawić cały towar z powrotem na Nada Synnt?

- Solo - syknął Bossk. - Wyłączyć wszystko. W sterowni pociemniało.

Tinian uniosła rękę z latarką. Czerwony blask przeświecał jej przez palce. Pora na plan numer trzy. Mam nadzieję, że jesteś gotowy, Chen, pomyślała i zerwała się na równe nogi.

- No to zajmijmy się nimi - powiedziała, uderzając otwartą dłonią w kaburę. - Pora, Bossk, by oddał nam, co nasze.

Jaszczur zatarł łapy.

- Przede wszystkim chcę, żebyście opisali mi wszystkie możliwe drogi ucieczki Solo. Pełna lista jego sojuszników i zasobów. Chętnie zobaczę fachowców przy pracy...

- Nie powinniśmy używać skanerów - zaprotestowała dziewczyna. Bossk strzelił językiem.

- Racja. Wyślę was na moim statku zwiadowczym, „Szczeniaku Nashtah”.

„Szczeniak” był najsympatyczniejszym stateczkiem, jaki zdarzyło się dotąd Chenowi oglądać od środka. Obcy typ oprzyrządowania wcale mu nie przeszkadzał. Był też moduł łączności o szerokiej rozpiętości pasm; Chen znalazł tu nawet swoje ulubione pasmo z pojedynczą wstęgą boczną. Pulpit sterowniczy otaczał łukiem dwa czarne skórzane fotele. Ekrany skanerów udawały dwa trapezoidalne okna, takie same, jak w sterowni „Kła Ogara”.

Chen zrobił kilka manewrów dla wprawy i zawrócił jednostkę ku macierzystemu statkowi, który właśnie zamykał pokrywę hangaru. „Szczeniak” zawisnął za „Kłem”. Teraz oboje dobrze widzieli, że owalny przedział silnikowy „Ogara” mieścił się poniżej głównego pokładu, w tylnej ćwiartce kadłuba.

- Tylko uważajcie - usłyszeli w słuchawkach głos Bosska. - Mam was cały czas na celowniku.

- Co się tak denerwujesz? - odpaliła Tinian. - Jesteśmy praktycznie nieuzbrojeni.

Chen kazał jej sprowadzić „Szczeniaka” na dół; wskazał najpierw na własne ucho, a potem przez ramię, w kierunku „Kła”: przypominał, że Bossk z pewnością podsłuchuje.

Tinian pokiwała głową i sięgnęła po stery. Fotele dosunęły się tak blisko pulpitu, że pilotowanie było czystą przyjemnością.

Dziewczyna pogłaskała manipulator steru.

- Podoba mi się to maleństwo.

Tęskniący wciąż za „Wroshyrem” Chen tylko szczechnął.

- Wcale nie brakuje mi bogactwa - wyjaśniła Tinian. - Mówię tylko, że chciałabym mieć taki stateczek.

Chen szukał wciąż czegoś w torbie przy pasie. Zostawił Pchełkę pod kompem nawigacyjnym, ale miał ze sobą moduł zdalnego sterowania, który był zresztą znacznie większy niż sam android. Podłączył go do głównego kompa „Szczeniaka” i wystukał wiadomość dla Pchełki: WYŁĄCZ NA DWIE MINUTY ODBIORNIK „KŁA”, A POTEM JEGO MODUŁ TRANSLACYJNY NA DZIESIĘĆ MINUT. Minutę później urządzenie pisnęło dwa razy. Po chwili powtórzyło sekwencję informując, że udało się wypełnić polecenie.

- Słyszałam - powiedziała Tinian. - Bossk będzie przez dwie minuty całkiem głuchy?

Chen mruknął potakująco i przejął stery. Lomabu III było coraz bliżej. Podchodzili od dziennej strony. Na dole było południe i wszystko zalewały potoki blasku pomarańczowego słońca. Imperialni nie mieli prawa ich widzieć.

Nagle Tinian zaczęła mówić wprost do mikrofonu:

- Wiadomość dla gubernatora Desnanda; powtarzam, wiadomość dla gubernatora Io Desnanda z systemu Aida. Chcemy zameldować, że łowca nagród, Bossk Trandoszanin, powtarzam, Bossk

Trandoszanin, zbliża się do świata więziennego Lomabu III. Prowadzi nieautoryzowaną akcję pozyskiwania skór Wookiech i zamierza polować na waszych robotników. Mówi inny łowca nagród. Obserwuję Bosska od dłuższego czasu, ale on też mnie widzi. Czy możecie pomóc mi w przechwyceniu? Oczekuję na odpowiedź na tej samej częstotliwości o czternastej trzydzieści pięć standardowego czasu.

Transmisja została skierowana nie na Lomabu, ale na Aidę, co oznaczało pewne opóźnienie w przekazie. Chen spojrzął na zegar ostrzegając Tinian, że jej dwie minuty dobiegają końca. Wyłączyła nadajnik i ponownie wzięła stery w dłoń.

Po zaalarmowaniu gubernatora musieli jeszcze zamknąć sieć z drugiej strony i skontaktować się z kolonią. Nawet gdyby Pchelka zawiodła, Chen uważał za swoją powinność uwolnienie Wookiech. Przełączył nadajnik na miejscową częstotliwość.

Kabinę wypełnił zgiełk. Pasma z pojedynczą wstęgą boczną nadawało się idealnie do przekazywania mowy Wookiech, ale trudno dostrajało się do wspólnego. Bossk mógłby słuchać tego przez cały dzień, a i tak nie rozumiałby ani słowa. Jego moduł tłumaczący też by się pewnie zadławił.

Wywołał naziemne centrum łączności.

Z początku nic się nie zdarzyło. Zawsze istniała i taka możliwość, że w obozie na dole nie mieli akurat włączonego odbiornika. Chen miał jednak nadzieję, że jest inaczej.

- Spróbuj jeszcze raz - zaproponowała Tinian. - Zeszliśmy właśnie poniżej zjonizowanej warstwy atmosfery.

Chen znów zamruczał do mikrofonu. Tinian prowadziła statek ku archipelagowi, gdy głośnik ożył modulowanymi dźwiękami.

Chen wyszczerzył się do Tinian i odpowiedział. Teraz miał uzasadnienie dla lądowania, a i przygotowana historyjka o wymianie ognia nabierała prawdopodobieństwa. Główna wyspa rosła na ekranie.

- Powiedz im, jak zyskaliśmy zaufanie Bosska - szepnęła Tinian podchodząc nad morzem do wyspy od zachodniej strony. Obóz mieścił się na wschodnim wybrzeżu.

Chen znów się odezwał. Jego rozmówcą był wyraźnie starszy Wookie, który drżał cały czas ze strachu, że strażnicy zaskoczą go przy nadajniku.

Nie trzeba było pytać, czym imperialni trzymają Wookiech w szachu. Skanery „Szczeniaka” ukazywały dwa stanowiska turbolaserów i wiele trudnych do zidentyfikowania metalowych instalacji.

Tinian zeszła nisko nad zieloną dżunglę i poleciała ku wschodniemu wybrzeżu. Nagle w kabinie rozległ się głos Bosska.

- Hej, wy tam? Co robicie?

Czas był najwyższy, aby się odezwać. Gdyby Pchelka ukrywała aktywność „Szczeniaka” zbyt długo, Bossk mógłby zacząć podejrzewać, że ktoś manipuluje kompem jego statku.

- Zamierzamy upolować jakiegoś futrzaka - powiedziała. - Mamy go przywieźć?

- Jeśli wiecie, jak to się robi - odparł Bossk tonem wyzwania.

- Łap za stery, Chen - mruknęła Tinian. - Za minutę lądujemy. Nie miała dość wprawy w wykonywaniu manewru lądowania, a na dodatek ten stateczek, chociaż zgrabny, był dla niej całkiem nowy. Chen zsunął jej drobne dłonie ze sterów i przejął kontrolę. Zdławił ciąg i posadził „Szczeniaka” u stóp wysokiego klifu. Obóz leżał na półwyspie na północ od skalistego przylądka.

- Piękna robota - powiedziała Tinian ze znawstwem.

Położył jej dłoń na ramieniu i polecił uruchomić program rozmrażania karbonitowych pojemników. Ładunek powinien trafić z powrotem na pokład „Kła” ciepły.

Złapała go za ramię.

- Uważaj, Chen.

Wymruczał pożegnanie, zadowolony, że się o niego zatroszczyła.

Otworzył właz i zeskoczył na powierzchnię Lomabu III. Chłodny, wilgotny wiatr wypełnił mu nozdrza, dreszcz przebiegł po nieowłosionych wnętrzach dłoni. Słony zapach morza mieszał się z odorem gnijących ryb i wodnej roślinności. Pod intensywnie niebieskim niebem ciągnęła się niedaleko poszarpana linia zburzonego muru, który ledwo wyrastał ponad kożuch zielonych alg. Dalej, w głębi szafirowego morza, widać było labirynt ruin, płataninę stali i kamienia.

Wylądowali w pobliżu opuszczonego miasta. Za kilka lat morze miało pochłonąć nawet te resztki i rozmyć w ten sposób ostatnie świadectwa kwitnącej tu niegdyś cywilizacji.

Chen zastanowił się, jak mogli wyglądać mieszkańcy Lomabu, i jaką to zbrodnię popełnili, że Imperium postanowiło spustoszyć ich planetę? Czy zostali niewolnikami, tak jak Wookie... czy może wyginęli?

Sprawdził kuszę. Wszystkie części były z powrotem na miejscu. Fakt, że Bossk tak dobrze znał się na uzbrojeniu Wookiech, mocno zirytował Chena.

Skalisty przyładek, który oddzielał go od obozu, nie pozwalał też strażnikom dostrzec „Szczeniaka”. Chen ruszył w kierunku półwyspu pod osłoną powykręcanych, brunatnych drzew, które rosły wąskim pasem pomiędzy klifem a jasną piaszczystą plażą.

Niebawem okrążył przyładek i zobaczył proste szare mury kompleksu więziennego. Wzniesiono go całkiem niedawno, dokładnie po drugiej stronie półwyspu. Otaczało go metalowe ogrodzenie z czterema ustawionymi w kwadrat, masywnymi wieżami. Zwężenie pomiędzy samym półwyspem a stałym lądem pokrywał ten sam blady piasek, co na plaży.

W zasięgu pocisków z kuszy znajdował się na razie tylko jeden turbolaser, ale Chen uznał, że zniszczenie go i tak wystarczyłoby za sygnał do buntu. Popętlął naprzód po kamienistym, raniącym dłonie podłożu. Gdy wczuł się na piasek, poczuł coś dziwnego. Piasek się poruszał... Przyjrzał mu się bliżej. To, co brał za ziarenka piasku, było gigantyczną kolonią drobniutkich żyjątek. Każde miało drobniutkie, praktycznie niewidoczne odnóża, ale nie różniło się wielkością od ziarenka piasku. Wszystkie te stwory, nieustannie wspinały się nawzajem na siebie.

Teren powyżej kolonii był wilgotny, co sugerowało porę odpływu. Chociaż żyjątka poruszały się na pozór chaotycznie, cała ich łacha zdawała się podążać za cofającym się oceanem.

Zrzucił na rojowisko kłaczek swojego futra. Zniknęło błyskawicznie.

To jest drapieżne! - pomyślał. Cofnął się do lasu i poszukał okrytej liśćmi gałązki. Wetknął ją w kolonię.

Gałązka malała w oczach.

To wyjaśniało, dlaczego imperialni wybrali ten właśnie półwysep na więzienie. Bariera żarłocznych piasków mogła powstrzymać Wookiech zapewne nawet podczas maksymalnego odpływu. Normalnie futrzaści nic sobie nie robili z byłe broni, ale to... Ciekawe, czy strażnicy pozwolili na początku „uciec” jednemu z więźniów, by pozostali mogli na własne oczy zobaczyć, do czego zdolne są te stworzenia...

To były i tak jałowe spekulacje. Na razie musiał narobić tu nieco zamieszania, najlepiej takiego

widocznego w podczerwieni, aby Bossk uwierzył, że naprawdę doszło do jakiejś strzelaniny. Dopiero wtedy będzie można mu pokazać rozmrażane właśnie ciała.

Ostrożnie omijając piaskowe kolonie, Chen podczołgał się do wieży strażniczej. Wyjął z pasa ładownicy wybuchową strzałę, wsunął ją do kuszy, wycelował i wystrzelił.

Wieża eksplodowała wulkanem pomarańczowego ognia. Ludzki głos coś krzyknął. Chen zerwał się na równe nogi i pobiegł z powrotem. Musiał jeszcze sprawdzić, jak zaprezentowało się to na skanerach Bosska.

Gdy zbliżył się do „Szczeniaka”, zobaczył Tinian stojącą obok drabinki wjazdu.

- Nie wchodź na piasek! - krzyknęła. - To...

Wookie wyryczał, że już wie, spytał, co słychać i czekając na odpowiedź wspinał się na górę.

- Wszystko w porządku. A tobie jak poszło?

Na pokładzie o mało nie pośliznął się na czerwonej kałuży. Tinian ułożyła martwych Wookiech na skrawku wolnej przestrzeni pomiędzy włazem a fotelami pilotów.

- Nie ma więcej miejsca - powiedziała przepraszająco, wspinając się po drabince za Chenem. - Jak tylko wyciągnęłam ich z karbonitu, zaraz zaczęli krwawić.

Spytał, co zrobiła z samymi zamrażarkami.

- Porzuciłam je w lesie. Nie sądzę, aby Bossk je tam znalazł.

I sama wciągnęła dwóch Wookiech po drabince? - zastanowił się. Powinna zostawić to jemu. Opadł na fotel i złapał za stery.

Tinian otworzyła właz stojącego w hangarze „Szczeniaka”. Bossk czekał na dole, jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle prawie normalnie oświetlonego wnętrza.

- Teraz ci degeneraci wiedzą już na pewno, że tu jesteśmy - syknął. - Tylko tyle udało się wam osiągnąć?

- Nie - odwarknęła Tinian. Złość nie była udawana, bo grzbiet bolał ją jak diabli. - Rozpoznanie wykonane. Solo i Chewbacca nie uciekną lądem. Brzeg blokuje kolonia żywego i bardzo żarłocznego piasku. Żeby umknąć, będą musieli wystartować. Sojusznicy i tak dalej? Masa Wookiech, ale o dwóch mniej niż wczoraj. Pomóż nam wyładować skóry. Są jeszcze pełne.

- Skóry? - Bossk przysunął się do wjazdu i zerknął do środka. - Czy naprawdę...

Zamilkł na widok krwawiących ciągle ciał, leżących na pokładzie w czerwonej kałuży. Chen siedział wciąż na fotelu pilota. Wycedził coś przez zęby.

- Kryminaliści. To podarunek - przetłumaczyła wiernie Tinian. - Na wypadek, gdybyś nam nie wierzył - dodała. - Chen załatwił dwóch z patrolu.

Bossk pogładził sierść bliższego. Była brunatna, nakrapiana czernią.

- Nie sądziłem, że dacie radę zabić wolnego Wookiego - stwierdził. - Teraz już wam wierzę. Przyjmuję podarunek.

Jasne, że nam wierzysz, pomyślała Tinian i poczekała, aż Bossk wyniesie stygnące ciała z pokładu „Szczeniaka”. Chen nie wstawał od sterów, mrugał tylko co chwila i był bliski mdłości. Poprosił Tinian, by opowiedziała jaszczurowi coś przekonującego.

- On mówi, że twój proceder uważa za wstrętny. Tylko finanse zmuszają nas do współpracy.

Bossk zszedł do hangaru i wezwał X10-D.

- Wspaniałe skóry - powiedział, gładząc drugie zwłoki, pokryte dla odmiany czarnym futrem. - We wspaniałym stanie, Chyba miał ze sto pięćdziesiąt lat.

Chen odwrócił głowę.

Szczęśliwie w tej chwili X10-D wjechał do hangaru, co powstrzymało Bosska od dalszych niezdrowych komentarzy. Android zabrał oba ciała do rufowej ładowni. Bossk poszedł za nim. Tinian przypomniała sobie stół preparacyjny i zbiornik...

Chen drżał, przejęty i zbolały.

Dziewczyna położyła mu z wahaniem dłoń na ramieniu. Jej najsilniejszy uścisk był dla Wookiego ledwie muśnięciem.

- Byliby zadowoleni - wyszeptała. - Gdyby tylko wiedzieli, że ich śmierć przyczyni się do końca tej rzezi, byliby zadowoleni.

Chen odchylił głowę i zapłakał bezgłośnie.

- Oboje widzieliśmy, że Bossk ostrzy sobie zęby na twoje futro, Ng'rhr - powiedziała, raz jeszcze ścisnęła mu ramię i wyszła przerażona myślą, że jeśli straci Chena, to znowu przyjdzie jej przeżyć to samo opuszczenie... Matka zmarła, gdy Tinian była niemowlęciem, dziadkowie zostali z zimną krwią zamordowani. Daye zginął przygnieciony tonami gruzu.

Widok pokładu „Kła” zamazał się w jej oczach.

Nie mogę pozwolić, by zobaczył mnie w tym stanie, pomyślała.

- Zauważyłeś, że nie kazał nam wracać do kabiny? - spytała Chena. - I zostawił włączone światła. Chodźmy coś zjeść.

W mesie przygotowała najlepszy posiłek, jaki w tych warunkach był możliwy. Postawiła na stole nawet misę czerwonych robaków dla Bosska. Wiedziała, że teraz musi zachowywać się przyjaźnie. Walcząc z mdłościami kazała kompowi wezwać Chena i Bosska na obiad.

Wookie przyczłapał pierwszy i usiadł ciężko. Bossk zjawił się po chwili; zalatywał płynem dezynfekującym.

- O, dziękuję, kobieto.

- Starczy?

Usiadł przed misą z ruchliwą zawartością.

- Na razie tak. Przyjacielu, Chenlambecu... ty nie jesz.

Chen wpatrywał się w talerz i marszczył niespokojnie nos.

Tinian przekłęta się za bezmyślność. Oczywiście, statek śmierdział teraz Wookiemu po prostu obrzydliwie. Bossk właśnie obdarł ze skóry dwóch jego pobratymców. Jak Chen mógłby jeść? Tinian nałożyła sobie porcję sklonowanych żeberk solarza i usiadła. Musiała zachować twarz. Najlepiej radosną i zdeterminowaną.

- Co on powiedział? - spytał Bossk.

- Zbyt wiele przygód - oznajmiła Tinian i oddarła zębami pasemko mięsa od kości. - Jak się uspokoi, to zje - dodała z pełnymi ustami. - Słuchaj, Bossk, tam na dole jest całkiem obiecująco. Pomiędzy Wookiem skaner wychwycił dwie ludzkie sylwetki, z których jedna odpowiada dokładnie ostatnim znanym charakterystykom Hana Solo.

- Nagraliście odczyt?

- Oczywiście. - Tinian załadowała właściwe dane do kompa „Szczeniaka” w czasie, gdy Chen zajmował się wieżą strażniczą. Podobnie jak inne sfalszowane chipy, ten również Wookie nabył „od przyjaciela”.

- Przyszedł mi do głowy plan, który pozwoli ująć go żywcem - oznajmił Bossk.

- Zachowuj się naturalnie - prychnęła Tinian na Chena. Wookie wziął żeberko, rozciągnął wargi i warknął. Potem wepchnął kęs do ust i zaczął żuć.

- Powiedz nam, co mamy robić - powiedziała dziewczyna.

- Zejdę z orbity i wywabię frachtowiec - zaczął Trandoszanin. - Wy unieszkodliwicie obronę planety. W końcu weźmiemy go w kleszcze i zaatakujemy.

A potem, wymruczał Chen, on nas zostawi.

- On mówi - wtrąciła się Tinian - że „Szczeniak” nie jest wystarczająco uzbrojony, by poważnie zaszkodzić instalacjom obronnym.

- To się niebawem zmieni - obiecał Bossk.

Chen kazał dziewczynie wyrazić sprzeciw wobec projektu.

- Więcej będziemy mogli działać, jeśli zostaniemy na pokładzie „Ogara” - zaprotestowała. - To dobry statek.

- Nie zostawię was samych na pokładzie.

Tinian przypomniała sobie dawne dziecięce spory z dziadkami; wpadła teraz w szczebiotliwy ton, chociaż bardzo tego nie lubiła.

- Nie sędzę, żebyś zechciał zostawić Chena samego na statku i polecieć ze mną. Z kolei ty i Chen nie pasujecie do siebie na tyle, by razem wejść do „Szczeniaka”. Wychodzi na to, że powinieneś wysłać Chena, a mnie zostawić...

- Dość - przerwał jej Bossk. - Ufam wam wystarczająco, by uzbroić „Szczeniaka”. To będzie najlepszy sposób, by wykonać zadanie.

- W porządku - westchnęła Tinian.

Napełniwszy żołądek robakami, Bossk kazał Tinian objąć wachtę. Chenlambeca zamknął w kabinie, sprawdził zabezpieczenia statku i poszedł dokończyć preparowanie drugiego Wookiego. Był już sztwywny, ogarnęło go stężenie pośmiertne. Jaszczur uniósł ociekającą jeszcze posoką skórę, przytrzymał ją w rozłożonych ramionach i ostrożnie opuścił do zbiornika z płynem garbującym. Utonęła z bulgotem. Zachwycony dodatkową zdobyczą wyrzucił krwawe ciała przez służę. Mięso Wookiech było paskudne w smaku.

Wrócił do sali preparacyjnej.

- X10-D - zawołał. - Przygotuj uzbrojenie „Szczeniaka”.

Karmazynowy android podtoczył się do drzwi i otworzył ładownię. Zdjął ze ściany ciężkie, rurowate działo, odwrócił się i sięgnął dwumetrowym ramieniem po kolejne. Również obciążony uniósł oba manipulatory i ruszył korytarzem do hangaru. Bossk podążył za nim.

Powłoka „Szczeniaka” potrzaskiwała w miarę stygnięcia. Korzystając z pomocy androida łowca zainstalował uzbrojenie, a potem posłał służę po jeszcze dwa przedmioty, o których nie wolno mu było zapomnieć. X10-D wrócił po kilku minutach. Oba manipulatory rozciągnął na maksymalną, trzymetrową długość. W lewym niósł mały kanister, w prawym wielkie cygaro torpedy.

Bossk stał przy wyrzutni „Szczeniaka”.

- Załaduj - nakazał. - Zachowaj ostrożność.

Android wsunął głowicę bojową do rury wyrzutni i zniknął we wnętrzu stateczku, by odblokować i podłączyć wszystkie systemy uzbrojenia.

Bossk klasnął językiem. Gdy Chenlambec znów otworzy ogień na kolonię Lomabu, tym razem użyje ładunku napalnu, który pokryje dywanem lepkiego żelu przestrzeń kilku kilometrów kwadratowych. Setki Wookiech poniosą śmierć z jego ręki, a Bossk pomści wreszcie hańbę Gandolo IV. Mistrzynie nie żądała, by dostarczać jej ofiary nietknięte. Każda skóra, nawet spalona, miała dla niej taką samą wartość.

W końcu podłączył kanister do systemu wentylacyjnego „Szczeniaka”. W odróżnieniu od gazu użytego poprzednio do uspienia Chena i Tinian, mieszanka obah powodowała trwałe uszkodzenia systemu nerwowego u stworzeń mniejszych niż Wookie czy Trandoszanie. Powinna obezwładnić Chena nie uszkadzając mu futra. Ale Tinian nie miała szans uniknąć okaleczenia...

Cóż, skoro podróżowała z Wookiem, musiała wiedzieć, że naraża się jego wrogom. Na dodatek rozesłany za nią list gończy nie wspominał nic, by nagroda należała się tylko za poszukiwaną żywą czy nieuszkodzoną...

Sprawdził szybko komp stateczku i zaprogramował go na zniszczenie obiektów obronnych kolonii. Zaraz po wystrzeleniu głowicy napalmowej, gdy tylko Tinian i Chen zrozumieją, co zrobili, gaz pozbawi ich przytomności. „Ogar” ściągnie „Szczeniaka” na wysoką orbitę, skąd łatwo będzie go odzyskać, gdy Bossk zajmie się już załogą „Sokoła”.

To będzie koronkowa robota: załatwić wszystkich poszukiwanych, ale pozostawić ich przy życiu i nie uszkodzić. Bossk nie chciałby ściągnąć na siebie gniewu lorda Dartha Vadera.

- X10-D - rozkazał. - Masz jeszcze uzbroić sześć pocisków ze sporami makebve. Załaduj je do wyrzutni numer trzy „Ogara”.

W odróżnieniu od gadów, większość ssaków wykazywała silną reakcję alergiczną na spory makebve. To powinno unieszkodliwić całą załogę „Sokoła” na dość długo, by Bossk mógł wejść na pokład i zrobić swoje.

Tyle, że pył sporofitów miał już pięćdziesiąt lat. Tak powiedział handlarz, Nalrithianin, ale mógł kłamać. A jeśli ładunki są jeszcze starsze? Czy zachowały moc?

To akurat mógł bez trudu sprawdzić.

- Gdy załadujesz pociski, pobierz dwugramową próbkę i wpuść ją do systemu wentylacyjnego „Ogara”.

X10-D obrócił się na gąsienicach i odjechał.

Gdy nadeszła czternasta trzydzieści pięć czasu standardowego, Tinian wbiła oczy w pulpitem. Nie było jeszcze zbyt późno, by uruchomić plan numer dwa. Dalej, Pchełko, dokończ robotę, pomyślała dziewczyna. Mała maszynka tkwiła wciąż pod kompem nawigacyjnym i próbowała z pomocą różnych kombinacji liczbowych dobrać się do systemu bezpieczeństwa „Kła Ogara”. Możliwe, że miała zbyt wiele poziomów do pokonania, albo też komp statku była dla niej zbyt inteligentny. Dopóki jednak prowadziła rozgrywkę, Chen i Tinian byli zdani tylko na siebie.

O wyznaczonej godzinie wyczekiwana wiadomość pojawiła się na ekranie: GUBERNATOR IO DESNAND ODPOWIADA: NIEAUTORYZOWANA PRÓBA POZYSKANIA SKÓR TO PRZESTĘPSTWO PODLEGAJĄCE SUROWEJ KARZE. ZAPŁACIMY CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY KREDYTÓW ZA NATYCHMIASTOWE DOSTARCZENIE ŻYWEGO TRANDOSZAŃSKIEGO ŁOWCY NAGRÓD.

Vader dawał za załogę „Sokoła” osiemset tysięcy... ale i czterdzieści tysięcy to sumka nie do pogardzenia.

Tinian pochyliła się nad pulpitem.

- Pchełko, mamy propozycję roboty. Jesteś już w środku?

- Wciąż próbuję... - odpisnęła po paru sekundach maszynka. Światła w sterowni nagle zgasły. Tinian zerwała się na równe nogi.

- Bossk wyłączył właśnie wszystkie lampy emitujące światło widzialne - wyjaśniła Pchełka.

- Pilnuj go dalej - szepnęła Tinian. - I próbuj do skutku. Jak się włamiesz, postaraj się uwięzić go

w schowku... - Wciągnęła ostrożnie powietrze w nozdrza... raz, potem drugi i trzeci.

Co się działo?

Wybiegła z ciemnej sterowni na korytarz. Coraz trudniej było jej oddychać. Oczy piekły, aż musiała zacisnąć powieki, ale i tak łzy popłynęły po policzkach.

Bossk przełączył mikrofon na system wewnętrznego nagłośnienia. W blasku emiterów podczerwieni widział tak samo dobrze, jak wcześniej przy zwykłych lampach.

- Tinnian, Chenlambec, nic wam się nie stało? Miałem tu drobną awarię. Zostańcie, gdzie jesteście. Zaraz do was przyjdę.

I dobrze. To znaczy, że spory nadal zachowały właściwości alergenów. Bossk ruszył z wawo korytarzem.

Tinian znalazł za zakrętem, skuloną pod drzwiami kabiny. Dłonie przycisnęła do twarzy, oddychała ciężko.

- Nic ci nie jest? - spytał. - Bardzo mi przykro. Ten system został zaprojektowany dla obezwładniania zbiegów na pokładzie.

Wyglądała nieszczęśliwie. Ciekło jej z nosa i z oczu.

- Nic mi nie jest? - zachlipała. - Dobrze sobie. Jest, i to sporo. Bossk uznał to za całkiem zabawne.

- Potrwa trochę, zanim usunę awarię. Na razie schowajcie się w „Szczeniaku”, ma własne filtry. Tam będziecie bezpieczni. Zresztą i tak niebawem odlatujecie.

Tinian wstała z trudem.

- Pierwszy włącz po lewej - przypomniał jej Bossk. - Znajdziesz go nawet po omacku. Jest otwarty.

Otworzył drzwi kabiny. Chen leżał na koi. Jeśli Tinian wyglądała kiepsko, to Wookie prezentował się wręcz tragicznie. Futro na twarzy, karku i piersi miał wilgotne i pozlepiane.

- Idź na „Szczeniaka” - rzucił Bossk, ze wszystkich sił starając się nie roześmiać. - Tinian cię wpuści. Ja idę do sterowni, zająć się naprawą.

Tinian pociągnęła nosem i ruszyła ciemnym korytarzem. Nic nie widziała, każdy oddech palił płuca. Tłumaczenia Boscka nie brzmiały jej zbyt szczerze. Trandoskanie nigdy za nic nie przepaszali...

Za jej plecami rozległo się żałosne wycie.

- Chen, jesteś tam? - wykrztusiła. Znów zawyło.

- Chce, żebyśmy schowali się w „Szczeniaku”. Tam jest czyste powietrze. - Znów pociągnęła nosem i przełknęła.

Człapanie Chena rozlegało się coraz bliżej.

Tinian trafiła na otwarty włącz i weszła do środka. Każdy jej krok odbijał się metalicznym echem: to musiał być hangar. Przesuwając dłońmi po ścianie trafiła na maskę do oddychania. Naciągnęła ją na nos i oczy, ale była nieszczelna na górze i na dole. Nie pasowała do ludzkiej twarzy.

Dziewczyna zakłęta krótko w Shyriiwook i cisnęła bezużyteczną maskę na podłogę.

Poczuła silne, futrzaste dłonie na ramionach. Odepchnęły ją łagodnie od ściany. Chen wymruczał jej do ucha, co należy zrobić.

- Dobra. Prowadź. - Złapała wielkie ramię i zacisnęła powieki. Ile razy próbowała je uchylić, miała wrażenie, że cała chmara drobnych insektów próbuje atakować jej oczy.

Chen błyskawicznie wdrapał się po drabince. Po chwili również Tinian znalazła się na pokładzie „Szczeniaka”. Padła bezwładnie, starając się nie trzeć oczu. Jej skóra i ubranie, a także futro Chena,

były zapewne pokryte jakimś alergogennym świństwem.

Zapłonęło światło.

- Jesteście na miejscu? - rozległ się głos Bosska. - Już lepiej. „Szczeniak” zawibrował. Jaszczur musiał uruchomić go zdalnie ze sterowni.

- Znacznie lepiej - krzyknęła Tinian nie wstając z podłogi. - Dziękujemy... pssiiiiik!

- Otrzępcie się - zasugerował Bossk. - Włączcie wentylację i filtry na pełną moc. To pomoże.

Chen obwieścił, że znalazł wlot systemu odświeżania powietrza. Podstawiając się z różnych stron pozwolił, by prąd powietrza omiół mu kilkakrotnie całe futro. Wreszcie zaczął strzepywać na wpół zaschłe spory z kudłów.

Tinian skrzywiła się. Skoro Chen zrezygnował z wszelkiej elegancji, ona powinna postąpić tak samo. Zdarła z siebie czarny kombinezon i wytrzepała go przed kratką wentylacji. Potem przetrząsnęła włosy. Z początku zrobiło się jej jeszcze gorzej, ale w końcu jakoś zaczęło się uspokajać.

Uchyliła jedno oko. Nie piekło. Wciągnęła głęboko powietrze.

Chen siedział za sterami „Szczeniaka” i wpatrywał się w pulpit. Tinian włożyła z powrotem kombinezon i wśliznęła się na fotel drugiego pilota.

- Jesteś... psik!... gotowy? Chen warknął potwierdzająco.

- Startujecie za trzydzieści sekund - wtrącił się Bossk. - Wszystkie systemy sprawdzone.

Bossk uśmiechnął się zwycięsko. Gdy „Szczeniak” oddalił się wystarczająco od macierzystego statku, jaszczur polecił uzbroić głowicę torpedy. Mechanizm zegarowy pojemnika z mieszanką obah został uruchomiony przez samego Chena w momencie, gdy Wookie włączył system wentylacyjny.

Teraz należało zająć się ostatnimi obliczeniami kursu podejścia. Bossk ustawił namiary, które miały doprowadzić go w pobliże kolonii Wookiech.

Jak tylko „Szczeniak” wystrzelił i zagazuje Chena i Tinian, co przyjdzie tym łatwiej, że po teście sporów ich śluzówki nosowe będą bardzo wrażliwe, Bossk zanurkuje ku planecie. Jedno podejście powinno wystarczyć, by wypłoszyć Solo z kolonii. Potem będzie można podjąć pościg.

Trandoszanin skierował gałki oczne możliwie najbardziej do wewnątrz. Oto jestem, Mistrzynie. Wesprzyj mnie, pomyślał.

Chen pilotował „Szczeniaka”, aż Tinian w końcu przestała kichać i pociągać nosem, chociaż nadal ją bolał. Miała wrażenie, jakby ktoś podrapał go od wewnątrz drucianą szczotką.

Węch zrobił się teraz tak wrażliwy, że po ustaniu wydzielania śluzu bez trudu wyczuła obecność materiału wybuchowego, którego nie powinno być na pokładzie. Zaniepokojona odpięła pasy, wstała i nachyliła się ku Chenowi.

- Coś mi tu śmierdzi - szepnęła do skrytego pod futrem ucha. - Sprawdźę, o co chodzi.

Wookie mruknął, że przyjmuje do wiadomości.

Kilkuminutowe poszukiwania niczego nie przyniosły. Dłonie Tinian drżały coraz bardziej. Była pewna niebezpieczeństwa, a nie potrafiła go wykryć.

Chen włączył urządzenie do komunikowania się z Pchełką, a potem uruchomił nadajnik, by porozmawiać ze swoim kontaktem na dole.

Tamten odpowiedział, chociaż w szumach bocznej wstęgi jego głos był prawie niesłyszalny. Tinian wyobrażała sobie, że w kolonii panuje napięcie, które w każdej chwili może doprowadzić do wybuchu buntu.

Miała nadzieję, że żaden wybuch nie zagraża „Szczeniakowi”. Nie przypuszczała, aby Bossk

gotów był poświęcić stateczek dla ich zguby. Ale w takim razie, co to mogło być?

Chen wstukał wezwanie do sterownika, a na głównym ekranie pojawił się pisemny komunikat: CHYBA SPENETROWAŁAM WRESZCIE SYSTEM BEZPIECZEŃSTWA. SYMULUJĘ AWARIĘ W SCHOWKU.

Usadowiona pod kompem nawigacyjnym Pchełka donosiła o sukcesie.

Chen zawył.

- Zaczekaj! - krzyknęła Tinian. - Zmieniam priorytety. Sprawdź mi zaraz „Szczeniaka”!

Natychmiast! Co zrobił Bossk, przygotowując statek do akcji?

Bossk zachichotał, gdy usłyszał, że Tinian krzyczy coś do swojego partnera. Za późno, kobieto. Zamierzał śledzić przebieg misji, ale miało minąć jeszcze kilka minut, nim „Szczeniak” podejdzie wystarczająco blisko do kolonii, by wystrzelić torpedą.

Na konsoli zamrugało światelko awaryjne.

- Co jest? - spytał. - Mam nadzieję, że to nie kolejny fałszywy alarm.

- W żadnym razie - odpowiedział „Kieł Ogara”. - X10-D zamieszkał właśnie w schowku chłodniczym w pomieszczeniu preparacyjnym.

Co? Bossk zagiął nerwowo pazury. Czyżby ta kobieta użyła swoich smukłych palców, by pokombinować coś przy androidzie? A może to kolejny atak głupoty komputera?

Upewnił się, że „Szczeniakowi” zostało jeszcze parę minut do otwarcia ognia, wstał i pospieszył na rufę.

- Wyszedł ze sterowni! - oznajmiła Pchełka. - Jeśli chcecie coś zrobić, to się pospieszcie, bo teraz was nie widzi!

- Pilnuj swego nosa - mruknęła Tinian, której oczy przestały wreszcie łzawić, ale nos ciągle bolał. Nie mogła przez to zidentyfikować rodzaju materiału wybuchowego, którego woń wyczuwała. To musiało być coś rzadkiego. I tym bardziej niebezpiecznego... - Chen, pogadaj ze swoją przyjaciółką. Zamierzam przeszukać cały statek kawałek po kawałku od dziobu do rufy. Sprawdzę wszystkie dostępne obwody. Coś nam tu nie gra, a Pchełka nawet nie próbuje pomóc.

- Ależ pomagam! - oburzyła się piskliwie maszynka. - Bossk wszedł właśnie do preparatorni... idzie prosto do schowka, w którym zrobiłam przeciek... staje naprzeciwko...

Bossk dostrzegł androida stojącego w kącie. Oczywiście, że był wyłączony. Potem podszedł do schowków. W lewym skrajnym woda ciekła po ściankach. Zepsuty zraszacz.

Jaszczur warknął i wcisnął zamocowaną na ścianie kontrolkę. Wyłączył w ten sposób zasilanie pól, których zadaniem było utrzymać zdobycz w schowku. Sięgnął po klucz i wszedł do środka...

- Jest w środku! - pisnęła Pchełka. - „Ogar”, uaktywnić pole! „Ogarku”, proszę! „Ogar”...

Chen ryknął do mikrofonu.

- Dobra, już mówię. Najpierw zainstalował z powrotem działa energetyczne. Potem uaktywnił wyrzutnię torped w trybie nakierowywania na podczerwień...

Torpeda. Materiały wybuchowe.

- Jaka głowica? - wtrąciła się Tinian.

- Napalmowa. Taka do nalotów dywanowych - odparła po paru sekundach Pchełka. - A wy macie...

Wściekły ryk Chena zagłuszył ostatnie słowa Pchełki. Tinian zrobiło się niedobrze. Podobne głowice wytwarzała konkurencja zakładów I'att, szczególnie ci przedsiębiorcy, którzy w ogóle nie mieli skrupułów. Bossk wysłał ich, by urządzili Wookiem płomieniste piekło...

Pchełka nadal coś mówiła. Tinian odsunęła upiorną wizję i skupiła się na jej głosie.

- Co takiego, Pchełko? Powtórz, proszę.

- Powiedziała, że zainstalował też w systemie wentylacyjnym „Szczeniaka” zbiornik z reduktorem i zdalnie sterowaną dyszą. Jest pełen gazu paraliżującego, mieszanki zwanej obah. Lepiej wyrzucicie go za burtę.

- Jasne, ale najpierw musimy go znaleźć! - Gaz obah? Paraliżujący? Tego Tinian nigdy by nie wyczuła. Bossk nie zostawiał niczego przypadkowi. Najpierw spory, potem torpeda napalmowa, w końcu to...

Chen wstał z fotela i sięgnął pod kratkę wentylacji. Stateczek wydał się nagle Tinian bardzo, bardzo ciasny. Znów zrobiło się jej duszno.

- Dziękujemy, Pchełko - powiedziała, oddychając głęboko. - Możesz jeszcze złapać Bosska?

- Pracuje w schowku. Znalazł przeciek. Nie bardzo mi się udaje skłonić „Ogara” do współpracy. Jest okropnie uparty. Polubiłabym go nawet, gdyby nie stał nam na drodze - dodała pogodnie maszynka.

W każdym razie jedno się udało - Bossk wyszedł ze sterowni i nie widział ich szamotaniny.

Co można zrobić z torpedą? Tinian nigdy nie pragnęła mieć takiego drobiazgu pod opieką. Należało ją wystrzelić i zniszczyć, by nikt już nie miał z niej pożytku. Została nastawiona na tryb wyszukiwania celów w podczerwieni i nie mogli tego zmienić...

Może Bossk zamierzał ich zagazować, a potem ustawić stateczek na autopilocie i skąpać Wookiech w ogniu?

Nie było czasu na domysły. Należało zdecydować o losie główicy. Mogłaby z jej pomocą posłać Bosska i jego „Kieł Ogara” prosto do trandoszańskiej Mistrzyni. Chociaż w próżni napalm by nie zadziałał z braku tlenu do spalania, to sama masa pocisku wystarczała na zgruchotanie statku.

Nic z tego. „Szczeniak” nie miał napędu nadświetlnego. Niszcząc „Ogara” odciełliby sobie drogę ucieczki z obszaru Imperium.

Tinian zauważyła, że ma kłopoty z koncentracją. Przecież to zagadnienie powinno dać się rozwiązać bez trudu..

Kurs „Szczeniaka” miał przeprowadzić stateczek przez cień planety. Tuż nad sierpem globu jaśniała dzienna gwiazda systemu.

Oczywiście! Słońce!

- Trzymaj się, Chen - rzuciła Tinian i odwróciła stateczek o sto dwadzieścia stopni. Wycelowwała wyrzutnię dokładnie w krąg słońca Lomabu i wystrzeliła. „Szczeniakiem” targnął wstrząs, a Wookie uderzył w coś głową i warknął.

Tinian wstrzymała oddech. Odprowadzała torpedę spojrzeniem, aż po trzysekundowym opóźnieniu silniczki raketowe wykwitły płomieniem odrzutu i pocisk runął w kierunku gwiazdy. W takiej temperaturze nie miał szans żaden ładunek.

Dziadek I'att skwitowałby to promiennym uśmiechem.

Bossk musiał chyba nadal być zajęty usuwaniem awarii, bo nawet się nie odezwał. Tinian skierowała stateczek ku powierzchni planety.

- Jak ci idzie, Chen? - spytała. Wciąż byli zbyt wysoko, żeby się katapultować. Jeśli Bossk uruchomi teraz dispenser gazu, to po nich...

Chen stał z jedną ręką zakleszczoną w przewodzie wentylacyjnym. Odwrócił kudłatą głowę, spróbował wsunąć dłoń jeszcze głębiej i jęknął.

Tinian zagryzła wargi. Gdy Bossk wróci do sterowni, zaraz się dowie, że wystrzelili torpedę. Uzna to za zdradę, zwłaszcza że takie główce były dość trudne do zdobycia.

- Pchełko? Poczyłaś jakieś postępy?

- Może - pisnęła maszynka. - Nadal nad tym pracuję.

- Trzymaj Bosska z dala od sterowni, bo inaczej nas załatwi.

- Staram się! Jeśli dacie mi chwilę spokoju...

- Damy - obiecała Tinian. Chen oderwał od pulpitu pasek metalu i wsunął go do przewodu, a dziewczyna wzięła kurs na kolonię.

Tym razem podchodzili od wschodu, nad wodą. Już z daleka Tinian dojrzała wieże strażnicze.

Tym razem imperialni nas widzą, pomyślała. Jakby dla potwierdzenia, z jednej z wież błysnęła wiązka turbolaser. Minęła „Szczeniaka” o włos.

Tinian nie cierpiała, gdy ktoś do niej strzelał. Położyła dłonie na pulpicie.

- Chen, gdzie tu jest włącznik tarcz? Wookie zawył.

- Nie mamy tarcz?

Posiwiaty Wookie zauważył, że strażnicy na wieży otworzyli ogień. Na to właśnie czekał. Ruszył biegiem w kierunku południowo-wschodniej wieży. Wszędzie wokół Wookie przerywali pracę i atakowali swoich nadzorców.

W powietrze wleciała łukiem ludzka ręka i setki Wookiech ryknęły ogłuszająco.

Więźniowie zapędzili strażników do wieży. Imperium zastało Kashyyk całkiem bezbronne, ale mieszkańcy planety nauczyli się z czasem, czym jest walka.

Ze strony morza dobiegł huk silników statku. Turbolaser oddał w tamtą stronę jeszcze kilka strzałów, po czym obsługa skierowała lufę na dół, na obóz.

Z tej odległości nie można było chybić. Ziemia, piasek i beton wyparowały nagle wraz z tuzinem więźniów. Wstrząs powalił starego Wookiego na kolana.

Mimo to ruszył wokół świeżego krateru ku wieży. Wiedział, że obsługa turbolaser go tutaj nie dostrzeże. Pozostali ocaleli Wookie walczyli pod murem z imperialnymi.

- Poddajcie się - huknął z wysokości głos strażnika. - Poddajcie się, a nic wam się nie stanie.

Więźniowie odpowiedzieli gniewnym wyciem. Nie przerwali walki.

Z głównych drzwi wieży wysypała się gromadka uzbrojonych po zęby szturmowców. Zaczęli przepędzać Wookiech na otwartą przestrzeń. Stary wyciągnął szyję, by spojrzeć na wieżę. Turbolaser był tuż nad nim. Obok stał ludzki wojskowy w czarnym mundurze.

- Przekazać sygnał zagrożenia! - mówił do podwładnego w mundurze khaki. - Niech Desnand zaraz przyśle pomoc!

Chenlambec ciągle stał przy otworze wentylacyjnym; wyraźnie sobie nie radził. Nie zdołał jeszcze wydobyć kanistra, Pchełce zaś nie udało się na razie uwięzić Bosska. Na dodatek ręka bolała go tak, jakby przy próbie wciśnięcia jej chociaż o centymetr głębiej nadwyrężył sobie mięsień skręcający.

- Nadają! - Timan pochyliła się na sterem. Stateczek się przechylił. Chen chwycił się czegoś, by przeciążenie go nie przewróciło, ale nie wyciągnął ręki z przewodu.

Wyryczał pytanie pod adresem Pchełki.

- Spokojnie - pisnęła maszynka. - „Ogar” nie ma nic przeciwko blokowaniu transmisji. Powiedział mi...

- Masz Bosska? - wtrąciła się Tinian.

- Ciągłe nad tym pracuję. Dajcie mi spokój, z łaski swojej.

- No to blokowanie też nic nie da - mruknęła Tinian. - Zaraz nas tu...

- Oj! - odezwała się Pchełka i Chen wyszarpnął ramię. - Alarm się włączył... - dodała z zażenowaniem.

Wściekły Chen uderzył pięścią w grodz. Bossk zaraz wyskoczy ze schowka i pogna do sterowni, a potem puści gaz... Wookie krzyknął do Tinian, żeby skierowała statek nad jakąś wyspę. Jeżeli będą mogli się katapultować, to chociaż ocaleją...

- Mają sześciuset jeńców pod ogniem turbolasera - odparła dziewczyna. - Zdołam go zdmuchnąć, zanim Bossk nas załatwi. - „Szczeniak” skręcił do kolejnego nawrotu.

Niby niewiele, ale zdumiała go jej odwaga. Opadł na fotel.

Znowu alarm? Zaskoczony Bossk opuścił klucz,

- X10-D! - krzyknął. - Chodź no tutaj!

Android potoczył się w jego kierunku. Białe światło alarmowe znad schowka odbijało mu się migotliwie w obudowie.

Bossk zbliżył się do wyjścia, ale nagle poczuł obejmujące go pole. Odrzuciło go do środka z przypalonymi łuskami i raną na czole.

- Wyłącz zamek schowka! - krzyknął.

Android podtoczył się jeszcze metr, zawahał, jakby wsłuchany w całkiem inny głos, zakręcił się raz i drugi w miejscu i wrócił na swoje stanowisko pod ścianą.

- Zaczekajcie! - zawołała Pchełka.

- Co znowu? - Tinian twardo trzymała kurs na wieżę. Jeszcze pięć sekund...

- Mam go! - oznajmiła maszynka. - „Ogar” wreszcie mnie dopuścił...

- Nie gadaj! Trzymaj go! - poleciała Tinian. Pchełka trafiła widać w końcu na właściwą sekwencję kodową. - Niech X10-D zablokuje schowek!

- Już się robi!

Chen przejął stery, a Tinian sięgnęła do spustu działek. Obok kabiny przemknął kolejny ładunek.

- Pięknie! - pisnęła Pchełka i niemal zamruczała z zadowolenia.

- „Ogarze”, jesteś wspaniały. Jesteś cudowny. Uzyskałam pełną kontrolę - oznajmiła Chenowi i Tinian. - „Ogarze”, masz podwoić moc pola w schowku i ustawić X10-D na straży.

Chen wzniosł się o kilkaset metrów. W dole Wookie rozsypali się na boki wokół kolejnego krateru wybitego przez ładunek turbolasera. Imperialni zajęli stanowiska wzdłuż muru i zasypywali szalejących więźniów ogniem z broni ręcznej.

Turbolaser znów skierował się ku „Szczeniakowi”. Chen wykonał szybką pętlę i już prawie byli... Jeszcze bliżej, jeszcze trochę... Tinian wstrzymała oddech.

Wystrzeliła i wieża się rozpadła. Sypnęło wokół deszczem drobnych szczątków.

Chen zwiększył szybkość do maksymalnej i skierował stateczek na orbitę. Wracali na „Ogara”.

Tinian starała się oddychać miarowo. Żeby tylko zdążyć... Jeśli Bossk ucieknie, bez chwili namysłu ich zagazuje, i żeby żadna awaria nie trafiła się jeszcze po drodze...

Chociaż... przecież jeszcze całkiem niedawno nie bała się śmierci.

Wysłuchiwała się w siebie. Odkąd Daye zginął, bardzo za nim tęskniła. Brakowało jej czegoś, co wypełniłoby pustkę i zaspokoiloł głód uczuć. Ale przecież Chen na nią liczył. Dla niego była ważna, troszczył się o nią. Chciała odplacić mu tym samym.

Nauczyła się też liczyć na siebie. Wiedziała, że ze swoimi umiejętnościami i talentami może

skutecznie włączyć się do galaktycznych zmagania. Rebelianci stracili jej ukochanego, ale jeśli ona podejmie walkę, wyrówna ubytek z szeregu.

- Przykro mi, Daye - szepnęła, przypominając sobie jego twarz.

- Chcę być z tobą, ale na razie jeszcze pożyję. Rozumiesz to, prawda?

Na przednim ekranie widniała coraz większa sylwetka „Ogara”.

Jeśli mam żyć, to pora pokombinować, jak przetrwać kilka najbliższych minut, pomyślała.

Powietrze na pokładzie statku było ciągle przesycone alergenem.

- Pchełko - odezwała się. - Na „Ogarze” mieliśmy kłopoty z oddychaniem. Możesz sprawdzić, dlaczego, i zrobić coś z tym? Ale tak, żeby Bossk ci nie uciekł.

Pchełka badała sprawę przez parę chwil.

- To spory makebve. Wywołują u ssaków silną reakcję histaminową. Dla gadów nieszkodliwe.

Włączyłam wszystkie filtry powietrza. Jeżeli zaczekacie parą godzin, zrobi się czysto.

- Nigdy w życiu - mruknęła Tinian i rozejrzała się po kabinie. - Chen, nie wiesz, z czego by tu zrobić maski?

Wookie zawył z rozbawieniem.

- Nie myślę o gazie paralizującym - odparła dziewczyna, wskazując przez ramię na wylot systemu wentylacyjnego. - Chodzi mi o te spory.

Chen uniósł rękę i załopotał długimi kudłami. Wyjaśniał coś przez parę chwil.

- Czemu nie - zgodziła się Tinian. - Twoja sierść chłonie to diabelstwo jak gąbka...

Cumując w hangarze „Ogara”, Tinian i Chen mieli już na twarzach zaimprovizowane maski. Zrobili je z wypchanych włosiem Wookiego rękawów czarnego kombinezonu dziewczyny. Ledwie „Szczeniak” się zatrzymał, Tinian wyskoczyła na zewnątrz. Oczy zaraz zaczęły jej łzawić, ale mogła oddychać. Chen przepchnął się obok i wybiegł na korytarz.

Mrugając nieustannie, dziewczyna zamknęła i zablokowała włącz „Szczeniaka”, zostawiając sprawę zbiornika z mieszanką obah na później. Potem pognęła za Chenem.

Bossk miotał się wewnątrz schowka. Co chwila odbijał się od pola i lądował na podłodze. Nieprzeciętna siła właściwa Trandoszanom nic mu nie mogła pomóc. Chen stał naprzeciwko z jedną ręką na biodrze. Drugą podtrzymywał maskę na twarzy i rechotał histerycznie. Wielki android ustawił się przy pulpicie kontrolnym i zablokował metalowymi szczypcami włącznik pola na pozycji „aktywne”. Pole było całkowicie przezroczyste, oczywiście poza momentami, gdy iskrzyło w kontakcie z ciałem Bosska.

Chen odrzucił głowę i zaśmiał się tak głośno, że grodzie zadrżały, a Tinian musiała zakryć uszy.

- Dobra robota, Pchełko - powiedziała.

- Zawsze do usług - odparł lekko chropawy, kobiecy głos.

- Pchełka? - zdumiała się Tinian i rozejrzała dokoła. Kto jeszcze tu był?

- I co teraz? - rozległ się znów ten sam głos. Był dość zmysłowy, by rozpaść bakuriańskie traszki.

- Brzmisz jakoś inaczej.

- Używam symulatora głosu „Ogara” - wyjaśnił seksowny kontr-alt. - Czyż on nie jest cudowny?

Chen mruknął z irytacją, ale jego oczy nadal śmiały się radośnie znad maski.

- Oczywiście, zajmę się tym - potwierdziła Pchełka. - Następny przystanek to system Aidy. Lecimy do gubernatora Io Desnanda. Słyszałam, że wyznaczył za naszego łuskowatego pasażera całkiem ładną nagrodę.

- Zniszczę cały statek! - wybuchł Bossk. - Zabiorę was ze sobą do Mistrzynie!

Czy naprawdę mógł tego dokonać ze schowka?

- Wszędzie mam przełączniki awaryjne! - obwieścił i wczepił dwa pazury w panel nad głową.

Tinian znów zrobiło się duszno.

- Pchełko, czy „Ogar” słyszał, że Bossk chce nas wysadzić?

- Jasne. Właśnie usunął ze wszystkich programów zapis o priorytecie Bosska.

Trandoszanin cisnął panelem w pole, które aż zadrgało od silnego iskrzenia.

- Spokojnie - dodała Pchełka. - Systemy samozniszczenia też wyłączyliśmy.

- Wy?

- „Ogar” i ja. Któż by inny?

- Chen - zawiadomiła Tinian, masując gołe ramiona. - Mamy przesyłkę do dostarczenia.

Do wyprowadzenia jaszczura ze schowka potrzeba było aż trzech szturmowców we wspomaganych rękawicach. Imperialny oficer w zdefasonowanej czapce i roboczym mundurze khaki wręczył Tinian chip kredytowy.

- Proszę, madame Helleniko. Czterdzieści tysięcy kredytów minus trzy tysiące za usługi naszych żołnierzy.

Brzmiało to jak próba wyłudzenia. Stali na zatłoczonym lądowisku, gdzie Chen posadził „Ogara”, by dało się sprawnie przetransportować Bosska do więzienia.

- Trzy tysiące? - zaprotestowała pro forma Tinian. - To rabunek! To...

- Sugeruję, byście jak najszybciej opuścili system Aida - przerwał jej imperialny. - Na razie nie spieszyliśmy się ze sprawdzeniem waszych danych w sieci, ale wiadomo, że takie męty jak wy zawsze poruszają się na granicy prawa. Przypuszczam...

- Tak jest, sir - powiedziała Tinian i cofnęła się o krok. - Dziękuję, sir. Życzę miłego dnia. - Odwróciła się i pobiegła ku opuszczonej rampie „Ogara”.

Bossk siedział na ławie w więziennej celi. Pazury drgały mu spazmatycznie. Próbował już drzeć pasy ze ścian, ale okazały się wyłożone transpastalą.

Szturmowcy na zewnątrz stanęli na baczność, kiedy w chronionej części celi pojawił się imperialny gubernator, Io Desnand. Wysoki i pulchny, ale wymoczkowaty człowiek, który normalnie nie miałby w konfrontacji z Bosskiem żadnych szans.

Na jego ramieniu zawisała jeszcze bardziej pulchna kobieta. Miała sztuczne rzęsy, które dziwne przypominały olbrzymie owady. Bossk oczekiwał bezwiednie, że lada chwila odlecą na własnych skrzydłach.

- Ooch! - zakrzyknęła kobieta. - Miałeś rację. Wspaniały. Bosska mało szlag nie trafił.

- Zniweczyłeś moje nadzieje na awans, łowco nagród - powiedział ponuro Desnand. - Twoje ostatnie życzenie?

- Awans? - wrzasnął Trandoszanin. - O czym ty mówisz? Ci Wookiee...

- Byli przynętą w pułapce. Ale zamiast całej rebelianckiej floty i złapałem tylko jednego jaszczura. Tyle dobrego, że będę mógł teraz ‘. spełnić obietnicę, którą złożyłem Feebee dwa lata temu. - Objął kobietę ramieniem.

Jej krwiożerczy uśmiech zmroził Bosska. Pomyślał, że tak mogłaby wyglądać Mistrzini ubrana w ludzką maskę.

- Zawsze marzyłam o płaszczu z gadziej skóry. Ale takim prawdziwym, do samej ziemi i całkiem bez szwów. Tak, Io, wspaniały - powtórzyła i przytuliła pulchny policzek do dłoni mężczyzny.

Bossk rzucił się na pole. Odrzuciło go ostro z powrotem pod ścianę.

- Jestem niewinny! - krzyknął, zrywając się chwycenie na nogi. - Nie wiedziałem o twoim planie, Desnand! Nie zamierzałem ci przeszkadzać! Ciągle nie wiem, o co tu chodzi...

Para ujęła się za ręce i wyszła z celi.

Bosk patrzył za nimi z niedowierzaniem. Miał zostać... odarty ze skóry? Z wyzerowanym kontem skończyć jako płaszcz tej glisty? W ten sposób, a nie na ołtarzu Mistrzynie?

Padł na kolana i zaczął drapać pazurami wykładzinę podłogi. Musi znaleźć sposób, by stąd uciec. Uciec, odzyskać statek i wznowić polowanie... Musi...

Tinian wyciągnęła się na koi w lewoburtowej kabynie „Ogara”, który, tymczasowo uziemiony, stał na terenie kolonii karnej na Lomabu III. Chen zajął prawoburtową kabinę, gdzie dawna koja Boska lepiej pasowała do jego rozmiarów. Pchełka dostosowała pulpity obu sypialni w ten sposób, aby można było sterować z nich statkiem. Ku wielkiemu zdumieniu Chena (ale nie Tinian) protestowała za każdym razem, gdy Wookie próbował odłączyć ją od „Ogara”. Ostatecznie umieścił maszynkę w gniazdku X10-D i zostawił tam na dłużej.

Teraz była bardzo szczęśliwym androidem o wielkim i silnym ciele. Twierdziła tylko, że musi jeszcze trochę popracować nad kolorystyką. Gdyby tak trochę niebieskiego...

Podczas skoku na Lomabu zajęła się bliżej oprogramowaniem „Ogara”. Co chwila zgłaszała się z jakąś wykrytą właśnie sensacją: „Ten statek potrafi zmieniać kurs podczas lotu w nadprzestrzeni!” albo: „Obwody uzbrojenia mają funkcję echa. Nie wiem dokładnie, jak to działa, ale wszystkie działa mogą dzięki temu strzelać równocześnie z całą mocą!”. I jeszcze: „Słuchaj, Tinian, „Ogar” wie, jak zejść na tarczach z niskiej orbity nad samą powierzchnię”.

I tak właśnie uporali się ostatecznie z imperialną załogą kolonii. W pełni osłonięty tarczami „Ogar” opadł z nieba, a Chen i Tinian uruchomili obie poczwórne baterie dział. Wylądowali obok nowego krateru, by zabrać więźniów na pokład.

Jednak Wookie nie pozostawili przy życiu ani jednego imperialnego. Piaskowe robaki miały tego dnia prawdziwą ucztę.

Wieczorem Chenlambec przyłączył się do świętujących rodaków. Tinian z całą powagą wysypała garść ziemi na pogrzebane przez niego skóry, potem zrobiła trzy okrążenia w tanecznym kręgu. Z jednej strony trzymała olbrzymią dłoń przyjaciela, z drugiej strony miała innego, równie serdecznego Wookiego. Wreszcie oddaliła się od zgromadzenia.

Jutro, a sądząc po hałasie na zewnątrz, raczej pojutrze przyjdzie im ścisnąć wszystkich na pokładzie i zniknąć w nadprzestrzeni. Nie było sensu czekać, aż Desnand przyśle oddziały. „Ogar” powinien pomieścić pięciuset trzydziestu dziewięciu Wookiech, przynajmniej w krótkim skoku, chociaż dla systemów podtrzymania życia miała to być naprawdę ciężka próba. Pchełka nalegała, by udać się do układu Aida, a potem skorzystać z kontaktów Chena i poczekać na rebelianckie statki, które rozwiozą Wookiech po innych systemach.

Chen zabrał Tinian jeszcze na chwilę na bok, położył jej obie dłonie na ramionach i obwieścił, że okres praktyki dobiegł końca. Poprosił ją też, by została jego współpracowniczką i przyjaciółką. Miała teraz pół statku, osiemnaście tysięcy kredytów i status pełnoprawnego łowcy. Po raz pierwszy od dwóch lat nie czuła się biedna.

Chen oddał większość swojej nagrody byłym więźniom. Może i ona powinna tak zrobić...

Chociaż z drugiej strony... ten nadęty imperialny wyrobnik zaliczył ją do mętów społecznych. Spojrzała na swój zapasowy kombinezon. Też był czarny, chociaż sfatygowany. Ale za to miał rękawy. Może powinna sprawić sobie kilka porządnych ubrań...

Ziewnęła leniwie.

Potem o tym pomyśli.

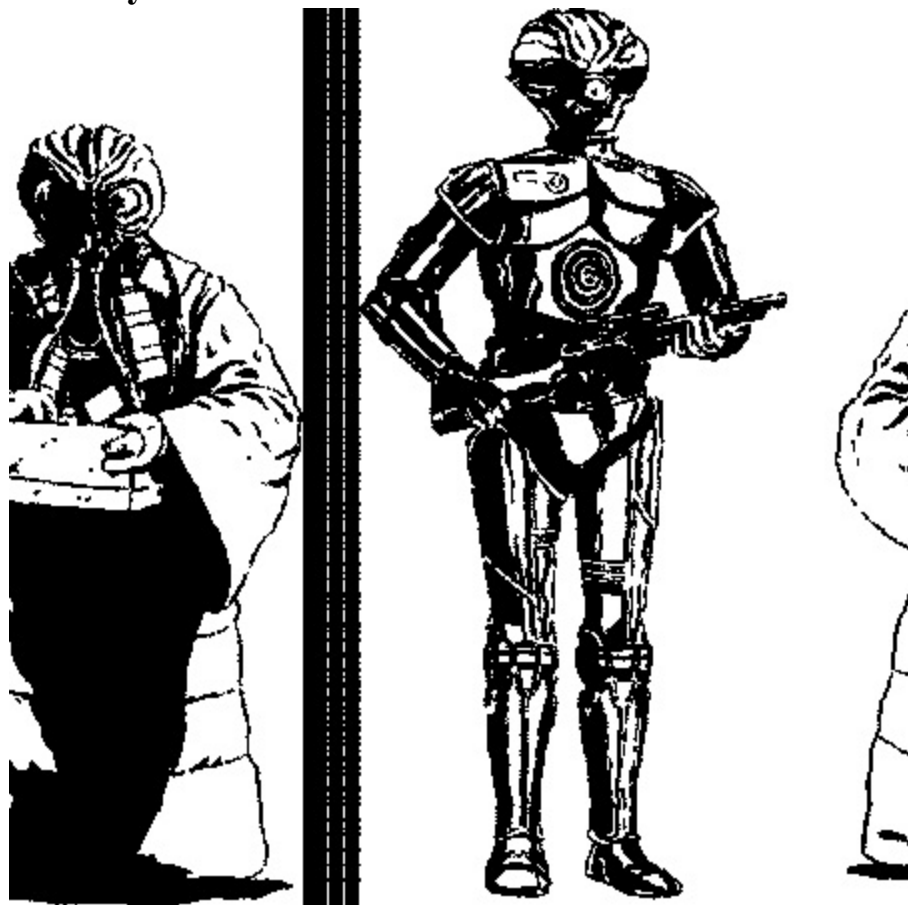
Zmęczony Chen wyrwał się z kręgu tanecznego i usiadł na pustym hełmie szurmowca. „Ogar” wypełniał cały więzienny dziedziniec. W ostrych reflektorach jaśniał niczym kawał lodowej kry. Wookiemu było trochę wstyd, że tak otwarcie go podziwia. Brakowało mu starego „Wroshyra”.

Przesunął dłonią po sierści lewego przedramienia.

Nigdy nie był próżny, ale przywiązał się do swojego futra i wolałby się z nim nie rozstawać.

Wszystkie możliwe jutra: opowieść o Zuckussie i 4-LOM-ie

M. Shayne Bell



- Czy Darth Vader wie? - spytał Zuckussa android 4-LOM. Zadawał to pytanie swojemu gandyjskiemu wspólnikowi dokładnie co 8, 37 standardowej minuty, a trwało to od chwili, gdy Zuckuss zapadł w medytację. Za dwie godziny mieli zacumować na flagowym okręcie Vadera i podpisać imperialny kontrakt, ale najpierw musieli sprawdzić, czy nie kierują się prosto w zastawioną na nich pułapkę.

Zuckuss nie odpowiedział. Widać intuicja nie objawiła mu jeszcze, jak dokładnie wygląda sprawa z Vaderem i kontraktem. Oddychał miarowo przez respirator. Wciągał specjalną mieszankę, zamierał na dłuższą chwilę i znowu. Gandowie nie musieli często oddychać, ale głębokie zamyślenie zmuszało najwyraźniej do regularnego oddechu.

Android zdążył już zauważyć, że objawienie spływało na Zuckussa zazwyczaj pomiędzy tysiąc trzechsetnym dwudziestym trzecim a cztery tysiące trzysta sześćdziesiątym dziewiątym oddechem. Raz zdarzyło się już po pięćdziesiątym trzecim, 8, 37 minut po wejściu w medytację, ale 4-LOM uznał to za anomalie statystyczną. W odróżnieniu od większości Gandow Zuckuss miał niezmiennie 91, 33725 procent szans na uzyskanie prawidłowej odpowiedzi na zadane przed wejściem w medytację pytanie. Zwykle dotyczyło ono miejsca ukrywania się poszukiwanego, liczebności jakiejś grupy i nastawienia różnych istot.

Teraz musieli wiedzieć, jakie zamiary żywi wobec nich Darth Vader.

Gdyby Vader dowiedział się jakimś sposobem, że to właśnie 4-LOM i Zuckuss schwytali niegdyś na zamówienie Rebelii Nardiksa, gubernatora sektora, bez wątpienia chciałby się zemścić. Rebelianci osądzili Nardiksa za zbrodnie przeciwko istotom rozumnym, który to proces okazał się wielce kłopotliwy dla Imperium. Wynagrodzili Zuckussa po królewsku, ale i tak nie było tego dość. Łowcy wciąż pilnie potrzebowali gotówki na lekarstwa dla Zuckussa.

Pozaustawowa opieka lekarska to sprawa kosztowna. Zuckuss nie był stary, ale poruszał się jak wiekowa istota. Szczególnie gdy brał środki mające uśmierzyć nieustanny ból. Oddychał zwykle płytko, by nie urazić płuc i tchawicy spalonych niegdyś przez tlen. Zdarzyło się to, gdy ścigał pewną poszukiwaną. Osaczył ją w ciemnej uliczce bez wyjścia, ale podczas szamotaniny hełm zsunął mu się z głowy. 4-LOM obezwładnił natychmiast ściganą i pomógł Zuckussowi włożyć hełm z powrotem, ale łowca zdążył mimowolnie odetchnąć trzy razy trującym, bogatym w tlen powietrzem.

Wciąż wspominał to z zakłopotaniem, bo w gruncie rzeczy wcale nie musiało do tego dojść. Gdyby zachował wystarczającą przytomność umysłu, potrafiłby wstrzymać oddech, nawet na dość długo.

Cóż, stało się, jak się stało. Część jego układu oddechowego została nieodwracalnie zniszczona, a wydolność ocalałych tkanek spadła tak znacznie, że Zuckuss pilnie potrzebował nowych płuc. Mógł je uzyskać tylko z nielegalnej, a zatem bardzo drogiej, hodowli klonowej.

Imperialne kredyty dawały szansę na przeprowadzenie operacji.

Minęło kolejne 8, 37 minuty.

- Czy Darth Vader wie? - spytał 4-LOM.

Zuckuss znowu nie odpowiedział.

Pogrążony w głębokim transie Zuckuss miał spore kłopoty z ustaleniem zamiarów Dartha Vadera.

Kryły się pod wirami wszystkich możliwych prądów przyszłości galaktyki. Zuckuss wyczuwał je zawsze podczas medytacji w nadprzestrzeni. Było to idealne miejsce do rozważań nad losem wszechświata. Medytacjom w dowolnym mieście przeszkadzały myśli i zamiary milionów zamieszkujących je istot. Medytacja na orbicie wiodła do rozważań o losach kultury danej planety. A w nadprzestrzeni. Wtedy nie było nawet ważne, czego się szukało; najpierw zawsze pojawiał się ogólny obraz dróg życiowych i uczuć większości zamieszkujących galaktykę stworzeń rozumnych, wyobrażając przyszłość samego uniwersum.

Wszystko to mocno się zmieniło ostatnimi czasy. Zuckuss wyczuwał to wyraźnie.

Od wielu już lat ubywało nadziei, ale tym razem, obojętne gdzie Zuckuss zajrzał, we wszystkich mijanych systemach, na wszystkich planetach dominowało poczucie beznadziei. Jedni tracili ducha świadomi braku drogi ucieczki, inni cierpieli coraz silniejszą izolację. Z wielu światów docierał ból konających ofiar imperialnych oprawców.

Jednak równocześnie Zuckuss wyczuwał coś jeszcze, co szybko nabierało wyrazistości i przyspieszało puls Ganda.

Marzenia i nadzieje tych, którzy dążyli do bogactwa.

Imperium nieustannie nakładało nowe podatki, rekwirowało majątki i okradało większość obywateli. Coraz szerszy strumień kredytów płynął przede wszystkim do kieszeni bonzów Imperium, którzy nie szczydziли wydatków, by otoczyć się luksusem.

Zuckuss bardzo chciałby zaczerpnąć z tego strumienia.

Ale nie za wszelką cenę. Niestety, ciągle nie wiedział, co zamierza Darth Vader. Zupełnie nie mógł wyczuć jego pilnie strzeżonych myśli.

Wciągnął powietrze i znów wstrzymał oddech.

4-LOM odnotował, że stało się to po raz tysiąc osiemdziesiąty ósmy.

Toryn Farr miała opuścić rebelianckie centrum dowodzenia w bazie Echo na Hoth jako ostatnia. Była główną kontrolerką i odpowiadała za przekazywanie rozkazów oddziałom w terenie. W końcu usłyszała od księżniczki Leii ten jeden rozkaz, którego tak się obawiała:

- Daj sygnał do ewakuacji i wsiadaj na statek!

Han pociągnął Leię korytarzem. Reszta obsługi pobiegła za nimi. Każdy brał co tylko mógł z lżejszych elementów wyposażenia. Toryn tymczasem sięgnęła do nadajnika.

- Oderwać się od przeciwnika! - nakazała. - Oderwać się od przeciwnika! Wycofujemy się!

Oderwała kable podłączeń od konsoli i pobiegła z nią lodowym korytarzem ku lądowisku. Baza Echo zapadała się już w sobie. Każda nowa eksplozja na powierzchni powodowała deszcz lodowych odłamków, które raziły Farr w twarz i plecy. Detonacji było z każdą chwilą więcej. Lampy w korytarzu zamigotały i zgasły na dobre. Po chwili ciemności zapaliły się mdłe światła awaryjne; ledwie pozwalały dojrzeć drogę przed sobą. Toryn minęła zablokowaną całkowicie zwałami lodu odnogę głównego korytarza.

- Księżniczka pobiegła tędy! krzyknął ktoś z przodu.

Toryn postukała w hełm, by uruchomić moduł łączności i włączyła się na kanał ewakuacyjny akurat na czas, by usłyszeć Hana informującego, że oboje są cali i zdrowi.

- Han i księżniczka żyją i kierują się do „Sokoła” - krzyknęła do wszystkich, którzy zebrali się wokół niej.

W końcu wpadli do hangaru, gdzie stał transportowiec, „Jutrzenka Nadziei”. Rzeczywiście, był ich jedyną nadzieją na wyrwanie się z lodowego piekła. Jednak Toryn przystanęła i popatrzyła ze zgrozą na płytę.

Wszędzie leżeli ranni żołnierze, a androidy medyczne robiły co mogły, by ciężko poszkodowani

nie wykrwawili się na śmierć.

Na dodatek ciągle znoszono nowe ofiary.

Zginiemy tutaj, pomyślała Toryn. Albo gorzej: trafimy do niewoli Imperium. Podobnie jak innym rebeliantom, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby zostawić rannych towarzyszy broni, skoro sama była cała i zdrowa. Jednak nie widziała sposobu, by załadować tylu chorych na pokład przed przybyciem szturmowców. Słyszała meldunki, że pierwsze oddziały wroga wdarły się już do lodowej fortecy.

Strzał z blastera trafił w plecy mężczyznę stojącego obok Toryn. Padł martwy na lód, a dziewczyna i wszyscy w pobliżu wylotu tunelu rzucili się szukać ukrycia za stojącymi obok paletami.

Szturmowcy podchodzili już do hangaru!

Toryn odpowiedziała ogniem i dopiero wtedy zrozumiała, za czym przycupnęła. Palety były załadowane skrzynkami i zapalnikami termicznymi. W pierwszym odruchu chciała pobiec na poszukiwanie właściwszej osłony, ale została, otworzyła jedną ze skrzynek i wyciągnęła trzy ładunki. Szybko je uzbroiła i cisnęła w głąb tunelu. Najpierw buchnęło dymem i przez parę sekund widziała tylko nogi szturmowców usiłujących wkopać zapalniki z powrotem do hangaru. Nie zdążyli. Silna eksplozja zawałiła strop tunelu i zablokowała wejście tonami lodu.

Rebelianci zyskali bezcenne minuty, by uratować swoich rannych. - Wszystkich na pokład! - krzyknęła Toryn i pobiegła pomóc w przenoszeniu towarzyszy.

- Czy Darth Vader wie? - spytał 4-LOM po upływie kolejnych ośmiu minut.

- Tak - odparł Zuckuss. Wyprostował nogi i otworzył oczy. 4-LOM natychmiast zaczął programować statek na desperacki skok, który miał oddalić ich od źródła zagrożenia. Nie mogli oczywiście zmienić kursu w nadprzestrzeni, ale potrafiли wejść w nowy skok na tyle szybko po wyjściu z poprzedniego, by imperialne skanery nie miały szans na nic więcej, poza odnotowaniem ich obecności. Android wyliczył, że w ten sposób zdołają uciec.

Zuckuss położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie trzeba - powiedział.

4-LOM nie przerwał pracy. Ostatnie słowa wypowiedziane przez współnika nie miały dla niego sensu, jak często się zdarzało w kontaktach z niemechanicznymi istotami rozumnymi. Logika nakazywała przecież ucieczkę.

- Darth Vader wie, co Zuckuss i 4-LOM zrobili z gubernatorem, ale nic go to nie obchodzi - wyjaśnił łowca, jak zwykle używając trzeciej osoby. - Ten, którego mamy upolować, jest dla niego o wiele ważniejszy niż nawet stu Nardiksów. Imperium potrzebuje naszej pomocy. Wie, że samo sobie nie poradzi. Zuckuss i 4-LOM są na razie bezpieczni i mogą podpisać kontrakt, mogą też odebrać nagrodę. Jeśli jednak im się nie powiedzie...

Zuckuss nie dokończył zdania. Android znał ten irytujący zwyczaj białkowców i zaraz wydedukował siedemdziesiąt sześć możliwych zakończeń, które oddawały intencję wypowiedzi Zuckussa z prawdopodobieństwem większym niż 92, 78363 procent. Wszystkie sugerowały, że Imperium zemści się okrutnie na przegranych.

Tyle nam zostało, pomyślał Zuckuss. Mieli tylko jedną szansę, że Imperium zapomni o sprawie z gubernatorem. Jeśli jej nie wykorzystają, sami staną się zwierzyną. Będą musieli wykorzystać wszystkie swoje umiejętności, żeby ukryć się na jakiś czas i stworzyć sobie nowe tożsamości. Wtedy może przetrwają.

Zuckuss uśmiechnął się. Wobec takiego zagrożenia każdy dzień życia nabierał nowej wartości.

W ostatniej grupie czekających na załadunek żołnierzy Toryn trafiła na swoją młodszą siostrę. Samoc była jedną z najlepszych rebelianckich pilotek śnieżnych śmigaczy. Skoro straciła swój

pojazd, to znaczyło, że walka na zewnątrz musiała być potwornie zażarta. Jej rude włosy były w większości spalone, twarz i dłonie miała w oparzelinach. Nikt nie udzielił jej na razie żadnej pomocy. Tyle dobrego, że ją przyniesiono.

Była przytomna. Widząc Toryn zamruwała pozbawionymi rzęs powiekami i spróbowała złapać ją za rękę.

- Transportowiec mnie załatwił... - szepnęła.

Strzał z blastera trafił w sufit i obsypał je obie lodowym pyłem. Szturmowcy podeszli przez zaśnieżone pola w pobliże wejścia do hangaru. Toryn uniosła siostrę i pobiegła z nią do transportowca.

- Wiem, że to musi bardzo boleć, ale nie da się inaczej! - usprawiedliwiła się.

Strzelanina nasilała się z każdą chwilą.

Na pokład weszły prawie na samym końcu. Hangar był już pusty, jeśli nie liczyć stert cennego wyposażenia, które porzucono, aby zrobić miejsce dla niespodziewanych pasażerów.

Mimo ognia szturmowców udało się zamknąć włazy. Sześć czekających jeszcze myśliwców typu X potraktowało to jako sygnał do startu. Po chwili cała formacja wyleciała z hangaru i ostrą świecą wzbijała się prosto w czarny kosmos, poza atmosferę planety.

Za długo czekaliśmy, pomyślała Toryn. Zapłacimy teraz za naszą troskę o rannych.

Znalazła puste miejsce w pobliżu włazu i przypasała Samoc do fotela. Potem uklękła przy niej i objęła siostrę, by ochronić ją przed wstrząsami towarzyszącymi trafieniom. Do ucieczki w nadprzestrzeń zostało jeszcze kilka chwil, podczas których wszystko mogło się zdarzyć. Niebo nad Hoth roilo się od gwiazdnych niszczycieli Imperium, czekających by zaatakować flotę rebeliantów.

4-LOM i Zuckuss wyszli z nadprzestrzeni w systemie Hoth i od razu znaleźli się w samym środku bitwy, niemal dokładnie na kursie umykającego rebelianckiego statku, który komp pokładowy zidentyfikował jako frachtowiec „Jutrzenka Nadziei”. Jeden z sześciu eskortujących go myśliwców typu X ostrzelał statek łowców. Kadłub zatrzęsł się od trafienia.

- Włączam tarcze - oznajmił 4-LOM.

Nikt ich nie ostrzegł, że u celu mogą trafić na bitwę. Z drugiej strony nikt też nie twierdził, że absolutnie im to nie grozi.

Ekrany ukazywały liczne statki goniące się po całym układzie planetarnym. Jednostki rebeliantów znikwały jedna po drugiej. Wycofywały się, uciekając w nadprzestrzeń.

- Zuckuss naliczył szesnaście zniszczonych frachtowców Rebelii - powiedział Gand.

Nie musiał już dodawać, że wszystkie one uległy zagładzie w pobliżu Hoth. Widać je było gołym okiem: podziurawione kadłuby dryfowały w przestrzeni i tylko tu i ówdzie jarzyły się jeszcze na ich powierzchni światła pojedynczych iluminatorów w ocalałych przedziałach. Łowcy musieli zdrowo manewrować, by ominąć bezpiecznie bezwładne wraki.

- Podarujmy naszym imperialnym przyjaciołom siedemnasty statek - zaproponował Zuckuss.

Taki prezent przydałby im zasług i zmniejszył przewinę związaną z Nardiksem.

- Ustalą kurs ataku - odparł 4-LOM.

Rzucili się w pościg za „Jutrzenką Nadziei”. Ekrany sugerowały, że był to ostatni frachtowiec, który wystartował z Hoth. Na dole widać było już tylko pojedyncze ikсы, zdobycz zbyt drobną, by warto było na nią polować. „Jutrzenka” zamykała zatem odwrót. Ryzykownie późną porę wybrała na ucieczkę.

Łowcy szybko się do niej zbliżyli. Była mniejsza niż te zniszczone frachtowce, ale i tak pękata i niezbyt szybka, wolniejsza w każdym razie niż smukły statek łowców. Na jej pokładzie umykali najpewniej ostatni obrońcy i najbardziej niezbędny personel bazy. Świetny upominek dla

imperialnych, pomyślał Zuckuss.

- Cel w zasięgu skutecznego ognia - obwieścił android i nadusił przycisk uruchamiający systemy uzbrojenia. Obaj łowcy przygotowali się do obsługi działek. Z drugiej strony zbliżał się do transportowca największy gwiazdny niszczyciel, jaki Zuckussowi zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Załoga frachtowca musiała zwijać się jak w ukropie, by przygotować koordynaty skoku. Trudno było orzec, kto pierwszy osiągnie cel w tym wyścigu.

Chwilę zanim przyrządy pokładowe podały, że pora otworzyć ogień, intuicja podpowiedziała Zuckussowi to samo. Nacisnął spust. Trafił dokładnie w przednią część pomostu dowodzenia. Teraz już frachtowiec nie miał najmniejszych szans ucieczki w nadprzestrzeń; nieważne, ile zostało mu do zamierzonego skoku. Niszczyciel ostrzelał statek z drugiej burty, otwierając na próżnię od razu trzy pokłady.

Sześć myśliwców eskorty zniknęło po kolei z ekranów. Zanurkowały w nadprzestrzeń. Piloci tych maszyn wiedzieli, że ich rola skończona. Nie byli w stanie pomóc zniszczonemu frachtowcowi, nie dysponowali też żadnymi środkami, by ratować ewentualnych rozbitków.

- Odbieram wiadomość od imperialnych jednostek - oznajmił 4-LOM.

Po chwili dostrajania modułu obaj łowcy usłyszeli czysty i wyraźny głos oficera dyżurnego z niszczyciela.

- ... przybyliście w porę, tak jak oczekiwaliśmy. Wasza pomoc przy zniszczeniu wrogiego statku została zauważona. Zameldują o tym przełożonym. Przyjmijcie kurs do umówionego miejsca spotkania w obrębie systemu.

Na ekranie pojawiły się koordynaty.

- To w pasie asteroidów? - spytał Zuckuss. Android przestudiował dane.

- Na skraju pasa - powiedział.

Fakt, nikt im nie obiecywał, że będzie łatwo.

4-LOM skierował statek do miejsca spotkania. Zuckuss pospieszenie nafaszerował się lekami przeciwbólowymi. Nie chciał, by imperialni i pozostali łowcy dostrzegli w jego zachowaniu cokolwiek nienaturalnego. Wolał nie okazywać przed nimi słabości.

Android poświęcił kilka chwil na próbą ustalenia, jakim sposobem jego współnik wybrał właściwą chwilą na otwarcie ognia. Zrobił to wcześniej niż wynikałoby z zaleceń kompa, a instrumenty pokładowe działały bez zarzutu. 4-LOM sprawdził je przed startem i teraz powtórzył czynność.

- Intuicja - mruknął Zuckuss, oddalając się z wysiłkiem po leki.

Intuicja zawsze fascynowała 4-LOM-a. Inni łowcy nagród zwali Zuckussa „tajemniczym”. Właśnie dzięki jego intuicji, która prawie nigdy go nie zawodziła.

4-LOM też chciałby tak umieć. Właśnie dlatego pracował z Zuckussem. Obserwował łowcę i próbował się czegoś nauczyć. Był pewien, że odkryje w końcu właściwy algorytm i zdoła wprogramować sobie pożądaną umiejętność.

Czyż nie nauczył się już kraść? Czy nie poznał, ile znaczy dla białkowców bogactwo i jak manipulować nimi za pomocą kredytów? Bez wątplenia opanuje jeszcze sztuką medytacji i upodobni się do Zuckussa. Wtedy będzie już niepokonany.

4-LOM postępował tak zawsze, odkąd przerobił własne oprogramowanie, by zostać złodziejem, a potem łowcą nagród. Nieustannie się doskonalił, zdobywał nowe kwalifikacje i rzucał wyzwania możliwościom rozwojowym androidów.

Zaczął się niewinnie: pracował wtedy na pokładzie liniowca pasażerskiego „Księżniczka Kuari”. Był służącym, ale pełnił też funkcję specjalisty do spraw kontaktów pomiędzy ludźmi a

cyborgami. W pewnej chwili zainteresował się bezpieczeństwem wartościowych przedmiotów, które ludzie zabierali ze sobą na pokład, i ogarnął go niepokój. Obchodzili się z nimi tak bez troski, że byle amator ich własności nie miałby żadnych kłopotów z popełnieniem kradzieży. Sami stwarzali okazje, by pozbawić ich kredytów i biżuterii. 4-LOM uznał, że powinien przeanalizować sytuację i wczuć się w rolę złodzieja, by móc potem skutecznie zapobiegać wszelkim próbom kradzieży.

Podczas następnego kursu spotkał Dom Pricinę.

Była przedstawicielką tej właśnie grupy, o którą android obawiał się najbardziej: bez troska i nieprzyzwoicie wręcz bogata. Nie zawdzięczała majątku własnej pracy, wszystko otrzymała w darze od losu. W podróż wybrała się z bezcennym klejnotem, szafirem Ankarres, który służył z właściwości uzdrawiających. Ludzie i inne istoty rozumne przybywali niekiedy z bardzo daleka, żeby poczuć jego dotyk na czole i wyleczyć się z choroby albo ran. Był własnością Dom Priciny. Ona też wysoko ceniła niezwykle klejnot.

Tego wieczoru wielka pani narzekała nieustannie przy obiedzie, szczególnie pomiędzy trzecim a czwartym deserem. Powodem lamentów była bransoleta z pięciuset rzadkich koreliańskich jiangów. Okazała się zbyt masywna; przy każdym uniesieniu dłoni z widelcem ciążyła tak bardzo, że jedzenie stawało się udręką. W końcu Pricina zdjęła bransoletę i położyła ją na obrusie obok kieliszka z winem.

I zostawiła ją tam, gdy wstała od stołu.

4-LOM niezwłocznie odniósł ozdobę właścicielce. Podziękowała mu, a nawet uściśniła androida. Rano zostawiła na marmurowej półce w łaźni parowej dwa diamentowe pierścionki.

- Dziękuję, LOM - powiedziała, gdy oddawał jej i tę zgubę. - Jak mogłabym ci się odwdziżyć? Może weźmiesz je i każesz powiększyć o jeden... nie, o dwa rozmiary? Coraz trudniej wchodzi mi na palce u stóp. Powinnam ograniczyć śniadania. Gdybym jadła mniej ciastek, nie miałabym kłopotów z pierścionkami!

Gdy android wrócił od jubilera, znalazł przed drzwiami jej kabiny naszyjnik ze szmaragdów i granatów. Najwyraźniej go tam upuściła.

Uznał, że Dom Pricina jest kompletnie nieodpowiedzialna. Ktoś, kto nie potrafi zadbać o swoją własność, nie jest jej godzien, pomyślał. Równocześnie zainteresował się wielkim szafirem, najcenniejszym klejnotem pasażerki, który wielu uważało dosłownie za bezcenny. Ustalił najprawdopodobniejszy czas i sposób jego kradzieży, gdyby miała się ona zdarzyć w trakcie rejsu. Potem niepostrzeżenie podmienił go na tanią imitację z wmontowanym mikronadajnikiem. Zrobił to krótko przed rzeczywistą kradzieżą. Dwóch drobnych złodziejasków z Korelii połasczyło się na kamień dokładnie tak, jak przewidział to 4-LOM. Sztuczny szafir wyemitował wtedy ultradźwiękowy sygnał alarmowy, który naprowadził pokładowych detektywów na ślad złoczyńców.

Dopiero wtedy kradzież wyszła na jaw. Dom Pricina nie wiedziała o niczym aż do chwili, gdy kapitan osobiście pospieszył oddać jej „skarby”. 4-LOM stał w pobliżu, a prawdziwy klejnot spoczywał w czarnej torbie u jego pasa. Dom Pricina natychmiast poznała, że zwracają jej falsyfikat. Wróciła pędem do kabiny sprawdzić, co z oryginałem. Nie było go. Płakała potem i błagała długo wszystkich wokoło, by pomogli jej odszukać Ankarresa.

4-LOM gotów był nawet natychmiast jej go zwrócić. Ostatecznie udaremnił właśnie kradzież i wywiązał się ze swoich obowiązków.

Górze jednak wzięło inne myślenie: Dom Pricina była naprawdę bez troska, podobnie zresztą jak większość ludzi. Nie potrafili docenić należycie tych wszystkich cudeniek, które tak bardzo chcieli posiadać, nie umieli ich strzec. Nic się nie stanie, jeśli 4-LOM przytrzyma szafir na trochę. Oglądał go zawsze, gdy był sam. Intrygował go misterny szlif kamienia i delikatny blask emanujący z wnętrza.

Raz przytknął klejnot do własnego czoła, ale nic nie poczuł. Ot, piękny szafir dekorujący metalowe oblicze. Android uznał, że nawet jeśli kamień leczy ludzi, to on nie powinien niczego po nim oczekiwać.

Ale i tak nie oddał zguby. Nigdy nie został zdemaskowany. Nikt nie podejrzewał androida o kradzież. Przez następne miesiące często okradał pasażerów, którym „służył”, i powtarzał sobie, że pomaga w ten sposób chronić to, co mają najcenniejszego. Jednak z czasem zaczęło go to bawić.

Kradzież była typowo ludzkim zachowaniem i android nie od razu pojął, co w niej takiego atrakcyjnego. W końcu jednak, całkiem nagle, zrozumiał: proceder wymagał konstruowania złożonych, ale eleganckich programów, omijających etyczne i inne ograniczenia wbudowane w jego umysł. Krok po kroku przebudował swoje oprogramowanie, by móc w pełni cieszyć się przestępstwami oraz owocami poszczególnych kradzieży, a także świadomością, że oszukuje niepozbiernych białkowców. Teraz nie trwało już długo, a znudzony ograniczonymi możliwościami, które oferowała mu służba na pokładzie „Księżniczki Kuari”, porzucił statek w porcie Darlyn Boda. Szybko wrósł w tamtejsze podziemie, gdzie sprzedał większość łupów, inne zaś oddał w komis i poświęcił się wyłącznie zbrodni.

Szło mu tak dobrze, że spotkanie z Jabbą było już tylko kwestią czasu. Gdy Hutt złożył propozycję, 4-LOM nie namyślał się ani chwili. Jabba wyposażył go w arsenał śmiertelnej broni i niezbędne do jej obsługi oprogramowanie, w zamian oczekując jego usług jako łowcy nagród. Podjęcie współpracy z Zuckusem było następnym logicznym krokiem, podyktowanym ciekawością, co to takiego ta intuicja.

Starannie zapisał wszystkie dane obserwacyjne, wizualne i dźwiękowe, opisujące Zuckussa oraz zjawiska zachodzące w jego otoczeniu przed, w trakcie i po oddaniu dyktowanego intuicją strzału do rebelianckiego statku. Potem przeanalizuje je i porówna z innymi relacjami, zapisanymi przez minione lata.

Gromadził je w nadziei, że pewnego dnia zrozumie. Wierzył, że stanie się to nagle, dzięki objawieniu. Pozna, czym jest intuicja i będzie mógł zacząć ją stosować.

Zastanowił się, na czym warto by skupić uwagę w następnej kolejności.

W polu widzenia pojawił się okręt Vadera, wielki i czarny „Egzekutor”. Android zajął się procedurami dokowania. Pracując, doszedł do odpowiedzi na ostatnie pytanie. Wiedział już, czym zajmie się po opanowaniu intuicji.

Istniała tylko jedna logiczna możliwość.

Nauczy się operować Mocą. Jej ciemna strona byłaby bardzo przydatna w pracy łowcy nagród.

Opuściwszy 4-LOM-a Zuckuss został sam na sam ze swoją męką. Zatrzymał się i złapał za poręcz w korytarzu. Coraz trudniej było mu panować nad bólem chorych płuc. Oparzenia tlenowe nie chciały się goić.

Wiedział, że nie może ujawnić swojej słabości przed pozostałymi łowcami, a szczególnie przed Darthem Vaderem. Gdy jednak tak stał obezwładniony cierpieniem, pojął że od dłuższego czasu ukrywa ją nawet przed współnikiem.

Był zdumiony, że android został z nim po wypadku. Pewnego dnia 4-LOM powiedział mu, całkiem chłodno i rzeczowo, że wyeliminowanie

Zuckussa zajęłoby przeciętnemu łowcy nagród około półtorej minuty. Potem mógłby przejąć jego klientów, a może i ukraść statek, wyposażenie i resztki bogactwa. Starczyłoby, żeby ktokolwiek dowiedział się o zdrowotnych problemach Ganda.

Zuckuss nigdy o to nie spytał, ale był pewien, że android wyliczył też, na ile zmalało prawdopodobieństwo sukcesu w ich pracy. Coraz większa część obowiązków spadała z

konieczności na 4-LOM-a. Jeśli tym razem im się nie powiedzie i nie zdobędą środków na kupno nowych płuc dla Zuckussa, wówczas być może 4-LOM dojdzie wreszcie do wniosku, że dalsza współpraca nie gwarantuje odpowiednich profitów i opuści współnika. Zuckuss postanowił sobie, że wtedy poprosi 4-LOM o wyliczenie szans chorego łowcy na przetrwanie w pojedynkę. Wolałby wiedzieć, na co musi się przygotować. Zapewne zostałyby mu zaledwie kilka dni życia, ale i tak pocieszała go myśl, że to, co go okaleczyło, nie będzie miało szansy go zabić.

Dotarł z wysiłkiem do koi i do szafki z lekami. Zrobił sobie zastrzyk ze środka przeciwbólowego i usiadł na posłaniu. Czuł, jak płyn rozchodzi się po jego organizmie i znieczula klatkę piersiową. Teraz o wiele łatwiej było mu wdychać słodki amoniak pokładowej mieszanki. Jakże tęsknił za amoniakowymi mgłami rodzinnej planety! Od trzystu lat jego rodzina zajmowała się poszukiwaniami. Byli w niej również łowcy nagród, zdobywający dzięki medytacjom informacje o miejscu ukrycia konkretnych osób i tropiący później zdobycz wśród oparów Gandu.

Jednak Imperium zajęło w końcu planetę. Obcy przywieźli ze sobą precyzyjne, czułe skanery i wyglądało na to, że gandyjscy poszukiwacze tracą rację bytu. Wielowiekowa tradycja przegrywała z techniką. Imperialni znajdowali wśród mgieł kogo tylko chcieli i za nic mieli intuicję.

Jednak do najgorszego nie doszło. Zuckuss i kilku jego pobratymców wyruszyło w galaktykę, która była tak wielka i słabo poznana, że tylko intuicja mogła pokazać drogą tam, gdzie skanery nie docierały. Pozwalała odczytać zamiary obcych ras, dawała też szansę na przeniknięcie mroków przyszłości i prześledzenie rozmaitych ścieżek wiodących do celów, pokazywała, jakie nagrody albo kary czekają na ich końcu.

Niekiedy Zuckuss medytował poszukując odpowiedzi na pytanie, kto w końcu go zabije.

Wiedział, że właściwie to określa. „Kto”, a nie „co”. Wprawdzie nie potrafił zgłębić w pełni zagadki własnej śmierci, ale trochę udało mu się podejrzeć. Nie miał zginąć w wypadku, nie miał też umrzeć na trawiącą go chorobę. Ktoś zakończy jego życie.

4-LOM-a wykluczył w przedbiegach. Wspólnik nie zamierzał go zabić ani teraz, ani po rozstaniu. Dwukrotnie wyczuł, że Jabba bardzo by się wzburzył jego słabością... gdyby ją odkrył oczywiście. Zapewne zechciałby wtedy nakarmić nim swojego rancora. Takiej przyszłości Zuckuss wolałby uniknąć. Wiedział, że nie zginie w mgłach rodzinnej planety, chociaż tęsknił za nią i tam właśnie pragnąłby umrzeć. Miał jednak zakończyć życie gdzie indziej. Przez jakiś czas zastanawiał się, czy to nie Darth Vader go zabije, ale teraz był pewien, że na razie ze strony Vadera nic mu nie grozi.

Gdy pierwszy środek zaczął działać, Zuckuss wstał i wstrzyknął sobie mieszankę stymulantów mających przeciwdziałać otępieniu, które zawsze towarzyszyło przyjmowaniu anestetyków. Statek drgnął, z zewnątrz dobiegły mechaniczne odgłosy dokowania.

Czym prędzej włożył skafander chroniący go przed tlenową atmosferą i dwa razy sprawdził jego szczelność. Nie mógł sobie pozwolić na kolejne oparzenia. Na to narzucił swoje zwykłe ubranie. W butach ukrył noże, a w rękawach śmiertelnie groźne dla tlenodysznych bomby amoniakowe. Do pasa przypiął naładowany blaster i ruszył do włazu. Usłyszał, że android też zmierza już do wyjścia.

Teraz łatwiej było mu iść. Oddychał bez trudu i prezentował się tak jak kiedyś, gdy był silny i sprawny. Na chwilę prawie zapomniał o ukrywanym pieczołowicie kalectwie.

Maszerując dziarsko na spotkanie z Vaderem pomyślał jeszcze o jednym: maskował się przed innymi, ale to nie wszystko. Gdy tylko mógł, okłamywał również siebie.

Gdy Toryn Farr odzyskała przytomność, na statku było ciemno i bardzo zimno.

Ciągle jednak mogła oddychać. Mieli powietrze.

Na razie.

Oznaczało to, że przynajmniej niektórzy z nich trochę jeszcze pożyją.

Dziewczyna podniosła się z pokładu i rozejrzała wokół. Dokładnie nad nią jarzyło się blado światło awaryjne, którego blask sięgał na jakieś trzy metry dookoła. Dalej panował mrok, macony tylko poblaskiem bijącym od działających wciąż paneli. Za iluminatorem przesuwały się gwiazdy. Wrak „Jutrzenki” obracał się bezwładnie wokół własnej osi i dryfował nie wiadomo dokąd.

Nie było żadnych szans na ratunek. Sojusz nie mógł wysłać im nikogo na pomoc.

Gdy imperialni się zorientują, że ktoś tu przeżył, przylecą po nich, poddadzą przesłuchaniom, torturom, a w końcu zgładzą. Przeszukają wszystkie wraki, zbierając jeńców i dane z komputerów, a przede wszystkim nienaruszone androidy z ich bankami pamięci. Rebelianci rzadko mieli dość czasu, by pomyśleć o własnym ratunku. Zwykle nie starczało im go nawet, by w beznadziejnej sytuacji zniszczyć kompy i androidy.

Samoc jęknęła. Żyła! Kilka metrów przed nimi pokład był zasłany kocami z wełny banthów i białymi poduszkami, które wypadły z oderwanej od grodzi szafy. Toryn wzięła jeden z koców i owinęła nim drżącą siostrę. Jej oparzelizny domagały się pilnie opatrzenia.

Toryn pojęła, że dziewczyna jest w szoku.

- Trzymaj się, kochana - powiedziała.

- To się nigdy nie skończy... - szepnęła Samoc.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała Toryn i pochyliła się nad siostrą, by usłyszeć jej odpowiedź.

- Ciągłe żyjemy. Imperialni jakoś nie mogą nas zabić. Zestrzelili śnieżnego śmigacza Samoc, ale ona przeżyła. O włos nie wykończyli ich w hangarze. Teraz zmienili statek we wrak, a one znów ocalały.

- Zastanawiam się, co w końcu wymyślą.

Toryn wstała. Woliała o tym nie myśleć. To zwykła rzecz dla żołnierza, zginąć na wojnie.

Wszyscy o tym wiedzieli, gdy przyłączali się do rebelii. Zawsze jednak oczekuje się podświadomie, że śmierć zabierze kogoś innego, a nie ciebie, nie twoich przyjaciół. Nie twoją siostrę. Toryn i Samoc, chociaż brały już udział w wielu bitwach, nigdy jeszcze nie były tak blisko zagłady.

Otuliła siostrę ciałniej kocem.

- Poszukam czegoś, żeby cię opatrzyć - powiedziała. - I zobaczę, czy ktoś jeszcze ocalał. Może jednak?

Samoc spróbowała się uśmiechnąć.

Wokół rozległy się jęki innych ludzi. Statek był zatłoczony i zapewne wielu przeżyło, pomyślała Toryn. Podała koce jeszcze dwóm poszkodowanym i pospieszyła do światełek, których mruganie widziała z daleka. Jeden komplet należał do starego androida, który został zaadaptowany do funkcji rejestratora frachtu. Musiał być podłączony do centralnego komputera, mógł więc pewnie udzielić konkretnych informacji. O ile centralny komp jeszcze istnieje, pomyślała Toryn.

- Androidzie - powiedziała. - Wejź do centralnej jednostki i sprawdź, czy grozi nam jeszcze jakiś atak.

- Dostęp nieuprawniony. Konieczna autoryzacja. Przygotuj się do skanu siatkówki.

Toryn spojrzała w obiektyw androida. Miała nadzieję, że pamięć centralnego komputera nie została zniszczona na tyle, by jej nie rozpoznał.

- Wynik skanu pozytywny. Toryn Farr, stanowisko kontroli łączności - odezwał się android. - Jednak nie mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Nie mam dostępu do informacji o otaczających nas jednostkach.

Skanery zaburtowe musiały zostać zniszczone lub odcięte.

- Jaka jest skala uszkodzeń?

- Nietknięte pozostały pokłady jeden i dwa. Pokład pasażerski zniszczony w osiemdziesięciu dwóch i sześciu dziesiątych procenta.

- Ilu rozbitków?

- Nie mam dostępu do danych o rozbitkach.

- Na ile starczy powietrza?

- Nie mam dostępu do danych o zapasach mieszanki tlenowej.

- Czy jesteśmy na kursie kolizyjnym z czymkolwiek? Z innymi statkami, z Hoth albo gwiazdą systemu?

- Nie mam dostępu do danych o kursie jednostki. Wychodziło na to, że najważniejsze informacje, tak samo jak sprzęt naprawczy i zapasy powietrza, były poza ich zasięgiem. Toryn przyszło do głowy jeszcze jedno pytanie, na które android albo komp powinni znać odpowiedź.

- Czy są jakieś sprawne i dostępne z ocalałych pokładów kapsuły ratunkowe?

- Z nie zniszczonej części pokładu pasażerskiego jest dostęp do trzech kapsuł ratunkowych, jednak nie można ich wystrzelić.

Wreszcie coś.

- Dlaczego nie można ich wystrzelić?

- Nie ma dostępu do danych o przyczynach, dla których nie można wystrzelić kapsuł ratunkowych. Musiała ustalić, w czym rzecz.

- Spróbuj w jakiś sposób uzyskać dane umożliwiające udzielenie odpowiedzi na wszystkie moje pytania - poleciła. - Sprawdzę, co z kapsułami i zaraz potem znów się z tobą skontaktuję.

Należało przejąć dowodzenie i sprawdzić, czym dysponowali. Była to zwykła rebeliancka procedura: w sytuacji awaryjnej każdy, kto uznał, że jest najstarszy stopniem, powinien objąć dowodzenie i sprawować je do chwili, gdy spotka starszego rangą.

Toryn mianowała się więc dowódcą.

Tylko na razie, pomyślała. Na chwilę. Na pewno gdzieś ocalał ktoś znaczniejszy, kto pomoże ocalić rozbitków.

Zapuściła się w ciemny korytarz. Metalowe ściany były lodowate w dotyku. Statek stygł szybko. Śmierć przez zamarznięcie jest podobno jedną z najłatwiejszych, pomyślała Toryn.

I to właśnie mogło czekać wszystkich, niezależnie od tego, czy zostaną na pokładzie, czy odlecą w kapsułach. Bo gdzież niby mogłyby małe kapsuły polecieć, jak nie z powrotem na Hoth? Jeśli nawet imperialni nie zestrzelą ich tam od ręki, to nie dadzą rady przeżyć na lodowej pustyni.

Najpierw odszukaj te kapsuły, powiedziała sobie. Sprawdź, czy są sprawne, potem będziesz się martwić, jak przetrwać na Hoth.

Mroczny korytarz był pełen rannych i umarłych. Toryn co rusz potykała się o ciała.

- Szukam sposobu na ratunek - powtarzała, mijając jęczące sylwetki.

Daleko przed sobą ujrzała cztery żółtawe światełka. Kolejna konsola, pomyślała, ale światełka przybliżyły się... Po chwili usłyszała stapanie metalowych nóg.

Androidy. Widziała oczy androidów.

Przybysze włączyli światła i skierowali je na dziewczynę. Jeden miał własną lampę zamocowaną na czole, drugi trzymał latarkę, a obaj nieśli sprzęt medyczny.

- Jestem androidem chirurgicznym 2-1B - powiedział wyższy, ten z lampą na czole. - A to mój asystent, F4-7. Zajmujemy się rannymi.

- Tyłu ich jest... - jęknęła Toryn. - Wiecie może, ilu?

- Jak dotąd naliczyliśmy czterdziestu siedmiu niemechanicznych ocalałych - odparł 2-1B. - Z tego, co wiemy, jesteśmy jedynymi nieuszkodzonymi androidami na pokładzie.

Wyjaśniła im, co zamierza zrobić, wzięła latarkę od F4-7 i ruszyła dalej. Po chwili jednak zatrzymała się i odwróciła.

- 2-1B! - zawołała. - Jedna z naszych pilotek, Samoc Farr, która leży na fotelu na końcu tego korytarza, pilnie potrzebuje opieki. Została poparzona, jest w szoku. Zobacz, co możesz dla niej zrobić.

- F4-7 dysponuje specjalistycznymi programami leczenia oparzelin - odpowiedział android. - Natychmiast go tam wyślę.

F4-7 oddalił się pośpiesznie. Toryn patrzyła za nim jeszcze chwilę. Wiedziała, że opóźni w ten sposób udzielenie pomocy innym rebeliantom, ale nie zmieniła polecenia. Jeśli ktoś z nas ma przetrwać, niech Samoc będzie wśród wybranych, pomyślała. Obiecała matce, że będzie się opiekować najmłodszą siostrą, zawsze najpiękniejszą, ukochaną i najbardziej obiecującą. Miała nadzieję, że nie skrzywdzi w ten sposób zanadto nikogo innego.

Znów zagłębiła się w ciemność. Androidy naliczyły czterdziestu siedmiu ocalałych, ona minęła do tej pory co najmniej trzydziestu. Kapsuły ratunkowe, o ile były sprawne, mogły pomieścić po sześć osób każda.

Na wraku było znacznie więcej osób niż osiemnaście. Toryn zamarła na chwilę, porażona myślą, że może to ona będzie musiała wybierać szczęśliwców. Ale zaraz ruszyła dalej, Najpierw odszukaj te kapsuły i pomyśl, jak je wystrzelić, zdecydowała. Potem będziesz się zastanawiać, jak wszyscy moglibyśmy z nich skorzystać.

Poza 4-LOM-em i Zuckussem Vader przyjął zgłoszenia jeszcze czterech łowców i nikt z nich nie był z tego powodu szczęśliwy. Żaden łowca nie lubił stawać do otwartej konkurencji. 4-LOM nie próbował ustalać powodów, dla których Vader potrzebował do jednego zadania aż sześciu łowców. W grupie tej był Dengar, wściekły Korelianin o spaczony osobowości, bez znaczących osiągnięć w fachu; był IG-88, android zabójca, co było o tyle dziwne, że wedle wcześniejszych informacji Vader chciał poszukiwanych dostać żywych. Pojawił się też Bossk, sławny Wookie oraz najbardziej znany ze wszystkich Boba Fett. Osobliwa zbieranina.

Obiekt do odłowienia nie należał jednak do tuzinkowych. Był przebiegły jak mało kto i chociaż imperialna lista poszukiwanych obejmowała tysiące nazwisk, nie było wśród nich nikogo, kto mógłby się równać z Hanem Solo.

Łowcy stanęli razem w poczekalni. Nie rozmawiali, tylko patrzyli na siebie wilkiem. Ich kodeks zabraniał zabicia innego łowcy, ale 4-LOM wyliczył, iż istnieje 63, 276 procent szans, że przynajmniej trzech z obecnych rozważało, czy nie zwiększyć swoich szans przez usunięcie konkurencji.

Teraz właśnie Zuckuss musiał pilnować się najbardziej, by nie okazać słabości. 4-LOM przyjrzał się współnikowi. Gand stał wyprostowany, oddychał bez trudu. Nikt nie ma prawa domyślić się jego kalectwa, pomyślał android.

Vader nie kazał im długo czekać. Na jego wezwanie ruszyli żwawo korytarzami. Eskorta chwilami nie nadążała, ale załoga i tak rozstępowała się przed procesją i odprowadzała ją spojrzeniem. 4-LOM rejestrował i analizował głosy i rysy mijanych ludzi; porównywał je z imperialną listą poszukiwanych i listą poszukiwanych przez gildię. Zawsze tak robił, gdy znalazł się w nowym towarzystwie. Wprawdzie prawdopodobieństwo, że spotka w ten sposób kogoś wartego upolowania, było nieduże, a zresztą nie zawsze miał szansę, że zdąży się zająć napotkaną osobą, ale w przeszłości udało mu się rozpoznać na ulicy aż siedem obiektów. Zarobił dzięki temu dodatkowe kredyty, chociaż zasadniczo zajmował się akurat kimś innym. Gdyby udało mu się zidentyfikować jakiegoś szpiega rebeliantów na flagowym okręcie Vadera... To byłoby coś.

Nie napotkał jednak nikogo. Wszyscy mijani ludzie byli zapewne szczerymi poddanymi Imperium. Słyszał ich wypowiedziane szeptem komentarze: „Oni są uzbrojeni!”, „Kto ich wezwał?”, „Republika próbowała poddać ich kontroli, ale Imperium powinno ich po prostu zlikwidować”.

4-LOM czuł się rozbawiony zamieszczeniem, jakiego narobiło wśród zawodowych żołnierzy, zapewne najlepszych i najdzielniejszych wojaków Imperium, pojawienie się sześciu łowców nagród. Obliczył, że lęk przed tą ekipą obniżył przejściowo sprawność służbową aż 98, 762 procent obecnych w korytarzu.

Strach był przydatny, gdy zaczynał ogarniać ofiarę. Upośledzał jej funkcje logicznego myślenia i skłaniał do ucieczki na ślepo, co zawsze było fatalnym wyborem. Taki ktoś stawał się łatwo przewidywalny. Instynktowne elementy oprogramowania istot niemechanicznych, nakazujące uciekać lub podejmować walkę w beznadziejnej sytuacji, były ich przekleństwem, ale w pewnych sytuacjach czyniły z nich trudną zwierzynę.

Jednak źle było, gdy sojusznicy się bali. Zdradzało to ich słabość, którą każdy, kto sam nie ulegał strachowi, mógł wykorzystać.

4-LOM kwestionował sens zawierania sojuszy z tchórzami. Nie podobali mu się ci Imperialni. Nie nadawali się na dobrych sojuszników.

Cóż, kiedy mieli kredyty.

Przez całą drogę Zuckuss potknął się tylko raz. Android pomógł mu utrzymać równowagę.

- Imperialni partacze, nawet gładkiego pokładu nie potraficie zrobić! - krzyknął na schodzących im z drogi żołnierzy.

Nikt z pozostałych łowców nie złamał kroku, żaden chyba też nie zwrócił uwagi na spotkanie Zuckussa. Nasza tajemnica się nie wydała, pomyślał android. Zresztą byli już prawie u celu. Darth Vader czekał na nich mostku. Od razu pospieszył w ich kierunku.

Stojący w pobliżu imperialni oficerowie zaczęli szeptać na widok gości. 4-LOM słyszał, jak jeden z nich powiedział: „Łowcy nagród? Nie potrzebujemy tych szumowin”.

Spróbował ustalić przyczyny tej pogardy i wyszło mu, że w 62, 337 procenta człowiekiem tym powodował strach. Strach i pogarda zwykle szły w parze. Zatem oficerowie też się bali, chociaż przebywali na mostku jednostki flagowej Dartha Vadera. To już całkiem sienie spodobało 4-LOM-owi. Zaczął się zastanawiać, jak mógłby wykorzystać słabość imperialnych.

Vader zaczął mówić, zanim jeszcze podszedł blisko łowców. On jeden się nie bał.

- Ten, kto odnajdzie „Sokoła Millenium”, dostanie dużą nagrodę. Macie pełną swobodę w dobre metod, pamiętajcie tylko, że chcę ich żywych. Żadnego zabijania.

Zaraz potem Vader wrócił do własnych spraw, a łowcy skierowali się z powrotem do swoich statków.

Chodziło o Hana Solo. Wszyscy mieli ścigać Hana Solo!

Teraz 4-LOM potrafił już powiedzieć coś więcej o przyczynach, dla których Darth Vader zebrał aż tak liczną grupę łowców nagród. Zaprogramował część swoich mikroprocesorów, by obliczyły szansę każdego z wezwanych na pojmanie Hana Solo i jego towarzyszy, kimkolwiek byli.

Zuckuss zatrzymał się w progu i obejrzał. Android nie wiedział, dlaczego. Takie wahanie w obliczu imperialnych nie miało sensu. 4-LOM też się odwrócił, by sprawdzić, co spowodowało dziwne zachowanie współnika i zobaczył, że Darth Vader się w nich wpatruje.

Zuckuss się skłonił, Vader się odwrócił. Obaj łowcy wyszli na korytarz.

Android nie musiał pytać Zuckussa, skąd wiedział, że Vader odprowadza ich spojrzeniem. To była sprawa intuicji. Domyślał się też, dlaczego lord Sithów się nimi zainteresował: wiedział o ich zaangażowaniu w sprawę Nardiksa i chciał ostrzec przed konsekwencjami ponownego spotkania w

innych okolicznościach.

Tego akurat 4-LOM nie musiał sobie odtwarzać. Całkiem nagle zrozumiał wszystko, jakby od zawsze przechowywał to w umyśle.

W tej właśnie chwili intuicja zaczęła odgrywać istotną rolę w procesie myślowym androida. Nie rozumiał wprawdzie nadal, na czym to polega, ale działało. Dostrzegał potencjalne skutki różnych zdarzeń, które zachodziły wokół. Po prostu widział... To były załączki intuicji.

Skoro pojawiło się już tyle, reszta też przyjdzie.

4-LOM poczuł, że sukces jest blisko. Tak samo czuł się wcześniej, gdy miał schwytać poszukiwanego. To samo czuł, wyciągając rękę po klejnot, który długo planował wykraść.

Imperialni obskoczyli ich pytając, czy czegoś nie potrzebują. Paliwa? Broni? Dostaną wszystko, czego sobie zażyczą, byle tylko nie zawieść Dartha Vadera. Może brak im kredytów?

Tak, kredytów potrzebowali najpilniej.

4-LOM nie zawahał się o nie poprosić. Najlepiej razem z przenośnym sejfem, który będą mogli zamontować na statku. Elektroniczna gotówka potrafiła się niekiedy ulotnić. Wciąż wystraszeni imperialni rzucili się spełnić życzenie.

W tym samym czasie wyznaczone podzespoły zakończyły obliczenia prawdopodobieństwa odniesienia sukcesu przez poszczególnych łowców.

Na pierwszym miejscu był on sam. Razem z Zuckusem, oczywiście.

Obliczenia jednoznacznie wskazywały właśnie na nich. Pozostali łowcy dysponowali różnymi umiejętnościami i talentami, ale żaden nie przypominał Zuckussa.

Brakło im jego intuicji.

To właśnie dawało 4-LOM-owi i Gandowi niezrównane fory. Han Solo też łączył w sobie w niezwykle sposób zdolność do logicznego myślenia i intuicję, co oznaczało, że właśnie ta jedna jedyna para łowców nadaje się najlepiej, by go odszukać.

Gdy szli w stronę statku, android uznał, że powinien właściwie wziąć po uwagę jeszcze jeden, dodatkowy czynnik.

Swoją własną intuicję.

Rumowisko pokładu pasażerskiego zalegały ciemności. Tutaj nie paliły się nawet lampy awaryjne. Blask latarki Toryn padł na iluminator w hermetycznych drzwiach. Zatrzasnęły się, by zapobiec ucieczce powietrza z ocalałych przedziałów. Sekcje kadłuba za grodzią eksplodowały. Dziewczyna zobaczyła w iluminatorze przesuwające się w miarę obrotów wraku gwiazdy i odległą planetę Hoth. Lśniła tak oślepiającą bielą, że prawie nie dało się na nią patrzeć.

Zobaczyła też unoszące się w przestrzeni ciała.

Chociaż drzwi w grodzi wytrzymały, nie ocalało to zbyt wielu ewakuowanych. Dehermetyzacja przebiegła bardzo szybko, wręcz eksplozywnie, i większość ludzi z pokładu została wyrzucona w próżnię.

Toryn odwróciła wzrok i skierowała się w głąb przejścia, które miała za plecami, ale po chwili zatrzymała się i zawróciła. Poczekała, aż Hoth znowu pojawi się w polu widzenia, sprawdziła czas i czekała dalej. Gdy znów zobaczyła planetę, ponownie zerknęła na zegarek. Cztery standardowe minuty i czterdzieści trzy standardowe sekundy. Wiedziała już, jak szybko obraca się wrak. To się mogło jeszcze przydać. Za kilka godzin każdy strzępek informacji o ich położeniu może być bardzo potrzebny.

Pospieszyła na dół. Przed sobą widziała światła paru latarek i długie cienie na ścianach i suficie. Gdy podeszła bliżej, zauważyła siedem osób pracujących przy kapsułach ratunkowych. Zdjęli płyty podłogowe przed wyrzutniami kapsuł i coś tam robili.

- Podłączenia zasilania obluźowały się podczas ataku - wyjaśnił jeden z nich.

- Jeśli zdołam podłączyć je do obwodów awaryjnych, będziemy mogli wystrzelić kapsuły - dodał ktoś inny.

Toryn skierowała światło latarki na kapsuły. Stały równo w rzędzie. Wszystkie z ciemnymi iluminatorami.

- Możesz tu poświecić? - spytał ktoś.

Toryn wzięła się do pomocy. Zrobiło się już na tyle zimno, że oddech unosił się kłębamii pary. Dłonie przymarzały do narzędzi.

- To chyba będzie to... - mruknął jeden z mężczyzn.

Na całym ocalałym pokładzie zapaliły się światła awaryjne, a małe, okrągłe włazy do kapsuł rozjarzyły się zielenią. Z iluminatorów trysnęły smugi blasku, tak jasne, że trudno było na nie patrzeć.

I nagle wszystko zgasło.

- A żeby to...! - sapnął ktoś w ciemności. Rozczarowana Toryn usiadła na stosie zdjętych płyt podłogowych.

- Możliwe, że akumulatory na tym poziomie zostały uszkodzone - odpowiedział ktoś.

- Możemy przeciągnąć zasilanie z niższych poziomów. Powiedziałaś, że pokłady na dole są nietknięte?

Któryś z nich uderzył w coś pięścią i światła znów zapłonęły. Wszyscy spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem. Toryn podeszła do jednej z kapsuł. Odczyty wskazywały, że jest w pełni sprawna. W każdej chwili mogli ją wystrzelić.

- Kapsuła numer jeden w gotowości - powiedziała głośno.

- To samo tutaj - powiedział ktoś od kapsuły numer dwa.

- Trzecia też w porządku.

Znowu wymienili spojrzenia. Nikt nie wiedział, jak przejść do najważniejszego: jak wyłonić tych, którzy otrzymają szansę. Toryn była najwyższa stopniem i wiedziała, że ten obowiązek spoczywa na niej. Że wszyscy tego od niej oczekują.

- Na pokładzie numer jeden naliczyłam sześćdziesięciu siedmiu ocalałych - powiedziała. - Nie wiem, ilu przeżyło na drugim, ale słyszałam dobiegające stamtąd głosy, więc tam też ktoś jest.

Do tego dochodziła jeszcze ich ósemka, co dawało ponad siedemdziesiąt pięć osób. A kapsuły mogły zabrać tylko osiemnaście.

I na dodatek wcale nie gwarantowały ocalenia.

Jeśli wrócą na Hoth, przyjdzie im przetrwać bez wyposażenia i zapasów w skrajnie trudnym środowisku, walczyć z polującymi na nich wampami, wymykać się imperialnym patrolom.

O ile w ogóle dotrą na Hoth.

Imperialni mogli przecież zestrzelić kapsuły już na orbicie.

- Czy bitwa jeszcze trwa, czy już się skończyła? - spytała Toryn. Nikt nie wiedział.

- Rozdzielmy się - zaproponowała. - Poszukajmy iluminatorów z obu burt i rozejrzyjmy się. Spotkamy się tutaj za dziesięć standardowych minut.

Przez dziesięć minut wrak obrócił się dwa razy. Mieli dość czasu, by zlustrować okoliczną przestrzeń.

Wszyscy ruszyli na poszukiwanie kabin z iluminatorami. Toryn cofnęła się do drzwi w grodzi. Złapała za komlink i wywołała androida z niższego poziomu.

- Mówi Toryn Farr. Uzyskałeś już odpowiedzi na moje pytania?

- Dane o możliwości dalszych ataków, całkowitej liczbie rozbitków, zapasach powietrza i kursie statku pozostają nieosiągalne.

- Masz połączenie z jakimkolwiek sprawnym zewnętrznym czujnikiem?

- Nie.

- A masz jakikolwiek dostęp do danych o zapasach powietrza?

- Nie.

Sądząc po ciszy, system wentylacyjny nie działał. Nie działały zatem też pompy uzupełniające zasoby tlenu.

- Jeśli przyjmiemy, że rozbitków jest stu, to na jak długo starczyłoby im powietrza w niezniszczonym statku?

- Na cztery przecinek trzydzieści osiem setnych standardowych godzin.

- Ile czasu minęło od chwili ataku?

- Jeden przecinek dwadzieścia dziewięć setnych godziny. To dawało jeszcze około trzech godzin.

- Na pokładzie pierwszym naliczyłam sześćdziesięciu siedmiu żywych. Tutaj jest nas ośmioro.

Pewna liczba ludzi jest też na pokładzie drugim. Weź te dane pod uwagę przy przyszłych obliczeniach.

W widocznym przez iluminator wycinku przestrzeni % dostrzegła żadnych oznak walki. Brakło ogników wystrzałów czy eksplozji, żadne cienie nie przemykały na tle gwiazd ani tarczy planety.

Całkiem jakby bitwa tylko się im przyśniła. W całym systemie zdawał się panować spokój.

Chociaż... Toryn zacisnęła dłonie na uchwytych drzwi i wbiła oczy w próżnię.

W polu widzenia pojawiły się jakieś światła. Poruszały się w trzech skupiskach...

To były wraki. Wraki rebelianckich jednostek z jarzącymi się tu i ówdzie iluminatorami.

Dryfowały razem nieregularną smugą przez próżnię.

Na ich pokładach też na pewno byli jacyś rozbitkowie. Toryn ubolewała, że nie zdoła im pomóc. Może chociaż oni sami starają się coś zrobić...

Gdy wraki zniknęły, w mroku pojawiło się jaśniejsze światło które wyraźnie rosło.

To był statek z własnym napędem.

Imperialny gwiazdny niszczyciel.

Przeciwnik wziął się do przeszukiwania pobojuwiska. Po paru chwilach przyciągnął do siebie pierwszy wrak, by zabrać z niego rozbitków, androidy, przydatne informacje.

Niebawem zajmie się i nimi.

Toryn wróciła pospiesznie do hangaru z kapsułami gdzie spotkała pozostałych. Niektórzy także widzieli wraki, chociaż różnie szacowali ich liczbę - od trzech, jak Toryn, po czternaście, a może nawet i więcej. Gwiazdny niszczyciel też nie umknął ich uwagi.

- Jeśli się pospieszymy, zdążymy odpalić kapsuły, zanim się do nas zbliżą - powiedziała Toryn. - Jak długo będą zajęci innymi wrakami, tak długo zostanie pięćdziesiąt procent szans, że kapsułom uda się dotrzeć na Hoth.

- Powinniśmy wysłać tych w najlepszym stanie - zaproponował ktoś. - Chorzy ani ranni nie przetrwają tam, na dole.

- To prawda, w każdej grupie musi być ktoś w pełni sprawny - powiedziała Toryn. - Sądzę jednak, że powinniśmy wysłać przede wszystkim tych, którzy są szczególnie ważni dla Rebelii i mogą przetrwać drogę na dół. Nawet jeśli są ranni. Musimy jak najszybciej ustalić, kto jest na pokładzie. - Włączyła komlink, by porozmawiać z androidem. - Na pokładzie pierwszym spotkałam dwa androidy medyczne. Skontaktuj się z nimi. Niech przekażą ci wszystkie informacje o rozbitkach, które dotąd zebrały. Chcę mieć pełną listę. Podasz mi ją za pięć minut.

- Tak jest - odparł android.

- Niech każdy się przedstawi. Dodasz te imiona do listy. Rory - zwróciła się do mężczyzny,

którego znała już wcześniej - ty zaczynasz.

Rory, Seito, Bindu, Darklighter, Crimmins, Sala Natu, Meghan Ri-vers.

- Rory - odezwała się znów Toryn, gdy wszyscy się już zgłosili. - Stań przy iluminatorze w drzwiach i obserwuj, co robi niszczyciel. Ustal, ile czasu zabiera mu spenetrowanie jednego wraku i przejście do następnego. My idziemy na pokład ładunkowy numer dwa sprawdzić, kogo tam mamy. Miejcie oczy otwarte: gdyby ktokolwiek dostrzegł zimowy ekwipunek z Hoth, niech go tutaj przyniesie.

Niemal biegiem poprowadziła grupę do drabinki wiodącej na niższy pokład. Gdy mijali iluminator, znów dostrzegła przesuwający się powoli dysk planety.

Hoth nigdy nie wydawała się jej tak piękna, jak teraz.

Jaśniała nadzieją.

Zuckuss doszedł do objawienia po dwóch godzinach i jedenastu standardowych minutach medytacji.

Znał już ogólne koordynaty miejsca, do którego zmierzał Han Solo. Chodziło o punkt zborny rebelianckiej floty. Wiedział też, dlaczego właśnie tam. Nie planował wziąć udziału w przegrupowaniu sił, ale wiozł na pokładzie pasażerów: kobietę i androida, którzy mieli odegrać wielką rolę w powodzeniu Rebelii. Solo chciał ich odstawić w bezpieczne miejsce.

Zuckuss ustalił też, dokąd uciekły wypędzone z Hoth statki - i zdumiał się niepomniernie. Pozostał nawet jeszcze chwilę w transie, aby dowiedzieć się czegoś więcej i sprawdzić swoje przypuszczenia.

Rebelianci opuścili galaktykę.

Wyruszyli ku miejscu położonemu „ponad” płaszczyzną ekliptyki, daleko od jakichkolwiek gwiazd i wszystkich szlaków, na których imperialni mogliby ich szukać. Nie mieli już gdzie schować swoich sił zbrojnych. Łowca domyślał się, jak wielka musi być desperacja buntowników. Wyjście ze studni grawitacyjnej galaktyki to nie byle co. Wiele statków może nie przetrzymać podobnej podróży i trzeba się liczyć ze stratami. Imperium musiało być bliskie sukcesu w zwalczaniu Rebelii, skoro doszło aż do takiej sytuacji. Z drugiej strony, wiele mówiło to także o odwadze i uporze tych istot, które nie chciały zaniechać walki.

Nie da się ukryć, to godni przeciwnicy.

Gdy już razem z 4-LOM-em porwą Hana Solo i jego towarzyszy, potraktuje ich z pełnym szacunkiem. Owszem, wyda ich potem imperialnym, ale na pokładzie jego statku będą honorowymi gośćmi. W pełni sobie na to zasłużyli. Potrafili przegrać z honorem.

Zuckuss zaczął z wolna wracać do przytomności. Znowu zobaczył swój fotel pilota, tablicę przyrządów przed sobą, usłyszał syk amoniaku w masce. Przeciągnął się i zaczął kasłać. Długo nie mógł opanować ataku. Zrobił sobie zastrzyk, by uspokoić płuca, i otarł usta.

Mógł tylko przeciwdziałać skutkom choroby. Nie miał szans na uzdrowienie we własnym zakresie.

Rozejrzał się w poszukiwaniu 4-LOM-a. Android gdzieś poszedł. Zuckuss zastanowił się, dokąd.

- Komp - odezwał się. - Gdzie jest 4-LOM?

- W celi numer jeden.

Dziwne, pomyślał Zuckuss. Co android mógł tam robić? Zuckuss przejrzał skan układu planetarnego i wykrył niewielką aktywność. Większość imperialnych jednostek odleciała. Nad Hoth orbitowały trzy statki, zapewne czekały na oddziały, które były jeszcze na powierzchni. Jeden gwiazdny niszczyciel przyciągał właśnie zniszczony rebeliancki statek. Było oczywiste, że przebada po kolei wszystkie szesnaście wraków. Nie odnalazł żadnego śladu jednostek innych łowców. On i

4-LOM byli ostatnimi, którzy zostali jeszcze w układzie.

- Uwaga - odezwał się znowu do sterowanego głosem kompa, który czasem zawodził, chociaż pochodził z fabryki na Mechis III. - Oblicz kurs na współrzędne dwa kropka cztery dwa siedem przerwa trzy kropka osiem osiem sześć przerwa sześć siedem trzy kropka pięć dwa ponad płaszczyzną galaktyki. Czy nasz statek jest zdolny do takiej podróży?

Komputer nie odpowiedział od razu, ale też zadanie było dziwne, wręcz niespotykane. W końcu jednak się odezwał.

- Ten statek, przy obecnej masie, może osiągnąć punkt o podanych koordynatach w ciągu dwóch standardowych dni.

Wspaniale, pomyślał Zuckuss.

- Zapisz koordynaty i obliczony kurs - polecił kompowi i wstał, żeby sprawdzić, co robi 4-LOM. Znalazł go siedzącego na koi aresztanta. Skrzyżował nogi, ręce ułożył na podołku, palce wskazujące schował pod kciuki i wpatrywał się nieruchomo w przeciwległą ścianę.

Wyglądał, jakby oddawał się medytacji.

- Co robisz? - spytał go Zuckuss.

- Próbuję medytować - odparł od niechcienia 4-LOM, jakby wszystkie androidy zajmowały się tym w wolnych chwilach. Nie spojrział nawet na Zuckussa.

Łowca stał nieco ogłupiały. Nagle zrozumiał wiele rzeczy; także to, dlaczego 4-LOM nie opuścił go wcześniej, dlaczego nieustannie wypytywał o przebieg transu i nie odstępował go ani na krok podczas medytacji.

4-LOM po prostu próbował zgłębić mechanizm intuicyjnego poznania.

Zuckuss znów się rozkaszał. Podeszedł do koi i usiadł obok androida.

- I co, wiesz już, czym jest intuicja? - spytał, gdy skończył się atak kaszlu.

- Nie - odparł 4-LOM, opuścił nogi i wstał. Zuckuss spojrział na niego. - Chociaż... chyba zaczynam coś pojmować. Tyle, że nie umiem jeszcze dochodzić do konkretnych wniosków. Muszę cię jeszcze poobserwować.

Zuckuss też wstał.

- Ty blaszany obłudniku! - zawołał. - Pracujesz z Zuckusem, ale tak naprawdę próbujesz wykraść mu jego talent!

- Nie wykraść - stwierdził android. - Nie mogę pozbawić cię intuicji. Mam tylko nadzieję, że sam też nauczę się nią posługiwać.

Zuckuss nie wątpił, że prędzej czy później 4-LOM dopnie swego. Nigdy nie spotkał jeszcze androida, który z takim uporem dążyłby do doskonalenia własnej osoby.

- Zuckuss zna już odpowiedzi, których poszukujesz. Han Solo kieruje się do punktu zbornego. Na dodatek to całkiem ciekawy punkt zborny. Ale ty i Zuckuss macie jeszcze coś do zrobienia, zanim się tam wybierzemy. Do roboty!

Pospieszyli zająć fotele pilotów. Zuckuss szybko przekazał androidowi, do czego doszedł. Bez zbędnego gadania doszli do wniosku, że muszą zinfiltrować szeregi Rebelii. Zgodzili się też, że nie mogą się pokazać w punkcie zbornym ot, tak sobie; powinni udąć, że chcą się przyłączyć. Ich dawny udział w sprawie Nardiksa mógł dodać im trochę wiarygodności.

- Prawdopodobieństwo, że rebelianci nas zaakceptują, wynosi tylko trzynaście przecinek trzy cztery cztery pięć procenta - zauważył 4-LOM.

Zuckuss zastanowił się. Spojrział na ekran, gdzie przepływały wraki rebelianckich jednostek, i nagle zaświtał mu pomysł, którego realizacja mogła znacznie zwiększyć ich szansę.

- A gdybyśmy uratowali jakichś rozbitków z bitwy i dostarczyli ich rebeliantom? Co ci

wychodzi?

- Osiemdziesiąt siedem przecinek sześć sześć dziewięć procent - odpowiedział android. - Biorę kurs na najbliższy frachtowiec.

Sądząc po światłach iluminatorów, część pokładów musiała trzymać powietrze. Ktoś mógł ocaleć.

To był ten sam frachtowiec, który wcześniej ostrzelali, „Jutrzenka Nadziei”.

Zuckuss połączył się z niszczycielem i poprosił o zaaranżowanie ataku myśliwca TIE w chwili, gdy będą wychodzić z systemu. To powinno dodać realizmu „akcji ratunkowej”.

Imperialni szybko przystali na wszystko, chociaż bez wątpienia mieliby wielką ochotę przesłuchać ocalałych rebeliantów. Cóż, łowca nagród potrzebował przynęty i nie musiał przy tym brać interesów Imperium pod uwagę.

Ostatecznie o zgodzie zdecydowały zapewne wyraźne rozkazy Dartha Vadera. Nie trzeba było szczególnej intuicji, by się tego domyślić.

Zuckuss zakończył obliczenia momentu obrotowego wraku i wprowadził dane do kompa. Musieli dostosować swój ruch do ruchów kadłuba, by móc zadokować.

- Nie mogę nawiązać łączności z frachtowcem - powiedział. - Będziemy musieli siłą utorować sobie drogę do wnętrza.

- Przyjmą Zuckussa i 4-LOM-a jak przyjaciół. W końcu przybywamy ich uratować.

Łowca był zadowolony, że nie musi walczyć. Rebeliancki frachtowiec będzie pełen tlenu. Nie chciał ryzykować ponownego kontaktu z tym gazem.

- Komp - powiedział. - Podaj wielkość naszych zapasów tlenu. Na ekranie przed Zuckussem zamigotały szeregi liczb.

- Ilu dorosłych tlenodysznych zdoła przetrwać na tych zapasach przez dwa dni?

- Czternastu - odpowiedział komp.

„Łowca z Mgieł” dysponował trzema celami, z których każda była przewidziana na jedną osobę. Wkrótce miał w nich zapanować potworny ścisk.

- Zuckuss optuje za wzięciem na pokład czternastu rozbitków. Oczywiście tych, za których będzie można dostać najwięcej. Trzeba też zabrać wszystkie androidy. Tlenodyszni stłoczą się w celach, a androidy staną tutaj.

W ten sposób mieli szansę zyskać coś nawet wtedy, gdyby zasadnicze polowanie się nie powiodło. Nagroda za uratowanych rebeliantów mogła urosnąć do sporej sumy.

- Możemy ich tam wcisnąć więcej niż czternastu - powiedział 4-LOM. - Jeśli ściągniemy z wraku całe pozostałe tam powietrze, będziemy mogli wziąć jeszcze dziesięciu albo i dwunastu.

Wspaniały plan, pomyślał Zuckuss. Zależnie od zapasów tlenu, będą mogli przewieźć nawet dwudziestu sześciu ludzi upakowanych jeden obok drugiego w celach.

Jednak łowca przeraził się perspektywy, że na jego statku pojawią się tak wielkie przestrzenie wypełnione mieszkanką tlenową. Będzie musiał osobiście wszystkiego dopilnować. Wciąż miał na sobie skafander amoniakowy. Włożył hełm i rękawice i dwa razy sprawdził wszystkie zamki. Był gotów do operacji.

4-LOM zakończył obliczenia i skierował statek ku frachtowcowi. Cały czas analizował w myślach swoją pierwszą udaną próbę wykorzystania intuicji.

Podczas tych rozważań dotarło do niego, że nie był całkiem szczery z Zuckussem.

Powiedział mu, że wciąż nie wie, czym jest intuicja, a przecież podczas medytacji przemknęło mu przez myśl, że rebelianci opuścili galaktykę. Filtry logiczne zaraz odrzuciły sugestię jako niedorzeczną, ale przecież się pojawiła.

W normalnych okolicznościach filtry nie pozwoliłyby w ogóle, aby podobna sugestia dotarła do jego świadomości.

To było coś nowego.

4-LOM nie wiedział jeszcze, że rozwój intuicji wymaga ograniczenia roli tak zwanego „logicznego myślenia”.

Tak czy owak, nie wspomniał o niczym Zuckussowi.

Toryn stała przy konsoli kompa w hangarze z kapsułami. Miała już pełną listą rozbitków i właśnie zaczęła przeglądać ją po raz drugi, odczytując nazwiska i sprawdzając kwalifikacje. Ośmiu pilotów, trzydziestu dwóch żołnierzy (wszyscy nowi w szeregach Rebelii), personel pomocniczy centrum dowodzenia, obsada hangaru i jeszcze parę osób o nietypowych specjalizacjach: klimatolodzy, myśliwi, jeden kucharz. Wyznaczone zespoły wyposażyły już kapsuły w żywność i znalezione na pokładach ciepłą odzież.

Na pokładzie frachtowym numer dwa przetrwały trzydzięści trzy osoby. Przeprowadziła je na pokład pasażerski zostawiając tylko paru, którzy byli w zbyt ciężkim stanie, aby ich ruszać. Posłała do nich androidy medyczne, by wspomogły czuwających przy ofiarach przyjaciół. Dwudziestu innych z pierwszej ładowni wspięło się do hangaru z kapsułami; zrobiło się tu dość tłoczno.

- Imperialny niszczyciel przesuwa się do drugiego wraku - zameldował Seito.

Imperialni od jakiegoś czasu wyraźnie się spieszyli. Coś ich zaniepokoiło. Należało czym prędzej skompletować obsadę kapsuł i wystrzelić wszystkie trzy.

Toryn poleciła kompowi wyświetlić nazwiska wszystkich zbyt ciężko poszkodowanych na podróż kapsułą oraz takich, którym androidy medyczne nie dawały żadnych szans przeżycia w mrozach Hoth.

Lista obejmowała pięćdziesiąt dwa nazwiska, w tym i Samoc.

Skopiowała ją do osobnego pliku opatrzonym nagłówkiem ZOST. Główna lista skurczyła się do pięćdziesięciu sześciu nazwisk.

W drugiej kolejności wyłoniła podgrupę wszystkich z połamanymi nogami.

Kolejne szesnaście nazwisk, które trafiły do pliku ZOST.

Nadal miała przed oczami czterdzieści nazwisk. Mogła wybrać tylko osiemnaście. Uznała, że reszta też powinna mieć coś do powiedzenia. Jeśli decyzja zostanie podjęta wspólnie, tym, co zostaną, łatwiej będzie przyjąć swój los.

Uruchomiła system łączności pokładowej, by zorganizować ogólną naradę. Ustawienie funkcji na rozróżnianie głosów wszystkich obecnych i równoczesne przekazywanie transmisji na trzy pokłady nie było sprawą łatwą, ale w końcu udało się jej przekazać listę rozbitków na wszystkie działające ekrany i włączyć nagłośnienie.

- Mówi Toryn Farr - zaczęła i tłum ucichł. - Właśnie dostałam informację, że niszczyciel podchodzi do drugiego rozbitego frachtowca. Nasi towarzysze zatrzymają go tam na jakiś czas, co da nam sposobność do wystrzelenia kapsuł, ale musimy się z tym pospieszyć. Osiemnaścioro spośród nas otrzyma szansę dotarcia na Hoth i przetrwania tam do czasu nadejścia pomocy. Musimy wysłać tych, których wiedza i umiejętności najbardziej przydadzą się w przyszłości Rebelii i którzy zdołają nauczyć towarzyszy trudnej sztuki przetrwania w surowym klimacie Hoth. Zdecydowałam o wysłaniu Seito i Crimminsa, doświadczonych zawodowych żołnierzy. Lecą też Sala Natu, specjalistka od przetrwania w klimacie arktycznym, oraz Berek Tanaal, myśliwy. Chcę, żebyście wyłonili w głosowaniu pozostałych czternastu. Zaczynamy.

Ktoś wskazał na nią, ale ona oznajmiła, że nie poleci. Zostanie z resztą na pokładzie, bo jest tu potrzebna. Należało jeszcze zniszczyć wszystkie zasoby informacyjne, na których tak zależało

imperialnym; jej obowiązkiem było dopilnować, by nic nie zostało.

Poza tym, pomyślała, Samoc nie poleci, a przecież jej nie zostawię.

Lista, która niebawem się pojawiła, była niemal zbieżna z tą, jaką Toryn sama ułożyła sobie wcześniej w myślach. Kilka osób próbowało oddać swoje miejsca innym, ale usłyszały, że skoro nie są dowodzącymi, nie mają prawa rezygnować.

- Teraz biegiem do kapsuł! - rozkazała wybranym. - Reszta niech zacznie przeczesywać statek w poszukiwaniu wszelkich danych komputerowych i dokumentów. Przynieście, co znajdziecie, na pokład pasażerski, gdzie je zniszczymy.

Grupy wyposażające kapsuły w pośpiechu skończyły pracę. Osiemnastka, która miała lecieć, wsiadła i przypasała się do foteli. Nie było czasu na długie pożegnania.

- Niech Moc będzie z wami - powiedziała tylko Toryn, gdy zamykali włazy. - Obsada iluminatorów, wyteżycie oczy. Macie śledzić tor lotu kapsuł.

- Przyjęte - odkrzyknęli obserwatorzy.

- Odpalać!

Kapsuły wystrzeliły ze statku i zaczęły opadać w kierunku Hoth.

Wszyscy stłoczyli się przy iluminatorach. Na „Jutrzence Nadziei” zrobiło się nagle bardzo, bardzo cicho. Ci, co zostali, zastanawiali się, jak bardzo skurczyły się ich widoki na przyszłość: mogli wybierać już tylko między szybką śmiercią a udręką imperialnej niewoli.

Wspaniale, że tych osiemnastu odleciało, myślała Toryn. To wielki powód do radości.

Kapsuły opadały rozciągniętą linią ku powierzchni planety. Kadłub obrócił się na tyle, że wszyscy mogli zobaczyć również światła pozostałych wraków i myszkujejący wśród nich imperialny okręt. Nie ruszył w pościg za kapsułami. Mógł wprawdzie wypuścić myśliwce, ale z tej odległości i tak nie miałoby szansy ich dostrzec.

Gdy Hoth znów pojawiła się w polu widzenia, przez dłuższą chwilę nikt nie mógł dostrzec kapsuł.

- Są na trzeciej! - krzyknął w końcu Rory.

Teraz wszyscy zauważyli trzy maleńkie jasne punkty, nabierające gwałtownie przyspieszenia w polu grawitacyjnym planety. Niebawem zniknęły na tle oślepiająco białej tarczy.

- Chyba im się udało - powiedziała Toryn. - Teraz do pracy! Imperialni na pewno zauważyli odpalenie kapsuł i zaraz zwrócą na nas uwagę. Sami się domyślcie, że będziemy ich następnym celem. Musimy się przygotować!

Nakazała kompowi ustawić funkcję wymazywania pamięci na podane przez nią hasło i wysłała ekipy do wyszukania modułów sieciowych na różnych pokładach. Miały zniszczyć je po skopiowaniu plików do centralnej jednostki. Androidy również otrzymały polecenie kasowania pamięci na hasło. Z jego przekazaniem postanowiła poczekać do ostatniej chwili, żeby nie ograniczać pomocy medycznej. Androidy medyczne przechowywały zapisy o wszystkich swoich pacjentach, których kiedykolwiek leczyły. Imperium nie miało prawa poznać tych danych; pozwoliłyby określić los wielu osób, które na pewno interesowały wroga: kto z nich umarł, kto przeżył, na co był leczony. Taka wiedza o słabych punktach przydawała się niekiedy przy werbowaniu podwójnych agentów, a więc androidy musiały zniszczyć swoje banki pamięci.

Toryn przypomniała sobie, co jeszcze zostało do zrobienia: należało zniszczyć pisane dokumenty, zadbać o rannych, zebrać broń, przygotować się do walki, gdy imperialni wejdą na pokład. Dobrze, że aż tyle. Praca pozwalała zapomnieć na chwilę o tym, co ich czekało.

- Rivers, Bindu - powiedziała. - Przygotować się do zabarykadowania otworów wylotowych wyrzutni kapsuł i włazów ładowni. Obrona według standardu ASAP.

- Szefowo! - krzyknął Rory. - Statek na kursie podejścia! Toryn podbiegła do iluminatora. Statek rzeczywiście nadlatywał, ale był jakiś dziwny. Nie wyglądał wcale na imperialny.

- Widzisz nazwę? - spytała.

- „Łowca z Mgły” - odczytał Rory.

Spytała kompa o jednostkę zwaną „Łowca z Mgły”, ale rejestr flot okazał się niedostępny.

To chyba łowcy nagród, pomyślała Toryn. Na pewno oni.

- Kieruje się do wyrzutni numer dwa - powiedział Rory.

- Wszyscy zdolni do walki do mnie! - rozkazała Toryn. - Mamy towarzystwo.

Ktoś wręczył jej blaster. Sprawdziła magazynek: załadowany do pełna. Statek łowców nagród nie miał właściwego modułu cumującego, ale mimo nadziei Toryn jego komp poradził sobie z tym problemem. Przeanalizował budowę węzła cumowniczego „Jutrzenki Nadziei” i błyskawicznie skonstruował coś, co miało idealnie do niego pasować.

Na pokładzie w pobliżu wyrzutni kapsuł leżeli jeszcze ranni.

- Sześciu z was zniesie rannych do kabin na pokładzie drugim i zamknie porządnie drzwi. Cała reszta buduje barykady!

Ludzie rzucili się przenosić rannych i wyciągać z kabin koje, które po przewróceniu na bok miały utworzyć zaimprovizowane barykady naprzeciwko wyrzutni kapsuł. Słychać było trzask zamków węzła cumowniczego i syk powietrza wlatującego do korytarza pomiędzy oboma statkami. Włazy miały otworzyć się lada chwila.

- Jeśli opanujemy ich statek, będziemy mogli ewakuować całą resztę. Darklighter, Bindu, wejdźcie do wnęki pod panelami podłogi. We właściwej chwili zaskoczycie ich od tyłu.

Błyskawicznie odsunięto płyty, by obaj żołnierze mogli się schować.

- Siedzicie tam, aż dam wam znak - poleciła Toryn. - Albo do chwili, gdy usłyszycie, że walka przeniosła się gdzieś dalej.

Obecność statku łowców nagród nieoczekiwanie napełniła Toryn nadzieją.

Zajęty wieloma innymi rzeczami komp nie mógł wciąż połączyć się z rejestrem flot galaktyki, chociaż starał się jak mógł. Nazwa „Łowca z Mgły” nie była mu całkiem obca; w mocno uszkodzonej pamięci krótkotrwałej pozostały trudne od odszyfrowania zapiski pochodzące z zewnętrznych skanerów. Jeden ograniczał się do hasła ŁOWŁY, drugi podawał tylko Z MGŁY.

Na razie nie udało się kompowi skojarzyć tych urywków z innymi plikami, chociaż próbował. Krok po kroku odtwarzał łańcuchy logiczne pamięci krótkotrwałej. Program nadrzędny podpowiadała mu, że Toryn bardzo przydałaby się ta informacja.

Zuckuss nie marnował czasu na śledzenie opadających ku planecie kapsuł. To sprawa dla imperialnych. Miał zresztą nadzieję, że uciekinierom się uda, bo to dawałoby szansę na kolejny kontrakt: wytropienie ich i pojmanie wśród lodów Hoth. Mógłby to zrobić.

O ile wyzdrowieję, pomyślał. W obecnym stanie nie dałbym rady.

Zadokował statek i wyłamał włazy. 4-LOM poszedł przodem.

- Przybyliśmy, aby was uratować - powiedział stojącym przed włazem rebeliantom i wyjaśnił, na czym polega ich „plan”. Jednocześnie analizował zachowanie spotkanych ludzi. Trochę się bali, ale nie próbowali się cofać, nie odwracali spojrzenia. Siedem postaci otaczało ciasnym kręgiem kobietę, która musiała być ich dowódcą, słynącą z zaradności Toryn Farr.

Imperium wyznaczyło nagrodę za jej głowę. 4-LOM porównał jej dane z zapisem w swojej pamięci i szybko zidentyfikował poszukiwaną.

- Pani Farr - powiedział. - Muszę zobaczyć listę rozbitków. Proszę o dostęp do bazy danych.

Kobieta zdziwiła się przelotnie, gdy zwrócił się do niej po imieniu. To dobrze. Zdumienie

zwiększało szansę łowcy, bo ofiara nie wiedziała nigdy, gdzie przebiega granica wiedzy na jej temat i skłonna była przypisywać łowcy wiedzę, której ten wcale nie posiadał. Android podszedł do kompa, ale Toryn zagroziła mu drogę. Jej ochrona podążyła za nią.

- Najpierw odpowiedz mi na parę pytań - powiedziała. - Kto cię przysłał?

Zdobycie zaufania tej kobiety może zabrać więcej czasu, niż go nam zostało, obliczył 4-LOM.

- Gdybym od razu opowiedział ci o wszystkim, co łączy jedną z największych imperialnych gildii łowców nagród z Rebelią, uwierzyłabyś mi? Nie uznałabyś, że zbyt łatwo dzielę się taką wiedzą? Nie mogę na razie ocenić, czy wolno mi odpowiedzieć na twoje pytanie. Nie znam stopnia dostępu obecnych tu osób do tajnych materiałów. Mogę tylko zaznaczyć, że pełna odpowiedź bardzo by cię zdumiała. Na razie niech świadczy o naszych intencjach to, że przybyliśmy wam na ratunek.

Spojrzał na twarze stojących wkoło rebeliantów. Większość pasowała do wizerunków przechowywanych w jego pamięci. Szybko skompletował grupę aż dwudziestu sześciu, którymi warto byłoby się zająć. Łączna nagroda za nich nie byłaby wielką fortuną, bo nie byli dla Imperium nawet w przybliżeniu tak cenni jak Han Solo, ale starczyłoby tych kredytów na nowe płuca dla Zuckussa.

Przez chwilę 4-LOM żałował, że muszą odstawić tych ludzi na teren Rebelii, ale cóż... Tropili akurat grubszą zwierzynę i potrzebowali listów uwierzytelniających.

- Każ przejść na pokład naszego statku dwudziestu sześciu osobom, które wywołam, oraz wszystkim waszym androidom - polecił. - Mój współnik napełnia już tlenem przejście prowadzące do cel na „Łowcy z Mgły”. Szybko, zanim imperialni się nami zajmą!

Wymienił nazwiska, ale nikt się nie ruszył. Toryn, która otwierała listę, zrozumiała, że wszyscy wyróżnieni walczą w szeregach Rebelii już od dłuższego czasu.

Android niewątpliwie próbował wybrać tych, którzy mieli mu przynieść najwięcej kredytów. Toryn nie wierzyła w jego opowieść o bliskich związkach z Rebelią ani w sugestie, że naprawdę przybyli z pomocą.

- Mam inny plan - powiedziała androidowi. - Wpakuj swojego amoniakodysznego współnika w skafander, zmień mieszankę na waszym statku na tlenową, a wtedy zmieści się na nim więcej moich ludzi. Polecimy na Darlyn Boda, co zajmie tylko pół dnia. Mamy tam kontakty, dzięki którym będziemy mogli zadbać o naszych rannych i ukryć się do czasu, gdy Rebelia przyśle po nas statki.

- Musimy lecieć do punktu zbornego! - zaprotestował 4-LOM. - Nasz statek będzie tam potrzebny. Zabierzmy tych dwudziestu sześciu, których wskazałem i nie marnujmy więcej czasu.

- Nie opuszczę ludzi, za których jestem odpowiedzialna - stwierdziła Toryn.

4-LOM zareagował zbyt szybko, żeby ludzie mieli szansę mu przeszkodzić. Odtrącił ochronę Toryn, złapał dziewczynę i przytrzymał ją przed sobą, stając pomiędzy barykadą a wyrzutnią numer dwa.

- Nie ma czasu na kłótnie - powiedział. - A Zuckuss i ja nie mamy czasu, by odstawić waszych rannych na Darlyn Boda. Wybrałem dwadzieścia sześć osób, które wsiądą teraz na nasz statek.

Tuż za nim zaczęły odsuwać płyty podłogi. Ukryli się! - pomyślał android. Naprawdę pomysłowi. Mógłby załatwić ich blasterami, które miał wbudowane z tyłu, ale przecież nie mógł zabijać ludzi, których podobno zamierzał ratować.

- Puść ją - powiedział jeden z rebeliantów za mm.

Po chwili z tunelu pomiędzy statkami wysunął się Zuckuss i stanął za plecami pary w zasadzce.

- Nie, to wy się odsuńcie - powiedział. - Naprawdę podziwiam wasze poświęcenie dla dowódcy. Toryn Farr będzie dalej służyć Rebelii. Dostarczymy ją do punktu zbornego. Możecie być zadowoleni.

4-LOM błyskawicznie zawlókł Toryn przez tunel do celi. Przykuł ją tam za kostki i nadgarstki do klamer w ścianie. Nie była dość silna, by stawić mu opór.

- To żaden ratunek! - zaprotestowała.

- Ależ wręcz przeciwnie - odparł 4-LOM. - Niebawem znajdziesz się w punkcie zbornym.

Przykro mi, że muszę użyć siły, ale ratowanie twojej osoby jest działaniem logicznym, a pośpiech koniecznością - dodał i poszedł do wyjścia.

- Twoja logika wykazuje zasadnicze braki - odpaliła dziewczyna, a android się obejrzał.

- Nie wyczytałeś z listy jednej z naszych najlepszych pilotek, Samoc Farr. Myślisz, że Rebelia nie potrzebuje dobrych pilotów?

Android nie odpowiedział i wyszedł. Po chwili Toryn usłyszała dobiegające z pokładu „Jutrzenki” odgłosy strzelaniny. To był koszmar - jej ludzie podjęli walkę, a ona nie mogła im towarzyszyć. Niebawem android wrócił z Riversem i Bindu. Wepchnął ich do celi.

- Co tam się dzieje? - spytała Toryn.

- Android wziął nas jako zakładników i powiedział, że zabije nas i ciebie, jeśli ci ludzie, których wymienił, nie wejdą dobrowolnie na pokład jego statku.

Ale dalszych strzałów nie usłyszeli.

- Wyliczyłeś już może, jak bardzo spadły nasze szanse? - wściekał się tymczasem na androida Zuckuss. - Naprawdę myślisz, że ktokolwiek nam teraz uwierzy, że to misja ratunkowa?

Rozbitkowie w każdym razie najwyraźniej przestali im ufać, bo w hangarze kapsuł nie było żywej duszy, chociaż bez wątpienia wylot tunelu pomiędzy statkami musiał być obserwowany przez wielu uzbrojonych ludzi. Ilu, tego ani 4-LOM, ani Zuckuss nie wiedzieli. Nie potrafili też oszacować uzbrojenia rebeliantów. 4-LOM uważał wprawdzie, że dwaj łowcy zdołaliby zmusić przeciwnika do uległości i zabrać wymienionych, ale Zuckuss spytał wprost: czy to nadal będzie wyglądało na ratunek?

- Pozwól, że spróbuję z nimi porozmawiać - zaproponował Gand. Wszedł sam do hangaru.

- Rebelianci! - zakrzyknął. - 4-LOM i Zuckuss są łowcami nagród. Mamy w życiu inne cele niż wy. Jednak tak samo uważamy, że Imperium powinno upaść i chcemy przyczynić się do jego rozpadu. Możemy uratować część z was. 4-LOM wymieniał właśnie tych, których chcemy zabrać. Chodźcie! Musimy już lecieć.

Nikt się nie pojawił.

- Możemy spróbować jeszcze jednego - powiedział Zuckuss do androida i udał się na pokład.

Android zabezpieczył właz i poszedł za nim. Przewidywał różne ewentualności: że pokonają rebeliantów i zabiorą tych, których zamierzają, że odlecą z pojmaną już trójką... Łącznie wyliczył ich czterdzieści dziewięć. Był ciekaw, czy Zuckuss trafi w którąś z nich.

Łowca podszedł pod drzwi celi z rebeliantami.

- Kapitan Farr! - zawołał. - Naprawdę chcemy was uratować, ale wszystko poszło nie tak. Co powinniśmy zrobić, żeby naprawić nasze błędy? Pomóż nam, proszę. Tak szybko jak się da. Nie zostało już wiele czasu do zjawienia się imperialnych.

Ostatecznie 4-LOM i Zuckuss przygotowali statek na przyjęcie dziewięćdziesięciu rebeliantów, w tym wielu rannych. Mieli odstawić ich na Darlyn Boda.

4-LOM uwolnił Toryn, by mogła pokierować ewakuacją. Zuckuss został w kombinezonie. Schowany w sterowni, poza zasięgiem oczu i uszu rebeliantów, skontaktował się z niszczycielem, by odwołać „eskortę”, która miała przechwycić ich na granicy systemu. „Łowca z Mgły” nigdy jeszcze nie przewoził tylu pasażerów. I bez ataku myśliwca TIE trudno będzie nim manewrować!

- Ilu bierzecie? - spytał dyżurny z niszczyciela.

- Dziewięćdziesięciu - odparł Zuckuss. - I dwa androidy medyczne.

Słysząc było, jak oficer się z kimś naradza. Trwało to chwilę.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Zameldujemy o tym dowództwu. Jasne, że zameldujecie, pomyślał Zuckuss. I co z tego? I tak nam nie przeszkodzicie. Darth Vader dał nam wolną rękę. Możemy brać wszystko, czego nam trzeba, byle wykonać zadanie.

Atmosferę na statku wymieniono na tlenową. Dziewięćdziesięciu rebeliantów w towarzystwie dwóch androidów wypełniło wszystkie zakamarki, a i tak musieli stać lub leżeć ściśnięci, tak samo jak tych dwudziestu sześciu miało wcześniej tłoczyć się w celach. Nikt jednak nie narzekał.

To była szansa na przeżycie.

Toryn miała wsiąść ostatnia.

- Szybko! ponaglił ją 4-LOM. - To cud, że jeszcze nas nie zaatakowali.

Dziewczyna zatrzymała się przed androidem od frachtu, który wcześniej tyle im pomógł.

- Dziękuję za wszystko - powiedziała. - Wykasuj pamięć głównego kompa i własną.

Chwilę potem zgasły światła na całym statku, zatrzymały się ostatnie moduły systemu podtrzymania życia. Programy i dane zniknęły jeden po drugim. „Łowca z Mgły” odbił przez ten czas i zaczął się oddalać od wraku. Komp nigdy nie miał poznać dalszego losu uciekinierów.

Wymazał pamięć długotrwałą, zajął się resztkami pamięci krótkotrwałej i tutaj się zawahał.

Działający niezależnie program dopiero teraz dotarł do pliku powiązanego z nazwą „Łowca z Mgły”. To był ten sam statek, który wcześniej ostrzelał „Jutrzenkę Nadziei”.

Niczego nieświadomi rozbitkowie wsiedli na jego pokład...

Ale cała ta wiedza pojawiła się za późno. Komp nie mógł już ostrzec rebeliantów. Nie mógł ich zawrócić.

Wykonał ostatni rozkaz Toryn Farr i wykasował sam siebie.

„Łowca z Mgły” śmierdział zregenerowanym powietrzem, które wprawdzie nadawało się do oddychania, ale obecna w nim wciąż woń amoniaku przyprawiała wszystkich o ból głowy. Toryn poczuła ten zapach od razu po wejściu na pokład, ale nie pozwoliła, żeby odebrał jej siły. Najciężej ranni leżeli w celach po dwóch na koi. Toryn ostrożnie przepchnęła się do nich, by porozmawiać chwilę, podnieść nieszczęśników na duchu.

Dopiero wtedy zauważyła napisy wydrapane na ścianie celi. Przedtem, gdy znalazła się tu jako więzień, jakoś nie wpadły jej w oko. Niektórzy przetrzymywani tu w zamknięciu utrwaliли swoje nazwiska, inni wypisali krótkie wiersze. Jeden prosił kogokolwiek życzliwego o zawiadomienie jego rodziców i podawał adres.

- Zapisz nazwisko i adres - poleciła Toryn stojącemu obok androidowi medycznemu. - Będę chciała skontaktować się z nimi, gdy już wrócimy.

Samoc znalazła stojącą w jednym z zakątków na rufie. Dłonie i twarz miała owinięte białymi bandażami. Siostry uściskały się, zachwycone ponownym spotkaniem.

- Jednak znalazłaś sposób, żeby ocalić nas wszystkich - powiedziała Samoc.

- Jeszcze nie wszystko za nami - odparła Toryn.

Teraz była odpowiedzialna za dziewięćdziesięciu rebeliantów, z których pięćdziesięciu dwóch było rannych. Musiała zaopiekować się nimi w Darlyn Boda, gdzie wprawdzie istniało silne rebelianckie podziemie, ale jednak miejscowy rząd znajdował się pod kontrolą Imperium.

Spojrzała na Samoc i zwątpiła, czy da radę uporać się ze wszystkim. Dwa razy przedłożyła już interes siostry nad powinności służby. Najpierw wtedy, gdy posłała do niej androida medycznego, potem przy próbie przekonania 4-LOM-a, aby umieścił Samoc na swojej liście dwudziestu sześciu. Wiedziała, że w razie potrzeby zrobi to znowu. To nie w porządku wobec pozostałych, za których też

była odpowiedzialna. Powinna jak najszybciej przekazać dowodzenie komuś innemu. Miała nadzieję, że w Darlyn Boda znajdzie się ktoś wyższy stopniem.

Wróciła do Zuckussa i 4-LOM-a.

- Szacunkowy czas przybycia na Darlyn Boda: dwie przecinek sześć standardowej godziny - oznajmił android.

To naprawdę szybki statek, pomyślała Toryn. Nawet z ładunkiem świetnie sobie radzi.

Zuckuss dostał nagle ataku kaszlu. Kaszlał i kaszlał, i nie mógł przestać. Po chwili zgiął się w pół, a Toryn zauważyła kropelki krwi rozpryskujące się od wewnątrz na szybcie jego hełmu.

Przykłęka obok Ganda i objęła go ramionami.

- Co się stało? - spytała. - Jak możemy ci pomóc? 4-LOM zaczął sprawdzać szczelność skafandra współnika.

- Tlen przecieka? - spytał.

- Nie - wykrztusił Zuckuss pomiędzy napadami kaszlu. Toryn sięgnęła do interkomu.

- DwaJedenbe - zawołała. - Natychmiast do sterowni.

Zuckuss zaczął się z wolna uspokajać. W chwili przybycia androida medycznego kaszel prawie już ustał, ale i tak Zuckuss opowiedział w końcu wszystko o swojej chorobie i jej przyczynach.

- Dysponując odpowiednim wyposażeniem, mógłbym cię wyleczyć - powiedział android. - Niestety, obecnie nim nie dysponuję. Badacze Rebelii opracowali metody pobudzania naturalnego odrostu tkanek.

- Przez klonowanie?

- Nie, to nielegalne. Odrost następuje wewnątrz organizmu pacjenta. Jeśli nasz sprzęt przetrwał ewakuację, będę mógł podjąć leczenie już w punkcie zbornym. Za kilka dni będziesz miał nowe płuca.

Zuckuss usiadł prosto i zamyślił się głęboko. Zamierzał nawet wejść w trans, ale ostatecznie zasnął i przysniła mu się szczególna medytacja, podczas której mgła spowijająca przyszłość jego osoby uniosła się na chwilę.

Nagle ujrzał przed sobą wiele ciekawych, bardzo ciekawych dróg.

Darlyn Boda wyglądała niemal tak samo, jak 4-LOM je zapamiętał: parne, błotniste i mroczne. Idealne miejsce, by wkroczyć na drogę zbrodni. Ruszył sam ulicami miasta, nazywanego się tak samo jak planeta. Idąc wspominał pierwszy dzień, kiedy zbiegł z pokładu liniowca. Wtedy zdawało mu się, że cały świat stoi przed nim otworem, a jemu starczy siły i czasu na wszystko. Podjęta krótko potem decyzja znacznie ograniczyła jego perspektywy, ale android wcale tego nie żałował.

Zuckuss był zbyt chory, aby opuścić statek. Rebelianckie androidy medyczne roztoczyły nad nim opiekę, a sami rebelianci gdzieś zniknęli, chociaż 4-LOM był umówiony na późniejszą godzinę z Toryn Farr i pięcioma jej podwładnymi. Razem mieli polecieć do punktu zbornego.

A tam odnaleźć Hana Solo i zakończyć polowanie.

Toryn odszukała już miejscowych przywódców ruchu oporu. Było wśród nich sporo starszych stopniem oficerów, którzy przejęli dowodzenie i nakazali jej spotkać się z łowcami nagród. Wręczyli też zalakowany list do dowództwa Rebelii.

4-LOM zasugerował Toryn, by spotkanie odbyło się w małym sklepiku z biżuterią. Znał ten sklep dobrze. Jego właścicielka kupowała i sprzedawała klejnoty nie pytając o ich pochodzenie i android robił już z nią interesy.

Stara kobieta w łachmanach wstała, żeby go powitać. Sklepik był tak samo ciemny i brudny, jak wiele lat temu.

- Cztery Eloem! Co za spotkanie!

Wiek przygiął ją już na zawsze do ziemi i do tych kilku gablot, w których trzymała towar. Android uaktywnił pewien od dawna nie używany program.

- Jak się masz? - spytał.

- Starość nie radość - mruknęła kobieta. - Ale jakoś się trzymam. Nie wypadłam z branży.

- Gdy wyjeżdżałem, miałaś jeszcze trzy moje kamienie. Sprzedałaś je?

- Dwa tak. Jestem ci coś winna. Jak wolisz, w imperialnych kredytach czy w innych klejnotach?

Pokażę ci, co mam.

- Który kamień został?

- Pokażę ci.

Zebrała kosztowności z wystawy i wsypała je do kieszeni sukni, a potem zwinęła dywan za kontuarem i otworzyła klapę w podłodze.

- Chodź - powiedziała. Zapaliła świeczkę i zaczęła zstępować po ciemnych schodach.

4-LOM podążył za nią do pomieszczenia, które aż lśniło od klejnotów. Nigdy wcześniej nie pokazywała mu tej piwniczki. Ciekawe, dlaczego teraz się zdecydowała. Przecież wiedziała, że jest złodziejem.

- Widzisz? - spytała, unosząc świeczkę.

4-LOM rozejrzył się i dostrzegł swój kamień. Lśnił błękitnawo. Szafir Ankarres.

- Miałem nadzieję, że jeszcze tu jest - powiedział i podniósł cudowny klejnot. Kobieta musiała odkurzać go regularnie, nie było na nim ani pyłka kurzu.

- Nie pozwoliłeś go pociąć, a nikogo nie było stać na cały - powiedziała. - I dobrze, bo przykładałam go sobie codziennie tam, gdzie mnie akurat bolało. On uzdrawia.

- Właśnie dlatego go potrzebuję.

- Żeby się nim leczyć? Jesteś z metalu. Idź lepiej do ślusarza.

- Nie chodzi o mnie - wyjaśnił android. - Mój przyjaciel jest śmiertelnie chory.

Podał szafir kobiecie.

- Użyj go po raz ostatni, zanim go zabiorę - powiedział. Przytknęła kamień do kostek i nadgarstków, przez chwilę przytrzymała go na czole i oddała androidowi.

Wrócili na górę, do sklepu akurat w chwili, gdy w drzwiach pojawiła się Toryn. Uśmiechnęła się do 4-LOM-a. Wiele lat minęło od chwili, gdy ktoś się do niego uśmiechał. Przypomniał sobie od dawna zarzucone oprogramowanie obejmujące uprzejmość, usłużność, bezinteresowność. Zastanowił się, czy kamień naprawdę nie ma na niego żadnego wpływu.

Jednak... to nie miałooby sensu. Nic nie poczuł, gdy przytknął go kiedyś do czoła. Stare programy uruchomiły się, bo on sam im na to pozwolił. Nie powstrzymał ich. Zresztą może nadszedł czas, by przypomnieć sobie parę rzeczy? Trzeba będzie przeanalizować użyteczność takiego kroku.

- Gotowa do odlotu? - spytał.

- Owszem. Reszta czeka na zewnątrz. Obrócił się do starej kobiety.

- Zatrzymaj, proszę, te kredyty, które mi jesteś winna. Dziękuję ci za pomoc, której udzieliłaś mi wiele lat temu, gdy bardzo jej potrzebowałem.

Kobieta ukloniła się androidowi, a on wyszedł razem z Toryn. Na ulicy dołączyli do nich Rivers, Bindu, Rory, Darklighter i Samoc.

Razem ruszyli w stronę doków. Gdy znaleźli się już na statku, android zatrzymał się nagle w ciemnym korytarzu i wyciągnął klejnot.

- Samoc - zawołał. - Czy wiesz, co to jest? Dziewczyna spojrzała na kamień.

- Nie. Ale jest piękny.

4-LOM wyjaśnił jej, co potrafi jego szafir.

- Przytknij go do swoich oparzeń - zaproponował. - Może ci pomóc.

Podał kamień dziewczynie. Potrzymała go chwilę w dłoni i przyłożyła do bandażu, które miały spowijać jej twarz przez ponad miesiąc. Po chwili nie wiadomo dlaczego usiadła na pokładzie.

- Pomogło? - spytał android.

- Nie wiem. Dziwnie się czuję. Ale to miłe wrażenie. Jakbym porządnie odpoczęła.

- Muszę zanieść go Zuckussowi - powiedział 4-LOM. Wziął kamień i poszukał współnika.

Znalazł go w jednej z cel. Gand wypełnił ją amoniakiem i leżał teraz na koi, ciągle w skafandrze. Co parę chwil pokastywał. Android wszedł do śluzy i poczekał, aż amoniak wyprze tlen. Potem przestąpił próg celi. Zuckuss spojrział na niego, ale nic nie powiedział. 4-LOM położył mu klejnot na piersi.

Gand spojrział na szafir. Wiedział, co to jest. Wiele razy słyszał o nim od androida. Po chwili wyciągnął rękę i przycisnął go z całej siły do żeber.

- Zaraz startujemy. Poprowadzę statek do punktu zbornego - powiedział 4-LOM.

Android najpierw wziął kurs na punkt w pobliżu równika galaktyki, a potem, wykorzystując jej gigantyczne pole grawitacyjne, rozpędził statek na tyle, by wyrwać go poza płaszczyznę ekliptyki.

W końcu dotarli do miejsca, które wskazał Zuckuss. Wyszli z nadprzestrzeni dwa stopnie od niego i zaraz zobaczyli rozrzucone świetliste punkciki rebelianckiej floty.

A raczej tego, co z niej zostało.

Widok ten dodał ducha Toryn. Spojrzała na jaśniejący w dole dysk galaktyki i nagle ujrzała swoją przyszłość w jaśniejszych barwach. Rebelia jeszcze się nie załamała. Wciąż mieli siły zbrojne - co z tego, że zredukowane?

Nawiązała łączność. Powitano ich jak bohaterów. Przyjaciele i rodzina stłoczyli się wkoło Toryn i pozostałych, wielu otwarcie płakało z radości. Dotąd wszyscy z pokładu „Jutrzenki Nadziei” uważani byli za zaginionych, a raczej poległych. Albo i gorzej. Generał Rieekan też przybył ich powitać i wysłuchać meldunku o osiemdziesięciu czterech rozbitkach ukrywających się w Darlyn Boda oraz osiemnastu, którzy najpewniej walczyli o przetrwanie na Hoth.

- Obawiałem się, że już po was - powiedział w pewnej chwili. Androidy medyczne czym prędzej przeniosły Zuckussa do izby chorych. Rebelianci rozstępowali się przed nimi bez słowa. 4-LOM skierował się w ślad za nimi. Zuckuss był teraz całkiem bezbronny między rebeliantami. Jednak Toryn stanęła mu na drodze.

- 4-LOM, chciałabym, żebyś poznał generała Rieekana. Generale, to jest 4-LOM, jeden z tych, którzy nas uratowali.

Generał wyciągnął rękę. Android uścisnął jego dłoń.

- Proszę o wybaczenie, sir, ale mój współnik został właśnie zabrany do izby chorych. Beze mnie i bez straży.

Ruszył za androidami. Zuckuss zniknął mu z oczu na 1, 27 standardowej minuty. Nie wiedział wprawdzie, jak szacować skłonności mordercze rebeliantów, ale przypuszczał, że w wielu innych miejscach jego współnik byłby już martwy. Androidy medyczne nie zdołałyby go obronić.

- Cztery Eloem! - zawołał generał. Android się nie zatrzymał. Generał pobiegł za nim. - Posłuchaj, tutaj jesteście bezpieczni, ty i twój współnik. Daję ci na to moje słowo. Nie mamy zwyczaju rozwiązywać niczego morderstwem.

4-LOM zwolnił trochę, ale się nie zatrzymał.

- Dziękuję za słowa otuchy, generale - powiedział. Oficer szedł teraz obok niego.

- Jesteśmy twoimi dłużnikami - powiedział. - Rozumiem, że obaj chcecie się do nas przyłączyć. Potrzebujemy bojowników o twoich umiejętnościach. Gdy twój współnik wyzdrowieje,

porozmawiamy o jakimś przydziale.

Dotarli do drzwi izby chorych.

- Raz jeszcze dziękuję, sir - powiedział android. Zawahał się i spojrzał na generała. - Pamiętam, że kiedyś żyło się tak, jak to opisałeś: bezpiecznie, ufając innym. Jednak to było dawno temu.

- Rozumiem - odparł generał. - Nie zamierzam pozbawiać cię możliwości przebywania z przyjacielem.

4-LOM wszedł do środka. W izbie panowała cisza i półmrok. Po drodze, chociaż zajęty rozmową, android rejestrował twarze mijanych ludzi. Porównał je z listą poszukiwanych przez Imperium i oszacował majątek, który mógłby na nich zarobić.

Poczuł się oszołomiony. Tylu poszukiwanych... Sama nagroda za generała Rieekana starczyłaby na kupno małego księżycy w jądrze galaktyki. Na pograniczu mógłby za nią mieć wiele światów.

Jednak gdzieś na pokładach tej floty mógł znaleźć cele znacznie bardziej wartościowe.

Zuckuss nie był jedynym pacjentem w izbie. Wchodząc, android usłyszał jakieś głosy.

Gdy je rozpoznał, zamarł bez ruchu.

Łowca nagród nie zawsze miał szczęście, by otrzymać aktualne holo poszukiwanego, czasem jednak prócz wizerunku dostawał nawet zapis głosu. Wchodząc do izby usłyszał słowa wypowiedane przez dwoje ludzi. Oboje należeli do najpilniej poszukiwanych rebeliantów. Lukę Skywalker i księżniczka Leia Organa. Nagroda za każde z nich była niemal równa sumie oferowanej za Hana Solo.

I o nim właśnie rozmawiali. Czułe receptory androida bez trudu wychwytywały każde słowo.

Okazało się, że Boba Fett schwytał już Hana Solo. Szczegóły operacji były dość niejasne, ale wychodziło na to, że zabrał go do Jabby, by odebrać dodatkową nagrodę wyznaczoną przez króla zbrodni.

Polowanie dobiegło końca. On i Zuckuss zawiedli. Darth Vader wyznaczył już pewnie nagrody za Ich głowy, ale... androidowi nasunął się jeszcze jeden pomysł.

Zuckussa znalazł w specjalnej komorze amoniakowej. Czuwały przy nim dwa obce androidy, bez wątplenia medyczne. Nic nie sugerowało zagrożenia, Zuckuss chyba naprawdę był tu bezpieczny. Androidy wpuściły 4-LOM-a do komory.

- Zostawcie nas samych - polecił.

- Nie teraz. Musimy monitorować rozpoczęte procedury.

- Zostawcie nas! - powtórzył z naciskiem 4-LOM. Zuckuss skinął na androidy, które szybko wyszły.

- Zuckuss już wie - powiedział łowca, zanim android zdążył mu cokolwiek przekazać. - 2-1B został wezwany do nowego pacjenta, któremu trzeba było zregenerować dłoń. To był Luke Skywalker. Przed wyjściem 2-1B powiedział mi, jak Skywalker tu trafił.

- Obliczyłem, że istnieje prawdopodobieństwo, aby Darth Vader i Imperium nie tylko nam wybaczyli, ale jeszcze wypłacili sowitą nagrodę - stwierdził android. - Jeśli dostarczymy im Luke'a Skywalkera i tę drugą, z którą rozmawiał, Leię Organę...

- A co z płucami Zuckussa? - spytał Gand. - Jeśli poleży tu spokojnie kilka dni, płuca mu odrosną i znowu będzie zdrowy.

- Kilka dni! - wykrzyknął 4-LOM. - Nasze szansę maleją z każdą minutą.

Zuckuss nie odpowiedział. Android obliczył, że Zuckuss nie wyzdrowieje na czas, by zająć się porwaniem poszukiwanych rebeliantów. Nic by nie zrobił, nawet gdyby Han Solo tu był. Całe zadanie spadło na barki 4-LOM-a. W pojedynkę miał tylko 48, 67 procent szansy na sukces. Niewiele, ale zawsze coś.

Jeśli nie spróbują, jeśli postanowią poczekać, aż Zuckuss wyzdrowieje, nie będą mieli po co wracać. Zbyt wielu spraw nie da się wtedy przekonująco wytłumaczyć.

- Jeśli zdołasz dotrzeć do statku, zajmę się sprowadzeniem poszukiwanych - zaproponował 4-LOM.

- Zuckuss da radę.

- A więc dziś wieczorem. Zrobię stosowne obserwacje i ustalę dokładny czas.

- Teraz! - powiedział 4-LOM. Był późny wieczór. Android stanął w cieniu z wyciągniętym blasterem. - Poszukiwani przebywają w solarium izby chorych. Obserwują swoich przyjaciół, którzy wyruszają na ratunek Hanowi Solo. Będą potrzebowali naprawdę wiele szczęścia, by cokolwiek osiągnąć. Niebawem dowiedzą się, że jeszcze inni ich przyjaciele też potrzebują pomocy.

Zuckuss usiadł powoli na łóżku.

- Jest jeszcze jedna możliwość - powiedział.

- Słucham. Byle szybko.

- Zuckuss medytował, odkąd wyszedłeś, i ma przeczucie, co się z nami stanie. Nie uda nam się porwać Luke'a i Organy. Odlecimy z jednym bełkoczącym, złotym androidem i dwoma androidami medycznymi, za które nie dostaniemy dość, żeby Zuckuss kupił sobie nowe płuca. Nie przekonamy też imperialnych, by wykreślili nasze nazwiska z listy poszukiwanych. Wszyscy obrócą się przeciwko nam: Imperium, Rebelia, pozostali łowcy... Zuckuss jest chory i nie pożyje długo bez leczenia. Postanowił tu zostać.

4-LOM nie wiedział, co odpowiedzieć. Przygotował szybko dziesięć możliwych wariantów działania, poczynawszy od samodzielnej próby porwania, a kończąc na zabranii „Łowcy z Mgły” i zostawieniu współnika. Pamiętał jednak, że ma tylko 48, 67 procent szansy, działając w pojedynkę. Wolałby lepszy punkt wyjścia.

Zanim dokończył rozważania, ktoś wszedł do ich części izby chorych.

To była Toryn Farr. Zbliżyła się do szyby komory amoniakowej.

- Jak się czujesz? - spytała Zuckussa przez interkom i dopiero teraz zauważyła 4-LOM, stojącego w cieniu, z blasterem w dłoni. - Co tu robisz? Coś się stało?

Ludzie są pochopni w obdarzaniu zaufaniem, pomyślał 4-LOM. Przyszła do nich nieuzbrojona. Odłożył blaster.

- Teraz już nic.

Jednak sprawy nadal wyglądały nie najlepiej. Wielu rzeczy nie był w stanie jej wytłumaczyć. Różne wybory zaprowadziły ich w ślepią uliczkę... A przecież wiedzieli, ile ryzykują podejmując się porwania Nexusa. Teraz przyszła pora za to zapłacić.

Po chwili, gdy android zakończył kolejny cykl obliczeń, ujrzał wszystko z nieco innej strony. Istniała szansa równa 72, 668 procent, że Nowa Republika zalegalizuje zawód łowcy nagród, by skuteczniej zaprowadzać prawa i uwolnić obywateli od kryminalistów. Obliczył, że on i Zuckuss mają wyjątkowo duże szansę (prawdopodobieństwo wynosiło 98, 992 procent), że staną się założycielami pierwszej gildii łowców nagród Nowej Republiki. Taki cel wart byłby fatygi. Android uznał, że musi się głębiej nad tym zastanowić.

- Zuckuss naprawdę jest tu bezpieczny - powiedziała Toryn. - Jeśli jednak mimo wszystko się niepokoisz, to mogę czuwać przy nim, oczywiście po służbie. Ty będziesz mógł zająć się wtedy waszym statkiem.

4-LOM zastanowił się nad najważniejszą odpowiedzią, ale nie udało mu się niczego wymyślić. Słowa dziewczyny ożywiły znowu kilka dawnych programów i trwało chwilę, zanim zdołał je uciszyć. Od wielu standardowych lat nie zdarzyło mu się zinterpretować niczyich działań jako

pozytywnych, tymczasem Toryn, widząc go z blasterem, uznała po prostu, że pilnuje Zuckussa.

- Dziękuję, Toryn - powiedział Zuckuss. - Możesz siadywać tu z Zuckussem nieuzbrojona.

Gdybyś znalazła jakąś wolną chwilę, Zuckuss chętnie by z tobą porozmawiał.

- Chętnie z tobą pogadam. Ale teraz przyszedłam, by was zaprosić. Trochę niezręcznie mi o tym mówić, ale ten list, który przywiozłam generałowi, to był opis moich poczynań na pokładzie „Jutrzenki Nadziei”. Dziś wieczorem dostałam awans na komandora i chcę zaprosić was obu na uroczystą promocję, bo bez waszej pomocy nigdy bym nie wróciła.

Zuckuss chciał coś powiedzieć, ale znów się rozkaszał. 4-LOM pomógł mu się położyć.

- Nigdzie nie pójdę, Toryn - oznajmił po chwili łowca. - Nie dam rady. Ale przyjmij, proszę, moje gratulacje.

- Poprosiłam generała Rieekana, by przeniósł ceremonię do izby chorych, żebyś mógł w niej uczestniczyć. Nie masz nic przeciwko temu? - spytała Toryn. Wcześniej próbowała wytłumaczyć generałowi, że nie dorosła jeszcze do tego awansu. Wyjawiała też, jak wielką rolę w jej poczynaniach odgrywała troska o Samoc.

- No i bardzo dobrze - odparł generał. - Jest jedną z naszych najlepszych pilotek i nie możemy jej stracić. Dziękuję ci w jej imieniu za wszystko, co zrobiłaś.

Toryn zastanowiła się, czy generał nie powiedział tego z czystej uprzejmości, ale skoro nadal upierał się przy awansie, to chyba rzeczywiście uważał ją za zdolną do podejmowania samodzielnych decyzji i związanej z nimi odpowiedzialności. Przyjęła więc awans i nowy przydział.

- To będzie dla mnie zaszczyt - stwierdził Zuckuss i spojrzał na Toryn.

4-LOM też wbił obiektywy w dziewczynę.

- Również gratuluję. Jaki to będzie przydział?

- Dowództwo oddziału Sił Specjalnych. Będę chciała jeszcze później o tym z wami porozmawiać.

W uroczystości uczestniczyli Samoc, Rory, Darklighter, Rivers, oba androidy medyczne i wielu jeszcze innych rebeliantów. Generał Rieekan ogłosił oficjalnie awans Toryn Farr i ujawnił jej nowy przydział.

- Rozmawialiśmy już, jak najlepiej zorganizować misję ratunkową, która poleci po naszych przyjaciół na Hoth - powiedział. - Nie mamy jeszcze pełnego planu, ale Toryn poprosiła mnie, by powierzyć jej dowodzenie tą wyprawą.

Wszyscy wyrazili swoją radość, ale uroczystość jeszcze się nie skończyła.

- W uznaniu twojego poświęcenia i odwagi okazanej w obliczu nieprzyjaciela Rebelia ma zaszczyt udekorować cię Medalem Zasłużonych.

Generał zawiesił odznaczenie na szyi Toryn i uściśnął jej dłoń. Pośród wiwatów i oklasków rozległ się wystrzał: to android protokolarny otworzył na zapleczu butelkę zacnego trunku. R2 zaczął roznosić kielichy wśród tlenodysznych gości. Oddychający amoniakiem, w tym i Zuckuss, dostali inny rodzaj napitku, który pochodził z samej planety Gand, która, kto wie, może też przyłączy się pewnego dnia do Rebelii. Androidy medyczne po namyśle uznały, że jeden kielich nie powinien zaszkodzić pacjentowi. Do jego komory weszło jeszcze dwóch innych amoniakodysznych, by się napić razem z nim. Zdjęli hełmy, przedstawili się, otworzyli butle i nalali. Zuckuss uniósł kielich i spojrzał na 4-LOM-a.

Nigdy jeszcze nie zdarzyło im się spotkać z takim przyjęciem. Nawet ze strony własnej gildii. Imperialni z całą pewnością nie zaprosiliby ich na podobną uroczystość. Owszem, podarowali im różne rzeczy, ale głównie z lęku przed Vaderem. Wypełniali jak najwierniej treść jego rozkazu. Nie uznali ich za swoich, walczących o tę samą sprawę. A rebelianci owszem.

Pozostali amoniakodyszni trzymali pełne kielichy. Zuckuss wzniosł toast.

- Za Toryn - powiedział. Wszyscy wypili. Gond uniósł szkło po raz drugi, i tym razem spojrzął na 4-LOM-a. - Za naszą nową przyszłość - szepnął. Android skłonił lekko głowę i podszedł pomóc współnikowi, który znowu zaczął kasłać. Pomógł mu usadowić się na skraju łóżka.

Szybko zrobił obliczenia, które pomogły mu zrozumieć znaczenie dzisiejszej uroczystości. Gdy założy z Zuckussem nową gildię, uczestnictwo w tej podniosłej ceremonii da im pewną przewagę nad innymi gildiami, które wyrosną z czasem w obrębie Nowej Republiki.

Przez następne dni Zuckuss dochodził do zdrowia, a 4-LOM instalował nowe oprogramowanie, potrzebne podczas służby w Siłach Specjalnych. Nadzorował też prace modernizacyjne na pokładzie zmienionego kamuflażem „Łowcy z Mgły”. Rebeliancka technologia miała w znacznym stopniu unowocześnić jednostkę. Generał Rieekan odbył z nim rozmowę na temat ich ewentualnego udziału w odbiciu Hana Solo. Pomysł miał sens, bo obaj mieli nadal prawo wstępu do pałacu Jabby. Może nawet zdołaliby pojmać samego Bobę Fetta.

Gdyby tam poleciecieli, musieliby się jakoś wytłumaczyć ze zniknięcia na czas potrzebny do regeneracji płuc Zuckussa. Mogliby na przykład powiedzieć, że po prostu ukrywali się przed imperialnymi... Ale Vader na pewno wyznaczył nagrody za ich pojmanie. Kto wie, czy nie dość wysokie, żeby skusić Jabbę. Chociaż z drugiej strony, gdyby zdołali uwolnić Hana, mogłoby być zabawnie. 4-LOM wyobraził sobie minę Hutta, kiedy zrozumie, że ten android i Zuckuss to nie zwykli łowcy nagród, ale rebelianccy agenci...

Bawiła też androida świadomość, jaki szok przeżyją imperialni, gdy dowiedzą się, że on i Zuckuss nie tylko przeszli na stronę Rebelii, ale w dodatku zdołali sprzątnąć wrogowi przed nosa dziewięćdziesięciu ludzi i dwa androidy medyczne.

Na pewno się wściekną.

Pracując samotnie na statku 4-LOM przysiadł niekiedy na chwilę, żeby pomedytować. Rezultaty były coraz bardziej obiecujące. Pewnego razu zobaczył różne możliwe wersje swojej przyszłości. Jedna zaintrygowała go szczególnie: siedział razem z młodymi rycerzami Jedi studiującymi w nowo założonej akademii. Nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy uczył się wraz z nimi, czy może był już mistrzem. Zresztą to była tylko przelotna wizja, jedna z wielu prawdopodobnych dróg.

Gdy jednak wspominał o tym Zuckussowi, jego współnik wysłuchał go z najwyższą powagą.

Ostatni łowca: opowieść o Bobie Fecie

Daniel Keyes Moran



Ostatnie oświadczenie Wędrowca, Protektora Jastera Mereela, znanego później jako łowca nagród Boba Fett, wygłoszone przed wygnaniem ze świata Concord Dawn:

Wszyscy muszą umrzeć.

To ostateczna sankcja i jedyna sprawiedliwość. Zło istnieje; jest inteligentnym przejawem entropii. Gdy zbrocze góry się obsunie i zgładzi wioskę, to nie jest zło, bo zło wiąże się z wrogimi intencjami. Gdy istota inteligentna spowoduje lawinę błotną, to jest zło. Wówczas w imię przetrwania cywilizacji należy odwołać się do sprawiedliwości.

Nie ma sprawy lepszej i ważniejszej niż sprawiedliwość. Tylko takie prawo, które służy sprawiedliwości, jest prawem słusznym. To prawda, co mówią - że prawo nie służy sprawiedliwym, ale zostało pomyślane dla niesprawiedliwych, bo sprawiedliwi noszą je w sercu i nie trzeba im o tym przypominać.

Nie służę nikomu. Służę tylko sprawie.

- Jaster Mereel.

Wędrowiec Mereel siedział zakuty w łańcuchy w swojej celi. Promienie wczesnoporanego słońca wpadały do środka przez małe zakratowane okno, umieszczone tuż pod sufitem.

Nogi więźnia skuto w kostkach, więc nie mógł chodzić; długi łańcuch oplatał go w talii i łączył się z okowami na rękach. Osobnik był młody, ale nie wstał, gdy obrońca wszedł do celi. Zauważył, że ten brak uprzejmości uraził starszego mężczyznę.

Obrońca Iving Creel usiadł na ławie naprzeciwko Mereela. Nie marnując czasu na wstępny spytął:

- Jak mam cię bronić?

Mereela pozbawiono jego stroju Protektora. Ten szpetny mężczyzna nosił więzienne szarości z taką godnością, jakby to był najlepszy mundur. Nie odpowiedział od razu. Przyjrzał się najpierw obrońcy, jakby to nie on, a właśnie obrońca miał stanąć tego dnia przed sądem. Starszy pan patrząc na tego młodego mordercę poczuł przypływ irytacji.

- Jesteś Iving Creel - powiedział w końcu więzień. - Słyszałem o tobie. Jesteś dość sławny - dodał z niemiłym uśmiechem. - Jak masz mnie bronić? Jakkolwiek, byłeś nie wmawiał mi skruchy.

Creel zerknął na niego z ukosa.

- Czy ty rozumiesz powagę sytuacji, chłopcze? Zabiłeś człowieka.

- Zasłużył na to.

- Zostaniesz skazany na wygnanie. Wypędzą cię...

- Wtedy zawsze będę mógł wstąpić do Akademii Imperialnej - stwierdził Mereel. - Mam nadzieję, że uda mi się tam namieszać...

- Wypędzą cię albo skazą na śmierć! - przerwał mu obrońca. - Starczy, że ich rozżościsz. Naprawdę tak trudno ci przyznać, że żałujesz niesłusznego czynu?

- Owszem, przykro mi - przyznał Mereel. - Bardzo żałuję, że nie zabiłem go rok temu. Bez niego galaktyka stała się lepszym miejscem.

Obrońca przyjrzał się chłopakowi i pokiwał głową.

- Niech będzie po twojemu. Wybrałeś. Dopóki nie zacznę wystąpienia, możesz jeszcze zmienić

strategię obrony. Pomyśl o tym. Za morderstwo innego Protektora grozi ci więzienie albo wygnanie. Owszem, kasał swój mundur, ale nie powinieneś sam wymierzać mu sprawiedliwości. Taka arogancja może stać się powodem twojej zguby. Zanim dzień się skończy, możesz nie żyć.

- Lepiej nie przywiązywać się za bardzo do życia - uśmiechnął się młodzieniec. Obrońca miał to dziwne skrzywienie ust zapamiętać do końca życia. - Wszyscy muszą umrzeć.

Minęło kilka lat.

Cel był młody, o wiele młodszy niż sugerowano to wcześniej łowcy, który przyjął imię Fett. Stwierdził, że to jeszcze prawie chłopiec. Samo w sobie nie było to żadnym problemem, Fett zajmował się już młodszymi dziećmi. Krótco po opuszczeniu szeregow szurmowców przyjął kontrakt na czternastolatka, który zhańbił córkę pewnego bogatego biznesmena. Gość był wyjątkowo mściwy. Większość ojców na większości planet nie posunęłaby się do tego, by kazać zabić chłopca za podobny czyn. Większość łowców odrzuciłaby zresztą podobne zlecenie.

Nie Boba Fett. Dla niego istniała tylko jedna, niezmienna moralność. Moralność całkowicie niezależna od prawa, które na każdej planecie wyglądało inaczej. Dostarczył chłopca oprawcom i nigdy tego nie żałował.

Nie żałował również teraz, gdy stał w tylnych rzędach Forum Zwycięstwa w Mieście Powolnej Śmierci na planecie Jubilar i przyglądał się przygotowaniom do regionalnych mistrzostw Czwartego Sektora w wolnych zapasach.

Forum Zwycięstwa było wielkie i słabo oświetlone. Nazwę zawdzięczało wynikowi poprzedniej wojny planetarnej; jeszcze niedawno nazywało się całkiem inaczej i Fett nie miał wątpliwości, że niebawem znowu zostanie przechrzczone. Obecna wojna nie przebiegała najkorzystniej dla tubylców. Jubilar była kolonią karną wykorzystywaną przez pół tuzina najbliższych światów. To, do której armii trafiał nowo przybyły skazaniec, zależało tylko od tego, w którym porcie kosmicznym wylądował.

Rzędy siedzeń opadały ku pięciokątnemu ringowi. Między Fettem a ringiem było tych rzędów aż dwieście. Chociaż do głównej walki zostały już tylko minuty, publiczności wciąż jeszcze przybywało. Na razie Forum było wypełnione tylko w połowie; zajęto najwyżej dwadzieścia tysięcy miejsc. Widzami byli głównie mężczyźni.

Fett bez pośpiechu skupił mnożnik hełmu na ringu i jego okolicach. Przygotował się w duchu, że będzie musiał jakoś przeczekać tę walkę.

Młody Han Solo przyglądał się, jak porządkowy Bith czyści ring z krwi pozostałej po poprzedniej walce i zastanawiał się, jak trafił do tego szamba.

Właściwie nawet się nie zastanawiał, bo pamiętał całkiem dobrze, co go tu przywiodło; raczej żałamywał ręce nad własną głupotą. Chyba mu odjęło rozum, że tak dał się zrobić... Razem z trzema innymi zawodnikami stał w tunelu, patrzył na splukiwane z krwi maty i obiecywał sobie w duchu, że jeśli wyjdzie z tego w jednym kawałku, nauczy się wszystkich możliwych sztuczek; tak się wyszkoli, by nikt nigdy nie zdołał go już złapać.

Chociaż z drugiej strony... skąd miał wiedzieć, wędrując z planety na planetę, że na tamtej zabitej dechami prowincji oszukiwanie w grze w karty należy do zbrodniczych wykroczeń?

- Zbrodnicze wykroczenie... - mruknął pod nosem i spojrzał w górę. W jego polu widzenia znalazła się twarz stojącego obok zawodnika.

- Za co trafiłeś na Jubilar? - spytał. Mężczyzna spojrzał na niego ze sporej wysokości.

- Zabiłem parę osób - odparł niespiesznie. Han odwrócił wzrok.

- Jasne... ja też - skłamał. - Zabiłem masę ludzi.

- Zamknąć się - warknął ciężko uzbrojony strażnik stojący za zawodnikami.

Chwilę potem co innego przykuło uwagę Hana. Wychylił się trochę i spojrział w prawo, w górę.

Ten gość w szarej zbroi... chyba obserwował ring.

Boba Fett nie patrzył na ring, ale na młodego przedsiębiorcę imieniem Hallolar Voors, który siedział przy ogrodzeniu ringu pomiędzy dwiema pięknymi i wyzywająco ubranymi kobietami. Miał zginać, zanim zdąży skorzystać z wdzięków obu dam.

Mimo młodego wieku Han Soło miał już niejaki doświadczenie.

- To mandaloriańska zbroja. Kto... Resztę słów zagłuszył narastający ryk tłumu.

- Już pora, wypierdki - wrzasnął strażnik za ich plecami. - Ruszać się, diabelski pomociu! Dalej, grzeszne syny!

Z miejsca wysoko nad ringiem Boba patrzył na wychodzących z tunelu zawodników. Było ich czterech, tak jak podobno zwykle w wolnych zapasach. Skierowali się ku czterem narożnikom, w piątym stanął sprawozdawca. Poczekał cierpliwie, aż zawodnicy się rozbiorą i zajmą miejsca. Forum drżało od ryku dwudziestu tysięcy gardel.

Umieszczone wzdłuż ogrodzenia ringu moduły medialne miały przekazać obraz walki na całą planetę.

Trzech zawodników pasowało do miejsca. Byli rośli i zdrowi, a udział w rozgrywkach stanowił dla nich najpewniej jedyną alternatywę wobec poboru. Czwarty... Fett popatrzył na niego ze zdumieniem. Lorneta powiększyła twarz chłopca; zdawał się patrzeć prosto na niego. Zwiększył kąt widzenia i okazało się, że naprawdę patrzy. Wbijał wzrok w Fetta; nie odwracając głowy rozebrał się niespiesznie. Cały czas patrzył w mrok, poza krąg światła... Pozostali zawodnicy roz-grzewali się w swoich narożnikach.

Chłopiec był młody, nie starszy zapewne od dzisiejszego celu Fetta. Zła noc dla młodych, porywczych i pełnych nadziei, pomyślał łowca. Sprawozdawca przeszedł na środek ringu i uniósł ręce. - Doszliśmy do finału! - krzyknął, a jego głos zadudnił nad głowami widzów. - Oto reguły walki: żadnych ataków na oczy, żadnych i ciosów w gardło ani w krocze. Żadnych prób zabójstwa. Wszystko inne DOZWOLONE! - Zamilkł na chwilę, a publiczność prawie oszalała. - Ten, kto utrzyma się na nogach, będzie dziś zwycięzcą!

Zszedł z ringu, a Fett nie mógł odwrócić spojrzenia. Chociaż wcale nie zamierzał śledzić walki, patrzył wciąż na młodzieńca, który konsekwentnie udawał nieustraszonego. Podobnie jak innym widzom, Fettowi nagle przyspieszył puls... Czekał na opuszczenie proporca, co miało być sygnałem do rozpoczęcia walki.

Były takie chwile, gdy łowca szczególnie cenił życie. Nie był przecież jeszcze stary. Niekiedy zaś, w wyjątkowe wieczory, takie jak dzisiejszy, życie wręcz mu się podobało. Uśmiechnął się lekko pod hełmem. Dobrze jest być w taki wieczór młodym, porywczym i pełnym nadziei, pomyślał przewrotnie.

Granatowy proporzec zjechał z masztu. Trzech osiłków ruszyło na młodzieńca...

- To przyprawa - powiedział Boba Fett.

- Tak, szanowny Fetcie - odparł jego cel, Hallolar Voors. - To przyprawa. Osiemnaście pojemników. Jeśli się zdecydujesz, możemy dostarczać takie partie dwa razy na kwartał.

Fett pokiwał głową, jakby go to naprawdę obchodziło. Niedługo po walce Voors poprowadził go uliczką zabudowaną opuszczonymi magazynami. Uliczka nazywała się Zaulek Kata i mieściła się na

skraju slumsowatych przedmieść Miasta Powolnej Śmierci. Pomysłowość tubylców co do nazewnictwa nie zrobiła na Fecie szczególnego wrażenia, ale musiał przyznać, że byli konsekwentni.

Voors zamienił kobiety na dwóch dyskretnie uzbrojonych ochroniarzy, którzy teraz deptali im po piętach.

- W tym sektorze handel przyprawą kontrolują od lat Huttowie - zauważył Fett. - Jak udało się panu znaleźć niezależne źródło?

Vorrs uśmiechnął się do łowcy, chociaż ten wcale na niego nie patrzył. Wewnętrzny wyświetlacz hełmu odtworzył wiernie nie tylko uśmiech; pokazywał całe otoczenie. Pole widzenia skanerów obejmowało trzysta sześćdziesiąt stopni. Fett zastanowił się, czy Voors wie o tej funkcji hełmu, czy może uśmiecha się tylko z przyzwyczajenia. Cóż, uśmiech miał całkiem miły.

Mandaloriańska zbroja peszyła wszystkich, ale Fett już wcześniej odkrył, że ludzie o wiele bardziej się go boją, gdy rozmawiając z nimi patrzy im w oczy. Jeśli uważają, że nie wie, co dzieje się wokół niego, to tym lepiej.

Vorrs nie wyglądał Fettowi na kogoś, kto wie cokolwiek o możliwościach mandaloriańskiego sprzętu bojowego. Młody człowiek prezentował się dość banalnie: syn bogatego biznesmena, ciemnowłosa, czarujący przystojniaczek w kosztownym ubraniu, z wystudowanym uśmiechem. Tyle, że na swoje nieszczęście zaczął nieświadomie grać w niewłaściwej lidze.

- To prywatne źródło - odpowiedział Fettowi. - To chyba wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat.

Fett pokiwał głową. W sumie nieważne.

Chwilę potem weszli do dużego, jasno oświetlonego i prawie pustego magazynu. Przystosowane do mroku skanery hełmu przełączyły się automatycznie na mniejsze nasycenie obrazu. Fett cały czas widział okolicę tak wyraźnie, jak w pełnym świetle.

Na środku pomieszczenia stały trzy rzędy po sześć pojemników w każdym, pękatych, wysokich jak pół dorosłego mężczyzny. Fett wskazał jeden z nich.

- Otwórzcie ten.

Ochroniarz stojący za Fetem spojrzał na Voorsa, który skinął głową. Światła w magazynie zmieniły barwę na czerwoną; zwykle białe światło uaktywniało przyprawę. Strażnik podszedł do pojemnika, przyklęknął i chwycił za dwie klamry, które przytrzymywały pokrywę. W ten sposób Fettowi został za plecami tylko jeden ochroniarz, po lewej stronie.

Łowca przysunął się do pojemnika i zajrzał. Zawartość wyglądała jak przyprawa. Nabral garść.

- Zamknij i zapal normalne światła.

To rzeczywiście była przyprawa. Fett rozsypał ją na pokrywie pojemnika. Zaczęła jarzyć się i mienić... ożyła. Lewa ręka łowcy musnęła jeden z ćwieków, otwierając pojemnik z gazem paralizującym, i płynnym ruchem uniosła się wyżej, na spotkanie prawej dłoni. Zdjął rękawicę i uniosł prawą dłoń w górę.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebym ją powąchał? Prawdziwa przyprawa ma miły, ostry zapach...

Vorrs zerknął na ochroniarzy.

- Skoro nalegasz...

Fett podniósł teraz obie ręce, jakby chciał zdjąć hełm. Zobaczył, że tamci trzej zastygli w oczekiwaniu. Jeszcze jedna z dobrych stron tej zbroi: zdjęcie hełmu było samo w sobie niezłym przedstawieniem. Zamarł z dłonią na kryzie.

- Chciałbym ci zadać pewne pytanie - powiedział nagle i dłoń lekko opadła. - Czy sumienie ci czasem nie dokucza?

Vores spojrzał na niego zdumiony.

- Żartujesz? W związku z przyprawą?

- Czy sprzedaż przyprawy nie wywołuje u ciebie wyrzutów sumienia? - spytał raz jeszcze Fett, trochę niewyraźnie, jak zwykle gdy mówił wspólnym.

- Przecież to nie uzależnia - odparł po chwili wahania Vorr. - Ma ważne zastosowania medyczne...

Ochroniarz najbliżej Fetta zamrugał, potrząsnął głową i znów zamrugał.

- Nie uzależnia, ale często skłania do sięgania po ciężkie narkotyki. To ci nie przeszkadza?

Voors zaczerpnął głęboko powietrza i ryknął:

- Nie, nie przeszkadza! Moje sumienie... - Urwał, zamknął raptownie usta i znów je otworzył, jakby chciał mówić dalej.

Ochroniarz za Fetem był najmniej wystawiony na działanie gazu. Łowca odwrócił się, złapał lewą ręką blaster i zastrzelił mężczyznę, gdy tamten sięgał po broń. Trafił w żołądek. Ochroniarz nie wypuszczając blastera poleciał do tyłu. Fett zrobił krok i strzelił drugi raz, tym razem w szyję.

Odwrócił się ku pozostałym. Żyli jeszcze, oczywiście, ale obaj się przewrócili. Fett stał i patrzył, a sensory hełmu wychwytywały ich gasnące funkcje życiowe. Jabba zapowiedział, że zechce zobaczyć odczyty. Fett po raz pierwszy przyjął zlecenie od Jabby, ale znał Huttów i wiedział, że za tak dokładny obraz śmierci przeciwnika na pewno dostanie ekstra premię.

Wciągnął z powrotem rękawicę. Wystawiona na działanie gazu ręka zdrętwiała mu już do łokcia.

Gdy drgawki ofiar ustały, Fett podszedł bliżej, by zrobić kilka dobrych ujęć. Pochylił się, chcąc uzyskać lepszy kąt. Blady ochroniarz zaczął już sinieć, ciemnoskóry Voors okrył się purpurą. Spomiędzy zębów wystawał mu nabrzmiały język. Fett pomyślał, że ten obraz spodoba się Jabbie.

Po chwili wyprostował się i cofnął o kilkanaście kroków od pojemników. Sięgnął po miotacz ognia, zapalił dyszę i skąpał plastikowe kanistry w płomieniach.

Jabba nie zapłacił mu wprawdzie za zniszczenie przyprawy, ale nie zapłacił też za jej zachowanie. Pewne rzeczy warto było robić nawet za darmo. Gdy pośrodku hali utworzyło się smoliste, dymiące bajoro, Boba Fett, który miał siebie za dobrego i sprawiedliwego człowieka, wyłączył miotacz, przypiął dyszę na plecach, obrócił się na pięcie i wyszedł cicho z budynku. Od razu zniknął w mroku cichej i obiecującej ciekawą przyszłość nocy.

Minęło piętnaście lat.

„Niewolnik I” wisiał z wyłączonymi silnikami i tarczami nad ekliptyką układu Hoth, dokładnie na wysokości pasa asteroid. Pobór mocy na pokładzie był minimalny, a Boba Fett czekał cierpliwie. Tak długo wpatrywał się w ten fragment systemu, aż przekonał się, że naprawdę przechytrzył imperialnych.

Jeśli domysły Fetta były słuszne, gdzieś tam w dole, na planecie Hoth, mieściło się centrum dowodzenia rebeliantów. Sama Rebelia łowcy nie obchodziła; od dawna miał ją za poronione przedsięwzięcie, którego kres jest tylko kwestią czasu. Jak i kiedy przejdzie do historii, tym Fett nie zamierzał się martwić. To już ból Imperium. Fetta interesowała w tej chwili sprawa o wiele skromniejsza, ale też bardziej dochodowa.

Tam, gdzie byli rebelianci, tam był też najpewniej Han Solo.

Nadprzestrzenny komunikat imperialnych był krótki i rzeczowy. Zapowiadał zniszczenie centrum

rebeliantów i ogłaszał, że każdy łowca, który pomoże wyłapać uciekinierów z Hoth, otrzyma w nagrodę piętnaście tysięcy kredytów.

Piętnaście tysięcy nie wystarczyłoby Fettowi na półroczne pokrycie kosztów własnych, ale skoro chodziło o rebeliantów...

Jabba podwyższył niedawno nagrodę za Hana Solo do stu tysięcy kredytów. Była to szóstą pod względem wysokości suma, jaką oferowano kiedykolwiek łowcom, w każdym razie tak wynikało z wiedzy Fetta. Owszem, Solo nie mógł jeszcze się równać z Rzeźnikiem z Montellian Serat, który wart był rekordowe pięć milionów kredytów, ale i tak dobijał do coraz lepszego towarzystwa.

Fett przetestował nastawione na największą rozdzielczość skanery na powierzchni Hoth i polecił kompowi obudzić go, gdyby gdzieś tam pojawił się „Sokół Millenium”.

Siedząc w pełnej zbroi w fotelu pilota, z hełmem na kolanach, zamknął oczy i szybko zasnął.

Obudził go nadprzestrzenny alarm.

Otworzył oczy i ogarnął spojrzeniem przyrządy. Z Hoth dobiegał słaby, zanikający sygnał, który mógł być tylko zwykłym echem szumów tła. Ale to nie były szумы tła, chociaż nie był to również obiekt, który miał włączyć alarm kompa.

Z nadprzestrzeni wychodziła flota wielkich jednostek. Wyglądały na gwiazdne niszczyciele. A więc Imperium. Fett sprawdził ich pozycje i zaklął w rodzimym języku. Hoth leżało pomiędzy nim a tą flotą. Ale z was głupcy, pomyślał. Gdyby imperialni dysponowali podobnym oprzyrządowaniem jak on, zaskoczyliby rebeliantów w łóżkach.

Ktoś zawałił sprawę. Znając Vadera, Fett był pewien, że ten ktoś niebawem opuści najlepszy ze światów.

Fett zrobił tylko to, co mógł zrobić w tej sytuacji. Śledząc jednym okiem przebieg bitwy, włączył silniki i przybliżył się do Hoth.

Widział, że gdy „Sokół” będzie opuszczał planetę (o ile tam jest, oczywiście), wystrzeli jak z katapulty i Fett będzie miał tylko jedną okazję do ataku.

Zajął pozycję ponad płaszczyznę ekliptyki i czekał. Na razie nie działo się nic nadzwyczajnego, ale Fett dawno już się nauczył, że największą cnotą łowcy jest cierpliwość. Uwikłanie się w walkę nic by mu nie dało. Z powierzchni planety biły salwy dział jonowych, pod ich osłoną startowały co chwila rebelianckie frachtowce. Wyrываły się z pola grawitacyjnego planety Hoth i znikwały w nadprzestrzeni. Z tej odległości nawet czułe skanery „Niewolnika I” nie były w stanie rozpoznać o wiele więcej poza przybliżonymi rozmiarami i zarysem statków. Niewiele, ale i tak był pewien, że „Sokół Millenium” jeszcze nie wystartował. Jego dane Fett miał zakodowane w głowie, jak mało które.

Kolejna fala frachtowców, eskadra myśliwców, znowu frachtowce... I jeszcze raz to samo, i znowu...

Działa zaczęły strzelać nieregularnie; imperialni musieli wyłączyć część z nich. Fett czekał, wyłamując palce. Frachtowce były już daleko, czasem tylko mignął jeszcze jakiś myśliwiec, ale wciąż ani śladu...

Jest!

To był „Sokół”. Chyba, żeby komp miewał halucynacje. Palce Fetta zatańczyły na kontrolkach. Silniki ożyły i „Niewolnik I” ruszył w pościg. Komp obliczał kurs, a Fett miał nagle kilka rzeczy do zrobienia naraz. Musiał włączyć instalację ściągającą i przednie tarcze, ustalić sposób przechwycenia... A wszystko w najwyższym pośpiechu, żeby dopaść „Sokoła”, zanim wejdzie w

nadprzestrzeń i ujdzie zagłady od chętnych do ćwiczeń strzeleckich imperialnych...

Fett zaklął głośno. Już drugi raz tego dnia. Nie złapie ich...

„Niewolnik I” mknął ponad systemem z najwyższym możliwym przyspieszeniem, ale wykres kursowy pokazywał wyraźnie, że jest bez szans. Hoth była zimnym światem, leżała w sporej odległości od macierzystego słońca i jej prędkość ucieczki była mniejsza niż w przypadku większości światów zamieszkanymi przez ludzi. „Sokół” mógł uciec w nadprzestrzeń praktycznie w każdej chwili.

Szczególnie, że na ogonie siedział mu gwiazdny niszczyciel i chyba całe skrzydło myśliwców TIE, a pierwsza zasada łowców nagród głosiła: nie ma nagrody tak wysokiej, by warto było za nią umierać. Niszczyciel i myśliwce zasypywały „Sokoła” ogniem, wiązki laserów co chwila ocierały się o burty. Gdyby Fett podszedł dość blisko, żeby przechwycić statek promieniem ściąającym, oberwałby fatalnie.

Jeszcze chwila...

Jednak coś szło nie tak. „Sokół” nie skakał.

Fett sprawdził raz jeszcze jego trajektorię. Wszystko się zgadzało. Odczyty grawimetru w normie, wektory ustawione, nic nie przeszkadzało w skoku.

Chyba że to awaria hipernapędu, pomyślał Fett i chwilę później wiedział już, że ma rację. „Sokół” wykonał nawrót...

... i skierował się prosto w pas asteroid.

Fett wyłączył silniki i patrzył biernie, jak statek Hana nurkuje w niebezpieczny obszar. To był desperacki manewr i Fett nie miał żadnego powodu, by go powtarzać. Nie chciał pchać się między te ruchome góry z żelaza i kamienia.

Sto tysięcy kredytów poczeka na lepsze czasy. Martwemu nic po pieniądzach.

Fett pochylił się na przyrządami i pomyślał, że imperialni popisali się dzisiaj iście konkursową głupotą.

Myśliwce pogoniły za „Sokołem”.

Fett oparł się wygodnie i pokręcił głową. Widać żaden z tych ludzi nie słyszał nigdy o czymś takim, jak analiza kosztów.

Po dłuższej chwili skierował skanery z powrotem na wnętrze systemu. Bez trudu odszukał nietypową sylwetkę „Egzekutora”, flagowej jednostki Dartha Vadera.

Nawiązał łączność z niszczycielem, odebrał zgodę na podejście i ruszył w jego kierunku.

Zaprowadzono go przed oblicze Vadera.

Lord Sithów stał na mostku i patrzył na pobojuwisko. Na czarnym niebie za jego plecami zimno jaśniały gwiazdy. Nie spojrzął na Fetta, nie marnował czasu na powitania, tylko od razu przeszedł do rzeczy. Jego niski głos zdawał się wydobywać raczej z maszyny niż człowieka.

- Skąd wiedziałeś? - spytał.

Fett nie odpowiedział od razu. Rozejrzał się wokoło. Obsada mostka zdawała się całkiem pochłonięta obowiązkami, albo też skutecznie udawała zajęta. Od początku nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nie po raz pierwszy Fett poczuł coś na kształt podziwu dla dowódczych talentów Vadera.

- Twoi ludzie mi powiedzieli - odparł po chwili. - Wyznaczyli nam spotkanie w przestrzeni międzygwiazdnej. Wiedziałem, że pojawisz się z całą flotą gdzieś w pobliżu tego punktu. Przejrzałem mapy tej okolicy. - Wzruszył ramionami. - Jedna planeta jest za gorąca, druga za zimna, trzecią Lando Calrissian zajął na kopalnię gazu. Zostawała tylko Hoth.

- Widzę, że naprawdę dobrze znasz te strony. - Fett nie przypuszczał, by Vader oczekiwał odpowiedzi, więc się nie odezwał. Gospodarz nadal na niego nie patrzył, ale pokiwał głową, jakby jednak coś chciał usłyszeć. - Niebawem przybędą inni łowcy. Gdy będzie komplet, urzędzą odprawę.

Fett zrobił krok do przodu.

- Ile?

Vader milczał przez dłuższą chwilę.

- Ci, co uciekli, nie obchodzą mnie. Za Solo... sto pięćdziesiąt tysięcy. Tyle samo za Leię Organe. Będzie z nim. - Odwrócił lekko głowę. - Bez zabijania.

Eskorta dała znak, że koniec audiencji. Fett wzruszył ramionami i pozwolił się wyprowadzić z mostka. Vader był trudnym klientem; zawsze życzył sobie żywego towaru, ciała czy zdjęcia ciała go nie interesowały. Po wypadku przy pierwszym zleceniu zawsze powtarzał Fettowi: „Żadnego zabijania”.

Po odprawie konkurenci wrócili pod eskortą na pokłady swoich statków.

Konwojent Fetta czuł się mocno nieswojo w jego obecności, co dosyć bawiło łowcę. Okręt Vadera był potężny, Fett nigdy nie widział większego. Nigdy dotąd nie był też w środku. Przejazd wewnętrznym ciągiem pneumatycznym z mostka do hangaru, gdzie czekał „Niewolnik I”, zajął całe pięć minut. Fett nie był w nastroju do rozmowy, szczególnie z niskim rangą imperialnym oficerem.

Wyszli z kolejki i skierowali się do statku. W połowie drogi imperialny zdobył się na pytanie.

- Mówią, że jesteś ulubionym łowcą lorda Vadera.

Fett zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na mężczyznę. Nie spuszczał z niego oczu tak długo, aż tamtemu zrobiło się niewyraźnie.

- Tak - odpowiedział i ruszył dalej tak szybko, że imperialny musiał za nim podbiec.

Albo był wyjątkowo głupi jak na oficera, albo ciekawość wzięła w nim górę nad strachem, dość że mimo wyraźnej sugestii nie zszedł z tematu.

- Powiadają, że znasz swój cel, tego Hana Solo, kumpla Skywalkera, który wysadził Gwiazdę Śmierci. Mówią, że go znasz.

Fett nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. W końcu odezwał się niechętnie:

- Widziałem go raz w trakcie walki.

- Jakiej walki?

Z jakiegoś powodu Fett miał ochotę o tym opowiedzieć.

- To było dawno temu. Brał udział w mistrzostwach wolnych zapasów na Jubilar. Był młody - dodał ku własnemu zdziwieniu. - Stawał w układzie trzech na jednego. Ale dał radę. Widziałeś kiedyś zapasy na Jubilar?

Oficer pokręcił głową.

- Nie słyszałem nawet o tej planecie.

Fett czuł się, jakby słuchał kogoś innego, kto snuje opowieść. Słowa same ulatywały mu z ust.

- Wpuszcza się czterech zawodników na ring. Zwykle tej samej rasy, żeby było uczciwie. - Łowca uśmiechnął się przelotnie na wspomnienie tych walk. Po raz pierwszy od lat zdarzyło mu się uśmiechnąć, ale nawet tego nie zauważył. - No, bardziej uczciwie. Zwykle trzech zawiera na samym początku sojusz, żeby wyeliminować najsłabszego. Tak zrobili z Solo. Był młody. Pobili najsłabszego do nieprzytomności, a potem zwrócili się przeciwko sobie. Ostatni, który utrzymał się na nogach, został zwycięzcą.

- Pobili go do nieprzytomności? Hana Solo?

Fett zatrzymał się i spojrzął z ukosa na mężczyznę. Niewielki gest, ale imperialny odwrócił głowę od ciemnego wizjera.

- I wygrał - wypalił łowca. - Nie widziałem w życiu wielu aktów podobnej odwagi. - Zamilkł na chwilę. - Z przyjemnością go odłowię.

Oficer wyraźnie poczuł się wytrącony z kontenansu.

- Tak... tak właśnie myślałem.

Fett potrząsnął głową, jakby budził się ze snu, i ruszył ponownie w kierunku statku. Szedł jakby trochę szybciej.

Od lat nie odbył równie długiej rozmowy, która nie dotyczyłaby interesów.

Następnych parę miesięcy przeleciało jak jedna chwila, a gdy już minęły, Boba Fett był najstłynniejszym łowcą nagród w całej galaktyce.

Był to czas pełen zdarzeń, które w pamięci Fetta zlały się wszystkie w jeden ciąg. Solo ukrył „Sokoła” wśród wyrzucanych z pokładu niszczyciela śmieci, których chmurę opuścił tuż przed skokiem i uciekł imperialnym zgromadzonym wokół Hoth. Sprytna sztuczka, która zmyliłaby większość łowców.

Konkurenci dali się na nią nabrać, ale Boba Fett wiedział już o co chodzi. Starczyło, że raz już ktoś zwiódł go w ten sposób. Po wielu latach praktyki mało było takich sztuczek, których jeszcze by nie znał. Wiedział też, że w okolicy jest tylko jedna planeta, na którą „Sokół” mógł polecieć z niezbyt sprawnym hipernapędem. Fett udał się czym prędzej do Chmurnego Miasta i dogadał się z Landem Calrissianem, by ten wydał Solo.

Gdy poszukiwanego już zatopiono w karbonicie, Fetta wziął bryłę na pokład i poleciał na Tatooine. Tam Jabba zapłacił mu za zdobycz i za kilka miesięcy poświęconego na poszukiwania czasu, o wielu niewygodach nie wspominając. Zapłacił mu nie obiecane sto tysięcy kredytów, ale całe ćwierć miliona...

Niedługo potem zaczęli zjawiać się w pałacu wybawcy. Pierwsza była Leia Organa, który udając łowcę nagród przybyła z Chewbaccą na smyczy. Udało się jej uwolnić Hanę Solo z karbonitu, ale co zamierzała dalej, tego Fett za żadne skarby nie umiał się domyślić. Zresztą cokolwiek to miało być, i tak nie wyszło. Hutt wpakował Solo z Chewbaccą do lochu, a Leia spędzała odtąd dni na łańcuchu u stóp Jabby.

Fett leżał na łóżku w swojej ciemnej kwaterze głęboko w czeluściach pałacu Jabby. Leżał i patrzył w ciemność. Nie zdjął zbroi, tylko hełm położył na piersi. Prąd powietrza z wentylatorów owiewał go cyklicznymi falami.

Ktoś załomotał ciężko do drzwi.

Fett usiadł, włożył hełm i uniósł broń. Zrobił to odruchowo, w ogóle nie myśląc o obronie. Nadusił przycisk przy framudze, odsunął się kilka kroków od drzwi i wycelował karabin. Nie włączył oświetlenia.

- Wejść!

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. W progu stało dwóch gamorreńskich strażników. Fett obniżył nieco lufę.

- Czego chcecie?

Jeden ze strażników odsunął się i wepchnął do pokoju ludzką postać. Palec Fetta zacisnął się odruchowo na spuście, ale nie do tego stopnia, by strzelić.

- Od Jabby - chrząknął strażnik. - Możesz się zabawić.

Fett sięgnął jedną ręką za siebie i zapalił światło. W białym blasku lamp ujrzął Leię Organę, księżniczkę Alderaanu.

Pozbierała się szybko i wycofała w kąt pokoju. Oddychała ciężko. Fett pomyślał, że musiała walczyć ze strażnikami, którzy ją do niego prowadzili.

- Jeśli mnie dotkniesz... - powiedziała łamiącym się głosem. - Jeśli mnie dotkniesz, jedno z nas zginie.

Opuścił powoli broń i rozejrzał się po pokoju. Nie miał tu wiele, cały jego skromny dobytek pozostał na pokładzie „Niewolnika I”. W końcu wskazał na cienkie prześcieradło leżące na łóżku.

- Zakryj się. Nie zamierzam cię dotykać.

Organa przysunęła się do łóżka, pochyliła i złapała prześcieradło. Owinęła się nim jak mogła, by uzupełnić braki w skromnym stroju, który kazał jej nosić Jabba. Potem znów wcisnęła się w najbardziej odległy od Fetta kąt pomieszczenia.

- Nie zamierzasz?

Fett pokręcił głową. Powoli usiadł w przeciwległym kącie i położył sobie broń na kolanach. Musiał poruszać się ostrożnie, w ostatnich latach kolana zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa.

- Seks bez ślubu jest niemoralny - powiedział.

- Aha - mruknęła Leia. - Tak samo gwałt. Fett przytaknął.

- Tak samo gwałt.

Zapadła miła dla łowcy cisza. Dyskretnie obserwował dziewczynę, która usiadła na podłodze. Pilnowała przy tym, by prześcieradło cały czas szczelnie ją otulało. Fett uznał jej skromność za godną pochwały, ale nie odwrócił spojrzenia. Nigdy nie zdarzyło mu się trzymać kobiety w ramionach, a przyipywy pożądania zdarzały się z wiekiem coraz rzadziej. Zresztą mimo ascezy nie czuł się wcale niepełnym mężczyzną, a ona warta była spojrzenia, szczególnie teraz, wciąż jeszcze zarumieniona od szarpaniny, z ciemnymi włosami spływającymi na białe prześcieradło.

Poprawiła je znowu i wcisnęła się głębiej w kąt, żeby tak nie marznąć.

- Nie zamierzasz zawołać strażników, by zabrali mnie z powrotem do Jabby?

- I obrazić gospodarza? Chyba nie. Ciebie rzuciłby rancorowi, na mnie zaczęłby patrzeć krzywo.

Wrócisz rano.

Oddech jej się uspokoił.

- No to sobie posiedzimy. Przez całą noc.

- Kamienie są zimne. Jeśli chcesz, możesz skorzystać z łóżka.

- A ty po prostu będziesz tam siedział - stwierdziła Leia, nie kryjąc sceptycyzmu. - Całą noc.

- Nie skrzywdzą cię. Nie dotknę. Jeśli chcesz, możesz spać. Jak nie, to nie. Nie moja sprawa.

Znów zapadła cisza. Fett przyglądał się kobiecie, która oparła się o kamienną ścianę. Patrzył, jak się uspokaja i jak obserwuje z kolei jego.

Czas mijał. Boba Fett nie zamknął oczu, ale prawie drzemał. Nagle ocknął się, słysząc jej podniesiony głos.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego dla nich walczysz?

Fett poruszył się i wyprostował nogi, ale karabin na jego kolanach ani drgnął.

- Dla pół miliona kredytów - odparł. - Tyle łącznie otrzymałem od Vadera i od Jabby.

- Chodzi tylko o pieniądze? Zapłacimy ci. Pomóż nam się stąd wydostać, a zapłacimy ci...

- Ile?

- Wyobraźnia ci się skończy.

Fett poczuł się rozbawiony jej śmiałością. Próbowwała przekupić go w samym sercu pałacu Jabby...

- Mam bardzo bujną wyobraźnię.

- I tak będziesz zadowolony.

Byłoby okrucieństwem robić jej nadzieję.

- Nie. To, co robisz, jest moralnie naganne. Rebelianci uczynili zły wybór. Rebelia upadnie.

Powinna upaść.

- Moralnie naganne? - spytała z niedowierzaniem Leia. - To my zrobiliśmy zły wybór? Walczymy

o spokojne domy dla naszych rodzin i bliskich, walczymy za tych, którzy jeszcze żyją i tych, którzy zginęli. Imperium zniszczyło moją planetę, całą planetę, zabiło dosłownie wszystkich, których znałam w dzieciństwie...

Fett pochylił się lekko w jej stronę.

- Te światy wznieciły powstanie przeciwko legalnej władzy. Imperator ma wszelkie prawo je zniszczyć. Zagrożają sprawiedliwości i istnieniu cywilizacji. - Zamilkł na chwilę. - Przykro mi z powodu śmierci niewinnych, ale takie rzeczy zdarzają się na wojnie. Wojnie, którą wy rozpoczęliście.

Przerwał nagle. Gardło rozboleło go od tego gadulstwa.

Jego słowa najwyraźniej odebrały mowę księżniczce. Na kilka długich minut odwróciła głowę ku kamiennej ścianie. Gdy znów się odezwała, mówiła cicho i nie patrzyła na łowcę.

- Trudno mi uwierzyć, że naprawdę możesz tak myśleć. Luke powiedział mi kiedyś... wiesz, Luke Skywalker, musiałeś o nim słyszeć... opowiedział mi kiedyś o ciemnej stronie Mocy...

Ku własnemu zdziwieniu Fett roześmiał się głośno.

- Wierzysz w te przesady rycerzy Jedi? Nie spotkałem się nigdy z żadnym dowodem istnienia Mocy. Wątpię, by cokolwiek takiego istniało.

Spojrzała na niego.

- Przypominasz trochę Hana Solo. On też nie wierzył...

- Nie mam nic wspólnego z Solo - odparł gniewnie Fett. - Nie porównuj mnie z nim.

Leia westchnęła głęboko.

- Dobra. Czemu się tak obruszyłeś? Fett znów się pochylił.

- Wiesz, co ten człowiek robił w życiu? Nie obchodzą cię lojalni obywatele Imperium, których on i ty zabiliście podczas wzniesienia Rebelii? Ale zgoda, wojna to wojna, a ty przynajmniej uważasz, że walczysz o sprawiedliwość. Ale Solo? Jest odważny, owszem, ale jest też najemnikiem, który nigdy nie zrobił ani jednego dobrego uczynku, nigdy nie podjął się niczego, za co nie otrzymałby zapłaty. Przemyczał zakazane substancje...

- Tylko przyprawę!

- Przyprawa jest nielegalna! - krzyknął Fett. - Wywołuje euforię, zmienia samopoczucie i prowadzi zwykle do nadużywania silniejszych stymulantów. Ktoś, kto przemycza przyprawę, gotów jest przemyczać wszystko! - warknął łowca i wstał wzburzony. - Gdybym używał przyprawy, zapewne nie byłabyś taka bezpieczna w moim pokoju, księżniczko!

- Han przemyczał przyprawę - powtórzyła spokojnie Leia. - Przyprawa jest nielegalna i taka działalność to żaden powód do dumy. Przewoził też alkohol, który jest legalny, ale wysokie akcyzy sprawiają, że warto go przemyczać na rozmaite światy. Zgadza się, Han nie jest doskonały i jestem pewna, że łamał nawet takie prawa, o których nigdy nie słyszałeś. Ale ja go znam i widziałam, jak

nie raz i nie dwa ryzykował wiele w imię swoich przekonań. Wątpię, żebyś ty był zdolny podjąć podobne ryzyko. A swoją drogą, jak to się stało, że pracujesz dla Jabby?

Fett odetchnął i rozluźnił zaciśnięte na karabinie palce. Zmusił się, żeby usiąść z powrotem. W kolanach strzyknęło mu przy tym boleśnie.

- Płaci mi. Dużo mi płaci. Gdy przybędzie Skywalker, zabiorę go do Vadera i nie będę już musiał tu więcej zaglądać.

- Nie o tym myślę. Jabba sprzedał w życiu całe góry przyprawy i wiele innych, jeszcze gorszych rzeczy...

- Czasem konieczność zmusza nas do dziwnego wyboru sojuszników. Gdy Rebelia się zakończy, Imperium pewnie poradzi sobie z Jabba. Na razie jest mniejszym zagrożeniem niż rebelianci.

Fett odwrócił karabin i dotknął kolbą kontrolki oświetlenia. Sensory hełmu błyskawicznie przystosowały się do ciemności. Ujrzał wyraźną sylwetkę Lei w podczerwieni.

- Teraz zamierzam spać - powiedział. - Gardło mnie już boli. Na chwilę zapadła cisza.

- Niebawem zjawi się tutaj Luke Skywalker - dobiegło go z ciemności. - Zabije cię.

- Wszyscy muszą umrzeć - zgodził się Fett. - Ale nikt nie zapłacił mi, żebym cię zabił... więc śpij spokojnie.

Zasnął nie zdejmując hełmu, z otwartymi oczami.

Jedi, o którym była mowa, przybył następnego dnia. Trudno wprawdzie orzec, czy naprawdę był rycerzem Jedi, ale nazywał się Luke Skywalker i zabił rancora Jabby. Potem trafił do lochu, do celi obok Solo i Chewbacki.

Kolejny ranek wstał jasny i pogodny, jak zwykle na Tatooine. Tutaj wszystkie ranki były jasne, pogodne i upalne.

Boba Fett obudził się jednak w podłym nastroju.

Hutt zamierzał zabić Skywalkera. I Solo, i Chewbackę. Całkiem bez sensu.

Fett najbardziej gryzł się losem Skywalkera. Próbował wyperswadować Jabbie ten pomysł. Nie, żeby pragnął ocalić ofiarę; uważał wręcz, że galaktyka skorzysta na śmierci tego gołowaśa, który próbował grozić Jabbie w sali tronowej jego własnego pałacu. Fett widział już wiele idiotyzmów, ale wyczyn Skywalkera awansował prawie na szczyt listy.

Chodziło o to, że Jabba przestał się zachowywać jak ten Jabba, którego Fett znał od wielu lat. Przecież Darth Vader gotów był zapłacić za tego głupca. Sam Imperator też chętnie by zapłacił... Największa ustanowiona dotąd nagroda wynosiła pięć milionów kredytów, ale Fett był pewien, że Luke Skywalker przyniósłby więcej.

Jabba nie chciał o tym słyszeć. Nie interesował go udział w nagrodzie. Nie zareagował nawet na propozycję, by wziął ją sobie prawie całą, a Fettowi zapłacił tyle, ile daje się pośrednikowi. Skywalker zabił jego ukochanego rancora i miał zapłacić za to głową.

Zdarzały się już Fettowi takie dni, kiedy gotów był przysiąc, że jest jedynym zdrowym na umyśle człowiekiem interesu w całej galaktyce.

Sprawa nie dawała mu spokoju. Snuł scenariusz za scenariuszem, ale żaden nie wyglądał dość obiecująco. Myślał, jak wyrwać Skywalkera z rąk Jabby, ale brakowało mu czasu, a straż w pałacu zawsze była dość czujna. Nawet kilka milionów kredytów nie było sumą dość wielką, by ryzykować.

Krażył więc po górnym pokładzie barki Jabby i zupełnie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Chwila egzekucji Skywalkera, Solo i Chewbacki zbliżała się wielkimi krokami, a on ciągle nie wiedział, co zrobić. Nic nie przychodziło mu do głowy. Tymczasem załoga podniosła żagiel i skierowała barcę ku

jamie Carcoona, gdzie zamierzano wtrącić skazanych.

Z pewnym zdumieniem uświadomił sobie, że życzy Hanowi Solo lekkiej śmierci. Kilka lat wcześniej widział, jak Jabba wrzucił do jamy kilku własnych strażników, których przyłapał na spiskowaniu. Dał im szansę wyblągania życia. Dwóch spróbowało, ale Jabba i tak posłał ich potem sarlaccowi na pożarcie.

Fett wiedział, że Chewbacca nie zniży się do próśb. Miał nadzieję, że Han Solo pójdzie w jego ślady.

Może Skywalker zacznie skamleć. To by było nawet interesujące.

Stał na dziobie i patrzył na piasek znikający pod kilem. Tutaj nie było już absolutnie nic, poza pustynią, bezkresnym morzem diun.

Zastanawiał się od niechcienia, który z nich zabił więcej ludzi. On czy Jabba? Jabba handlował przyprawą, więc pewnie on. Chociaż gdy policzyć śmierci zadane własnoręcznie, to raczej ja, pomyślał.

W końcu ujrzał wielką jamę Carcoona. Humor nie poprawił mu się ani na jotę, ale zszedł z górnego pokładu na pokład widokowy, by wraz z innymi obejrzeć wymierzanie sprawiedliwości...

... i wielomilionowy akt marnotrawstwa zarazem.

Dzień zaczął się źle, ale potem było jeszcze gorzej. Zanim zapadł zmierzch, barka padła ofiarą płomieni, Jabba zginął, a Boba Fett wpadł do wielkiej jamy Carcoona na żer sarlaccowi.

Owszem, wyszedł. Z tego, co było mu wiadomo, nikt przed nim nie dokonał tej sztuki, by uciec sarlaccowi.

Zanim jednak doszedł do zdrowia (na ile to było możliwe, oczywiście), w galaktyce zaszło sporo brzemienych w skutki wydarzeń. Fett wrócił do świata, który zgodnie z jego wcześniejszymi przekonaniem nie miał prawa zaistnieć.

Minęło piętnaście lat.

Albo inaczej:

Darth Vader zginął. Rozstał się z życiem także Imperator. Imperium upadło, a w jego miejsce nastąpiła Nowa Republika. W ludzkiej skali czasu piętnaście lat wystarczy, żeby nowe dzieci wyrosły na nastolatków, nastolatki stały się dorosłymi ludźmi i same dorobiły się własnych dzieci. Niektórym długowiecznym rasom wydało się, że minęła tylko krótka, mało znacząca chwila; u innych, krótko żyjących istot dojrzały przez ten czas, zestarzały się i umarły całe pokolenia.

W sektorze galaktyki, o którym Boba Fett nigdy nie słyszał, eksplodowała nova. Zagładzie uległ cały świat pełen inteligentnych stworzeń. Szum powstał z tego mniejszy niż po zagładzie Alderaanu dziesięć lat wcześniej. Większość mieszkańców galaktyki ledwie coś usłyszała o tragedii; Fett nigdy się o niej nie dowiedział. W galaktyce, która liczyła ponad czterysta miliardów gwiazd i w której żyło ponad dwadzieścia milionów inteligentnych gatunków, takie rzeczy po prostu musiały mieć miejsce.

Niedobitki Imperium powstały przeciwko Nowej Republice i zostały pokonane. Luke Skywalker przeszedł na ciemną stronę i powrócił, jak zdarzyło się to już paru Jedi w wielotysiącletniej historii zakonu.

Leia Organa wyszła za Han Solo i urodziła mu troje dzieci.

Na Tatooine pijany Devaronijczyk imieniem Labria zabił czterech najemników i zniknął.

Łowcy znanemu jako Boba Fett przybyło lat.

Na Coruscant, która była niegdyś po kolei stolicą Starej Republiki i centrum Imperium, a teraz

została wybrana na stołeczną planetę Nowej Republiki, w Imperialnym Pałacu, gdzie mieściły się również apartamenty osób z kręgów władzy, Han Solo usiadł na skraju łóżka i wykrzywił wargi w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Nie, nie polecę. Podpisywanie paktów mnie nudzi, a poza tym gdy ostatni raz byłem na Laro, ten drań Gareth próbował mnie oszukać.

Leia stanęła przed nim z założonymi rękami. Najwyraźniej była oburzona.

- A ty odplaciłeś mu tym samym!

- Ale lepiej. Powinien dziękować losowi, że trafił akurat na mnie - zaznaczył Solo, celując palcem we własną pierś. - Poza tym w latach mojej młodości udowodnione oszukiwanie w karty było zbrodniczym wykroczeniem i nierzadko za to wieszali.

- To nieprawda - odparła Leia bez wielkiego przekonania. Han znał ją dość długo, aby wiedzieć, że oszukiwanie przy grze w karty nie mieściło się w ramach oficjalnego wychowania, które otrzymała jako księżniczka. Nie mogła więc mieć większego pojęcia o konsekwencjach podobnego procederu.

- Wręcz przeciwnie - zagrzemiał Han. - Tak czy owak, król Gareth miał szczęście, że nie zdarzyło mu się nic gorszego niż to, na co mnie naraził. I to jest najważniejsze. Nie wiem, jak możesz oczekiwać ode mnie, że polecę tam, i powiem mu w oczy: „Przykro mi, wasza nieuczciwa wysokość, że potrafię oszukiwać w karty wasz majestat”.

Leia westchnęła.

- Wolalabym, żebyś nie używał tak sobie na rodzinach królewskich. Ostatecznie ja...

- Ty jesteś adoptowana - powiedział szybko Han. Uśmiechnęła się mimo woli.

- Więc nie lecisz?

- Mam zafundować sobie dwa tygodnie dyplomatycznej nudy?

- Jesteś pewien, że będzie nudno?

- Ostatnim razem było okropnie nudno. Tylko jeden wieczór okazał się zabawny.

- Nie sądzę, by Gareth zechciał znowu sięść z tobą do kart.

- No to tym razem wszystkie wieczory byłyby do niczego. Leia znów westchnęła.

- Nie lecisz?

- Nie lecę.

- Myślałam, żeby zabrać dzieci. Są już dość duże i przydałoby im się trochę doświadczenia w świecie dyplomacji...

- To z pewnością bezpieczne - przyklasnął Han. - O ile nie umrą z nudów.

- Mogłabym zostawić ci Threepio, żeby...

- Chcesz zostawić go ze mną? Czym zasłużyłem na taką karę? Leia musiała mocno się postarać, by stłumić śmiech.

- Dobra. Jego też wezmę.

Han Solo spojrział na nią i wyszczerzył zęby.

- Tak to lubię.

- Tylko żebyś po powrocie nie musiała szukać cię w więzieniu.

- Ejże - zachnął się. - Do kogo ta mowa?

Zadzwonił do Luke'a.

- Cześć, stary - powiedział, gdy nad aparatem pojawiło się holo przyjaciela. - Co robisz dziś wieczorem?

Luke uśmiechnął się radośnie. - Han! Jak się miewasz?

- Świetnie. Słuchaj, Chewie poleciał do domu i nie wróci jeszcze przez parę tygodni, moja żona wyjechała z dziećmiakami...

- Na Shalamite - przytaknął Luke. - Zgadza się. Czemu nie wybrałeś się z nią?

- ... więc pomyślałem - ciągnął Han, nie dając się zbić z tropu - że moglibyśmy coś zorganizować. Wiesz, kłopoty to nasza specjalność...

Luke pokręcił głową.

- Nie mogę, Han. Grupa senatorów zaprosiła mnie na obiad... Możesz się oczywiście do nas przyłączyć.

- Dzięki, wolę już kłopoty - jęknął Han. Luke wyszczerzył zęby.

- Nie zalewaj. Wiesz, że nie mogę odwołać udziału w takim obiedzie. Poza tym, jesteśmy na Coruscant. Robimy tu za dwóch najbardziej znanych facetów całej planety. Gdzie zamierzasz szukać tych kłopotów?

- Ostatnim razem mi się udało.

- I przesiedziałeś w więzieniu dwa dni, zanim nie przekonalesz ich, że ty to ty. Leia odchodziła od zmysłów.

- To prawda - przyznał Han. - Ale Leia jest teraz poza planetą. Zanim wróci, kolejny pobyt w więzieniu stanie się już tylko miłym wspomnieniem.

Luke roześmiał się.

- Chodź ze mną na ten obiad. Rozerwiesz się.

- Wśród senatorów? Wolę już dentystę...

- Wiesz co... - Luke ściszył głos. - Mógłbyś pomyśleć o zajęciu miejsca w senacie.

- Bez znieczulenia marne szansę...

- Wybraliby cię jednogłośnie.

- I wywalili po miesiącu.

- Dlaczego?

Han zastanowił się chwilę.

- Za łapówki - stwierdził.

- Przecież byś ich nie brał - stwierdził spokojnie Luke.

- To by zależało od sumy.

- Han, co cię gryzie? Pytanie zaskoczyło Hana Solo.

- Nic.

Luke wpatrzył się w niego badawczo.

- Nie mówisz prawdy. Albo sam jej do siebie nie dopuszczasz. Nie jestem pewny...

Han poczuł się nieswojo pod tym świdrującym spojrzeniem.

- Nie wiem. Może to przez wyjazd Chewiego...

- To nie to.

Han zerknął na Luke'a.

- No... rzeczywiście niezupełnie. Wiesz... sam nie wiem ostatnio, dokąd zmierzam. Mam żonę i dzieci, kochają mnie i ja ich kocham. Ale to jest też pewien problem. Jestem teraz tatuś i szanowny małżonek. Opowiadam anegdotki podczas uroczystych obiadów...

- Bardzo dobrze ci to wychodzi - wtrącił spokojnie Luke. - Takie rzeczy...

- ... ale gdy ktoś spytał mnie niedawno, jak to było kiedyś, gdy zajmowałem się przemytem, i

chciałem opowiedzieć o dawnych, dobrych dziejach, to stwierdziłem nagle, że nic nie pamiętam. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przedzierałem się przez imperialną blokadę, jaki ładunek wtedy wiozłem, jak to się skończyło.

- Tym ostatnim ładunkiem byłem ja, Ben i androidy. Han spojrzał na niego zaskoczony.

- Masz rację... tak było. - Uśmiechnął się odruchowo. - Dobra, powiedzmy że nie pamiętam, kiedy ostatni raz zarobiłem na tym jakieś pieniądze...

Luke uniósł głowę i spojrzał gdzieś ponad aparat.

- Han, goście zaczynają się schodzić. Naprawdę nie przyjedziesz? Mimo wszystko Han poczuł niejaką pokusę, żeby...

- Nie... Nie dzisiaj.

Luke pokiwał głową.

- Zajrzę jutro, dobra?

- Dobra, chłopcze. Potem pogadamy. Luke znowu się uśmiechnął.

- Han...

- No?

- Han, jestem teraz starszy niż ty byłeś w dniu, gdy się spotkaliśmy - powiedział, a jego uśmiech był teraz jakby inny. Han nie bardzo wiedział dlaczego. - Świat się zmienia. Nie możesz tego powstrzymać ani zawrócić biegu czasu. - Han odniósł dziwne wrażenie, że Luke próbuje go wybadać. W końcu jego przyjaciel pokiwał głową. - Jutro pogadamy. To na razie.

Holo zniknęło.

Ten chłopak z każdym dniem robi się coraz bardziej podobny do Obi-Wana, pomyślał Han Solo.

Potem spróbował skontaktować się z Calrissianem i trafił na nagranie.

„Przepraszam, ale jestem chwilowo nieosiągalny. Interesy zmusiły mnie do przedłużenia podróży, odezwę się jak tylko wrócę”.

- Mówi Han. Chłopie, jesteś mi winien czterysta kredytów. Odbiorę, jak się spotkamy.

Żeby to, pomyślał Han. Lando już trafił na jakieś kłopoty.

Późnym wieczorem znalazł się w hangarze, gdzie trzymał „Sokoła”.

Ciemność rozjaśniały tylko nieliczne lampy sufitowe, z doków dobiegał przytłumiony łoskot towarzyszący rozładowywaniu frachtowca.

Nikt nie pytał Hana o nic, nikt nie zainteresował się, co tu robi. Przeszedł przez hangar, jakby był u siebie.

Bo też prawie tak było.

Stał przy konsoli i włączył pełne oświetlenie hangaru. Cztery zespoły jupiterów skąpały „Sokoła” w blasku. Statek lśnił bielą. Nigdy jeszcze, od kiedy Han go miał, nie był taki czysty. Został niedawno starannie pomalowany, otrzymał unowocześniony napęd i niemal całkowicie nowe uzbrojenie.

Dysponował teraz nawet kompletem części zamiennych.

Han zastanowił się przelotnie, ile to mogło kosztować. Za wszystko płaciła Nowa Republika. Han nigdy nie widział na oczy żadnego rachunku.

Siadł na fotelu pilota i włączył rozruch systemów. Wprawdzie nie zamierzał startować, chciał tylko popatrzeć na niebo.

Kopuła hangaru pękła na dwoje i odsunęła się na boki, a platforma startowa wyjechała z wolna na górę.

Han rozejrzał się wkoło.

Aż się zdumiał, jak bardzo samo wejście na pokład poprawiło mu humor. Ten statek był przez wiele lat praktycznie jego domem. Tyle, że teraz fotel obok był pusty. Nie, żeby nigdy pusty nie był. Han poznał Chewiego, gdy był już całkiem dorosły. Przedtem, gdy zmarli jego rodzice i nie było jeszcze Wookiego, przez lata zasiadał sam w kabinie.

Nie miał wtedy nikogo.

Czasem zastanawiał się, nie za często oczywiście, ale jednak, co powiedziałyby jego rodzina, gdyby mogła zobaczyć, do czego doszedł. Gdy był młodszy, nigdy o tym nie myślał. Rodzice kochali go, chociaż bez wątpienia ich zawiodł. Nie dożyli lepszych czasów Hana Solo.

Zwykle zauważa się istotne zmiany, ale nie zawsze. Czasem zmiany mają powolny przebieg, ogarniają cię jak przyływ, tak że prawie nie dostrzegasz, że coś się zaczyna lub odchodzi.

Kiedy indziej jednak...

O tym akurat Han myślał dość często. Im bardziej oddalały się tamte chwile, tym częściej je przywoływał: Gwiazda Śmierci nadlatywała, by zniszczyć bazę rebeliantów, zabić buntowników, zdławić powstanie. Wziął Chewiego i „Sokoła” i wyleciał z takim wyliczeniem, żeby zdążyć...

Chewie był wściekły bez dwóch zdań. On chciał walczyć. Siedzieli razem na pokładzie; Wookie się nie odzywał. Wyliczając trajektorię skoku Han zrobił wtedy nie jeden, a dwa błędy. W końcu uzyskał namiar, ale nie mógł już skoczyć.

- Dobra, dobra, lećmy im dołożyć! - wrzasnął w końcu na Wookiego. Był przekonany, że zginą.

Teraz, siedząc w tej samej kabinie prawie dwadzieścia lat później, zastanowił się, jakby wszystko się potoczyło, gdyby Leia zginęła. I Gdyby zginął Luke. Jego dzieci nigdy by się nie narodziły. Imperium nadal władałoby galaktyką, a on i Chewie wędrowaliby od świata do świata, starając się zawsze wyprzedzać o krok imperialnych i łowców nagród.

Nie, pomyślał. Wcześniej czy później ktoś by mnie dopadł. Boba Fett, IG-88, ktokolwiek. I nie byłoby nikogo gotowego ratować mnie z rąk Jabby.

Dwadzieścia lat...

Przez cały ten czas nieustannie powracało wspomnienie chwili, gdy o mało co nie uciekł, zostawiając Leię i Luka na pewną zgubę. Czasem budził się w nocy, zlany zimnym potem.

Najgorsze było tak blisko...

Gdyby jego rodzice żyli, chyba byłiby z niego dumni. I wcale by ich nie dziwiło, że mało brakowało, a wszystko poszłoby całkiem inaczej.

Mari'ha Andona zobaczyła światełko zgłoszenia i włączyła komunikator.

- Wieża kontrolna.

- Mówi generał Solo - usłyszała i skrzywiła się lekko. Han Solo bez wątpienia miał prawo do tego tytułu, ale Mari'ha pracowała w kontroli lotów sektora dość długo, by wiedzieć, że szanowny bohater wyrażał się tak tylko wtedy, gdy coś kombinował.

- Zamierzam przelecieć się „Sokołem”. Uda mi się wybłagać zgodę na start?

- Tak, sir. Port przeznaczenia?

- Na razie żaden.

- Słucham? - spytała spokojnie Mari'ha. - Jaki?

- Żaden. Nie wiem jeszcze, gdzie polecę.

Mari'ha westchnęła i spojrzała na ekran ukazujący statki poruszające się w obrębie sektora. Było ich tak wiele, że żaden człowiek nie miałby szans samodzielnie nimi pokierować.

Android coś znajdzie, pomyślała. Jej mechaniczny pomocnik zawsze dawał sobie radę, ale od dawna żywił niechęć do generała Solo; od czasu gdy wiele lat temu...

- Z czym problem, panienko z wieży?

- To potrwa kilka minut - rzuciła do mikrofonu. - Mój android cię nie lubi.

- Daj mi tylko wolny korytarz odlotu i ścieżkę startową. Jak nie, to osobiście zjawię się w wieży i zaczaruję cię na śmierć. Chwytasz?

- Chwytam, generale. - Skończyła już układać plan odlotu i przekazała go androidowi. Potem musiała jeszcze kilka razy wydawać polecenie „ominać”, gdy maszynka zgłaszała kolejne obiekcje. - Mam... Przekazuję. Miłej podróży, generale. Proszę latać nisko i powoli.

- Tylko nie tęsknij za mną za bardzo, kochanie. Żadna frajda. Wyłączam się.

Niedługo potem nad pulpitem Mari'hy, po prawej, pojawiło się pomniejszone do jednej szóstej holo jej przełożonego.

- To niezwykle - rzucił z oburzeniem. - Czy generał Solo podał plan lotu?

- Nie.

- Przepuszczalny czas powrotu?

- Nie.

- A port przeznaczenia? - zaskrzeczał przełożony.

- Nie znam. Ale nigdzie w obrębie systemu. Dwadzieścia minut temu wszedł w nadprzestrzeń.

Jak to czasem dziwnie się w życiu układa.

Zaczynając karierę łowcy nagród Bobba Fett nie słyszał nawet o Tatooine. A jednak ta mała pustynna planeta stała się częścią jego życia. Przez lata ciągle na nią wracał. Tutaj mieścił się pałac Jabby, a jak się potem okazało, również Luke Skywalker wychował się na Tatooine.

Tutaj też przeżył najgorsze chwile całego życia, gdy wpadł do paszczy sarlaccy.

Dwa lata temu Tatooine znów stała się ważna dla łowcy. Czterech najemników, w tym dwóch Devaronijczyków, weszło do kantyny w mos Eisley. Jeden z nich rozpoznał wśród gości Rzeźnika z Montellian Serat. W każdym razie zdawało mu się, że rozpoznał; mógł się mylić. Wskazany przez niego stary Devaronijczyk natychmiast zabił wszystkich czterech najemników i zniknął z Tatooine, nim ktokolwiek zdążył wziąć go na spytaki.

Ale Fettowi udało się wytropić gościa. Dotarł za nim aż na Peppel, świat prawie tak samo odległy od Coruscant, jak Tatooine.

Jego cel, Kardue'sai'Malloc, Rzeźnik z Montellian Serat, wart był pięć milionów kredytów. Całkiem porządna emerytura.

Boba Fett nie był już tym samym człowiekiem, co kiedyś. Stracił prawą nogę, od kolana w dół zastępowała ją proteza. Wymagał nieustannej opieki medycznej, powstrzymującej rozwój trawiącego organizm nowotworu. Dni spędzone w brzuchu sarlaccy zmieniły jego metabolizm i uszkodziły komórki rozrodcze. Gdyby nawet chciał, nie mógł już mieć dzieci. Komórki tkanek nie zawsze regenerowały się tak, jak należało.

Nie mówiąc już o wspomnieniach, które wyniósł z jamy brzusznej potwora, gdzie pływał w toksycznej genetycznie zupie soków trawiennych. Nie wszystkie z tych wspomnień były jego własne.

Teraz leżał na brzuchu w zimnym błocie i czekał. Nie miał na sobie nic oprócz szortów, które włożył, aby przysłonić nieprzyzwoitą nagość. W dłoni trzymał łuk, kołczan miał przewieszony przez plecy, w skórzanej pochwie chował jeszcze nóż z krystalicznym ostrzem. Malloc, albo Labria, jak przedstawiał się przez kilkadziesiąt ostatnich lat, był osobnikiem wyjątkowo przebiegłym i bardziej

niebezpiecznym, niż ktokolwiek mógłby sobie wyśnić w najgorszych koszmarach. W mos Eisley cieszył się wątpliwą reputacją najgorszego kapusia w mieście. Gdy był pijany, nikt go nie szanował ani nikt się go nie bał. W każdym razie do dnia, gdy ni z tego, ni z owego zabił czterech najemników w kwiecie wieku.

Robiło się coraz ciemniej, ale Fett czekał, drżący i niespokojny. W jedynym oknie chaty zapaliło się światło. Proteza łowcy nie zawierała prawie metalu, ale trudno było odgadnąć, jakie systemy bezpieczeństwa zafundował sobie Rzeźnik wokół chaty. Bo jakieś były z pewnością. Fett ominął już druty-potykalce i kilka pułapek świetlnych. Centymetr po centymetrze przepelzał obok migających czujników.

Oczekiwał, że przed chatą będzie ich jeszcze więcej. Dlatego właśnie nie zabrał zbroi ani żadnej nowoczesnej broni.

Światło w chacie zgasło. Wewnątrz nie było kanalizacji. Zeszłego wieczoru Malloc wyszedł o tej porze za potrzebą, ale najpierw odczekał kilka minut na progu. Zapewne po to, by oczy przywykły mu do mroku.

Fett przewrócił się na plecy i nałożył strzałę. Łuk był kompozytowy i można było go zablokować w pozycji naciągniętej. Łowca przygotował broń i czekał.

Nie wiedział zbyt wiele o anatomii Devaronijczyków, chociaż przyjrzał się przekrojom w encyklopedii, by nie postrzelić Rzeźnika w niewłaściwe miejsce. Oby tylko nie załatwiali swoich potrzeb fizjologicznych raz na tydzień... Musiałby wtedy wymyślić coś innego.

Drzwi się otworzyły. Mieszkaniec chaty wyszedł na ganek ze strzelbą w dłoniach. Po chwili zrobił kilka kroków i skręcił za róg od strony Fetta. Łowca śledził go przez całą drogę do otwartej latryny, zwykłego dołu wykopanego dziesięć metrów od chaty. Począł, aż Malloc zdejmie co trzeba, ulży sobie i doprowadzi odzież do ładu.

Fett zamierzał schwytać poszukiwanego żywcem, a miał już do czynienia ze zbyt wieloma ofiarami, by próbować strzelać do kogoś, kto jeszcze się nie wysikał. I nie tylko wysikał. Trzeba było potem myć takiego gagatka i zwykle spadało to na osobę, której najbardziej na nim zależało.

Malloc wstał, odwrócił się od Fetta i dopiero wtedy dostał strzałę w górną część ramienia. Łowca zerwał się zaraz i pobiegł kulawo w kierunku ofiary, chociaż nogi protestowały bólem. Malloc zachwiał się, ryknął jęklonie, ale Fett był już przy nim. Padł na ziemię, by nie stanowić dobrego celu, błyskawicznie podtoczył się do Rzeźnika i jednym ruchem noża przeciął mu ścięgno udowe. Malloc padł na kolana. Ciągle próbował wyszarpnąć sobie strzałę z barku.

Fett pociągnął go do chaty i pchnął na ścianę. Teraz złapał Malloca za jeden z rogów, odciągnął mu głowę do tyłu i przystawił nóż do gardła.

- Jeden ruch, a zginiesz - wyszeptał chrapliwie.

W chacie cuchnęło.

Rzeźnik z Montellian Serat alias Kardue'sai'Malloc siedział oparty o ścianę i próbował rozluźnić więzy, które krępowały mu ręce z tyłu. Nie miał już strzały w ramieniu, ale rana ciągle krwawiła.

Wnętrze było całkiem przestronne, Fett aż się zdumiał. Wcześniej intrygowało go trochę, co też Rzeźnik może trzymać w środku, jednak głównie interesowała go broń zgromadzona do usuwania intruzów.

Broni jednak nie było. Rzeźnik dysponował tylko tą jedną strzelbą, z którą poszedł do klozetu.

Fett wiedział, że Devaronianie są mięsożerni, ale gdyby nawet wcześniej trochę o tym nie

poczytał, teraz mógłby przekonać się na własne oczy. Pod przeciwległą ścianą wisiały tusze z pół tuzina zwierząt, a w kącie piętrzyły się kości i skorupy, wszystkie niemal do czysta obrane z mięsa. Obok walały się dziesiątki pustych butelek.

W drugim kącie stał barłóg, na którym Malloc sypiał. Przy nim widać było kolejnych kilkadziesiąt butelek, tyle że pełnych. Wszystkie zawierały złoty merenzan.

Fett sprawdził w pierwszym rzędzie pulpit systemu bezpieczeństwa. Na ile się orientował, był to wyłącznie bierny system. Nie znalazł niczego, co mogłoby ostrzelać jego „Niewolnika IV”, gdy sprowadzi statek na polanę kilka kilometrów od chaty. Usatysfakcjonowany odwrócił się do zdobyczy.

- Wstań. Przejdziemy się trochę. Muszę wystawić radiolatarnię poza zasięgiem twoich czujników.

Malloc skrzywił się, ukazując ostre zęby. Był rostry jak na Devaronianina, czyli olbrzymi w porównaniu z człowiekiem.

- Nie. Chyba nie mam ochoty - powiedział we wspólnym. Władał nim bieglej niż Fett.

Fett zważył w ręce strzelbę gospodarza i wrzucił ramionami.

- Devaronianie są twardzi. Trochę o was wiem. Niełatwo doznajecie szoku, trudno was zabić. Albo pójdziesz, albo odstrzelę ci ręce i nogi, żebyś był lżejszy, i pociągnę cię tam, gdzie chcę. - Zamilkł na chwilę. - Wybieraj.

- Zabij mnie - odparł znużonym głosem Rzeźnik. - Nie pójdę.

- Zrobię ci coś o wiele gorszego - tłumaczył cierpliwie Fett. Lewe kolano pulsowało mu bólem, noga powyżej protezy paliła żywym ogniem. Nie miał ochoty wlec tego gościa całe dwa kilometry. Nawet w odchudzonej wersji.

Malloc oparł głowę o ścianę.

- Wiesz, co robisz, łowco nagród? Czy ty w ogóle wiesz, kim jestem?

Fett wystrzelił celując w ścianę tuż obok jego głowy. Na wilgotnym drewnie został tylko lekki ślad spalenizny, ale osobnik wreszcie na niego spojrzał.

- Słuchaj, jestem Boba Fett - powiedział. Młodemu pokoleniu poszukiwanych jego nazwisko nic już nie mówiło, ale Malloc znał je dobrze. Oczy mu się zaświeciły. To chyba strach, pomyślał łowca.

- Ty jesteś Kardue'sai'Malloc znany jako Rzeźnik z Montellian Serat i przedstawiasz wartość pięciu milionów kredytów. Żywy. Za martwego nikt nic nie da, więc nie skłonisz mnie żadnym sposobem, żeby cię zabił.

- Boba Fett - szepnął tamten i wpatrzył się w twarz łowcy. - Aleś ty brzydki... Słyszałem, że mnie poszukujesz.

Fett zaczynał mieć tego dość. Nie do wiary, ile się musi człowiek nagadać, żeby nie narażać się na ciągnięcie tego tłumoka całe dwa kilometry...

- Tak. A teraz trochę cię poprzypekam...

- Mówią, że jesteś uczciwy.

Przy dużej dozie dobrej woli można było to uznać za propozycję negocjacji.

- Co masz? Zbierze się tego za pięć milionów?

Malloc wpatrywał się w Fetta, jakby szukał czegoś w jego twarzy. Ale czego? Wciągnął powietrze i pokiwał głową.

- Tak. Na Mróz, mam coś takiego. Pięć milionów... spokojnie. Może więcej. To coś bezcennego, Fett...

- Co? - spytał niecierpliwie łowca.

- Kang - wyszeptał Malloc. - Maxa Jandovar, Jenet Lalasha, MiracleMeriko...

Fett rozpoznał ostatnie nazwisko i wiedział już, że ten idiota próbuje go okłamać.

- Meriko zmarł w imperialnej niewoli dwadzieścia pięć lat temu, durniu. Nagroda za niego wynosiła dwadzieścia tysięcy kredytów, a nie pięć mi...

- To muzyka! - wrzasnął Malloc i spojrzał przenikliwie na Fetta. - Muzyka, ty barbarzyńco! Mam muzykę Maxa Jandovara i Orin Mer-sai. I M'lar'Nkai'kambric - dodał i zaczerpnął głęboko powietrza. - Lubrics, Aishara, Dyll...

Zniechęcony Fett pokręcił głową.

- Nie, nie. Muzyka mnie nie obchodzi. Czy teraz wstaniesz, czy naprawdę będę musiał pozbawić cię członków i powlec?

Rzeźnik odchylił głowę i wpatrzył się w sufit. Światło odbiło się w jego oczach drapieżnika.

- Na Mróz - wyszeptał. - Ależ z ciebie ignorant. Nawet jak na człowieka. Są tacy, którzy płacą za muzykę, Fett. Mam jedyne zachowane nagrania sześciu najlepszych kompozytorów galaktyki. Imperium niszczyło muzyków i ich dzieła...

- Pięć milionów kredytów? - spytał uprzejmie Fett.

- Nawet więcej... - odparł Rzeźnik, ale wahał się o sekundę za długo.

Fett wycelował strzelbę w nogi Malloca.

- Negocjacje skończone. Mam swoje do zrobienia i wcale nie żartuję.

Malloc zamknął oczy. Zaczął mówić na ułamek chwili przed pociągnięciem spustu.

- Pójdę. Ale musisz mi obiecać trzy rzeczy. Po pierwsze, wykopiesz moje chipy z nagraniami. Skrzynka nie leży głęboko. To tutaj, obok domu. Gdy dostarczysz mnie już na Devaron, przekażesz te chipy wskazanej przeze mnie osobie. Sprzedasz je jej za tyle, ile ci zaproponuje. To po drugie. A ostatnie... - Spojrzał na butelki z trunkiem. - Weźmiemy sześć z nich. Będę ich potrzebował. - Zauważył, że Fett kręci głową. - To już nie są negocjacje, tępaku - rzucił ostrym tonem. - Strzelaj, jak chcesz, ale ostrzegam cię, zrobię co tylko w mojej mocy, żeby umrzeć w drodze na Devaron. Niewiele życia już się we mnie kołacze, łowco nagród.

Ten fach nie jest już taki jak kiedyś, pomyślał Boba Fett. Machnął strzelbą.

- Dobra. Wstawaj... I pokaż mi, gdzie zakopałeś tę swoją parszywą muzykę...

- Witamy w Śmierci, panie Morgavi. Ma pan coś do oclenia? Jak często mu się to ostatnio zdarzało, przynajmniej w kontaktach z ludźmi, Han Solo ocenił wiek stojącego przed nim w jasnym słońcu Jubilaru urzędnika służb celnych i pomyślał, że chłopak jest młodszy niż Luke Skywalker za czasów, gdy się poznali. Uśmiechnął się mimo woli.

- Nie, nie mam.

Chłopak spojrzał na „Sokoła”, potem znów na Hana. Wyraźnie było widać, że w jego głowie zaczynają lęgnąć się pewne podejrzenia.

- Całkiem nic?

Chociaż wiedział, że powinien zachować powagę, Han uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przykro mi, ale nie. Przyleciałem tylko w odwiedziny - powiedział dochodząc do wniosku, że celnik wziął go za przemytnika. - Myślałem, żeby wpaść do portowego baru. Rozumiem, że będziecie chcieli przeszukać mój statek.

Celnik wziął chyba jego uśmiech za rodzaj prowokacji.

- Tak, sir. Może poczeka pan... w barze. Zaraz zajmiemy się przeszukaniem. Chyba, że się pan

spiesz... - zawiesił głos.

Han Solo spróbował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz proponował celnikowi łapówkę. Nie pamiętał.

- Ostatni raz przemyślałem cokolwiek jeszcze za Rebelii - rzucił chłopakowi i skierował się do głównego terminalu. Po paru krokach zatrzymał się jeszcze i odwrócił. - Pod głównym pokładem jest kilka ładowni. Zostawiłem je otwarte. Postarajcie się niczego nie połamać, gdy będziecie do nich zaglądać, dobra?

Celnik dłuższą chwilę nie mógł oderwać oczu od jego oddalającej się sylwetki.

- Poproszę piwo - powiedział Han. - Koreliańskie, jeśli macie. Portowy bar był prawie pusty. W boksie w głębi sali siedziało paru

Gamorreańczyków, którzy grali w coś, co łączyło się z rzucaniem kośćmi; przy drugim końcu baru tkwił na stołku osobnik z kompletnie nieznanego Hanowi rasy i sączył coś, co nawet z tej odległości zalatywało amoniakiem.

Barman spojrział na Hana, pokiwał głową i sięgnął do kurków. Na ścianie przed barem wisiało długie lustro. Han przejrzał się w nim i pomyślał, że siwizna przydaje mu jednak pewnego dostojenia.

- Myślałem, że to Miasto Powolnej Śmierci, a nie Śmierć - powiedział, gdy barman postawił przed nim szklanicę ciemnego piwa. - Kiedy zmienili nazwę?

Barman wzruszył ramionami.

- O ile wiem, zawsze nazywało się Śmierć.

- Jak długo jesteś na planecie?

- Osiem lat.

- Za co?

Barman spojrział na niego uważnie.

- Posłuchaj mojej rady i nie zadawaj tu nikomu tego pytania - stwierdził i odwrócił się, kręcąc głową.

Han przytaknął ze zrozumieniem i siedział tak chwilę, sącząc piwo. Rozumiał człowieka. Nagle coś wpadło mu do głowy.

- Szefie!

Barman spojrział na niego.

- Jedno mnie jeszcze interesuje... - Urwał i rozejrzał się po prawie pustym barze, a potem nachylił się ku barmanowi. - Teraz, gdy zalegalizowali przyprawę... Co szmuglujecie w tych okolicach?

Podróż na Devaron trwała dość długo, by rana na ramieniu Malloca prawie zdążyła się zagoić, chociaż rana na nodze paskudziła się i żaden z posiadanych przez Fetta medykamentów zdawał się nie pomagać. Pozostawało mieć nadzieję, że zakażenie nie zabije poszukiwanego przed czasem.

Fett zawiadomił gildię o swojej zdobyczy. Normalnie by tego nie zrobił, ale też nikt nie płaci za normalnego poszukiwanego pięciu milionów kredytów. Przedstawiciel gildii miał czekać na niego na Devaronie.

Przez większość drogi łowca trzymał Rzeźnika w pokładowej celi.

Gdy do wyjścia z nadprzestrzeni zostały już tylko minuty, Fett zdecydował się ubrać. Nosił teraz nowy egzemplarz mandaloriańskiej zbroi. Tamten dawny został w jamie Carcoona. Mandaloriańskie uzbrojenie, chociaż rzadkie, było do dostania, tyle że trzeba było za nim pochodzić. Przez wiele lat

Fetta dobiegały pogłoski o innym jeszcze łowcy, który nosił taką samą zbroję. Nazywał się Jodo Kast. Wielokrotnie Fett irytował się z tego powodu, bo co jakiś czas zdarzało się, że ludzie próbowali go obwiniać za rozmaite poczynania Kasta.

W końcu, rok po ucieczce z żołądka sarlaccy, udało mu się odszukać Jodo Kasta. Owinął się bandażami i udał potencjalnego klienta. Własna gildia by go nie poznała. Zaproponował kontrakt, Kast przyjął ofertę i umówił się na spotkanie. Fett stawiał się na nim w swojej zapasowej zbroi. Szybko pozbawił uzurpatora zarówno mandaloriańskiego wyposażenia, jak i życia.

Zanim statek wychynął z nadprzestrzeni, Fett przyprowadził Rzeźnika do sterowni i posadził go na fotelu najbliższej śluzy. Malloc pocił się obficie i ledwo radził sobie z narastającym strachem. Już na początku podróży wypił aż pięć butelek swojego trunku. Szóstą Fett zachował na tę chwilę. Skuł mu nogi i unieruchomił prawą rękę, lewą jednak zostawił wolną, aby Devorianin mógł pić. Sprawdziwszy więzy, otworzył tę ostatnią butelkę i podał ją Mallocowi. Nie była to kwestia uprzejmości - gdyby Rzeźnik miał się szamotać podczas przekazywania władzom planety, to lepiej już niech się upije.

Przez całą drogę prawie nie rozmawiali. Teraz Malloc najpierw uniósł butelkę do ust, przełknął trzy albo cztery łyki i dopiero się odezwał.

- Ile jeszcze?

Fett spojrzał na przyrządy.

- Sześć minut do wyjścia. Dwadzieścia do połączenia z wahadłowcem, który weźmie cię na dół.

- Zamilkł na chwilę. - Jak się postarasz, to zdołasz opróżnić butlę.

- Wiesz, co ze mną zrobią?

- Rzucacie żywcem głodnym quarrom na pożarcie - powiedział Fett i znowu umilkł na moment. -

To udomowione zwierzęta służące do polowań. Wykorzystywanie ich do egzekucji jest podobno zasadniczym powodem, dla którego Devaron ciągle nie może przyłączyć się do Nowej Republiki.

Malloc przytaknął nerwowo i pociągnął następny łyk.

- Paskudny rodzaj śmierci. Widziałem to raz, gdy byłem chłopcem. Jak słusznie wspomniałeś, Devorianie mają twarde życie. Quarry sięgają najpierw do brzucha, bo to miękkie. Ale od tego się nie ginie. Mogą odgryźć ci uszy i rogi, wydłubać oczy, ale to też cię nie zabije.

Jak masz szczęście, rozdzierają ci szybko gardło. Trzeba wygiąć się w łuk i wystawić gardło na ich kły, wtedy może...

- A co przeskrobał tamten, którego widziałeś? - spytał Fett z czystej ciekawości.

Malloc wpatrzył się w złocisty płyn w butelce i szybko upił łyk.

- Nie wiem, czy da się to poprawnie wyrazić we wspólnym. Ale było tak: poszedł na polowanie w okresie wielkiego głodu i złapał zwierzynę, a potem zjadł wszystko sam. Podzielił się tylko ze swoim quarrem i nie przyniósł nic do wioski. - Spojrzał na Fetta. - A wiesz, co ja zrobiłem?

Łowca zerknął na przyrządy. Do wyjścia zostało już tylko parę minut, niech tamten gada.

- Tak.

- Byłem dobrym sługą Imperium. Moi pobratymcy wznieśli bunt. Mój oddział został wysłany, żeby ich wytropić. I zrobiłem to. Ścigaliśmy ich przez całą pomoc, aż dopadliśmy wszystkich w mieście Montellian Serat. Poddali się po dłuższym ostrzale...

Fett pokiwał głową.

- A gdy już się poddali, kazałeś ich zabić. Wszystkich siedmiuset.

- Imperialni kazali nam ruszać dalej, by wzmocnić lojalne oddziały walczące na południe od nas.

Nie pozwolili zostawić nikogo, by pilnował jeńców, a przecież nie mogliśmy puścić ich wolno.

- Ale nie kazali ci ich zabijać.

- Nie musieli - rzucił Malloc, obniżając poważnie poziom płynu w butelce. - Zabrało nam to prawie pięć minut. Zapędziliśmy ich na dziedziniec i strzelaliśmy tak długo, aż umilkły krzyki. Krzyczeli i krzyczeli... A ja wykonywałem rozkazy - dodał tonem skargi.

- Wiem.

- Podobno byłeś ulubionym łowcą Dartha Vadera.

- Tak.

- I gdzie twoja lojalność wobec dawnej służby? - spytał Malloc, któremu zebrało się widać na oburzenie. - Pracowałem dla Imperium, chłopie! Czy to nic nie znaczy? Fett zamyślił się na chwilę.

- Żałuję, że Imperium upadło - powiedział w końcu i pokiwał głową do wspomnień. - Tak - dodał cicho. - Wtedy lepiej mi się pracowało.

Rzeźnika ogarnęła rozpacz i beznadzieja. Oklapł, jakby Fett zdwoił grawitację na pokładzie „Niewolnika IV”. Wszyscy zatrzymani próbowali targować się do ostatniej chwili. Albo błagać. Niemal wszyscy też zadawali pewne pytanie, którego Malloc nie miał okazji jeszcze wypowiedzieć. Zrobił to teraz.

- Jak mnie znalazłeś?

Minuta do wyjścia. Fett wskazał na trzymaną przez Rzeźnika butelkę.

- Sprawdziłem sprzedaż złotego merenzana w sektorze, w którym znajduje się Tatooine. Słyszałem, że w barach mos Eisley piłeś go najchętniej.

Malloc spojrzał na niego z osłupieniem.

- Mówisz o tym bimbrze, który dawali na Tatooine? To nie był złoty merenzan, idioto. W takich barach nie podają merenzana, mają tylko butelki, które kiedyś może stały obok prawdziwych. Naprawdę nie znasz się na trunkach? - spytał z rozpaczą w głosie. - Nie masz żadnych ludzkich wad?

Fett pokręcił głową.

- Nie. Nie piję, nie stosuję używek. To obraza dla ciała.

- Więc złapałeś mnie, bo na Tatooine pijałem złotego merenzana... Fett, przez wszystkie lata spędzone na tym zadupiu wypłem tylko jedną szklaneczkę prawdziwego merenzana! - Malloc pokręcił z niedowierzaniem głową i uniósł butelkę. - We łbie się nie mieści, że dopadł mnie taki świętoszek, jak ty.

Przed dziobem rozjarzył się tunel nadprzestrzenny. Fett odwrócił się od Malloca i spojrzał na pulpit.

- A jednak. Nawet jeśli mi nie wierzysz.

Tak jak można się było spodziewać, Malloc rzucił w końcu butelką. System bezpieczeństwa rozbił ją jednym strzałem. Szklane odłamki zadzwoniły na hełmie Fetta, płyn zmoczył mu zbroję.

- Nie lepiej było wypić? - zapytał Fett, ale nie obejrzał się na więźnia. Nie chciał patrzeć na kogoś pogrążonego w czarnej rozpacz. Widywał już to tysiące razy.

Na orbicie Devaronu statek Fetta połączył się z wahadłowcem.

Pierwszy wszedł przedstawiciel gildii. Fett czekał na niego w głównym korytarzu, z karabinem w dłoniach. Wymierzył go we wchodzącą postać.

Przedstawicielem był Bilman Dowd, wysoki i chudy, starszy już łowca o surowym podejściu do życia i całkowitym braku poczucia humoru. Należał do gildii dłużej niż Fett, co było w obecnych czasach sporym osiągnięciem.

- Łowca Fett? - powiedział stosunkowo uprzejmym tonem.

- Dowd?

Przybyły obejrzał sobie Rzeźnika. Kardue'sai'Malloc siedział bez ruchu i patrzył wprost przed siebie. Wydawało się, że nie odnotował w ogóle obecności Dowda.

- Więc to jest Rzeźnik?

- Tak sędzę.

Dowd przytaknął i sięgnął do trzymanej w dłoni płytki z paroma kontrolkami. Dotknął jednej z nich i powiedział:

- Wchodźcie.

Śluz „Niewolnika IV” znowu zasyczała i na pokładzie pojawiło się czworo Devaronijczyków. Dwóch miało na sobie wojskowe mundury; nieśli karabiny z lufami wycelowanymi w podłogę. Trzecia była młoda miejscowa kobieta w złotej szacie i takim samym przybraniu włosów. Czwarta osoba nosiła podobny strój, jak kobieta, tyle że czarny, i była znacznie starsza. Zapewne w wieku Rzeźnika.

Cała czwórka zawahała się na widok mierzącego z karabinu Fetta.

Dowd skinął na kobietę i powiedział coś po devaroniańsku. Fett nigdy jeszcze nie słyszał tego języka: był gardłowy i pełen syczących spółgłosek. Cokolwiek się w nim powiedziało, brzmiało jak wyzwanie do walki.

Kobieta z nieruchomą twarzą podeszła do fotela Malloca. Fett związał przedtem jego lewą rękę, by nie próbował nikomu zrobić krzywdy. Uklękła przed nim i spoglądała na więźnia dość długo, z taką miną, jakby badała sztukę mięsa na targowisku. Skóra Rzeźnika przybrała sinawy odcień; Fett podejrzewał, że to typowa reakcja tej rasy na silny strach.

Kobieta wstała w końcu i pokiwała zdecydowanie głową. Powiedziała coś po devaroniańsku.

- Mówi, że to jej ojciec - przetłumaczył Dowd.

Fett przytaknął. Dlatego właśnie kilka lat wcześniej zmieniono brzmienie listu gończego z „żywy albo martwy” na „żywy”. Devaronianie obawiali się, że Rzeźnik mógł zbyt zmienić się z latami, by dało się bez wątpliwości rozpoznać jego trupa.

Starszy tubylec odezwał się w chropawym wspólnym:

- My zapłacić mu teraz.

Dowd wręczył mu swoją płytkę. Devaronianin położył na niej płasko dłoń i powiedział kilka słów. Potem przedstawiciel gildii wziął płytkę, stuknął po kolei w dwie kontrolki i podał ją Fettowi.

- Dostałeś zapłatę.

Sprawa była zbyt poważna, by Fett uwierzył komukolwiek na słowo. Cofnął się ze strzelbą w dłoniach i zerknął na bok. Umieszczone na skraju pulpitu hololące z Bankiem Gildii wyświetlało aktualny stan konta: 4. 507. 303.

Pięć milionów kredytów minus dziesięć procent prowizji gildii, plus siedem tysięcy trzysta trzy kredyty, które Fett miał przedtem na koncie. Interesy nie szły dobrze już od dawna.

Ulga, jaką łowca odczuł na ten widok, przewyższała wszystkie pozytywne wzruszenia, które nachodziły go przez ostatnie dziesięć lat. Teraz mógł sobie pozwolić na sklonowanie nowej nogi i nie będzie musiał kombinować, żeby starczyło na kurację przeciwrakową.

- Weźcie go - powiedział, prawie nie słysząc własnego głosu. - Jest wasz.

Mundurowi zwlekli Rzeźnika z fotela. Nie próbowali nawet udawać humanitarnego traktowania więźnia. Gdy doprowadzali go do pionu, krzyknął do Fetta we wspólnym:

- Obiecałeś! Pamiętaj!

Mijając łowcę spojrzął na niego wzrokiem szaleńca. Wleczony do śluzy odezwał się raz jeszcze:

- Zajmij się muzyką!

Po wyjściu tubylców Dowd spojrzął na Fetta z zaciekawieniem. Łowca siedział już w fotelu pilota. Strzelbę trzymał wycelowaną mniej więcej w kierunku przedstawiciela.

- Domyślam się, że teraz na emeryturę - powiedział Dowd. Fett wzruszył ramionami.

- Nawet o tym nie myślałem. Dowd pokiwał głową.

- O co chodziło mu z tą muzyką?

- Miał kolekcję nagrań. Powiedział, że uratował ją przed Imperium. Poprosił mnie, aby przekazał nagrania pewnej kobiecie, która zadba, żeby zostały opublikowane.

Dowd uniósł brwi.

- I zrobisz to?

- Obiecałem, że zrobię.

Dowd znów pokiwał głową.

- Dziwny jesteś.

Fetta nie poczuł się urażony tym określeniem. Dowd już wcześniej tak go podsumowywał, a przez dziesiątki lat spotkali się dość razy, by poznać się nieco nawzajem. Dowd sięgnął do kieszeni i Fett poruszył karabinem.

Przedstawiciel uśmiechnął się lekko.

- Mam dla ciebie chip z wiadomością. Przybyła aż z centrali gildii. Chcesz ją?

- Połóż chip na pokładzie i wyjdź - polecił Fett. - Jestem zmęczony.

Wiadomość była zaskakująca.

Napisano ją w kodzie tak starym, że Fett musiał wejść do archiwum kompa, żeby odszukać klucz. Z latami zwykł przekazywać swoim informatorom klucze kodowe opatrzone kolejnymi numerami. Ten sam numer występował zawsze na początku wiadomości. Ta nosiła nagłówek 00802, co oznaczało, że kontakt pochodził sprzed co najmniej dwudziestu pięciu lat. Numery obecnych kluczy lokowały się dobrze powyżej dwunastu tysięcy.

Odpakował klucz i rozkodował wiadomość.

Była bardzo krótka i głosiła: „Han Solo jest na Jubilarze - Incavi Larado”.

Boba Fett nie był gadatliwy. Jeśli gdzieś starczało jedno słowo zamiast dwóch, nie strzępił gęby. Do siebie nie mówił nigdy...

- Prawie głos z zaświatów - powiedział głośno.

Po drodze na Jubilar Fett postanowił posłuchać muzyki, którą Rzeźnik uważał za ważniejszą, niż własne życie.

W walizeczce, którą Malloc zakopał przed swoją chatą, mieściło się ponad pięćset infochipów. Na każdym została nagrana prawie doba muzyki. Fett otworzył walizeczkę i wybrał pierwszy z brzegu chip.

Wsunął go do odtwarzacza, ale dźwięki, które go otoczyły, okazały się przykre dla ucha. Atonalne, zgrzytliwe... Potrząsnął głową, wyciągnął chip i wziął następny.

Po włączeniu przez dłuższy czas głośniki pozostawały ciche. Fett czekał i czekał, aż w końcu, zniecierpliwiony, sięgnął by wyłączyć...

W tej samej chwili dźwięk osiągnął próg słyszalności. Fett zamarł w pół gestu i nastawił uszy. Szept urósł w szum wiatru pośród drzew, a potem róg zaznaczył swoją obecność w kontrapunkcie...

Fett opuścił rękę i ułożył się wygodnie w fotelu. Słuchał.

Melodię podjął głos, który wydawał się należeć do kobiety, ale równie dobrze mógł być głosem męskim albo wydobywać się z narządów mowy jakiegoś obcego dowolnej płci. Głos przemykał pomiędzy dźwiękami instrumentów i czarował, chociaż partia wokalna została napisana w języku, którego Fett nigdy nie słyszał i nie rozumiał.

Po paru chwilach ściągnął hełm.

- Wyłącz światła - polecił statkowi po kilku następnych minutach.

Siedział w chłodnej kabinie statku lecącego na Jubilar, gdzie miał nadzieję zabić Hana Solo, i słuchał w ciemności jedynej w całej galaktyce kopii nagrania legendarnego ostatniego koncertu Brulliana Dylla.

Pod błękitnym niebem davaroniańskiej północy, której widok ścigał Malloca przez ponad dwadzieścia lat w snach, zebrało się około dwudziestu tysięcy mieszkańców planety Devaron. Stali na Polu Sądu przed ruinami pradawnego, świętego miasta Montellian Serat, które Malloc w swoim czasie zniszczył ostrzałem.

Był piękny, zimowy dzień z łagodnym północnym wiatrem i chmurami przemykającymi wysoko po mroczniejącym niebie. Słońca wisiały nisko nad południowym horyzontem, Góry Błękitne kąpały się na północy w ich blasku. Malloc ledwie zauważył zgromadzonych wokoło rodaków, w tym także członków jego rodziny w żałobnych szatach. Szli przez tłum ku nisko położonej arenie, gdzie czekały quarry.

Słyszał ich warkot. Z każdym krokiem słyszał go lepiej.

Jego córka i brat szli kilka kroków za nim. Malloc pamiętał, że kiedyś miał żonę. Zastanowił się, czemu nie przysła.

Może już umarła.

W dole zobaczył tuzin smukłych, głodnych quarrów. Podskakiwały ku obrzeżu w miejscu, gdzie strażnicy zatrzymali Malloca.

Devaronianie nigdy nie lubili celebry.

- Rzeźnik z Montellian Serat! - zawołał herold i w tłumie podniosły się krzyki, które zagłuszyły wściekły warkot quarrów. Mallocowi zdjęto więzy i silne młode ręce pchnęły go naprzód, prosto na głodne pyski.

Pierwszy quarr zatopił w nim zęby, zanim jeszcze Malloc upadł na arenę.

Leżąc odwrócił głowę i ujrzał Góry Błękitne.

Przez lata spędzone na pustyni zapomniał prawie o górach i lasach.

Teraz pomyślał, że drzewa są piękne...

... i że najwyższa pora odchylić głowę do tyłu.

Koniec końców Han musiał kupić śmigacz. Wypożyczalnie jakoś nie przyjęły się na Jubilarze. Zbyt często wypożyczony sprzęt znikał razem z wypożyczającym. Albo i bez niego.

O wczesnym zmierzchu Han zatrzymał pojazd pod podanym mu adresem. Rozejrzał się wokoło.

To już prawie trzydzieści lat...

Dziwnie się czuł. Wszystko tak bardzo się zmieniło. Miejsca, które pamiętał jako porządnie utrzymane, teraz straszyły ruinami; dawne ruiny wyburzono i wzniesiono na ich miejscu nowe budynki. Tylko slumsy rozpościerały się niezmiennie coraz szerzej. Niekończące się wojny prowadzone przez tę planetę pustoszyły równo wszystkie jej okolice.

Otoczenie Forum Zwycięstwa, gdzie Han walczył niegdyś w mistrzostwach wolnych zapasów,

straszyło wypalonymi ruinami. Przypominały splukane eonami deszczów pozostałości wymarłej cywilizacji. Okna wyłamano lub wybito, mury szpeciły szramy po pociskach i ślady ognia.

Samo Forum zapadło się i został po nim tylko zaśmiecony gruzem plac. Han zszedł z chodnika i ruszył w jego stronę. Szkło i żwir chrzęściły mu pod butami, gdy zmierzał do pozostałości głównego wejścia.

Stał pośrodku placu i rozejrzał się wkoło. Chłodny wiatr zwichrzył mu włosy i nagle przypomniał sobie, jak to było:

... stał na ringu naprzeciwko tamtych, a w uszach huczały mu krzyki i szyderstwa tłumu. Serce waliło mu jak młotem, płuca łapały konwulsyjnie powietrze. Flaga spłynęła w końcu z masztu i przeciwnicy ruszyli.

Han skoczył z rozbiegu na najbliższego. Wybił się na jakieś dwa metry w górę i kopnął go w twarz, łamiąc osiłkowi nos. Głowa odskoczyła mu do tyłu...

Do dziś nie potrafił dokładnie odtworzyć, co działo się przez następne kilka minut. Pokazano mu wprawdzie nagranie walki, ale jakoś nie potrafił dopasować tego, co tam widział, do strzępków wspomnień. Z maty zszedł ze złamaną ręką i pękniętą szczęką. Miał też dwa złamane żebra, wstrząs mózgu i masę siniaków na całym ciele. Te siniaki zrobiły się następnego dnia purpurowe. Kobieta, która pielęgnowała potem Hana przez jakiś czas (jej twarz całkiem uciekła mu z pamięci) była nie wiedzieć czemu bardzo nimi zafascynowana i chętnie przesuwiała palcami po sinych nabiegnięciach... Tutaj. Tak... to było tutaj.

Han stanął w miejscu, gdzie kiedyś był ring. Po wszystkim zszedł z niego o własnych siłach...

Trzydzieści lat. Ponad połowa jego dotychczasowego życia.

Zrobił krok i zatrzymał się. Raz jeszcze ogarnął ruiny spojrzeniem, po czym odwrócił się i wrócił do śmigacza. Siadł bez ruchu za sterami, oparł głowę na złączonych dłoniach i zapatrzony w ciemniejące niebo oddał się wspomnieniom.

- Pani burmistrz Baker - powiedział Han. - Co za zaszczyt. Spotkał się z nią w pełnej światła sali upraw hydroponicznych, mieszczącej się w starym kompleksie magazynowym na skraju Śmierci, a dokładniej przy ulicy zwanej Zaułkiem Kata. Przyszedł w pełni przygotowany: jeden blaster nosił ostentacyjnie u pasa, dwie inne sztuki broni ukrył pod kurtką i w bucie.

Nie, żeby oczekiwał kłopotów. Chodziło o interesy; znał się na tym jeszcze w czasach poprzedzających Rebelię, wiedział więc teraz co robi. Cóż, na tej planecie nie należało kusić losu. Szczególnie w mieście o nazwie Śmierć.

Chcieli, by zajął się przemysłem jandarry na Shalam. Omal się nie roześmiał, gdy przedstawiciel pani burmistrz mu o tym powiedział. Leia była szczególnie cięta na jandarrę. Zapewne nawet ona byłaby rozbawiona, gdyby pokazał się nagle na Shalamie ze statkiem pełnym kontrabandy. Był też pewny, że Shalamici nie ośmieliliby się zastosować wobec niego ani jednego paragrafu.

Pani burmistrz uśmiechnęła się do Hana. Była wysoką, korpulentną kobietą, a uśmiech dziwnie nie pasował do jej twarzy. Przyszła z czterema strażnikami. Dwóch stanęło w drzwiach magazynu, a dwóch kilka kroków za panią burmistrz. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny szturmowe.

- Pan Morgavi... Luke Morgavi, zgadza się? Han odwzajemnił uśmiech.

- Zgadza się. Luke Morgavi. Jak wspomniałem panu asystentowi, jestem niezależnym kupcem z Borandy.

Skinęła głową.

- Miło mi pana poznać, Luke. Proszę za mną. Poprowadziła go między rzędami zbiorników

hydroponicznych na sam koniec sali, gdzie światłanad uprawami świeciły jaśniej w trochę innej długości fali. W zbiornikach rosły małe, purpurowe i zielone podłużne warzywa.

- To jest jandarra - powiedziała. - Jubilarzka roślina, ale bardzo wrażliwa. Wyrasta na pustyni zaraz po rzadkich u nas burzach. Dwa lata trwało, zanim przystosowaliśmy ją do uprawy...

Han pokiwał głową.

- A Shalamici nałożyli na nią sto procent cła.

- Mamy tu jandarę wartą osiemdziesiąt tysięcy kredytów - rzuciła ze złością pani burmistrz. - A przez Shalamitów zarobimy na niej tylko czterdzieści tysięcy.

- Z Shalamitami tak zawsze - zawtórował jej Solo. - Nie można im ufać. Uwierzy pani, że oni oszukują w karty?

Przyjrzała się uważnie Hanowi.

- Nie wiedziałam... panie Morgavi. - To ty oszukujesz w kartach, pomyślała, ale nie usunęła uprzejmego uśmiechu z twarzy, chociaż niełatwo przychodziło jej go utrzymać. Naprawdę jej nie poznał. Cóż, trzydzieści lat to szmat czasu, a ona przytyła sześćdziesiąt kilo. Kiedyś, przed małżeństwem z pechowym Miagim Bakerem, nazywała się Incavi Ladaro.

Han powiedział, że wróci - i wrócił, tyle że trzydzieści lat później, już jako niesławny generał Solo, szycza Nowej Republiki...

- Osiemdziesiąt tysięcy kredytów - powtórzyła. - Trzeba to jakoś inaczej dostarczyć na Shalamite. W ten sposób będziemy czterdzieści do przodu i chętnie...

- Pięćdziesiąt procent - powiedział uprzejmie Han. - Czyli dwadzieścia tysięcy i chętnie się tym zajmę.

Przymrużyła oczy.

- Naprawdę uważa pan, że zdoła ominąć shalamickie jednostki wojenne?

- Proszę pani, przechodziłem już przez imperialne blokady - uśmiechnął się Han. - Myślę o gwiazdnych niszczytelach. Opowiem coś pani...

Boba Fett leżał na zewnątrz w ciemności i patrzył przez celownik. Miał strzelać przez otwarte wejście, co samo w sobie nie było takie trudne, tyle że niektóre zbiorniki hydroponiczne przesłaniały mu cel i musiał czekać, aż Solo podejdzie bliżej progu.

Czekał cierpliwie, chociaż ciągle nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Kto by pomyślał, że pułapka zastawiona trzy dekady wcześniej wreszcie zadziała?

Tak, to naprawdę było szczęście. Nawet teraz, gdy upadło Imperium, Han Solo ciągle miał wielu wrogów: krewni Jabby, lojalni oficerowie Imperium, którzy zdołali utrzymać pod swoją komendą małe enklawy kilku tysięcy planet w różnych rejonach galaktyki. Nagrody za jego osobę, żywą lub martwą, ciągle wyrażały się w imponujących sumach, chociaż zabrakło i Jabby, i Vadera. Warto było po nie sięgnąć, nawet jeśli miało się ponad cztery miliony na koncie.

Najdziwniejsze, że widok Hana Solo w teleskopowym celowniku karabinu nappełnił Fetta szczególną nostalgią. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to zły człowiek, gorszy pod każdym względem niż Rzeźnik z Montellian Serat, którego odłowił tylko z obowiązku i dla nagrody i przekazał w ręce katów z pewnym żalem.

Ale Solo... Do Fetta dotarło nagle, że przywykł do jego obecności. Stał się poniekąd częścią życia łowcy i Fettowi trudno byłoby teraz wyobrazić sobie świat bez niego. Galaktyka zmieniała się zaskakująco, a Solo zostawał ciągle taki sam.

Zasadzał się na niego dla różnych klientów i rozmaitych nagród. Owszem, uznał go za stały

element tego świata, ale... nakierował krzyż celownika na sylwetkę Hana. Obok niego stała kobieta, zapewne właśnie Incavi Larado. Nie poznawał jej. Odetchnął i zacisnął palec na spuście.

Nie popełni drugi raz tego samego błędu, by próbować ująć Solo żywcem.

I jakoś nauczy się żyć w świecie bez niego.

Razem ruszyli w kierunku wyjścia. Burmistrz Baker uśmiechała się wciąż, ale Han zauważył, że to wymuszony uśmiech. Trzymał się pół kroku za nią i pilnował, by jej potężny korpus odgradzał go zawsze od otwartego wejścia, za którym czerniała noc. Brakło nawet ulicznych świateł. Cała armia mogłaby się tam przyczaić, pomyślał Han...

- ... no więc ten dzieciak, nazywał się Maris, i ten starszy, pomyłony, było mu Jocko... Jocko w ogóle był dziwny. Wydawało mu się, że jest rycerzem Jedi i wszyscy mieli go już dość... Ale wracając do imperialnej blokady, to tak...

Co oni na mnie szykują?

W co ja wdepnąłem?

Wyczuł, że coś jest nie tak, pomyślał Fett. On już...

Główna linia zasilania magazynu dochodziła do budynku od północnego wschodu, a potem rozdzielała się. Jedna odnoga szła pod sufitem i do niej podłączono oświetlenie; druga kierowała się do instalacji zbiorników hydroponicznych.

Han przekręcił dłoń pod specjalnym kątem i ukryty w rękawie blaster wpadł mu prosto w dłoń.

Boba Fett przesunął krzyż celownika na lewo od masywnej postaci Incavi Baker. Prosto na klatkę piersiową Hana Solo. Na moment stracił go znowu z oczu, ale zaraz znowu zobaczył. W samym środku skrzyżowanych nitek.

Powoli zwiększył nacisk na spust...

... gdy nagle światła w magazynie zgasły.

Ognista smuga ładunku przemknęła przez ciemność jak błyskawica.

Han padł na ziemię, zanim jeszcze zniszczony strzałem kabel przestał sypać iskrami. Odtoczył się na bok i strzelił kilka razy w kierunku, gdzie stali ostatnio dwaj ochroniarze. Gdzieś w pobliżu przeraźliwie krzyczała kobieta. Han strzelił ledwo cztery razy, gdy broń nagle odmówiła posłuszeństwa. Magazynek eksplodował, parząc mu dłoń i spowijając całą jego postać upiornym, widocznym z daleka blaskiem. Han chwycił blaster prawą dłonią i odrzucił jak najdalej, a potem zerwał się na równe nogi i zaczął uciekać w głąb ciemnego magazynu. Przed oczami tańczyły mu barwne plamy, a prawą, obolałą dłonią wymacywał kolejne ściany zbiorników. Zaraz posypał się wkoło niego cały deszcz strzałów z blastera.

W krótkiej chwili blasku, gdy uszkodzona broń wylatywała z magazynu, dostrzegł biegnącą w kierunku wejścia postać - zmoreń z najgorszych snów, bohatera najczarniejszych rozdziałów historii galaktyki: łowcę w mandaloriańskiej zbroi.

Incavi Baker leżała na plecach, a jej oczy wpatrywały się w pustkę. Bolał ją strasznie bok i wiedziała, że umiera.

Żeby tylko nie było tak ciemno... Przez jakiś czas mrok rozjaśniały strzały, ale i to ustało.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać i uklękła przy niej. Mężczyzna w szarej zbroi. Incavi otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mężczyzna wyciągnął rękę.

Poczuła coś zimnego i ostrego na szyi.

Ból odpłynął z wolna.

Fettowi dzwoniło w uszach.

Czterej ochroniarze byli martwi. Solo musiał zabić tego z boku, powiedział sobie łowca szukając usprawiedliwienia. Bo on zabił tylko tych trzech, którzy stali jeszcze, gdy wszedł do magazynu. To był czysty odruch...

Ale...

Kłęczał przy kobiecie i trzymał ją za rękę, aż drgawki ustały.

Przez wszystkie lata kariery nigdy nie zabił jeszcze niewłaściwej osoby. Coś ścisnęło go w gardle. Ostatni raz czuł się tak w dniu wygnania z Concord Dawn. Chciał przeproszać ją za swoją pomyłkę. Absurdalne pragnienie... Przecież była winna i grzeszna tak samo, jak wszyscy w dziejach. Fett znał ją kiedyś i wiedział, że nie było w niej nic wartego uwagi, że jej życie nie przyniosło nikomu nic dobrego i nikt nie będzie po niej płakał...

Ale nie chciał jej zabić.

Jej dłoń zadrżała lekko i zwiotczała.

W tej ciemności podczerwone sensory hełmu nie pomagały wiele. Widział ciepłe jeszcze postacie czterech strażników, masywną sylwetkę martwej już kobiety i mgliste zarysy rozgrzanych wciąż lamp.

Gdzieś na tyłach poruszyło się jeszcze jedno źródło ciepła.

Fett wstał, ujął mocniej broń i ruszył dokończyć polowanie.

Mandaloriańska zbroja bojowa.

Na to nie byłem przygotowany, pomyślał Han. Trzymał karabin zabrany strażnikowi, którego kopnął w krocze, ale niewiele z tego wynikało. Musiałby się zbliżyć do Fetta, który w swojej zbroi miał o wiele większe szansę.

Trzeba wyjść jakoś z tego magazynu, pomyślał. Na otwartym terenie będzie gdzie uciekać, będzie gdzie się kryć. Spróbuje dotrzeć do śmigacza, którym przyjechał.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Sprężył się do biegu, sprawdził bezpiecznik karabinu... Od frontu dobiegł go jakiś szmer. Ostrożnie, ale szybko, z pochyloną głową, pobiegł skulony do tylnego wyjścia z magazynu.

Lando zzielenieje z zazdrości, pomyślał. Oczywiście jeśli wyjdę z tego cało, żeby mu opowiedzieć, a on wykaraska się ze swoich kłopotów, żeby posłuchać.

A Leia się wścieknie.

Fett przycupnął za jednym ze zbiorników i sięgnął po wyrzutnik flar. Strzelił w kierunku sufitu.

Przenikliwie, pomarańczowe światło zalało magazyn. Solo też miał z niego skorzystać. Zrobiło się jasno jak w dzień, wszędzie pełzały migotliwe cienie dźwigarów konstrukcji. Flara miotła się przez chwilę pod stropem, a potem zaczęła opadać.

Zagrzechotało na końcu magazynu. Fett nie ruszył się, nie strzelił.

To Solo czymś rzucił... I znowu. Cierpliwości, cierpliwości...

Jeden strzał, brzęk tłuczonego szkła. Korzystając z ostatnich sekund blasku flary Solo torował sobie drogę. Fett zerwał się na nogi, by strzelić, gdy cel będzie przechodził przez okno.

Zdążył dostrzec Hana; stał pięćdziesiąt metrów dalej i celował do niego z karabinu strażnika. Strzelił i trafił Fetta w pierś. Zbroja wytrzymała, ale łowca poleciał do tyłu i upadł na podłogę.

Han odwrócił się i pobiegł. Szczupakiem, jakby mu nagle ubyło lat, zanurkował w pustą framugę.

Boba Fett wstał sekundę później. Napierśnik zbroi był tak gorący, że parzył nawet przez warstwy ochronne. W morderczym szale łowca pobiegł za Solo. Całkiem nie zważał na obolałą pierś i nogi. Wydawało mu się, że należą do kogoś innego.

Klucząc w mglistym blasku księżycy planety Han gnał w kierunku śmigacza. Był trochę zdezorientowany; nie pamiętał dokładnie, czy zostawił pojazd na parkingu od południa, północy, zachodu czy wschodu. Na razie biegł alejką ciągnącą się między magazynami. Zdyszany dotarł do ostatniego budynku, ostatniej osłony. Zawahał się, zanim skręcił za róg. Spróbował odtworzyć w pamięci układ okolicy - parking był chyba zaraz po lewej... albo po prawej. Jeśli zablądził, to Fett może znaleźć śmigacz przed nim.

Coś stuknęło metalicznie na bruku...

Całkiem odruchowo Han wyskoczył zza rogu z uniesioną bronią i palcem na spuście. Boba Fett obracał się właśnie w jego kierunku i też unosił karabin...

Stali naprzeciwko siebie. Otaczała ich pustka. Reszta miasta, planety, całej galaktyki, gdzieś zniknęła. Istnieli tylko oni, odlegli od siebie o niecały metr, i ich karabiny...

Han nie strzelił.

Fett nie strzelił.

Hanowi wylot lufy karabinu Fetta wydawał się tak wielki, że mógłby przez niego przelecieć nawet imperialny niszczyciel. Lufa nie była nieruchoma; zataczała małe kręgi. Ledwo dostrzegalne, ale jednak. Błady blask księżycy ukazywał szramy na zbroi Fetta, odbijał się w czarnej przesłonie hełmu.

Hanowi brakło jeszcze tchu po biegu.

- Coś mi się widzi... że obaj tu umrzemy - powiedział urywanym głosem.

- Najwyraźniej - odparł chropawy jak zwykle głos Fetta. Han spojrzał nad muszką na przeciwnika.

- Twoja zbroja nie osłoni cię na ten dystans.

- Nie.

- Wątpię, żebyś zdołał zabić mnie na tyle szybko, żebym nie miał okazji wystrzelić.

Hełm Fetta poruszył się lekko w potakującym geście.

- Też w to wątpię.

Han nie śmiał oderwać oczu od muszki wycelowanej w gardło łowcy.

- Zabiłeś tych ludzi w magazynie. I tę kobietę. Głowę by dał, że Fett zadrzał.

- Przykro mi. Oni... ona... nie była moim celem. Han o mało nie pociągnął za spust.

- Umrzesz teraz i ja też umrę - rzucił z wściekłością. - Może obaj na to zasłużyliśmy, ale ta kobieta...

- To ona mnie wezwała! Han zrobił krok.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyknął. Ze zdumieniem stwierdził, że stoi na wyciągnięcie ramienia od Fetta i wylot lufy jego karabinu opiera się o zbroję łowcy. Broń tamtego dotykała jego obojczyka. - Nie wiem, co cię opętało, aby decydować, kto ma prawo do życia, a kto powinien umrzeć. Nic mnie to nie obchodzi, pociągnij za spust i zginiemy razem! - Spojrzał na czarny wizjer. - Niech to będzie twoja ostatnia decyzja!

- Ty pierwszy - odparł Boba Fett głosem tak łagodnym, że Han nigdy nie skojarzyłby go z postacią łowcy. - Jesteś żonaty, prawda? - spytał jeszcze spokojniej. - Masz dzieci, które cię potrzebują. Co ty tu robisz, Solo, udając młodzieniaszka? To nie jest miejsce dla kogoś takiego jak ty.

Hana powoli ogarniała zimna pasja.

- Nie mów mi o dzieciach. Zabiję cię tak szybko...

- Chcesz umrzeć?

Han wciągnął głęboko powietrze.

- A ty?

Fett pokręcił ledwo dostrzegalnie głową.

- Nie. Ale nie widzę innego wyjścia. Han poczuł przyływ nieśmiałej nadziei.

- Dobra. Odłóż broń. Nie zabiję cię, jeśli odłożysz broń.

- Nie - szepnął Fett. - To ty odłóż swój karabin. Nie zabiję cię, jeśli go odłożysz. Pozwolę ci wrócić do rodziny. Odłóż broń...

- Nie ufam ci.

- A ja tobie.

Zimny wiatr owionął parking. Han poczuł, jak pot wysycha mu na skórze i zrobiło mu się zimno.

- Odchodzimy na pięć kroków - powiedział w końcu. - Potem rzucasz broń i uciekasz w ciemność jak gundark przed pożarem. Nawet gdybym do ciebie strzelił, zbroja cię ochroni.

- Mam chore nogi. Łatwo możesz mnie dogonić.

Han nie potrafił przestać myśleć o swoich dzieciach i o Leii.

- Więc po prostu odejdz. Odłóż broń i odejdz. Zawsze postępuję uczciwie. Nie zastrzelę cię.

- Wszystko wskazuje raczej na to, że jesteś kłamcą - odparł Fett.

- Chyba jednak będziesz gotów to zrobić. - Zamilkł na chwilę. - Gdybym był młodszy, to pewnie pociągnąłbym już za spust. Ale teraz widzę, że wcale nie żywię do ciebie nienawiści. Nie jestem gotów umrzeć, by usunąć cię ze świata.

- Zrobiłem błąd, przylatując na Jubilar. Nie cierpię ciebie, brzydzi mnie wszystko, czym się zajmowałeś. Ale moja żona i dzieci mnie potrzebują.

- Ta rozmowa do nikąd nie prowadzi - stwierdził Fett. - W ten sposób nigdy nie nabierzemy do siebie zaufania.

- Karabin zaczyna mi ciążyć - powiedział zgodnie z prawdą Han.

- Co robimy?

- Każdy musi umrzeć - rzucił Fett.

- Owszem. Kiedyś tak. Ale to nie musi być dzisiaj, przynajmniej jeśli chodzi o nas.

Fett pokręcił głową, chociaż jego hełm ledwo się poruszył i Han nic sądził, aby łowca odwrócił od niego uwagę choć na ułamek sekundy.

- Nie wiem - powiedział spokojnie. - Trudno zaufać wrogowi. Może powinniśmy się dziś wystrzelać... a może, szanowny panie Solo, powinniśmy się rozejść, aby los raz jeszcze zdecydował, który z nas przetrwa. Tak jak wtedy, gdy byliśmy młodzi...